



Autorzy
Światowych
Bestsellerów

KELLEY ARMSTRONG
KEVIN J. ANDERSON
CHELSEA CAIN
HEATHER GRAHAM
SIMON R. GREEN
DAVID LISS
JONATHAN MABERRY
SHARYN McCRUMB
i inni...

Zautek Potworów

pod redakcją CHRISTOPHERA GOLDENA

*Demony i gobliny, mroczni bogowie i kosmici,
mityczne i legendarne stworzenia, straszliwe bestie.*

Antologia

Zaulek Potworów

pod redakcją Christophera Goldena

Spis Treści:

David Liss – Trudny Wiek

Jonathan Maberry - Święty John

Lauren Groff - Ruta

John McIlveen - Uległy

Kevin J. Anderson - Zerwane szwy, rozbite szkło

Sharyn McCrumb - Szaman i człowiek-ćma

David Moody - Wielkolud

Kelley Armstrong - Rakshasi

Nate Kenyon - Płodząc demony

Dana Stabenow - Syreni śpiew

Chelsea Cain - Mniej niż dziewczyna

Tom Piccirilli - Okrutny złodziej rumianych niemowląt

Sarah Pinborough - Sala krzyku

Heather Graham - Zła

Jeff Strand - Okaz 313

Tananarive Due - Jezioro

Michael Marshall Smith - Ta druga

Gary A. Braunbeck - Ciągłe się dziwicie, dlaczego chcemy was
odruchowo ukatrupić?

POTWORY: TAKI MAŁY WSTĘP

Ktokolwiek czytał moje opowiadania lub choć raz zajrzał na moją stronę internetową, wie, że kocham potwory. Nie jest to jednak przelotna i gwałtowna miłość, jaką nastolatki darzą nową parę butów, wystrzałową sukienkę czy designerską czapkę. W żadnym wypadku również nie można tego uczucia porównać do uwielbienia, jakim ktoś darzy lody, pizzę lub inną potrawę, która w wyjątkowy sposób zadowala jego kubki smakowe. Moja miłość jest trwała i niezmienna, opiera się na głębokiej relacji, na połączeniu, na zrozumieniu.

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa to obraz chwili, gdy siedzę przed czarno-białym telewizorem – który moja mama czasem włączała w kuchni – w naszej wychodzącej na ogród werandzie w domu na Fox Hill Road we Framingham w Massachusetts i po raz pierwszy oglądam *Frankensteina*. Mogłem mieć wtedy z siedem lat. Pamiętam szczególnie ten fragment filmu, gdy potwór w chwili radosnego uniesienia, śmiejąc się razem z dziewczynką nad brzegiem jeziora, wrzuca do wody płatki kwiatu. I następuje ten kluczowy moment, kiedy jedynym płatkem do oberwania i wyrzucenia pozostaje dziewczynka...

Rany Julek!

Ta scena na zawsze wryła się w moją pamięć, przeraziła mnie i złamała moje małe serce. Niestety doświadczenie to niczego nie nauczyło potwora. Nie rozumiał świata, w którym się znalazł. W akcie

stworzenia obdarzono go mocą czynienia krzywdy innym, brutalnością i gwałtownością, a przecież pragnął nieść pokój i się śmiać. Tragedia dopełnia się, gdy potwór pojawia się w miasteczku z martwą dziewczynką na rękach, a mieszkańcy witają go przerażeniem przeplatany z wściekłością.

Pamiętam, że tego dnia płakałem głównie z przerażenia i ze strachu, lecz moje łzy miały źródło również w smutku i współczuciu dla tego stworzenia, które nie było winne swojej potworności.

W kolejnych latach pokochałem wszelkiego rodzaju potwory między innymi dzięki temu, że lokalne stacje telewizyjne emitowały takie programy, jak *Creature Double Feature*, japońskie produkcje o wielkich monstrach, filmy opowiadające o skutkach promieniowania po wybuchach jądrowych, horrory z brytyjskiej wytwórni Hammer i inne w podobnym guście. Ale nie tylko filmy mnie ukształtowały. Jednym z bohaterów moich ulubionych kreskówek o Króliku Bugsie zawsze był jakiś potwór. Kiedy zacząłem czytać komiksy, a właściwie kiedy sam zacząłem je kupować, mój wybór zwykle padał na cudowne komiksy, które wydawnictwo Marvel wypuszczało na rynek w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

Są oczywiście potwory, które nie są niczym innym jak nikczemnymi istotami obcego pochodzenia, lecz są też takie, dzięki którym zacząłem więcej myśleć i czuć. Ekranizacja *King Konga* z 1976 roku z Jeffem Bridgesem w roli głównej może nie jest arcydziełem (wybaczcie mi, miałem wtedy tylko dziewięć lat!), ale śmierć King Konga złamała mi serce. Oryginał z 1933 roku wzrusza mnie do dziś.

The Tomb of Dracula, najlepszy komiks z serii horrorów wydawnictwa Marvel, opowiada o złym do szpiku kości, lecz zaskakująco ludzkim i sympatycznym Lordzie Wampirów, którego do życia powołała Marv Wolfman, a rysunkową postacią obdarzył Gene Colan. Przemawiały przez niego ohyda i potworność, a jednak czytelnicy żywili do niego ciepłe uczucia.

Wraz z rozwojem mojego literackiego smaku coraz częściej sięgałem po podobne opisy potworności. W końcu przeczytałem *Frankensteina* Mary Shelley i zdałem sobie sprawę z tego, o czym moje serce wiedziało już od wielu lat, że to potwór był prawdziwym bohaterem. To potwór był protagonistą. Choć struktura opowieści przeczyła temu, jej język i zawarte w niej opisy nie pozostawiały w tej kwestii żadnej wątpliwości.

To odkrycie pozwoliło mi w zupełnie nowy sposób spojrzeć na tego rodzaju historie. A zatem Godzilla była powszechnie nierozumiana. Magneto mógł być nemezis X-Menów, a jego działanie złe,

lecz głęboko wierzył w sprawę – wierzył, że postępował w interesie swoich ludzi.

W college'u napisałem kilka niezwykle szczegółowych i wnikliwych prac na temat mojego ukochanego filmu *Blade Runner* (*Łowca androidów*), w których pozwoliłem sobie na drobiazgową analizę przedstawionej przez Ridleya Scotta moralności rodem z *Frankensteina*. Kiedy przyszedł czas na napisanie o *Mobym Dicku*, nie widziałem przed sobą innej możliwości jak stworzenie eseju zatytułowanego *Popierając wieloryba*. Choć struktura powieści sprawia, że głównym bohaterem wydaje się Ahab, to zastosowane przez Melville'a zabiegi stylistyczne i użyty przez niego język wyraźnie temu przeczą.

Tematyka potworów i potworności mnie fascynuje. Można pokusić się o stwierdzenie, że większość tego, co zostało o nich napisane, w rzeczywistości pokazuje tylko, jak postrzegamy samych siebie i czego tak naprawdę boimy się w sobie i w innych. Pragniemy zrozumieć własne zachowanie, brzydotę lub odmienność, którą naszym zdaniem nosimy w sobie. Tak jak outsider H.P. Lovecrafta czy obcy Billy'ego Joela (lecz nie obcy Camusa – ten koleś jest dupkiem) istniejemy w świecie, który albo nas wcale nie dostrzega, albo nie dostrzega nas takich, jacy wydajemy się sami sobie, albo – mamy nadzieję – nie dostrzeże nas takich, jacy lękamy się, że nie zostaniemy zaakceptowani. Kim jesteśmy? Czym jesteśmy? Czy inni nas rozumieją?

Wracając na chwilę do *Blade Runnera*. W filmie Roy Batty wyznaje swojemu stwórcy, że czynił okropne rzeczy, ale „nie zrobił nic takiego, za co bóg biomechaniki mógłby nie wpuścić go do nieba”.

Potwory i ich potworność to określenia, które tworzymy dla siebie nawzajem i którymi definiujemy siebie samych. Tu chodzi o postrzeganie. O to, co widzimy w lustrze i co – boimy się – inni mogą w nim zobaczyć. W rzeczy samej dotyczą tej niepokojącej prawdy, że nie wiemy, co czai się w umysłach innych ludzi, że kobieta stojąca obok nas w kolejce do okienka w banku lub mężczyzna przebrany za Świętego Mikołaja mogą zupełnie inaczej niż my postrzegać świat, innych ludzi i moralność.

Porozmawiajmy przez chwilę o rzeczywistości. Są potwory i potwory. Są prawdziwi mordercy, którzy z premedytacją zabijają i okaleczają ludzi, rujną im życie i pozbawiają ich nadziei. To są potwory z krwi i kości. Jest też inny typ potworów. I tylko ten darzę sympatią. Stoję po stronie Bestii, której nikt nie rozumie i której intencje są opacznie pojmowane, a która, jeśli się jej poszczęści, znajdzie zrozumienie tylko w oczach Pięknej.

Chciałbym jasno wytyczyć granicę pomiędzy fikcją a rzeczywistością w moim podejściu do potworów. Andrew Vachss, powieściopisarz oraz obrońca praw dzieci, napisał kiedyś – pozwólcie, że sparafrazuję – że można współczuć potworowi z powodu tego, w jaki sposób stał się potworem, nie mając dla niego sympatii. Można współczuć dziecku, którego doświadczenia życiowe zmieniły w bezdusznego zabójcę, lecz z chwilą, gdy zamienia się ono w potwora, współczucie i sympatia znikają.

Zrozumieliście?

Świetnie, to wracamy do fikcji i mojej miłości do fikcyjnych potworów.

Koncepcja tej antologii poczęła się właśnie z tej miłości do potworów, którą opisałem powyżej. Ponieważ wiedziałem, że wielu innych autorów podziela tę miłość, postanowiłem udać się na łowy. Podobnie jak w wypadku *The New Dead* zarzuciłem ogromną sieć, kusząc pisarzy różnych gatunków do współtworzenia tego zbioru opowiadań. Byłem przekonany, że różnorodność obfitować będzie mnogością podejść do tematu. Mówiłem o *Frankensteinie* i *Mobym Dicku* i wszyscy co do jednego mnie rozumieli. Podzielali moje przekonanie, że bez względu na to, czy potwór chce nas zjeść, zgnieść czy oszukać, możemy obdarzyć go sympatią, a nasze podejście do niego zależy jedynie od wybranego przez nas punktu widzenia. Profesor X pragnie, by mutanci żyli w pokoju z ludźmi. Magneto z kolei hołduje przekonaniu, że ludzie zamierzają unicestwić mutantów i należy ich po prostu ubiec. Można by się pokusić o stwierdzenie, że każdy z nich ma rację.

Stephen King napisał kiedyś – ponownie sparafrazuję – że to, jak odbieramy potwory, wynika ze zbiorowego przyzwolenia. „Ja jestem w porządku, ty jesteś w porządku, ale ugh, spójrz na to”. Jestem niemal pewien, że to coś, na co wskazujemy, wykrzywając twarz z niesmakiem, spogląda na nas z podobną odrazą. Wszystko jest kwestią perspektywy. Ugh, spójrz na to. Ugh, spójrz na nas.

I tak ponownie dotarliśmy do kwestii outsidera i lustra, do tego, co ukrywamy, do tego, czego boimy się w sobie i innych. Do potworności.

Autorzy opowiadań zebranych w tej antologii świetnie poradzi sobie z wyzwaniem, które przed nimi postawiłem. Obowiązywało ich tylko kilka zasad. Po pierwsze żadnych wampirów i żadnych zombi. Tych jest na pęczki, a poza tym to zbyt oczywiste. Po drugie zniechęcałem ich do podjęcia tematu potworów w ludzkiej postaci, niemniej kilka takich historii znajdziecie w tym zbiorze. Po

trzecie opowieści nie mogły być wcześniej nigdzie publikowane, choć i ta zasada została złamana. Jedno z opowiadań ukazało się wcześniej w zbiorze wydanym przez niewielkie wydawnictwo w nakładzie stu egzemplarzy. Jeśli przypadkiem jesteś jedną z tych stu osób, które miały okazję już je przeczytać... ciiii. Nie powiem o tym nikomu, jeśli wy też dotrzymacie tajemnicy.

Rezultat przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Na kolejnych stronach znajdziecie opowiadania o lęku i złamanym sercach. O szaleństwie i śmiechu. Filozoficzne rozprawy i okrutne zakręty losu. Pożerające ludzi rośliny, a nawet pewną dozę sympatii dla diabła.

Proponuję wam zatem, byście spojrzeli na temat z nowej perspektywy. Zobaczyli świat nie ludzkimi oczami.

Dołączcie do mnie w *Zaułku potworów*.

Przełożyła Anna Czechowska

David Liss

Trudny wiek

Pete zawsze uważał, że on i Roberta robili, co tylko mogli, lecz robili tak już tyle lat, iż poczucie pilnej konieczności dawno ustąpiło miejsca przyzwyczajeniu. Była to jedna z tych sytuacji, które z zewnątrz wyglądają raczej beznadziejnie, ale dla bezpośrednich uczestników stanowią normalną codzienność.

Dlatego gdy w środku tygodnia odebrał telefon i usłyszał w słuchawce sympatyczny głos kobiecy zdradzający wysoki status społeczny i okazałą fortunę, poczuł się bardziej skołowany niż

zadowolony.

– Czy to ojciec Neila? Dzień dobry. Jeśli mówi coś panu imię Mason, to jestem matką tego dziecka.

Innymi słowy: moją matką. Ja jestem Mason. I wiem, że nie będziecie zadowoleni, gdy się dowiedziecie, skąd wiem tak dużo o życiu Pete'a, jego poglądach i wszystkim, co się działo w jego popieprzonej głowie. Nie spodoba wam się to, lecz obiecuję, że wam powiem. Ale jeszcze nie teraz. Na razie musicie mi zaufać, choć wiem, że proszę o zbyt wiele. Jednakże ludzie mi ufają. Chyba dobrze mi z oczu patrzy.

Wróćmy do ich rozmowy. Pete nie znał żadnego dziecka o imieniu Mason, więc ten telefon zbił go z tropu. Matka, Cindy, którą, sądząc po głosie, Pete momentalnie uznał za konkretny rodzaj mieszkańca San Antonio, kobietę o jasnych, związanych w kucyk i polakierowanych włosach, chciała zaprosić Neila na noc do ich domu w piątek. Było trochę wołania na drugi koniec domu, sprawdzania terminów, ale w końcu udało się wszystko domówić. Tak po prostu. Już po wszystkim Pete zdołał odciągnąć Neila od komputera, by zadać mu kilka podstawowych pytań o jego nową znajomość, wyjątkową przez sam fakt, iż Neil wreszcie się z kimś zaprzyjaźnił.

To nie była wina Pete'a, że nie umiał porozumieć się ze swoim synem. W każdym razie nie do końca. Nawet gdy Neil miał dobry dzień, nie dało się z nim dogadać, a ta rozmowa okazała się jeszcze trudniejsza niż zwykle. Neil był wycofanym chłopakiem, gdy mieszkali w San Diego, Pete miał więc nadzieję, że przeprowadzka do San Antonio dwa lata temu pozwoli młodemu się otworzyć i na nowo określić, ale nic takiego się nie zdarzyło. Pozostał taki sam. Milczący, choć nie humorzasty. Zamknięty w sobie, choć nie posępny. Sam, choć nie samotny.

Cała, lecz i tak niewielka uwaga, jaką poświęcił Pete'owi, przysła, gdy tylko usłyszał moje imię. Momentalnie wbił się w głąb łóżka, schował podbródek w koszulkę i ograniczył swoje reakcje do potakiwania bądź zaprzeczania głową. Pete – wysoki, szeroki w barach i silny dzięki regularnym, dość wymagającym ćwiczeniom na siłowni – poczuł się jak groźny potwór i nie potrafił pociągnąć przesłuchania. Zdecydował się na strategiczny odwrót, by nie zawstydzić syna i przypadkiem nie zrobić czegoś, co mogłoby się skończyć rezygnacją z piątkowego spotkania.

Roberta, pani domu, też spróbowała zapuścić się na ziemie Neila, ale i ona nie odniosła większego sukcesu.

– Nie chciałam, żeby się krępował i odwołał wizytę – powiedziała później, gdy leżeli oboje w łóżku.

Czytała kryminał, który znała już na pamięć. Roberta uwielbiała czytać kilka razy tę samą książkę. Do ulubionych powieści wracała nawet dwadzieścia razy, co Pete'owi wydawałoby się mniej niedorzeczne, gdyby chodziło o Prousta czy Joyce'a, ale to były książki Janet Evanovich i Johna Grishama, ledwo zasługujące na pobieżne przejrzenie, a co dopiero kilkakrotną wnikliwą lekturę. Wiele lat temu Pete uważał ten zwyczaj za ujmujący, jednak dzisiaj wprawiał go tylko w zakłopotanie.

– Dziwne – odezwał się, przeglądając „New Yorkera”, lecz nie zatrzymując się na żadnym artykule. – Jest już za duży na imprezy z nocowaniem, nie uważasz? Boję się, że może w tym być jakiś homoseksualny kontekst.

– Myślisz, że to gejowskie zaproszenie? – spytała Roberta.

Pete odłożył gazetę.

– Mówię tylko, że to dziwne. Nie obchodzi mnie, czy Neil jest gejem. Gdyby się okazało, że jest, zrobiłbym wszystko, by czuł się akceptowany.

– Wszystko? Urządziłbyś huczną zabawę? Sąsiedzi byliby uradowani.

– Przynajmniej miałby jakiś powód do entuzjazmu. Wolałbym, żeby Neil był tym, kim jest, a nie...

Pete nie dokończył zdania, bo jedyne słowo, które mogło je zamknąć, brzmiało: „zerem”. Tak bowiem z wielkim wstydem myślał o swoim synu: jak o wielkim chodzącym nikiem.

Neil zawsze taki był. Nawet jako maluch wydawał się obojętny i nienaturalnie spokojny. Pete i Roberta robili, co do nich należało. Chodzili do właściwych lekarzy, zamawiali właściwe badania. Wyniki były zawsze takie same: Neilowi nic nie dolegało. Nie miał zaburzeń rozwojowych, nie cierpiał na autyzm. Był inteligentny i wrażliwy, ale nie zależało mu na ludziach. Tak miał od zawsze.

– Powinieneś się cieszyć, że ma przyjaciela – powiedziała Roberta.

Kilka minut później, gdy zgasła swoją lampkę, Pete rozważał przez chwilę, czy nie przytulić się do żony. Roberta była bardzo atrakcyjna jak na czterdzieści siedem lat. Ładna, szczupła i lekko siwiejąca, jak złe kobiety w filmach Disneya. Ale Pete nie wiedział, czy faktycznie ma ochotę na seks. Ostatnie trzy lub cztery – tak, dokładnie cztery – jego próby zostały udaremnione przez Robertę i nie był pewien, czy wytrzymałby traumę pięciu porażek z rzędu. Prawdopodobnie przez pół nocy nie zasnęłyby, zastanawiając się nad odmową, roztrząsając jej znaczenie dla ich osiemnastoletniego małżeństwa. Z drugiej strony Roberta mogłaby zareagować pozytywnie, czy więc rzeczywiście tego chciał? Nie miał pewności. Teoretycznie seks wydawał się świetnym pomysłem, niemniej nawet uprawiany w dużym pośpiechu stanowił czasochłonne zajęcie, a minęła już północ. Rano Pete powinien skończyć pracę. Czy faktycznie miał ochotę na seks? A może raczej chciał być tuż po, tak aby brak seksu nie stanowił tematu, który musiałby teraz roztrząsać. Podczas gdy analizował w głowie wszystkie możliwości, Roberta zaczęła głośno chrapać i decyzja została podjęta za niego.

Okazało się, że Roberta nie może w piątek przywieźć Neila do swojego domu. Była dyrektorką programową nadającej stare przeboje stacji radiowej, w której nastąpił kryzys wymagający natychmiastowej interwencji. Najbardziej lubiany z porannych didżejów oznajmił, że dostał lukratywną ofertę pracy od rozgłośni w Baltimore, i Roberta musiała pojechać na nadzwyczajne spotkanie, podczas którego kierownictwo miało się zastanowić nad zaistniałą sytuacją. Pete pracował w domu jako informatyk dla firmy, która zatrudniała go wcześniej w San Diego, miał więc elastyczne godziny pracy i to on brał na siebie większość obowiązków rodzicielskich. W drodze do swojego domu Neil siedział skulony na przednim siedzeniu samochodu, majstrował przy radiu, aż zdecydował się w końcu na stację nadającą jakąś piskliwą żałobną muzykę, która w jego ojcu wywołała lęk i przygnębienie.

– Co to za nowa przyjaźń? – zagaił Pete.

Neil wzruszył ramionami i podjął próbę schowania swoich kręjących się czarnych włosów między splotem słonecznym a pępkiem.

– Nic specjalnego.

– Tak? A co razem robicie?

– Nie wiem. Nic.

Korzystając ze znaku stop, Pete przyjrzał się drobnemu, blademu, mizernemu duchowi, który był jego synem.

– Czy on też lubi gry komputerowe?

– Kto? – zapytał Neil ze stuprocentową szczerością.

– A jak myślisz? – Pete westchnął sfrustrowany. – Mason.

Neil nie odpowiedział. Jego milczenie nie było podejrzane, chłopak po prostu odpłynął ku pustej przestrzeni, którą wolał od rozmowy. Pete postanowił dać mu spokój.

Moja rodzina mieszkała w starym, masywnym domu w Alamo Heights, przy krętej ulicy niedaleko zapory. W tego typu domostwach i w towarzystwie mieszkających w nich ludzi Pete czuł się zawsze mały, nieistotny i miał wrażenie, jakby było po nim widać, że nie jest tutejszy. Tę dzielnicę zbudowano dzięki fortunom zbitym na handlu ziemią, ropą naftową i bydłem. Jej mieszkańcy otaczali się jednakowo wyglądającymi Meksykanami i bez cienia żenady sprawowali nad nimi pełnię władzy, wydając im polecenia płynnym hiszpańskim. Ludzie ci, słysząc, iż Pete jest programistą, mówili: „To super!”, jakby chcieli dać do zrozumienia, że nie przeszkadza im jego osobliwa kariera. Akceptowali bezsens jego pracy. Z uśmiechem podchodzili do jego niewytłumaczalnego braku fortuny. Wygląd domu, pod który właśnie Pete podjechał, sprawił, że zainteresowanie Neilem ze strony takiej rodziny stało się dla niego jeszcze większą zagadką. Zatrzymując się na naszym podjeździe w kształcie pętli, Pete uspokoił nerwy, a Neil chwycił plecak i wyskoczył z samochodu, zanim jego ojciec odpiął pasy.

Cindy wyglądała dokładnie tak, jak Pete ją sobie wyobrażał: ładna i nieco zgasła, szczupła, jasnowłosa z kucykiem, ubrana po domu w strój do tenisa, zbyt mocno umalowana, na pewno po jakichś drobnych zabiegach chirurgii plastycznej, może też jednym poważnym. Kiedy rozmawiał z takimi kobietami, czuł się, jakby potrzebował tłumacza.

– Ach, te dzieciaki – powiedziała, patrząc w stronę domu, gdzie za zasłoną widoczne były dwie sylwetki stojące bez ruchu w dziwacznych pozach i z pewnością słuchające dorosłych.

Gdy Pete uściskał jej dłoń i wydusił z siebie kilka niezręcznych słów powitania, Cindy parła dalej ze swoim sztucznym entuzjazmem na bezdechu.

– Tak się cieszę, że Mason i Neil się polubili. Wiem, że Neil jest dobrym przyjacielem, a ten rok nie był dla nas łatwy. Czternaście lat to trudny wiek, prawda?

Pete przytaknął, bo wiedział z rozmów z rodzicami dzieci w wieku Neila, że mieli problemy, z jakimi on i Roberta nie musieli sobie radzić – dramaty, romanse, hormony i emocje. Trzaskanie drzwiami, nieodrobione lekcje i walka o dominację. Pete słyszał o tych rzeczach. Zgodzenie się ze zdaniem Cindy wydawało mu się najlepszym sposobem na ograniczenie rozmowy do minimum, a ponad wszystko pragnął teraz wsiąść z powrotem do samochodu i odjechać. Kiedy udzielił Cindy odpowiedzi na to, co Neil lubi jeść i o której absolutnie już musi położyć się spać, wsiadł do hondy i ruszył z powrotem do siebie.

Roberta miała mu później za złe, że nie wszedł do domu Cindy, by wyczuć, co to za rodzina. Nie wiedzieli, czy miała męża. Pete nie zauważył nawet, czy nosiła obrączkę. Nie przyszło mu do głowy, żeby przyjrzeć się pierwszej od lat osobie, z którą zaprzyjaźnił się jego syn. Irytacja Roberty graniczyła z prawdziwym gniewem.

Pete nie miał siły, żeby się bronić. Gdyby to zrobił, dyskusja mogłaby się przerodzić w autentyczną kłótnię, a tymczasem był przekonany, że nie zrobił nic złego. Przecież nie mógł wprosić się do środka. zaproponował, że zadzwoni, ale Roberta nie chciała zawstydzać Neila przed jedynym znajomym i udało się jej opanować ciekawość. Gdy nazajutrz Neil został bezpiecznie dostarczony do domu o umówionej godzinie, stało się jasne, że nie ma powodów do obaw. To, że sam Neil określił piątkowy wieczór jako „spoko” i „normalny”, też nie wzbudziło podejrzeń. Taki był Neil.

Roberta chciała jak najszybciej się zrewanżować gościnnością, zarówno po to, by okazać swoją wdzięczność, jak i w nadziei na poznanie tajemniczego Masona, więc w następny piątek wieczorem elegancki wóz Cindy zajeżdżał przed ich dom, a Pete patrzył przez okno, jak wysiada z niego moja matka, a za nią ktoś z długimi czarnymi włosami i ubrany na czarno. Najpierw Pete zauważył, że mam dziewczęce włosy – wodospad czerni z dwoma fioletowymi kucykami na górze. Potem dostrzegł rajstopy i spódnicę. Kilka sekund zajęło mu złożenie wszystkich kawałków w całość i zrozumienie, że przed tygodniem jego czternastoletni syn spędził noc u dziewczyny. Czy może u transwestyty? Nie, to z całą pewnością dziewczyna.

Nie pierwszy raz zetknął się z teksańską dziewczyną o dziwnym obojnaczym imieniu. A mimo to wyszedł z założenia, dość przecież oczywistego, że Mason jest chłopakiem. Kamieniarstwo^[1] to w końcu męska robota. Zaskoczeni i zakłopotani Pete i Roberta byli niemal sparaliżowani, gdyż zupełnie nie wiedzieli, jak powinni się zachować. Nie znali precedensu, nie mieli żadnych wytycznych. Stali z otwartymi ustami i szeroko otwartymi oczami, patrząc, jak niezaproszona przez nich dziewczyna podchodzi do ich drzwi, a za nią jej atrakcyjna jasnowłosa matka, której uroda zbladła jednak w obecności córki. Charyzma promieniowała od Mason niczym fale radioaktywne. Pete od razu stwierdził, że nie jest to zwyczajna dziewczyna. Mason była wyjątkowa.

A więc zauważył mnie natychmiast. W przeciwieństwie do drobnego i androgynicznego Neila nie byłam ani wychudła, ani niedorozwinięta. Przewyższałam go o głowę, miałam szersze ramiona i dość obfity biust jak na dziewczynę w moim wieku. Włożyłam czarną spódnicę, czarne buty i zwiewną bluzkę, która odsłaniała dostatecznie dużo, by sformułować jasny przekaz, ale nie powodowała skojarzenia z burdelem. Pomimo farbowanych na czarno włosów i przesadzonego makijażu, co się Pete'owi nie spodobało, jego uwaga skierowana była wyłącznie na mnie.

– Nie wiem, jak wam dziękować za zaproszenie Mason – powiedziała Cindy z kluczykami w dłoni. Spojrzała, jakby z tęsknotą, na swój samochód. – Jesteście cudowni.

– Bez przesady. Po prostu chcieliśmy się odwdziżyć po tym, jak zaprosiłaś naszego syna, żeby przenocował u twojej córki – odparła Roberta, kładąc nacisk na ostatnie słowo, na wypadek gdyby ten aspekt całej sytuacji umknął uwagi Cindy.

– Jesteście tacy mili – powtórzyła moja matka. – Piękny dom!

– Czy masz jakieś... – Roberta machała ręką, ale widząc, co robi, przestała. – Masz jakieś zasady, które chciałabyś, żebyśmy przestrzegali?

Spojrzałam na Cindy, która uciekła wzrokiem.

– Nie – odparła i po chwili przypomniała sobie o uśmiechu. – Ufam wam.

Gdy Cindy wycofywała się do auta, Pete i Roberta dopadli do siebie, by ustalić strategię działania, ale narada szybko przerodziła się w ochrzan Pete'a za to, że nie odkrył tydzień wcześniej mojej płci. Roberta chciała znaleźć jakiś powód do odesłania dziewczyny z powrotem do domu, lecz Pete się na to nie zgodził. Wystarczy, że będzie spała w pokoju gościnnym. Nie chciał, żeby nocowała w pokoju Neila, ale wolał, żeby została. Dla dobra Neila, tłumaczył sobie, i w tamtym momencie nie było to kłamstwo.

Pete nigdy nie pomyślałby o sobie jako o człowieku, który mógłby zafiksować się na punkcie czternastolatki, jednak przyjrzyjmy się faktom. Po pierwsze dziewczyna nie wyglądała na czternaście lat. To jednak jakaś okoliczność łagodząca. Bezstronny obserwator dałby mi szesnaście, może nawet osiemnaście lat. Nie ma nic szlachetnego w czterdziestopięcioletnim mężczyźnie uganiającym się za osiemnastolatką, ale na pewno nie jest to pedofilia. Wyglądałam jak kobieta, nie dziewczyna, więc choć z pewnością mamy prawo uznać Pete'a za zбочeńca, to nie jesteśmy do tego zmuszeni.

Po drugie to ja go uwiodłam. Może. Tak się w końcu stało, czyż nie? W jednej chwili miał pewność, a potem... No, trzeba powiedzieć, że sytuacja była skomplikowana. Jako dojrzały z nas dwojga powinien był odnaleźć w sobie mądrość i godność i odmówić wejścia w popieprzony związek, mimo że dziewczyna tego chciała lub wydawała się chcieć, czy co tam się między nimi działo. Wszystko to oczywiście prawda, a jednak to ja go uwiodłam, prawie na pewno, natomiast on czerpał z tego zbyt wielką satysfakcję, by się mi oprzeć.

Pete, biedaczysko, nie miał szans przygotować się na to, co go czekało. Wszystko zaczęło się od krępującej sytuacji, która po latach mogła być tematem pijackich zwierzeń, niczym więcej. Zniknęłam z Neilem w jego pokoju, gdzie robiliśmy to, co robiliśmy – Pete na pewno nie miał pojęcia, co się tam działo, ale nie zamierzał zawstydząć syna, zaglądając do środka – aż do kolacji, kiedy to wyszliśmy z minami niezdradzającymi ani przesadnego zakłopotania, ani całkowitej niewinności.

Usiedliśmy przy stole, gdzie Roberta podała nam enchilady z kurczakiem. Pete starał się unikać nie tyle patrzenia w moją stronę, gdyż to byłoby niegrzeczne, ile patrzenia w moją stronę zbyt często, bo to też byłoby niegrzeczne. Głównie rzucał mi ukradkowe spojrzenia, sprawdzając, czy jestem faktycznie aż tak uderzająco piękna i interesująca, jak mu się wydawało, ilekroć patrzył gdzie indziej. No i byłam. Możecie mi wierzyć.

Przez całą kolację Pete spoglądał tęsknym wzrokiem na stojący daleko od stołu regał z winami, ale on i Roberta – choć głównie Roberta – postanowili, że nie będą pić przy dzieciach. Za ich decyzją kryła się niewypowiedziana potrzeba ustalenia jasnych, surowych, purytańskich granic. Otwarcie butelki wina mogłoby się okazać pierwszym krokiem do dzikich bachanalii. Już sama obecność Mason w ich domu stanowiła dostateczny atak na fortecę przyzwoitości, nie mogli więc pozwolić sobie nawet na najmniejszy wyłom w murach obronnych. Pete musiał obyć się bez trunku. Tymczasem Roberta podjęła śmiały i chwalebny trud nawiązania rozmowy na zwyczajne tematy – na jakich zajęciach byliśmy z Neilem w tej samej grupie, które przedmioty lubiłam najbardziej, czym zajmowałam się po szkole. Przyznałam jej punkty za ostrożną nawigację wokół kwestii, które mogłyby zakłopotać Neila, na przykład pytań o naszych wspólnych znajomych, o to, co lubimy razem robić, czy o powody, dla których w ogóle zainteresowałam się chłopcem przez własnych rodziców – choć nie z ich winy – uważanym za ducha.

Wszystkie pytania kierowane do Neila momentalnie traciły impet i umierały. Nie było kwestii, której nie dało się skwitować wzruszeniem ramion lub skinieniem. Obydwoje rodzice próbowali i obydwójce polegli. Gdy ja zabierałam głos, starałam się angażować Neila, ale w sposób, który nie wymagałby od niego żadnej wypowiedzi, i wiedziałam, że jest mi za to wdzięczny.

Roberta zrezygnowała z przepytywania swojego syna i skupiła się na mnie.

– Powiedz, Mason, co lubisz robić po szkole?

Nie odpowiedziałam jej piorunującym spojrzeniem, jakie każda szanująca się gotka rzuciłaby tak beznadziejnie zaplątanemu rodzicowi. Szeroko się uśmiechnęłam i wymachując widelcem dla wzmocnienia przekazu, opowiedziałam jej o długich godzinach, które poświęcałam pracy w szkolnym dzienniku literackim.

– Jestem poetką – zapewniłam ją.

Pete'owi podobał się mój sposób mówienia, moja młodzieńcza żywiołowość i zuchwała pewność siebie, wszystko to podszyte najsubtelniejszym gatunkiem ironicznej skromności. Gdy mijały kolejne minuty, Pete coraz mniej widział we mnie dziecka, a coraz bardziej osobę. Stopniowo przestawałam jawić się mu jako intruz, stając się bardziej interesującym, mile widzianym urozmaiceniem nieco zatęchłej życiowej rutyny. Zachęciło go to do zadawania mi coraz ciekawszych pytań, ponieważ wierzył, że im sprostam i że moje odpowiedzi będą pouczające. Nie zachowywał się jak rodzic oceniający z góry osobliwości młodszego pokolenia. Naprawdę chciał wiedzieć.

– Ciekawi mnie twój styl, Mason.

– Pete! – zaprotestowała Roberta.

– Nie uważam tego pytania za niegrzeczne – powiedział Pete. – Mason wie, że ubiera się w sposób niekonwencjonalny i że jej strój zwraca uwagę. Nie obrażam cię, pytając o to, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Uśmiechnęłam się do obojga. – Jeśli ktoś ubiera się w sposób, który ściąga na niego zdziwione spojrzenia, to powinien być gotowy do mówienia o tym.

– Czy ma to jakiś związek z muzyką? – spytał Pete. – Ubierasz się jak jakiś wokalista? No nie wiem, na przykład Marilyn Manson?

– Kto? – zapytałam. – A tak. Moja mama go słuchała. Nie mówię tego złośliwie. Lubię starą muzykę. Ale mój styl nie ma z tym związku.

– To może ze *Zmierzchem*? – ciągnął Pete. – Interesują cię wampiry?

– Nie jestem wampirem, Pete – odparłam.

– Nie twierdzę, że jesteś – powiedział, czując się lekko zbesztany i myśląc, że sobie na to zasłużył.

Zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to protekcjonalnie, i gorąco zapragnął poprawić kurs.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy.

– Niektórzy są – powiedziałam, nadziejąc kawałek kurczaka na widelec. – Niektórzy udają, że są, a niektórzy naprawdę są. Ja nie jestem.

– Wiemy, że nie jesteś, skarbie – zapewniła ją Roberta.

– Jestem ghulem – powiedziałam.

Tego typu obwieszczenie potrafi zakończyć rozmowę, ale miałam pewność, że uda mi się na nowo rozruszać to przyjęcie. Neil żuł kurczaka, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Roberta spojrzała na Pete'a, jakby błagała go o koło ratunkowe. Pete wyciągnął dłoń po nieistniejący kieliszek wina.

– Aha – odezwała się w końcu Roberta. – To bardzo interesujące.

Pete wciągnął powietrze, pogodził się z brakiem wina i postanowił rzucić się na pole bitwy.

– A jest jakaś różnica?

Pierwszy raz popatrzył mi prosto w oczy, wytrzymał moje spojrzenie i uśmiechnął się. Odwzajemniłam uśmiech i teraz już wiedział, że dobrze się bawi. Nie dokuczał mi. Nie zamierzał mnie poniżyć ani narobić mi wstydu. Mówił sobie w duchu, że traktuje mnie jak każdego gościa. A tak naprawdę flirtował ze mną.

– Czy ghul to przypadkiem nie ogólny termin, a wampir jest, nie wiem, gatunkiem ghula? Wszystkie wampiry są ghulami, ale tylko niektóre ghule są wampirami? Jak kwadraty i prostokąty?

– To powszechne nieporozumienie – odparłam, starając się nadać głosowi rozbawiony ton. Ja też flirtowałam. – Naprawdę nie ma powodu do wstydu. Ale żaden wampir nie jest ghulem. To dwie różne rzeczy. Wampiry piją krew żywych. Ghule żywią się ciałem umarłych. Oraz, choć w mniejszym stopniu, rozczarowaniem.

– Czy to odpowiedni temat do rozmowy przy kolacji? – zapytała Roberta.

– A czy nie wszyscy żywimy się ciałem umarłych? – powiedział Pete, unosząc widelec z kawałkiem kurczaka.

Po drugiej stronie stołu Neil kroił nożem swoją enchiladę.

Spojrzałam Pete’owi w oczy, spokojnie i stanowczo, po czym pokazałam mu swój najlepszy szeroki uśmiech.

– To prawda, ale – dodałam – ghul woli surowe mięso człowieka.

– Naprawdę nie powinniśmy rozmawiać o takich rzeczach – odparła Roberta. – Choć muszę przyznać, że masz bujną wyobraźnię.

Przygotowali mi pokój gościnny.

– Nie chcemy, żebyście spali w jednej sypialni – powiedziała Roberta. – Rozumiesz, prawda, Neil?

Neil wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Tak.

Pete gapił się na syna z nieskrywanym zawodem w oczach. Urocza, seksowna, nietypowa dziewczyna zostawała u niego w domu na noc. Idealna okazja, by wreszcie wyrwać się z otępienia. Na pewno warto było o to zawalczyć, ale Neil patrzył tylko na swoje paznokcie i dłubał czubkiem buta w dywanie.

Pozwolili nam grać do późna w gry wideo, a o jedenastej kazali iść do łóżek. Pokój gościnny miał oddzielną łazienkę, więc zamknęłam się w nim, ale nie przebrałam się w piżamę. Wyłączyłam światło, a o północy w całym domu zapanowała ciemność. Czekałam, nie mając pewności, co zrobi Pete, chociaż wiedziałam swoje na temat pożądania i tęsknoty i wierzyłam, że jednak obstawiłam dobre liczby. Kilka minut po pierwszej w nocy zobaczyłam światło w kuchni. Usłyszałam szuranie stóp, cichy szmer telewizora i charakterystyczny dźwięk wyciąganego korka. A więc jednak postanowił napić się wina. Odczekałam, aż wypije jeden kieliszek, po czym wyszłam z pokoju, wciąż w ubraniu i z makijażem na twarzy – świeża, wypoczęta i uczesana. Pete siedział przy stole kuchennym, ubrany w biały T-shirt i bawełniane szorty. Oglądał w telewizji czarno-biały film, a przed nim na stole stała butelka wina i kieliszek. Ucieszył się na mój widok. Może nawet poczuł ulgę. Pete nie znał siebie zbyt dobrze.

– Gdzie trzymacie kieliszki? – zapytałam.

Pete się zawahał. Gdzieś w głębi jego gadziego mózgu zapaliło się tysiąc lampek, pokazało się tysiąc możliwości, choć tak naprawdę istniały tylko dwie i między nimi dokonał wyboru, nie zastanawiając się ani przez chwilę. Spojrzał na moje usta, czerwone jak krew i lśniące od świeżo nałożonej szminki, po czym skinął na jedną z kuchennych szafek. Wyjęłam z niej kieliszek, usiadłam po drugiej stronie stołu i nalałam sobie wina. Obróciłam kieliszkiem, upiłam łyk i spojrzałam na etykietę.

– Czyli co? – spytał. – Jesteś łobuziarą, tak?

– Lubię wino – odparłam. – Wolę czerwone ze Starego Świata, zwłaszcza z Piemontu, ale to jest całkiem niezłe jak na kalifornijskie cabernet.

Wzięłam kolejny łyk i spojrzałam mu prosto w oczy, ciesząc się jego zdziwieniem i satysfakcją, z przyjemnością wsłuchując się w odległy szum kół zębatych obracających się w jego głowie.

– Co masz na myśli, mówiąc „łobuziara”?

– Daj spokój – powiedział. – Co widzisz w Neilu? Jesteś piękną, młodą dziewczyną, a on... No wiesz.

Pochyliłam się do przodu, tak by dekolt odsłonił mi kilka centymetrów ciała i aby Pete mógł sobie popatrzeć.

– Dokończ zdanie.

– Wszystko z nim w porządku – powiedział, gapiąc się na moją twarz, bo nie śmiał zajrzeć mi pod bluzkę. – Po prostu jest samotnikiem. Nie ma wielu przyjaciół. Na pewno to wiesz. Przed tobą wydawało się, że nie ma żadnych znajomych i że zupełnie mu to nie przeszkadza. O ile mi wiadomo, inne dzieciaki mu nie dokuczają. Ledwie go zauważają. Kiedy chodzimy na wywiadówki, nauczyciele potrzebują kilku chwil na przejrzenie jego teczek, jakby musieli sobie przypomnieć, kim jest. Chryste, ja sam czasem muszę sobie przypomnieć, że mam syna.

– I mówisz to jego jedynej przyjaciółce?

– Zwariowałem – przyznał. – Może myślę, że go znasz naprawdę dobrze, w sposób, jaki dla mnie i Roberty jest nieosiągalny. Może mogłabyś mi coś powiedzieć.

Dopił resztę wina i nalał sobie kolejny kieliszek. Przez chwilę się zastanawiał, po czym napełnił też

mój.

– Wybacz. Pewnie wprawiam cię w zakłopotanie.

– Nie – odparłam. – Doceniam to, że rozmawiasz ze mną jak z rówieśniczką. Nie patrzysz na mnie z góry. Zakładasz, że dużo zrozumiem. I słusznie. Ja dużo rozumiem.

– Zdajesz się bardzo dojrzała. Jak na ghula.

– Dobry ghul nie jest zły – powiedziałam.

– Ludzkie mięso – rzucił Pete.

Uśmiechnęłam się.

– I rozczarowanie.

– Pycha – powiedział.

– Zdziwiłbyś się.

Wytrzymałam jego spojrzenie, aż uciekł wzrokiem, i powiedziałam:

– To co, myślisz, że możemy się przyjaźnić? Spędzać razem czas?

– Daj spokój.

Odchylił się od stołu, zwiększając dzielącą nas przestrzeń. Nie dlatego, że chciał, ale dlatego że uważał, że powinien to zrobić. Podobała mu się wizja bycia moim przyjacielem i spędzania ze mną czasu. Nienawidził siebie za to, że mu się podobała, ale mimo to mu się podobała.

– Nie – odparłam. – Ty daj spokój.

– Niby jak by to miało działać? Chodzisz do gimnazjum i myślisz, że możesz się ze mną spotykać? Ja mam czterdzieści pięć lat – powiedział, ponad wszystko pragnąc usłyszeć, że to bez znaczenia.

– Czterdzieści pięć lat – powtórzyłam. – To dopiero trudny wiek.

* * *

Przez prawie tydzień się nie odzywałam, ale we wtorek zadzwoniłam na jego komórkę, od razu po lekcjach i dobre dwie godziny przed powrotem Roberty z pracy.

– Napisałeś dzisiaj jakiś dobry program komputerowy?

– Skąd masz ten numer? – spytał.

– Znalazłam w telefonie Neila – wyjaśniłam. – Myszkowałam. Jestem ciekawska.

– No tak – odparł. – Właśnie miałem jechać załatwić parę spraw. Masz szczęście, że mnie złapałaś.

– To prawda. Mam szczęście.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Co masz na myśli?

Po krótkiej pauzie usłyszałam:

– Dzwonisz z konkretnego powodu?

– A czy muszę mieć powód? Myślałam, że będziemy przyjaciółmi.

– Mason, dziwnie się z tym czuję.

– No, nie dziwię się.

Kolejna pauza.

– To nie najlepszy pomysł.

– Zrobisz mi wykład o różnicy wieku? Naprawdę jesteś aż tak płytki? Nie wydaje mi się. Lubię twoje towarzystwo, ty lubisz moje i nie ma powodu, żebyśmy się nie przyjaźnili, jeśli nie liczyć tego, że na jakimś abstrakcyjnym poziomie uważasz to za dziwne. Może to zresztą prawda. Może, ogólnie rzecz biorąc, jest to dziwne, by człowiek tak stary, słaby i zniszczony jak ty przyjaźnił się

z błyskotliwą, młodą fontanną potencjału, jak ja. Ale czy według ciebie to musi być dziwne? Czy uważasz tak w tym konkretnym wypadku?

– Wow – powiedział. – Ćwiczyłaś to w domu?

– Wyszło mi spontanicznie. Ale brzmiało super, co? Też tak myślę! Byłam w transie.

Pete się zaśmiał.

– Masz dar przekonywania.

– Dobrze. Jestem w domu, bez matki. Może wpadniesz? Zaraz będę oglądała stary film. *Showgirls*. Znasz? O striptizerkach. Podobno rewelacyjnie zły. – Dałam mu kilka sekund na zastanowienie. – Przyłączysz się do mnie?

Dał sam sobie kilka sekund.

– Nie mogę. Mam trochę... spraw.

Czy zaproszenie do wspólnego obejrzenia półpornograficznego filmu w pustym domu można zinterpretować inaczej niż jako podryw? Pete wyteżał umysł w poszukiwaniu innego wytłumaczenia, gdyż to najoczywistsze wydawało mu się tak nieprawdopodobne – a przy okazji tak zgodne z jego pragnieniami – że nie mógł go zaakceptować. Mason najwyraźniej nie rozumiała, co robi. Mason była naiwna. Mason była tak kompletnie obojętna wobec Pete'a, że w jej oczach był wręcz bezpłciowy, co oznaczało, że we wspólnym oglądaniu filmu dla dorosłych nie mogło być najmniejszego erotycznego podtekstu. Któraś z tych ewentualności musiała być prawdziwa, bo to, że seksowna, młoda Mason na niego leci, oznaczało, że musiał opracować jakąś odpowiedź. Oczywiście nie mógł wykonać żadnego ruchu. Jakikolwiek rodzaj relacji seksualnej z Mason był nie do pomyślenia, w dodatku stanowiłby przestępstwo. Gdyby zostali przyłapani, oznaczałoby to skandal, więzienie, zniszczenie jego rodziny. Poza tym relacja taka byłaby cudzołóstwem, a mimo chronicznego zmęczenia ciężącego obecnie nad jego małżeństwem Pete nigdy nie zdradził Roberty

i teraz też wizja skoku w bok mu nie odpowiadała.

A jednak dręczyły go pytania. Czy zdrada faktycznie byłaby czymś aż tak złym? Co to właściwie znaczy zdradzić kogoś? To tylko dotykające się części ciała. Jak uścisk dłoni. Jakie to ma znaczenie w ostatecznym rozrachunku? A gdyby się okazało, że się w niej zakochał? Czyż wtedy nie powinien z nią być? Uwiedzenie nieletniej jako przestępstwo określone prawem miało na ogół sens, ale Mason nie była typową czternastolatką. Była kobietą i w pożądaniu jej nie sposób widzieć nic zdrożnego, skoro pożył kobiecie, nie dziecku.

A pożył jej, owszem.

Wszystkie te myśli odbijały się w umyśle Pete'a niczym piłeczka pingpongowa, kiedy załatwiał tego dnia swoje sprawy, przez całą kolację i później, przed telewizorem. W środku serialu, który lubili oglądać z Robertą – wyłącznie dlatego, że Roberta podkochiwała się w jednym z aktorów – Pete wstał i poszedł do pokoju Neila, zapukał raz i wszedł, kiedy usłyszał aprobujące stęknienie syna.

Neil siedział przy biurku, myszką i klawiaturą komputera sterując rycerzem na koniu przemierzającym pagórkowaty teren.

– Masz chwilę? – spytał Pete.

– Okej – odparł Neil, nie odrywając wzroku od monitora. – Za jakieś dziesięć minut jestem umówiony z osobami z klanu.

– Jasne – odparł Pete.

Usiadł na łóżku syna, które było posłane z niemal wojskową precyzją. Nic nie walało się po podłodze, książki stały na półkach w porządku alfabetycznym. Na ścianach nie wisiał ani jeden plakat. Neilowi nigdy nie przyszło do głowy, że mógłby nadać swojej przestrzeni osobisty charakter.

– Kolegujesz się ciągle z Mason? – spytał Pete.

– No, chyba tak – powiedział Neil, kontynuując jazdę konno. – Ale nie wiem.

– A nie podoba ci się? To znaczy, nie chciałbyś, żeby była twoją dziewczyną?

– Eee.

Pete potrzebował chwili na zastanowienie. Nie usłyszał w tej odpowiedzi ani cienia zażenowania. Pete miał przeczucie, iż jego syn nigdy nawet nie pomyślał o Mason jako o obiekcie pożądania, również teraz, gdy stała się tematem rozmowy.

– Ale ona nadal chce się z tobą kolegować?

– Nie do końca.

– Od kiedy?

– Pewnie od tamtego piątku, kiedy tu spała.

– I jak ci z tym?

Neil wzruszył ramionami.

– Nijak.

Pete wstał.

– Nic nie czujesz? Neil, nie masz żadnych znajomych. Nie obchodzi cię, że nikt się z tobą nie przyjaźni? Nie obchodzi cię to, że piękna dziewczyna chce z tobą spędzać czas i że się za tobą ugania? Nie widzisz tego w ogóle? Pozwolisz, żeby tak po prostu sobie odeszła?

Neil wlepił w ojca wzrok pełen zaskoczenia graniczącego z niejasną trwogą.

– Jest fajna, ale wiesz.

– Dobra – odparł Pete.

Podszedł do drzwi trochę zmartwiony, że podniósł głos i Roberta go usłyszała. Położył dłoń na klamce, odwrócił się do Neila i powiedział jeszcze raz:

– Dobra.

I na tym się skończyło. Neil wrócił do klawiatury, by pokierować swoim koniem w stronę innej postaci na koniu. Pete starał się nie myśleć o niemożliwej, niedorzecznej, nierealnej ewentualności, że Mason wykorzystала jego syna, by zbliżyć się do niego. Po co miałyby to robić? Cóż Pete mógł znaczyć dla czternastolatki? Może Mason naprawdę lubiła Neila. Może widziała w nim coś, czego nie dostrzegał jego ojciec. Myśl ta wydała się Pete'owi jednocześnie pocieszająca i zawstydzająca. Jednak nie wierzył w to. Nawet jeśli takie było logiczne wyjaśnienie, zalatywało mu fałszem.

Pete wrócił do pokoju telewizyjnego i usiadł obok Roberty, która nie zauważyła nawet jego wyjścia, wątpliwe więc, by usłyszała jego podniesiony głos. Oglądała swój serial, a Pete zastanawiał się, co by było, gdyby zdecydował się obejrzeć *Showgirls* z Mason.

Nie tracąc czasu, wysłałam mu SMS-a tuż przed południem następnego dnia.

Ja: Co porabiasz? On: Cześć, Mason. Pracuję. Nie powinnaś się teraz uczyć? Ja: Zabierz mnie na lunch. On: To by oznaczało wagary. Ja: To nie twój problem. 12.15 na stacji benzynowej niedaleko szkoły. On: No nie wiem. Ja: Owszem, wiesz. Będę czekać. Przyjechał. Oczywiście, że przyjechał. Jak mógł nie przyjechać? Ułatwiłam mu powiedzenie tak, odmowa byłaby zbyt trudna. Zabrał mnie swoją hondą i miło się uśmiechnął. Nie dotykał mnie i nie gapił się, mimo iż miałam na sobie bardzo obcisłą koszulkę i krótką spódniczkę, w której wyglądałam kobieco, a nie jak dziecko. Włosy spięłam w kucyk, co mu się bardzo podobało. Lubił widzieć moją białą szyję. Lubił mój profil. Lubił mnie całą.

Pete postanowił robić, co tylko w jego mocy, by sprawiać wrażenie, jakby pójście ze mną na lunch i pomaganie mi w wagarach było najnormalniejszą rzeczą na świecie. Miał spodnie khaki i koszulę na guziki i czuł się przystojny i kompetentny, muskularny i w dobrej formie. Wciąż próbował zapomnieć o tym, co robi, i jak bardzo jest to szalone, dziwne i niebezpieczne. Chciał się cieszyć dreszczem przebywania w moim towarzystwie, bycia tak blisko mojej młodości, witalności, świeżości i niemal doskonałego braku znużenia życiem. Odpychał od siebie myśli o tym, co to wszystko znaczy i do czego może doprowadzić, i o tym, jak nedorzecznie autodestrukcyjny akt właśnie popełnia, jak wielkie oznacza on ryzyko dla jego małżeństwa i całego dorobku życia. Pragnął zachłysnąć się tym doświadczeniem, bo nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz zdarzyła mu się chwila tak słodka i tak bardzo warta tego natężenia uwagi.

– Gdzie chcesz jeść? – spytał.

– Tam, gdzie dostanę piwo – powiedziałam.

Zamilkł, ale po chwili postanowił, że nie będzie wstrząśnięty ani zaskoczony, ani zmartwiony. Postanowił iść z prądem. W pewnym sensie oddał mi stery. Zdawał sobie z tego sprawę i chyba mu się to podobało. Pete nie miał zwyczaju pić piwa wczesnym popołudniem. Pozwalał sobie na to od czasu do czasu na jakiejś weekendowej imprezie, ale nie w ciągu dnia, kiedy powinien pracować. Coś takiego nie zdarzyło mu się absolutnie nigdy. Gdy jest się samozatrudnionym pozbawionym nadzoru, zdrowo jest uważać picie w środku dnia za sport wyłącznie dla pijaków i życiowych nieudaczników, ludzi żałośnie bezproduktywnych. Pete wiedział to, a jednak teraz, gdy zaproponowałam napić się piwa, mimowolnie uznał mój pomysł za intrygujący. Wręcz kuszący. Będący przejściem do całkiem innego życia. Ze zdziwieniem stwierdził, że łatwo przyszło mu zrobić decydujący krok.

– O której musisz być z powrotem? – zapytał.

Wcisnęłam plecy w oparcie fotela.

– O żadnej. Nigdzie nie muszę być.

Zabrał mnie do koreańskiej knajpy przy Walzem. Zamówiliśmy dania z grilla i piliśmy japońskie piwo, chwytając pałeczkami pikantne ogórki, ziemniaki i małe ryby. Pete siedział jak na szpilkach, gdy zamawiałam pierwszą kolejkę piw, ale kelner tylko przytaknął, nie tyle ukrywając swoją reakcję, ile nie przejawiając żadnej. Może przywykł do widoku rodziców kupujących alkohol swoim nieletnim dzieciom. Może nie wątpił, że jestem pełnoletnia. Może po prostu wywierałam na ludziach silne wrażenie. Pete pomyślał, że sam zrobił ze mną i dla mnie rzeczy, których nigdy by się po sobie nie spodziewał. Uznał po prostu, że kelner nie różnił się od niego.

Okazało się, że piwo było tym, czego potrzebował. Nie sprawiło, że sytuacja stała się mniej dziwna, ale pomogło mu się w niej odnaleźć i zebrać siły na powiedzenie tego, co wymagało powiedzenia.

– Co się właściwie dzieje między tobą a Neilem?

Butelka piwa kołysała się między moim palcem wskazującym a kciukiem niczym wahadło.

– W sensie?

– Daj spokój, Mason – powiedział, delektując się brzmieniem mojego imienia w swoich ustach. – Wiesz, o co mi chodzi.

– Nic się nie dzieje między mną a twoim synem – odparłam. – Jest moim przyjacielem. Lubię go. Nie

chodzimy ze sobą. Nie uprawiamy seksu, jeśli to masz na myśli. Zresztą mam chłopaka.

– Naprawdę?

Rozczarowanie, a po nim plucie sobie w brodę za to rozczarowanie. A cóż to go powinno obchodzić, czy mam chłopaka, czy nie? Miałam chłopaka i nie interesowałam się Pete’em w taki sposób, co zresztą przypuszczał i wiedział od samego początku. Poczul gwałtowny spadek nastroju i jednocześnie ogromną ulgę. Wydawało mu się, że świat wreszcie powraca do stanu równowagi, a tymczasem on zsuwa się po jego powierzchni w otchłań.

– Nie wierzysz, że mogłabym mieć chłopaka? Według ciebie ghule nie zasługują na miłość?

– Wcale tak nie uważam. Tak tylko mówię. Daję ci znać, że usłyszałem.

– Jest starszy ode mnie – powiedziałam. – Lubię starszych.

To przykuło jego uwagę.

– O ile starszy?

– Jest w dziesiątej klasie.

Zobaczyłam na jego twarzy kalejdoskop emocji jak na zdjęciach poklatkowych huraganu. Nigdy wcześniej Pete nie czuł swoich czterdziestu pięciu lat w tak gorzkim stężeniu. Zamówił dla nas następną kolejkę piwa.

– Ma na imię Ryan – ciągnęłam. – I jest boski. Boże, uwielbiam go. Gra w futbol, ale nie jest typem dresiarza. Jest naprawdę fajny. Polubiłbyś go. Nie mogę się doczekać, kiedy się poznacie.

– Nie wiem, czy to możliwe – powiedział.

– No i jest świetny w łóżku. Cholera, wiem, że nie powinnam mówić takich rzeczy. Wiem. Przepraszam. Cindy zawsze powtarza, że muszę się cenzurować, i naprawdę się staram.

Więc już wiedział. Wywnioskował z tego, że jednak go nie podrywam. Że jest żalonym, karmiącym się urojeniami klaunem w średnim wieku. Wydawało się to oczywiste. Jak zatem wytłumaczyć ewidentny flirt czy zaproszenie na wspólne oglądanie *Showgirls*? Czy to możliwe, by to wszystko źle zinterpretował? Jak mógł mylnie odczytać aż tyle sygnałów? Chyba jednak się nie mylił, ale w takim razie jak miał rozumieć tę nową informację?

A byłoby mu tak łatwo uciec. Mógł to zrobić już wtedy i wystarczyłoby, żeby powiedział szczerze, co myśli. Mógł zapytać mnie, czy wiem, co z nim robię. Mógł zapytać, dlaczego z nim flirtuję, a po chwili oznajmiam, że mam chłopaka. Mógł powiedzieć, że cała sytuacja jest dla niego niezrozumiała i dziwna, choć akurat z jej dziwnością mógłby sobie poradzić, może nawet by ją polubił. Mógł powiedzieć, jak mu ze mną dobrze – jaką przyjemność sprawia mu bycie ze mną, rozmowa ze mną, picie ze mną trzech, czterech czy pięciu piw i niemyślenie o pracy, którą obiecał skończyć tego dnia, a to dlatego, że moje towarzystwo było od tego wszystkiego dużo lepsze – ale że nie radzi sobie z niejasnością sytuacji. Mógł powiedzieć, że nie wie, czy sprawia to mój młody wiek, różnica pokoleń, czy po prostu mój osobliwy charakter albo fakt, że powinnam brać leki, lecz że ewidentnie nie rozumiem, iż wysyłam sprzeczne komunikaty i powinnam mu je wytłumaczyć. To by wystarczyło. Pajęczyna zostałaby przerwana, wnyki zniszczone. Byłoby to takie proste, ale to, co proste, nie zawsze okazuje się łatwe i Pete'owi z trudem przyszłoby wypowiedzenie słów, które pozbawiłyby go złudzenia, iż piękna, niedostępna dziewczyna go pożąda. Zaproponował więc coś innego.

– Wiesz co? Powinnaś czuć się przy mnie swobodnie i być sobą.

– Tak zrobię – skłamałam, biorąc do ust trochę kimchi.

Były kolejne SMS-y. Pisałam do niego każdego dnia. Potem dwa lub trzy, a potem cztery lub pięć razy dziennie. Czasem czekałam godzinę albo dwie, zanim odpowiedziałam na jego SMS-a. On zawsze odpisywał niezwłocznie. Były też kolejne lunchy i drinki. Wymykaliśmy się – on z pracy, ja ze szkoły – i spędzaliśmy długie godziny przy stoliku w różnych mało znanych restauracjach azjatyckich z brudnymi podłogami z linoleum, odklejającymi się tapetami i przepysznym jedzeniem – knajpach w zapomnianych częściach miasta, gdzie nikt nie mógłby nas zobaczyć. Upijaliśmy się w przyjemny, ale nigdy przesadny sposób. Gdy mówił, kładłam mu dłoń na ramieniu. Mocno go przytulałam na powitanie i pożegnanie. Przyciskałam się do jego ciała i ostentacyjnie wdychałam jego zapach, by myślał, że te uściski podtrzymują mnie przy życiu. Pete był przekonany, że te chwile należą do najszczęśliwszych w jego życiu. Tak prawdziwe, tak pełne nadziei i słodyczy.

Czasem myślał, że gdyby zastanowił się nad Mason, naprawdę głęboko się zastanowił nad tym, kim ona jest, co mówi i co robi, wówczas wiedziałby, że tak naprawdę jej nie pragnie. Nawet w idealnym świecie fantazji ich związek nigdy by nie przetrwał i to nie z powodu różnicy wieku, ale dlatego, że wszystko to, co było w Mason tak obłudnie pociągające, nie stanowiło podstawy prawdziwej miłości. Wiedział o tym, lecz nie miało to dla niego większego znaczenia.

Roberta niczego nie zauważyła. To było najdziwniejsze. Ciągle czekał, aż coś mu powie, kiedy odkryje maile albo SMS-y, wyczuje piwo w jego oddechu lub mój zapach na jego ubraniu, ale nic takiego się nie stało. Siadał z nią przy stole, wciąż lekko podchmielony po lunchu ze swoją sekretną czternastoletnią przyjaciółką, i czekał na akt oskarżenia. Przygotował sobie wyjaśnienia, wymówki i scenariusze, które miały mu pomóc w nadaniu sensu relacji ze mną. Ale Roberta o nic nie pytała, niczego nie widziała, co tylko go ośmielało.

No i praca. To było najdziwniejsze. Pete czuł się jak bohater jakiejś moralistycznej powieści z lat pięćdziesiątych, w której jego nieśmiałe próby ucieczki przed życiem naznaczonym cichą desperacją doprowadzą niechybnie do głośnej destrukcji. Jego wydajność gwałtownie spadła. Był tego pewien, lecz w firmie nikt niczego nie zauważył. Przełożeni nadal entuzjastycznie oceniali jego pracę. Gdy zdarzało mu się przekroczyć termin o godzinę czy dwie, nikt nie miał mu tego za złe, dzięki czemu zdał sobie sprawę, że całe lata doprowadzał się do obłędu, dotrzymując terminów, którymi inni się nie przejmowali. Pete staczał się na dno, ale nie zwracano na niego uwagi. Nikomu nie brakowało jego pracy, jego uwagi ani jego trzeźwości.

Za dnia pisał programy, a wieczorami wytrzymywał milczące kolacje z Robertą i Neilem, po których

chłopak zniknął w swoim pokoju, a on i Roberta bez żadnego zainteresowania oglądali seriale. Potem szli do sypialni, trochę czytali, od czasu do czasu uprawiali przyjemny, choć niczym już niezaskakujący seks. I to było wszystko – całe jego życie, cała egzystencja beze mnie. I ja na drugiej szali. Gdyby tylko mógł, rzuciłby dla mnie wszystko.

Ale oczywiście nie mógł, więc całymi godzinami leżał w łóżku, nie śpiąc, myśląc o tym, że musi tylko poczekać, aż skończę osiemnaście lat. Trzy lata i siedem miesięcy. Tylko tyle, by Neil mógł odejść i być Neilem na własny rachunek. Roberta i tak nie potrzebowała Pete'a w domu. Byli dla siebie już tylko wygodnym przyzwyczajeniem. Za trzy lata i siedem miesięcy Pete ucieknie z Mason. Obiecywał sobie, że to zrobi, i odpychał myśli o wszystkich uniemożliwiających to powodach, bo wiedział, że jeśli ja nie nadam jego życiu znaczenia, pozostała po mnie pustka okaże się nieznośna. W kwestii mojej osoby tego jednego był absolutnie pewny.

Wysyłał więc kolejne wiadomości, coraz dłuższe, prosząc, bym spotykała się z nim częściej. Odpierałam tę zuchwałość, opowiadając mu o Rynie, mówiąc, jak bardzo go kocham, jak mocno za nim tęsknię, ilekroć nie ma go przy mnie, jak niesamowicie jest nam w łóżku, jak zrobiłam mu loda za zdobycie przyłożenia w meczu ligowym. Wszystko to dobijało Pete'a, zapewniam was, a mimo to nie prosił, bym przestała. Wciąż nie pytał, czego od niego chcę, dlaczego się z nim spotykam. Liczył, że pewnego dnia będziemy razem, ale to dotyczyło niemożliwie odległej przyszłości. Na razie zadowalał się tym, że nic się nie zmieniało. Gdybym się do niego przykleiła, zaczęła go całować, co doprowadziłoby do seksu, może byłoby wspaniale i ekscytująco, choć zaraz potem przyszłoby poczucie winy, dramat i więzienie, a na to nie miał ochoty. Nie chciał zdradzać żony i nie chciał być typem faceta, który sypia z czternastolatką. Pragnął, by było dokładnie tak, jak jest, i wysłuchiwanie opowieści o Rynie stanowiło cenę, którą godził się za to zapłacić. Może myślał też, że dopóki będę zakochana w Rynie, dopóki będę uprawiała z nim seks i relacjonowała mu to, on pozostanie bezpieczny w swoim obłądnym, szczęśliwym świecie.

Któregoś dnia, po trzech piwach i nad talerzem z resztkami pad thai, rozpoczęłam następną fazę.

– Dlaczego przestaliście zapraszać mnie do siebie na kolację? – spytałam.

Pete spojrział na mnie, potem gdzieś w dal, potem na swój talerz. I potem znowu na mnie. Miałam na sobie czarną lekką sukienkę na ramiączkach. Było to nie tyle ubranie, ile sposób na przykrycie nagości. Pete starał się nie zdekoncentrować i skupić na zadaniu. Przywykł już do traktowania wszystkiego, co mówiłam, jako sprawdzianu i teraz zastanawiał się nad najlepszą odpowiedzią.

– Myślałem, że nie przyjaźnisz się już z Neilem.

– Ale z tobą owszem – odparłam.

– I chcesz przyjść na kolację do mnie do domu? Na kolację z moją rodziną?

– Wstydzisz się mnie?

Pete zdał sobie nagle sprawę, że jak dotąd ani razu nie rozmawiali o tym, że spotykają się w tajemnicy przed ludźmi. Czyżby Mason nie postrzegała tego w taki sposób? Czyżby nie miała pojęcia, że dorosłym nie wypada się tak zachowywać? Jego serce biło szybciej z powodu udziału w czymś niedozwolonym i niebezpiecznym, a ona uważała lunche z nim za zwyczajne spotkania ze znajomym? Nie wiedział. Nie wiedział, do cholery, i nie mógł znieść tej niewiedzy.

– Wątpię, czy Roberta będzie się czuła swobodnie w towarzystwie ghula – powiedział.

Próbował nadać sprawie lekkość, lecz ja postanowiłam zachować powagę. Odstawiłam z hukiem szklankę piwa na stół.

– Dlaczego obracasz moje życie w żart?

– Dlaczego chcesz, żeby twoje życie było żartem? Jesteś bystrą, piękną dziewczyną, więc czemu udajesz, że jesteś potworem?

– Od początku byłam z tobą szczerą – powiedziałam. – Jestem ghulem i nigdy nie udawałam, że jest inaczej. Stałam się nim w wyniku własnych działań, a teraz nie mam wyboru. Albo jesteś moim przyjacielem i mnie zaakceptujesz, albo nie jesteś i mnie odrzucisz. Inaczej nie da się na to patrzeć.

– Mason, nie chciałem cię zdenerwować.

– Za późno – odparłam, dopijając piwo. – Zakładam, że moi przyjaciele są ludźmi, którzy gotowi są zrobić dla mnie wszystko.

– Zrobię dla ciebie wszystko – powiedział.

Parsknęłam.

– Naprawdę – dodał.

Teraz już błagał. Bardzo chciał, żebym mu uwierzyła.

– Zamordowałbyś?

– Tak, gdyby to było konieczne.

– A gdyby nie było? – spytałam.

– To niepoważne.

– Masz rację. Jestem niepoważna – przyznałam. – Odwieź mnie do domu.

Omówiliśmy to potem w licznych SMS-ach i mailach. Przeprosiłam go. Powiedziałam, że byłam

zmęczona, humorzasta, że miałam okres i że nie zrobił nic złego, ale jednocześnie ten moment był przełomowy. Zwolniłam tempo. Nie na wszystkie jego wiadomości odpisywałam albo robiłam to po długim milczeniu. Umawiałam się na lunchy, po czym je odwoływałam. Zawiesiłam go w próżni.

Dla Pete'a nastaly trudne dni. Związek ze mną nie był już taki jak kiedyś. Nie znajdował pocieszenia w ramionach Roberty, która się zestarzała, stała się oziębła i nieobecna. Neil był odizolowany od świata i załamany – kompletnie nieudane dziecko i żywy pomnik rodzicielskiej porażki. Wszystkie nieszczęścia w życiu Pete'a stanęły mu przed oczami, o tyle teraz wyraźniejsze, że na chwilę udało mu się je odsunąć.

Im bardziej się wycofywałam, tym intensywniej o mnie myślał, aż doszedł do takiego punktu, w którym zdał sobie sprawę, że myśli o mnie przez cały czas, o ile tylko jakaś czynność nie wymaga jego całkowitej uwagi. Byłam jego trybem domyślnym, jego gniewem, żalem, zagubieniem, wściekłością na siebie samego za niemoc, wahanie i niemożność odejścia od czegoś w tak oczywisty sposób destrukcyjnego. Odczuwał na przemian mętlik, nadzieję i rozpacz, niezdolny do zrozumienia niczego, co wcześniej mówiłam i robiłam. Życie nie wyposażyło go w narzędzia niezbędne do rozwikłania zagadki Mason. Jego wewnętrzny kompas zachowywał się, jakby był zainstalowany na pokładzie samolotu lecącego przez trójkąt bermudzki – igła szalała, widząc północ wszędzie i nigdzie.

To w tym okresie Pete, zaszępiiony i zdruzgotany, wpadł w sklepie spożywczym na Cindy. W przeszłości pewnie próbowałby uniknąć spotkania, ale tym razem był zdesperowany. Potrzebował jakiegokolwiek kontaktu ze mną, chociażby za pośrednictwem mojej matki. Gdy się do niej kierował, stała przy półkach z delikatesami. Uciekła wzrokiem w nadziei, że jej nie zobaczy. W normalnych okolicznościach Pete udałby, że nie zauważył, jak Cindy udaje, że go nie widzi, i przeszedł dalej, ale nie tym razem, gdy miał szansę dowiedzieć się czegoś o mnie. Przykleił więc na twarz swój najlepszy uśmiech i podszedł do niej.

– Cindy, cześć. To ja, Pete. Ojciec Neila.

Odwzajemniła jego fałszywy uśmiech.

– Oczywiście, że poznaję. Co słyhać? Jak się ma twój syn?

– Dobrze, dobrze. – Pete już miał dosyć gadki-szmatki, czując, że zaczyna zalegać mu w mózgu. – Co u Mason?

Cindy wlepiła w niego wzrok.

– Wiesz, jak jest.

– Nie wiem. Jak się ma?

– Wiesz, jakie są dzieciaki w tym wieku. To prawdziwe wyzwanie. Zwłaszcza w wypadku Mason. Nie jest sobą od śmierci ojca.

– Przepraszam, nic o tym nie wiem. Ojciec Mason... nie żyje?

Cindy przytaknęła, a jej oczy powilgotniały. Pete zapragnął natychmiast uciec. Nie podobało mu się, że doprowadził tę kobietę do łez, lecz czuł też, że jest o krok od dowiedzenia się czegoś istotnego.

– Wtedy to wszystko się zaczęło, jej wygląd i cała reszta. Nie byli sobie specjalnie bliscy, ale w tym dniu przebywałam poza miastem. Powinna była od razu zadzwonić na policję albo do mnie, jednak tego nie zrobiła. Właśnie dlatego taka jest.

– Nie rozumiem. Dlaczego? Co się stało?

Pete nie podniósł głosu, ale czuł, że rośnie w nim napięcie.

– Zbyt długo była sama ze zwłokami i próbowała...

Cindy uciekła wzrokiem.

– Co próbowała?

Cindy pokręciła głową.

– Nie było jej łatwo. Tylko tyle chciałam powiedzieć. Nie mów jej, że opowiedziałam ci o jej ojcu. A gdyby to wyszło na jaw, nie mów, że zdradziłam więcej.

Po tych słowach odeszła.

Pete tłumił chęć pójścia za nią i nakłonienia jej, by powiedziała to, co przed chwilą przemilczała. Wydawało mu się bowiem, że się domyśla. Był pewien, że wie, co próbowałam zrobić ze zwłokami ojca. I co z nimi zrobiłam. Pete sądził, że wie, i miał rację.

Przetrzymawszy go w takim stanie przez blisko miesiąc, w końcu zadzwoniłam.

– Cześć, Pete.

– Cześć, Mason.

Starał się zabrzmieć neutralnie, ukryć zgorzknienie, radość, złość i nadzieję. Było wczesne popołudnie, dzień powszedni i jego słowa zlewały się ze sobą. Pił. W pojedynkę. Każdego dnia czekał na mój telefon, SMS-a albo maila i czasami pił.

– Miło usłyszeć twój głos – powiedziałam. – Bardzo za tobą tęsknię!

Nie chciał odpowiedzieć „ja za tobą też”, a jednak to zrobił.

– Jak żyjesz?

– Dobrze – odparł. – A ty?

– Totalnie zajęta. Ale słuchaj, potrzebuję pomocy. Pomożesz mi? Chciałabym, żebyś mnie gdzieś dzisiaj podwiózł. Wieczorem.

Nadzieja. Owszem, czuł też złość, wahanie, strach i zamęt, lecz ponad wszystko nadzieję. Gotów był mi wybaczyć wszystko – dręczenie go, wprowadzanie w błąd, opowiadanie o seksie z moim szesnastoletnim chłopakiem – jeśli tylko zgodzę się znów być jego przyjaciółką i pozwolę mu wyświadczyć mi przysługę.

– Dokąd?

– Powiem ci, jak się zobaczymy. Zgarniesz mnie sprzed domu o jedenastej? Będę czekała na ulicy.

– Mason, słuchaj, nie wiem, czy mogę. To jakieś szaleństwo.

– Dlaczego?

– Dlatego. Co mam powiedzieć Robercie?

– Że wyświadczasz mi przysługę – odparłam. – Przecież mnie zna.

Właśnie takie sytuacje kompletnie odbierały mu sterowność. Potrzebował kilku chwil na sformułowanie odpowiedzi.

– A twoja matka? – zapytał. – Nie może cię zabrać?

– Moja matka? Błagam – powiedziałam, kończąc wątek, nie udzielając przy tym żadnych informacji.

Nastąpiła długa cisza, a po niej usłyszałam w końcu:

– Przyjadę.

Celem podróży był cmentarz. Żydowski cmentarz, bo Żydzi nie balsamują zwłok. Powiedziałam gdzie i dlaczego i Pete mnie zawiózł. Lekkim tonem próbował nawiązać rozmowę, dowiedzieć się, co zamierzam, ale ja nie byłam w nastroju do rozmowy. Zapytał mnie nawet o Ryana w nadziei, że wyrwie mnie w ten sposób z marazmu, jednak bez skutku.

– Mason, co się dzieje?

– Zgłodniałam.

– No to chodźmy coś zjeść – odparł z ekscytacją w głosie.

Już sobie to wyobrażał: jedzenie, trochę za dużo alkoholu, będę dotykała jego ręki, on będzie się czuł lekki, młody i będzie się tym upajał. Znowu będzie mu się zdawać, że może wszystko, i na chwilę zapomni o tym, jaki jest nieszczęśliwy.

– To nie ten rodzaj głodu. Potrzebuję prawdziwego pożywienia. Dzisiaj był pogrzeb. Powinno być coś świeżego.

– Mason.

– Mówiłam ci – przerwałam mu. – Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałam ci, kim jestem. Wiem, że mnie nie słuchałeś, nie chciałeś mi uwierzyć, ale to prawda. Jestem ghulem i muszę jeść. W przeciwnym razie umrę. Chcesz, żebym umarła?

– Zabiorę cię do domu – powiedział, kładąc dłoń na moim ramieniu.

Pierwszy raz odważył się mnie dotknąć. Zadrżał, kiedy poczuł moją skórę, ciepło mojego ciała, krągłość barku. Kochał mnie. Naprawdę mnie kochał.

– Potrzebujesz snu i wszystko będzie dobrze.

Wyrwałam się z jego uścisku.

– Jesteś moim przyjacielem czy nie?

– Wiesz, że jestem.

– W takim razie chodź ze mną. Pomóż mi, a jeśli będziesz chciał, możesz się do mnie przyłączyć.

– Przyłączyć?

– Weź mnie za rękę. Możesz być tym, kim ja.

Gapił się na mnie z niedowierzaniem.

– Cytujesz Blue Oyster Cult?

– Nawiązuję do Blue Oyster Cult – odparłam. – To nie to samo. Ale proponuję też sposób na to, byśmy byli razem.

– Dlaczego ja? – zapytał. – Dlaczego wybrałaś właśnie mnie?

Wszyscy mamy słabe strony i to była moja – pytanie, na które nie miałam gotowej odpowiedzi, choć powinnam była się go spodziewać. Powinnam była wiedzieć, że prędzej czy później musi paść, ale popełniłam błąd i teraz musiałam improwizować. Nie mogłam się zawahać, pokazać, że zmyślam, więc powiedziałam mu prawdę.

– Zobaczyłam cię przed szkołą, jak odbierałeś Neila i wydałeś mi się dokładnie tym, kogo szukałam. Wiedziałam to od razu. Byłeś jak dojrzały owoc gotowy do zerwania. Więc cię zerwałam. Teraz jesteś mój, jeżeli tylko tego chcesz.

Patrzył mi prosto w oczy, odważnie karmiąc się nadzieją, że mówię prawdę, że faktycznie jestem w stanie go odmienić, że mógł zostawić swoje dotychczasowe życie i znaleźć powód, wręcz konieczność do bycia kimś innym. Nawet jeśli oznaczało to przeistoczenie się w potwora. Czy stanie się czymś strasliwym nie było zbyt wygórowaną ceną za stanie się kimś nowym? Pete zaznał już nieco smaku życia poza granicami społecznych konwencji. Pożądał zakazanego, rozważał status wyrzutka i wszystko to zdawało mu się cudowne i słodkie. I dlatego poszedł za mną na cmentarz.

Patrzyłam mu wyzywająco w oczy.

– Powiedziałaś, że zrobisz dla mnie wszystko. To twoje słowa. Mówiłeś szczerze?

Przytaknął.

– To teraz mi to udowodnij.

Ze wszystkich rzeczy, które zrobił tej nocy, wejście za mną na teren cmentarza było dla niego najtrudniejsze. Wydawało mu się to tak dziwne, tak sprzeczne z wszelkim instynktem, że wszystko inne przyszło mu już z łatwością. Szliśmy przez rozległą przestrzeń z nagrobkami i pomnikami. Powietrze było ciepłe i przyjemne, a półksiężyc oświetlał nam drogę. Gdzieś daleko od nas samotny stróż siedział w swoim pokoiku i oglądał telewizję, nie mając pojęcia o naszej obecności.

Byłam tu już wcześniej, więc wiedziałam, gdzie znaleźć świeży grób z miękką ziemią i łopatą wystającą niczym wykałaczką wbita w talerz przekąsek.

– Kop – powiedziałam mu.

Pete spojrzał na mnie.

– Mam rozkopać grób? Po co?

Uśmiechnęłam się.

– Bo chcesz wiedzieć, co jest na jego dnie. Zawsze chciałeś wiedzieć, mam rację? Czego od ciebie chcesz? O co mi chodzi? Jest tylko jeden sposób, żeby dostać odpowiedź.

Patrzył na mnie, nie wierząc do końca, że stoi na środku cmentarza i naprawdę rozważa coś tak szalonego jak wykopanie z ziemi ludzkich zwłok.

– Mogłabyś mi po prostu powiedzieć.

Pokręciłam życzliwie głową.

– Nie – odparłam. – Tak to nie działa. Jest tylko jeden sposób. Musisz kopać albo nigdy się nie dowiesz.

Właśnie dlatego chwycił za łopatę i wbił ją w luźną ziemię. Dlatego pracował spokojnie, miarowo i niestrudzenie, a ja siedziałam na pobliskim nagrobku, malując paznokcie na czarno.

Kiedy grób był już odkopany, a trumna otwarta, nadeszła jego kolej, by patrzeć. Obserwował mnie, gdy jadłam. Nie musiałam się rozbierać, ale robiłam to dla niego. Chciałam, żeby mógł się poprzyglądać czemuś przyjemnemu, na czym mógł się skupić, kiedy ja zajęłam się czynnością, która jemu początkowo musiała się wydać obrzydliwa, a w której później odnalazł coś całkiem przeciwnego. A gdy się najadłam, wzięłam łopatę i odrąbałam nią czubek czaszki trupa. Wyjęłam z niej piękny kawałek niedawno zmarłego, pachnącego drożdżami mózgu. Stałam przed Pete'em naga, z piersiami ubrudzonymi ziemią i krwią, wyciągając ku niemu krwawą tkankę niczym wierna składająca ofiarę swojemu bogu. Wziął ją ode mnie, wgryzł się w mózg i momentalnie poczuł, że nogi mu miękną.

– Wow – powiedział, opadając na kolana i żując z namaszczaniem. – Niesamowite. Czuję... Wiem, co czuła, co myślała, jak układała sobie świat w głowie. Wiem, jak to było być nią.

Patrzyłam na niego z uśmiechem na ustach.

– Wiem – odparłam. – Tak to jest. Po prostu się wie.

Widziałam moment, w którym zrozumiał, jakie to uczucie być głęboko w czyimś umyśle, znać życie obcego człowieka w najdrobniejszych szczegółach. Patrzyłam na niego i uśmiechałam się. Wytarłam usta grzbietem dłoni. Pete był zabawny i pożyteczny, ale wiedziałam, że wkrótce mi się znudzi.

A wtedy coś mu się przytrafi i przyjdzie moment, kiedy poznam, co sobie myślał przez cały ten czas...

Przełożył Piotr Kaliński

[¹] Gra słów: *masonry* (ang.) – kamieniarstwo (przyp. tłum.).

Jonathan Maberry

Święty John

1.

Święty John kroczył pośród popiołów sypiących się z nieba powoli jak płatki śniegu i znalazł dwadzieścia siedem aniołów ukrywających się za ołtarzem płonącej katedry.

2. Godzinę wcześniej znalazł zdeptaną i zbrukaną różę.

Ze sklepu z artykułami żelaznymi ukradł taczkę i napelnił ją bronią uzbieraną od czasu, kiedy rozpętała się plaga, po czym potoczył ją do katedry. Kiedy pracował, Święty John w myślach śpiewał hymny. To oczywiste, że nie śpiewał ich na głos. Bóg dawno powiedział mu, że wszelkie

pieśni pochwalne ma śpiewać w świątyni swojej głowy. Zostawił taczkę przy chodniku i wspiał się po kamiennych schodach. Drzwi były uchylone, zamek brutalnie wyłamany z drewna siekierą.

Za ciągiem budynków rozległ się huk eksplozji, a Święty John odwrócił się i znieruchomiał na najwyższym stopniu, kiedy z nieba posypały się złote popioły. Uniósł głowę, przymknął oczy i z wysuniętym językiem czekał, aż odnajdzie go płatek popiołu. Gdy to się stało, wsunął język z odrobiną popiołu do ust i przez chwilę się nim rozkoszował. Najsilniej wyczuwalny był nijaki posmak węgla, który musiał się roztopić, zanim Święty John mógł nacieszyć się innymi smakami. Widmowe smaki. Była pośród nich słodycz, na przykład mięsa. I ostry aromat amoniaku. Kwaśna gorycz. Nie wiedział, czym był ten popiół. Na pewno pochodził z czegoś żywego, nie miał co do tego wątpliwości, choć równie dobrze jak drzewo mógł to być pies, gołąb albo listonosz. Chciał umieć rozróżnić, ale wyrafinowane podniebienie to rzecz nabyta, subtelności percepcji kształtuje się poprzez ćwiczenie, obserwację, namysł i wielokrotne powtórzenia. Święty John nie wierzył, że miał dość czasu, by spróbować i poklasyfikować wielość smaków i ich kombinacje podczas tej apokaliptycznej uczty. Pożary nie będą trwać tak długo jak jego apetyt.

Szkoda.

Na lewo od niego rozległa się eksplozja. Przekrzywił głowę i odtworzył huk wybuchu w myślach, po czym wsłuchał się w echo odbijające się od budynków otaczających kamienną bibliotekę. Uśmiechnął się słabo. Znał to doskonale. Wybuch był zwyczajny, bez udziału środków militarnych. Zapewne eksplodował zbiornik paliwa, kiedy doszło do zapłonu nagromadzonych w płonącym samochodzie przegrzanych oparów benzyny. Semteks i plastik C-4 miały własną, unikatową sygnaturę wybuchu, podobnie jak kaliber naboju. Waga ładunków i marka broni. Wybuchy czy wystrzały miały jedyne w swoim rodzaju głos, który szeptał mu ich sekrety.

Jakby na potwierdzenie rozległ się grzechot broni automatycznej, a zaraz potem trzy strzały oddane w niewielkim odstępie czasu jeden po drugim. Wojskowy M-4 i glock dziewiątka. Wyjątkowe na swój sposób, ale pospolite od czasu Upadku.

Upadek...

To pojęcie od pewnego czasu gnieździło się w jego umyśle. Święty John od dawna tego oczekiwał, przygotowywał się na to, wiedział, że to nadejdzie, od dnia, kiedy odrodził się w krwi wypływającej

z tysiąca ran na ciele swego ojca. Właśnie wtedy głos zaczął przemawiać do niego w myślach, uprzedzając go o nadchodzącym Upadku. To stało się wiele lat temu i ta wiedza była dla niego równie stara jak uświęcona. Jednak dla otaczających go ludzi, ogarniętych paniką mas, z których rychło została jedynie garstka rozproszonych to tu, to tam nieszczęśników, Upadek nastąpił bardzo szybko. Był dla nich Wszystkim, a ogarnięci paniką ci, którzy przeżyli, przypuszczalnie nie pamiętali, jak świat wyglądał wcześniej. Święty John był tego pewien. Dostrzegł to w oczach wszystkich, których spotykał.

A jednak do Upadku w sensie społecznym doszło zaledwie kilka miesięcy temu. Kilka tygodni temu, jeżeli liczyć od dnia, kiedy biura Centrum Zwalczenia Chorób Zakaźnych w Atlancie zostały spustoszone przez tłum desperatów rozpaczliwie poszukujących szczepionek na pandemiczną grypę. W internecie ktoś wszczął kampanię, twierdząc, że w CZCZ zgromadzono spore zapasy szczepionek, które sprzedawano tylko najbogatszym. Informacja ta była zapewne wyssana z palca, ale tętno narodu zaczęło bić szybszym rytmem. Atlanta stała się głównym ośrodkiem demonstracji, a tłumy gromadzące się wokół Centrum Zwalczenia Chorób Zakaźnych zmieniły się w ocean rozjuszonych, przerażonych ludzi. Były ich setki tysięcy. Święty John znalazł się pośród nich nie dlatego, że uwierzył w brednie o potajemnie zgromadzonych zapasach szczepionek, lecz atmosfera paniki przyniosła z sobą posmak apokalipsy, który wydał mu się cudowny i zniewalający. Był tam w czwartkowy poranek, kiedy temperatura tłumy osiągnęła punkt wrzenia. Jak stado szarańczy w mgnieniu oka tłum zmienił się ze zrównoważonego w rozszalały, a żołnierze Gwardii Narodowej zostali zmieceni przez nacierający mur żywych ciał. Padły strzały – najpierw z broni gładkolufowej, użyto gumowych pocisków, paralizatorów, a w końcu ostrej amunicji. W powietrzu rozeszła się woń krwi, ale tłum już ruszył i jego zbiorowy umysł był skoncentrowany na niszczeniu drzwi i ścian.

W jednym z ostatnich komunikatów, jaki Święty John usłyszał, zanim wszystkie stacje telewizyjne przestały nadawać, rząd wyrażał obawy, że podczas prób odnalezienia mitycznego składu szczepionek tłum wdarł się do laboratoriów i stref zagrożenia, gdzie przechowywano próbki groźnych wirusów, mimowolnie uwalniając choroby, które skaziły populację. Święty John nie wiedział, ile zbiorników z wirusami zostało splądrowanych, ale podejrzewał, że siedem. Złamano siedem pieczęci. Plagi się rozprzestrzeniały, zamieszki na ulicach nie ustawały ani na chwilę i wtedy właśnie Święty John ujawnił się przed światem, krocząc pośród chorych i umierających, zabójców i ich ofiar ze swymi nożami w dłoniach niczym wędrowiec podążający za śladami Jeźdźców Apokalipsy.

Uśmiechnął się na tę myśl i wyciągnął rękę, by złapać delikatny płatek białego popiołu. Wtedy coś wytłumiło odgłosy i odwróciło uwagę Świętego Johna od płonącego miasta na stopniach, na których stał.

Ulicą biegła kobieta, zataczając się, chwiejąc i potykając pod brzemieniem bólu. Miała na sobie tylko zielony podkoszulek i jeden but – czółenka. Jej uda były umazane krwią. Krzyczała bez końca schrypniętym głosem. Patrzył, jak zataczała się i potykała, nie mogąc skupić myśli i zapanować nad mięśniami, by pozwoliły jej biec. To sprawiło, że była niezdarna i powolna.

– Tam jest! – rozległ się zza rogu męski głos.

Święty John cofnął się o krok, pozwalając, by skryły go cienie łukowatego sklepienia. Chwilę potem na ulicę wypadło dwóch mężczyzn; śmiejąc się i pokrzykując, biegli w ślad za kobietą. Święty John skrzywił się, słysząc niektóre ich słowa. Jeden z mężczyzn był całkiem nagi, a jego na wpół sflaczały członek kołysał się i przy każdym kroku odbijał od jego ud. Drugi, typ uczelnianego kujona, w bokserkach z wizerunkiem SpongeBoba Kanciastoportego i timberlandach, miał na twarzy wyraźne zmiany patologiczne wskazujące na zarażenie ospą szczepu AL3.

– Hej, kici, kici – zawołał Kujonek, śmiejąc się, gdy na dźwięk jego słów kobieta wyraźnie zadrzała, a jej krzyki przeszły w zdławiony szloch.

Odwróciła się w stronę zaparkowanego auta i pobiegła ku niemu. Święty John zastanawiał się, co spodziewała się dzięki temu zyskać. Szyby w aucie były powybijane, opony porżnięto już dawno temu. Kobieta potknęła się i upadła dobre kilkanaście kroków od samochodu, kolanami wyrżnęła w asfalt na tyle mocno, że z jej piersi wyrwał się kolejny krzyk. Wzrok miała dziki i chociaż spojrzała w kierunku Świętego Johna, widać było, że nie dostrzegła go wśród głębokich cieni. Przewróciła się na wyciągnięte do przodu ręce i próbowała poczołgać się w stronę wozu, ale Kujonek dopadł ją i całym ciężarem ciała przygwoździł do ziemi. Członek Nagiego Mężczyzny zaczął sztywnieć z podniecenia, gdy jego kompan kolanami rozchylił nogi kobiety.

Był to bez wątpienia ostatni akt przedstawienia, które rozpoczęli wiele godzin temu. Święty John nie miał co do tego wątpliwości. Nawet gdyby interweniował, nie zdołałby jej ocalić. Ta kobieta była złamana. Jeżeli nie gwałtami i maltretowaniem, to z powodu wszystkiego, co utraciła. Tego wszystkiego, co zostało jej wydarte. Co jej odebrano. Rodzinę, bezpieczeństwo, godność osobistą, może nawet czystość. Teraz to odeszło, tak jak większość innych rzeczy. To, co nie spłonęło, zostało splądrowane podczas zamieszek i walk o żywność, a to, czego nie splądrowano, zgniło, kiedy patogeny rozprzestrzeniły się wśród coraz bardziej zmniejszającej się populacji ludzkiej trzódki. Ta kobieta była już trupem, którego duch pogrążył się w zbyt wielkim szoku, aby opuścić tę powłokę. Jakie to smutne, pomyślał, bo uporczywe trwanie oznaczało doświadczenie – jak dalece pozwalała na to zdolność percepcji – dalszych upokorzeń i okrucieństw, do jakich były w stanie posunąć się te

potwory, aby przekonać samych siebie, że przynajmniej oni wciąż żyją.

Świętemu Johnowi nie spodobało się to. W tym otoczeniu nie było piękna, a cierpienie bez piękna jest odrażające. Prostackie i przasne. Prymitywne.

– Masz ją? – rozległ się tubalny głos i z cienia wyłonił się trzeci mężczyzna.

Masywny niczym żywa reklama sterydów anabolicznych, wyglądał jak dziwoląg, zanim jeszcze nastał czas, kiedy cała ludzkość w większym lub w mniejszym stopniu zmieni się w dziwolągi. On nie biegł. Szedł wolno, kołyszającym, buńczuczным krokiem, grubymi paluchami rozpinając sprzączkę paska i rozporek. Robił to z tak niewzruszonym spokojem, jakby chciał dać wszystkim coś do zrozumienia. Był samcem alfa dla tego małego stada psów.

Olbrzym uśmiechał się, jego rozchylone usta odsłoniły garnitur białych zębów. Podeszedł i stanął nad kobietą, a Święty John odniósł wrażenie, że tamten był tak spokojny, iż nawet nie zamrugał. Uśmiechał się tylko bez końca i nie drgnął, gdy przy sąsiedniej ulicy eksplodowały bomby. Spuścił spodnie i sięgnął dłonią do krocza, aby uzyskać wzwód pomimo ograniczeń wynikających z zażywania sterydów i innych substancji. Święty John znał takich jak on. Jeżeli nie mogli kogoś zgwałcić, katowali go; w wypadku mężczyzn takich jak ten było to swego rodzaju normą, gdyż jego poczynania nie wiązały się wcale z seksem. Dla niego drogą do ekstazy był ból.

Święty John o tym wiedział, pojmował to z wysokości, która dawała mu znacznie wyrazistszą perspektywę.

Olbrzym odepchnął mniejszego Nagiego Mężczyznę na bok i zaczął obmacywać kobietę, co sprawiło, że znów zaczęła krzyczeć. Święty John zszedł niżej. Tylko o jeden stopień, ale to był pierwszy ruch, jaki wykonał, i trzej mężczyźni nie zauważyli go, podobnie jak kobieta.

Święty John powoli pokonał drugi stopień i wtedy klęczący mężczyzna uniósł wzrok i warknął:

– Spierdalaj! Ta dziwka jest nasza!

Och, oto jak kręci się ten świat. Wystarczy jedno słowo lub zdanie. Wypowiedziane w złą godzinę lub niewłaściwie dobrane.

Ta dziwka jest nasza.

Ta dziwka.

Dziwka.

Święty John westchnął. Cóż za niefortunny dobór słów. Niewiele było słów, na które reagował żywiolowo. Nawet twardzi bracia aryjscy w bloku więziennym nie używali w jego obecności tego słowa – nie po pierwszym tygodniu spędzonym w skrzydle, gdzie obowiązywał maksymalny dozór. Jeden z nich wypowiedział to feralne słowo, ale ci, którzy przeżyli, bardzo szybko postarali się, aby ich ostrzeżenie dotarło do wszystkich, począwszy od najdrobniejszych płótek aż po grube ryby. Mimo iż to słowo było wytatuowane na ciele Świętego Johna, a litery wykłute siną barwą na skórze ciągnęły się na jego plecach pomiędzy łopatkami z dużą strzałką prowadzącą w dół kręgosłupa aż do pośladków. Ten tatuaż został wykonany wieki temu przez byłego więźnia, przyjaciela jego ojca. Stało się to, kiedy Święty John był jeszcze dzieckiem o imieniu Johnnie. Do wykonania napisu użyto zapalniczki, długopisu i igły, podczas gdy chłopiec, który nie był jeszcze Świętym Johnem, leżał rozciągnięty jak struna i skrepowany taśmą klejącą. Litery na jego plecach układały się w słowo. Dziwka. Został napiętnowany, podczas gdy jego ojciec i były więzień śmiali się, czkali i spluwali na każdą literę, czekając, aż ich członki odpowiednio zeszywnieją.

Tusz jeszcze nie wysechł, a oparzenia nie przestały śpiewać swojej gorejącej białym żarem pieśni, kiedy ojciec odepchnął tatuażystę na bok, by pokazać, dlaczego chciał umieścić na ciele chłopca ten właśnie napis. Tatuażysta skorzystał jako drugi. A potem inni mężczyźni. Nazywali to nadziewaniem wieprzka na rożen. Przyjaciele jego ojca. Mężczyźni, który podzielali te same upodobania.

Mężczyźni tacy jak ci.

Ta dziwka jest nasza.

Trzej mężczyźni klęczący wśród popiołów wokół na wpół nagiej kobiety wywołali tym słowem wspomnienia.

Dziwka.

Święty John postąpił jeszcze jeden krok naprzód.

Wtedy mężczyzn było dziewięciu, tamtego dnia, kiedy to słowo tuszem wżarło się w jego skórę. Chłopiec, którym był, przeżył i następnego dnia uciekł. Kiedy powrócił nocą miesiąc później i zajrzał przez okno, zobaczył tatuażystę wypalającego to samo słowo na ciele innego dziecka. Tym razem dziewczynki. Płeć nie miała dla nich znaczenia. Brali to, co byli w stanie zdominować, co mogli osiąść siłą.

Jej krzyki sprawiły, że mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Tak jak krzyki tej kobiety sprawiły, że ci trzej mężczyźni zaczęli się śmiać.

Dziwka.

Wtedy, tamtego dnia, kiedy został naznaczony, nie po raz pierwszy usłyszał to słowo. Bynajmniej.

Ale po raz pierwszy w jego umyśle rozbrzmiał ten inny głos.

Głos powiedział mu, żeby udał się do uświęconego miejsca w rezydencji swoich myśli. Głos doprowadził go tam i z każdym kolejnym krokiem śmiech i dziewięciu facetów zmieniło się w słaby, nic nieznaczący szmer w tle.

Głos przywołał go z powrotem do świata później, kiedy jego ciało zostało uwolnione z pęt i ciśnięte w kąt pomiędzy kuchenką a lodówką. Był tam, by powiedzieć mu, co ma spakować i kiedy uciec, po czym nauczył go, jak ma teraz żyć. Raz jeszcze przyprowadził go do tego domu tej nocy, kiedy mężczyźni sprowadzili skrepowaną dziewczynkę, i wyjawiał mu wielkie sekrety, kiedy błagał o odpowiedzi.

Zrobił dokładnie tak, jak go poinstruował Głos. Święty John zrozumiał później, że to był Głos Boga, i kiedy to sobie uświadomił, zaczęła się jego przemiana z Johnniego w Świętego. Po powrocie na farmę ojca przepelnił go blask bożej chwały. Dano mu cel w życiu. W stodole zawsze przechowywano sporo galonów benzyny, w kanistrach stojących rzędem obok łopat, niedaleko miejsca, gdzie na ścianie wisiała maczeta. Kiedy Głos Boga przemawiał, jego nauki były zawsze proste i jasne. Nauki dotyczyły prostoty i jasności.

A także ognia. Ach... ogień był taką piękną bramą.

Święty John zszedł jeszcze stopień niżej. Katedra miała cudownie białe granitowe schody i łukowato sklepione wejście ozdobione surowymi twarzami setki świętych. Bracia w świętości; Święty John zastanowił się, czy każdemu z nich dany był dar Głosu. Zapewne tak. W przeciwnym razie nie byłiby świętymi. Jak inaczej mogliby nimi być?

Kujonek i Nagi Mężczyzna spojrzeli na Świętego Johna. Popatrzyli w górę, przerywając to, do czego się szykowali, i przenosząc z pewnym wahaniem wzrok z brudnego ciała i pokąsananej skóry na tego denerwującego intruza. Na tego obcego.

Święty John poruszał się bez pośpiechu. Pośpiech wywoływał zbyt gwałtowne i nerwowe reakcje, szybkie i defensywne, jak u królika. On potrzebował psich reakcji. Albo reakcji szakala. Udawało się to, kiedy poruszał się wolno, dając każdemu z nich okazję do drobnych korekt percepcji, w miarę jak bańka jego przestrzeni osobistej rozpościerała się na zewnątrz, napierając na zewnętrzne granice ich pewności siebie. To przypominało trochę sytuację, kiedy niewielka zmiana pozycji sprawiała, że za bardzo zbliżałeś się do kogoś w tłumie – w pierwszej chwili ten ktoś sądził, że nachyliłeś się, by lepiej słyszeć, podsłuchać fragment toczącej się rozmowy, a po chwili zauważył, że nie oddaliłeś się, kiedy rozmowa dobiegała końca. Właśnie wtedy ogary zamieszkujące w głębi ludzkich mózgów unosiły łby i nadstawiały uszu, węsząc i nasłuchując z uwagą.

Najpierw pojawiły się spekulacje, oszacowywanie dystansu i wynikających z tego tytułu korzyści, a po chwili zakłopotanie, że przestało to mieć znaczenie. Następnie defensywna ostrożność, kiedy bańka przestrzeni osobistej pękała, udowadniając, że nigdy nie stanowiła dla nikogo źródła ochrony. Bądź co bądź była pojęciem abstrakcyjnym.

Potem pojawiło się zaniepokojenie.

Wypatrywał tego w ich oczach. Nagi Mężczyzna był mniej skupiony, popatrywał, co próbuje zrobić Olbrzym. Jego penis był bardziej wzwiedziony niż Olbrzym i większy, ale Nagi Mężczyzna nie pełnił w tym stadzie funkcji samca alfa i wiedział, że musi zaczekać. Oblizywał tylko nerwowo wargi zniecierpliwiony.

Jedynie Kujonek spojrział na obcego schodzącego po schodach i uśmiechnął się pod nosem. Może sądził, że nowo przybyły chciał do nich dołączyć, i szykował jakąś ciętą ripostę. Może był nią ten niepewny uśmiezek. A może ten uśmiezek zapraszał do zabawy w kolejarza.

Nagi Mężczyzna uniósł wzrok, popatrzył na kobietę i na Świętego Johna. Przez chwilę w jego oczach malowało się zawstydzenie z powodu tego, w czym uczestniczył. Nie ze względu na kobietę czy jej człowieczeństwo, lecz jego udział w czymś, co – jak doskonale wiedział – było złe. Anarchia nie do końca pochłonęła duszę tego człowieka.

Święty John zapamiętał sobie tego mężczyznę. Przebłysk wyrzutów sumienia w obliczu kontynuowania nagannego czynu nie mógł zostać uznany za szansę na zbawienie. Stanowił jedynie dowód tego, że rozumiał, co robi, ale to, że tu był, świadczyło o jego zepsuciu. Taki człowiek nie zainicjowałby gwałtu, lecz wziąłby w nim udział, gdyby nadarzyła się okazja. Tamtej nocy, kiedy w skórze Johnniego wypalono ohydne słowo, byli również tacy mężczyźni jak ten. Jeden z nich wyszeptał nawet „przepraszam”, gdy nachylił się nad nim i wykonał pierwsze pchnięcie. Święty John od tej pory spędził z nim sporo czasu.

Nagi Mężczyzna odwrócił wzrok. Był zaślinionym, bełkoczącym bufonem. Pozbawionym mięśni, bladym, o niezdrowej cerze. Białym i gąbczastym.

To Kujonek pierwszy zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, kiedy Święty John zbliżył się o kolejny

krok w stronę krzyczącej istoty, nad którą przykucnęli mężczyźni; wewnętrzny ogar Kujonka wreszcie doszedł do głosu.

– Ej, ty, dziwolągu – warknął – co tu robisz, do cholery? Kazałem ci wypierdalać.

Święty John uśmiechnął się.

– Musicie przerwać to, co robicie, i odejść w swoją stronę – powiedział. – Nie po to Bóg dał człowiekowi ręce, by ten dzieło jego kalał.

Kujonek popatrzył na niego jak na idiotę, po czym wybuchnął śmiechem.

– A ty, kurwa, kim jesteś? Kazania są w niedzielę, tępaku.

Olbrzym pięścią wyrznął kobietę w udo, wściekły, że miał takie trudności z wejściem w nią.

Święty John zszedł z ostatniego stopnia. Stał teraz nad całą grupką. Brudne, niegdyś jasne włosy kobiety rozsypały się po asfalcie.

– Dziś jest niedziela – wymamrotał Święty John, ale odpowiedź zagłuszyły krzyki kobiety.

Święty John nosił szatę z udrapowanego białego prześcieradła, przymocowanego do jego torsu i kończyn paskami białej taśmy, na której umieścił kluczowe fragmenty pisma. Nie z Biblii, lecz z nowego pisma, którego treść przekazywał mu Głos. Teraz prześcieradło było w strzępach po tym wszystkim, co stało się, odkąd miasto zaczęło płonąć, a strzępy unosiły się, falując pod wpływem gorących podmuchów powietrza jak pasma bladych wodorostów poruszane przez leniwe fale.

Kujonek wciąż pozostawał w trybie psich reakcji, obecność stada i samca alfa dodała mu odwagi.

Innym zresztą również.

Święty John miał ochotę wybuchnąć śmiechem, ucałować ich wszystkich za tę niewiedzę. Była tak cudowna i tak fałszywa. Jakże zabawna.

Nie zaśmiał się jednak. Zamiast tego na jego ustach pojawił się błogi anielski uśmiech, który zwykle towarzyszył mu w takich chwilach. Niczym modelka Leonarda Święty John uśmiechał się tylko kącikiem ust, a gest ten obiecywał tajemnice, lecz nie odpowiedzi. Rozłożył ręce, szeroko i wysoko. Miał długie ręce, a palce wydłużone jeszcze przez paznokcie, z których każdy pomalowany był na inny odcień szarości.

Kujonek szturchnął Olbrzyma, pies ze stada ostrzegął samca alfę, że coś nie gra. Kiedy Olbrzym uniósł wzrok, niższy mężczyzna nachylił się i spróbował pocałować kobietę. Nawet Świętemu Johnowi ten pocałunek wydał się dziwny i niezdarny. Obsceniczny.

Olbrzym warknął gardłowo, kiedy zobaczył Świętego Johna stojącego z rozłożonymi szeroko rękami.

Seria eksplozji rozdarła powietrze gdzieś nieopodal, a trzech mężczyzn obejrżeli się przez ramię. Nawet kobieta spojrzała. To zdumiało Świętego Johna, bo nie wyobrażał sobie, że zagłada zwiastowana przez te wybuchy mogła mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie. Jak mogło się liczyć dla nich cokolwiek innego poza chwilą obecną? Czy ci mężczyźni byli aż tak tępi, że nie potrafili uświadomić sobie wagi teraźniejszości?

Najwyraźniej tak.

Jeden po drugim odwrócili się w stronę Świętego Johna.

– Spierdalaj, ty mała cioto – odezwał się Kujonek.

– Znajdź sobie własną – dorzucił Nagi Mężczyzna.

Olbrzym nie zamierzał marnować ani chwili na intruza. Od tego miał stado. Łypnął gniewnie na kobietę.

– Nie ruszaj się, suko.

Święty John dostrzegł jakieś poruszenie na drugiej stronie ulicy. Na rogu stał czwarty mężczyzna. Był drobnej budowy, niespokojny, rozkojarzony. Z całą pewnością ćpun albo pijaczek cierpiący na delirium tremens. Przesępował z nogi na nogę i trzymał się za krocze, ale nie przeszedł przez ulicę. Albo za bardzo bał się trzech bardziej agresywnych członków stada, albo nie pokonał jeszcze granicy oddzielającej społeczną deprawację od osobistego potępienia. Mężczyzna zauważył, że Święty John patrzy na niego, i natychmiast odsunął rękę od krocza. W osłupieniu rozdziawił usta jak milczący duch.

Trzej mężczyźni otaczający kobietę wybuchnęli śmiechem i zaczęli opowiadać, co z nią zrobią i jak będzie się jej to podobało. I co jej groziło, gdyby jednak się jej nie spodobało. Przewidywalność tego dramatu i trywialność dialogów zaczęły nużyć Świętego Johna. Opuścił ręce i rzekł:

– Pozwólcie, że się z wami podzielę.

Wybuchnęli śmiechem, potwierdzając tym samym, że są za głupi, aby zrozumieć, co się dzieje.

– Pozwólcie, że się z wami podzielę – powtórzył Święty John i sięgnął pod połę powłóczystej białej szaty, skąd wyjął swoje zabawki.

Rozbłysły w lekko przyćmionym od dymu blasku pożarów. Nieduże i eleganckie, zostały wypolerowane tak idealnie, że kiedy opuścił ręce do boków, zdawało się, że ciągnęły za sobą snop iskier. Jego dłonie były wydłużone o długość delikatnego ostrza, kiedy stanął z rozłożonymi rękami na stopniu przed nimi.

Kujonek i Nagi Mężczyzna patrzyli z narastającą zgrozą, jak wysoko zastyga w bańce czasu, wewnątrz której unosili się bezwładnie. Kobieta leżała na wznak, z rozwartymi szeroko ustami, by błagać o łaskę Boga, choć większość ocalałych z plagi uważała, że on nie żyje albo oszalał. Olbrzym klęczał pomiędzy jej udami w ironicznie błagalnej pozie. Po obu stronach przykucnęli Nagi Mężczyzna i Kujonek, przyciskając przeguby kobiety do ziemi, podczas gdy nad nimi anioł rozpościerał roziskrzony skrzydła.

Święty John zstąpił na chodnik i w dwóch krokach doszedł do krawężnika. Kujonek mógł unieść rękę, aby go uderzyć. Ale nie był w stanie się poruszyć. W jego umyśle stado zniknęło, a on sam z drapieżcy stał się ofiarą.

– Bądź wola twoja – wyszeptał Święty John, a z jego gardła wyrwał się radosny szloch, gdy jego ramiona złożyły się niczym skrzydła i noże błysnęły oślepiająco, krzyżując się i przecinając przed nim powietrze.

Rubinowe krople gorącej krwi zbryzgały stopnie, jego odzienie i twarz, gdy pod jego dotykiem otwierały się żyły. Zanim Olbrzym zdążył znów unieść wzrok, Święty John wykonał rękami zamaszyste ruchy w przód i w tył, a każdy z nich kończył się delikatnym skretem artystycznych przegubów.

Olbrzym w końcu spojrzał w górę, gdy struga krwi ochlapała mu twarz. Święty John jakby w ogóle się nie poruszył i stał z rękami rozłożonymi na boki. Jednak po obu stronach członkowie stada Olbrzyma bezwładnie osunęli się na chodnik.

Święty John obserwował oczy tamtego i dostrzegł w nich całe oblicze dramatu. Brutalną żądzę i frustrację ustępującą pełnej oszołomienia konsternacji. Zaraz nadszedł ten słodki moment, kiedy Olbrzym spojrzał w oczy świętego stojącego z rozłożonymi na boki rękami i ujrzał tylko jedną jedyną istotę bardziej przerażającą i potężniejszą niż alfa, za jakiego się uważał. Oto miał przed sobą majestatycznego Omegę.

– Nie – powiedział Olbrzym.

To nie było błaganie, jedynie zaprzeczenie. To nie była część jego świata ani przed Upadkiem, ani po nim. Przeżył plagę, do cholery, przetrwał zamieszki i rzezie. Stał się potężniejszy niż sama śmierć i spodziewał się rządzić w tym zakątku piekła aż do końca świata.

A jednak Omega stał nad nim, a stado tonęło w kałuży własnej krwi. Tak szybko. Tak szybko.

Olbrzym próbował walczyć.

Zanim jednak zdążył zacisnąć dłonie w pięści, już nie miał oczu. A potem dłoni. Później twarzy.

Nie miał powietrza.

Umysł Olbrzyma skupił się na ostatnim słowie, jakie ten wypowiedział.

Nie.

Ale już chwilę później zabrakło mu nawet myśli i pochłonęła go ciemność.

3. Po drugiej stronie ulicy nerwowy mały ćpun wycofywał się z jedną ręką zaciśniętą na ustach, a drugą trzymając się za krocze. Kiedy dotarł do rogu, obrócił się na pięcie i pobiegł. Święty John go nie ścigał. Jeżeli mały ćpun i ci martwi mężczyźni mają przyjaciół i ci kumple przyjdą tutaj, staną się kolejnymi ofiarami dla Boga. Gdyby stało się tak, że i on musiałby złożyć w ofierze swoje życie, niechaj tak będzie. Wielu świętych przed nim umarło w podobny sposób i nie było w tym nic uwłaczającego.

Święty John odwrócił się nagle, gdyż uświadomił sobie, że jest obserwowany. Spojrzał w górę schodów, w stronę kościoła. Drzwi były uchylone i obserwowały go stamtąd figury świętych oraz aniołów. Kamienne posągi wykute wokół łukowato sklepionego wejścia.

Ale twarze aniołów? Te patrzyły na niego przez otwarte drzwi. Oblicza cherubinów i serafinów wyłaniające się z mroku. Święty John uniósł rękę w ich stronę, lecz zniknęły, kiedy zamrugął.

Święty John otarł krew z oczu.

Nadal nic. W otwartych drzwiach widać było teraz tylko cienie. Pokiwał głową. No i dobrze. Nie pierwszy raz w jednej sekundzie coś widział, a w następnej już tego nie było. To przydarzało mu się coraz częściej.

Wpatrywał się w to miejsce jeszcze przez dłuższą chwilę, zanim w końcu się odwrócił.

– Anioły – rzekł półgłosem zdziwiony i zadowolony zarazem.

Do tej pory jedynie śnił o aniołach. A teraz one były tu na ziemi, razem z nim. I to było dobre.

4. Kobieta leżała zwinięta w kłębek z bólu i cała we krwi trzech potworów, którzy ją napastowali; jej oblicze wykrzywiał grymas, ale krzyk wrywający się z piersi nie wydobywał się spoza zaciśniętych zębów.

Spojrzała na Świętego Johna. Nie na jego noże, bo nawet ogarnięta zgrozą rozumiała, że stanowiły one jedynie przedłużenie broni, którą był sam ten mężczyzna.

Święty John postąpił krok w jej stronę. Krew skapywała mu z twarzy na tors.

– Boże – wyszeptała. – Błagam... Boże.

Czerwone krople zrosiły popękany asfalt.

Święty ukląkł, zrobił to powoli, uginając najpierw stopę w kostce, potem nogę w kolanie, a w końcu całe ciało w talii jak tancerz; wszystko było piękne i pod kontrolą. Kobieta patrzyła oczyma znękanymi przez kłamstwa i złamane obietnice. Gdyby miała siłę, jej mięśnie sprężyłyby się do ucieczki; ona jednak poddała się pełnej znużenia akceptacji, że zawsze będzie bezwolną uczestniczką plugawych męskich spektakli.

Święty John pochylił się i położył noże na skraju chodnika trzonkami w jej stronę. O kilka metrów od jej wyciągniętych dłoni. Po obu jej stronach leżeli martwi mężczyźni, ale ona popatrywała tylko nerwowo to na zakrwawioną stal, to w ciemne oczy Świętego Johna.

Przycupnął na piętach i mocno osadził całe ciało w tej pozycji. Ruch ten był zdecydowanie pozbawiony agresji i obserwował, jak go przyjęła.

– Cz... czego chcesz? – spytała słabym głosem.

Nie odpowiedział.

– Czy ty też mnie skrzywdzisz?

– Miałbym cię skrzywdzić?

Skinęła głową w stronę martwych mężczyzn.

– Tak jak oni. Jak wszyscy inni.

– Inni? – powtórzył półgłosem Święty John. – Inni mężczyźni też cię atakowali?

Zimna łza wypłynęła z kącika jednego oka. Ta kobieta nie była atrakcyjna. Siniaki, ślady pobicia i krew zmieniły ją w beczpłciową bryłę. Zwierzęta, które leżały wokół niej, pragnęły jej z powodu jakiegoś wizerunku w ich umysłach, a nie dlatego, że odpowiadała ich ideałowi erotycznemu. Była ofiarą oportunistów sytuacji i chwili, a kryteria, jakie obecnie stosowano, zostały zaniżone wraz z wymaganiami mężczyzn, którzy potrzebowali jedynie narzędzia, by zaspokoić swoje potrzeby demonstrowania kontroli.

– Ilu mężczyzn? – zapytał Święty John.

– Tylko dzisiaj? – spytała i spróbowała uśmiechnąć się krzywo. Wisielczy humor.

Popioły wciąż sypały się z nieba jak łagodne gwiazdy. Oboje spojrzeli w górę na płonące fragmenty odrywające się z dachu katedry. Iskry spływały w dół niczym płatki kwiatów wiśni w kwietniowy poranek.

Kobieta spuściła wzrok i powoli poprawiła na sobie resztki podkoszulka. Nie było ich dostatecznie dużo, by przesłonić jej nagość, ale próba okazała się aż nadto wymowna.

– Pan mnie nie skrzywdzi, prawda, proszę pana? – spytała nieśmiało głosem zniżonym prawie do szeptu.

– Nie – odparł i ze zdziwieniem stwierdził, że ma sucho w ustach.

– A czy... pozwoliliby pan, abym z panem poszła?

To było absurdałne pytanie, ale zrozumiał, dlaczego je zadała.

Pokręcił głową.

– Marny ze mnie kompan podróży.

– Pomógł mi pan.

Powiedziała „pomógł”. A nie „ocalił”. Różnica zabolęła go jak cierń wbity w serce i znenawidził sam sobie, że w ogóle mu zależało.

Nic jednak nie powiedział. Jakiegokolwiek wyjaśnienie nie wchodziło w grę.

Kobieta odczołgała się od martwych mężczyzn i przycupnęła przy samochodzie.

– Jak panu na imię?

– A pani? – odparował.

Modlił się, żeby to nie było nic symbolicznego. Ani Ewa, ani Maria, ani...

– Rose – powiedziała. – Mam na imię Rose.

– Tylko Rose?

Wzruszyła ramionami.

– Nazwiska nie są już ważne, prawda?

Zakaszła i splunęła krwią na asfalt.

– Rose – powtórzył i pokiwał głową. Dobre imię. Proste, bezpieczne. Bez zobowiązań.

– A jak pan się nazywa?

Zadała to pytanie, gdy wyprostował się, by stanąć w strugach gorącego wiatru. Prześcieradło, które miał na sobie, zatrzepotało na wietrze.

– Czy to ważne? – zapytał z uśmiechem.

– Ocalił mi pan życie.

– Zakończyłem ich życie. To różnica.

– Nie dla mnie. Ocalił mi pan życie. Znów by mnie zgwałcili i zmuszali do różnych rzeczy, a potem by mnie zabili. Ten wielkolud. On na pewno by mnie zabił. Widziałam, jak skopał na śmierć inną kelnerkę, bo nie chciała mu obciągnąć. Ona tak krzyczała, płakała za matką.

– Jej matka nie przyszła?

Rose pokręciła głową.

– Jej mama jest w Detroit. Pewnie też już nie żyje. Nie... Dużego Jacka zdudziło, że Donna wciąż mu

się opiera, i zaczął ją kopać. To nie miało sensu. I tak by ją wykończył. Mieli nas prawie tydzień, więc wiem, co mówię.

Święty John na chwilę zamknął oczy. *Tydzień.*

– Widziałam, co się stało z innymi kobietami – kontynuowała Rose. – Tylko do czasu walczysz i stawiasz opór, a potem i tak robisz, co ci każą. – Otarła łzę z oka. – Donna miała tylko dziewiętnaście lat. Jej chłopak był w Afganistanie, kiedy pogasły światła. On pewnie też nie żyje. Wszyscy nie żyją.

– Mówisz, że wszyscy się poddają. Ale ty wciąż uciekałaś. Wciąż walczyłaś.

Rose odwróciła wzrok.

– Nic mi nie pozostało. Te buce... to było wszystko, co miałam. Wygrali.

– Nie – rzekł półgłosem. – Masz życie.

Spojrzała na niego spod oka.

– Dzięki panu. Dzięki... tobie.

Święty John chciał się odwrócić, popatrzeć w górę i sprawdzić, czy anioły wciąż obserwują go z cieni przy otwartych drzwiach, ale nie zrobił tego. Anioły były zazwyczaj płochliwe, a on nie chciał ich wystraszyć. O ile słowo „wystraszyć” można uznać za właściwe. Nie miał co do tego pewności i stwierdził, że zastanowi się nad tym później.

Gdy zauważył, że kobieta mu się przygląda, zapytał:

– Poddałabyś się? To znaczy przestałabyś walczyć?

– Pewnie tak. Gdyby dzięki temu mieli mnie lepiej traktować. Gdyby dali mi jedzenie. I od czasu do czasu pozwolili się umyć.

– Czy to byłoby życie?

Rose spojrzała w górę na spadające popioły, po czym wolno pokręciła głową.

– Proszę nie słuchać tego, co mówię. Dali mi jakieś pigułki, żebym była atrakcyjniejsza. Nie, to nie jest odpowiednie słowo. Jak się mówi, kiedy ktoś ma współpracować?

– Uległa?

– Tak.

– Dali ci pigułki.

– Tak. Czuję, że zaczynają działać. Oxycontin, jak sądzę. Wszystko mi się zaczyna rozmywać.

Święty John wskazał na noże.

– Chcesz je zatrzymać?

Rose spojrzała na okrwawione ostrza. Popioły jak płatki rozpalonego złota wpadały z sykiem do jeziora krwi otaczającego trzech martwych mężczyzn. Pokręciła głową.

– Na pewno? – spytał.

Potaknęła.

– Będą inni mężczyźni – powiedział łagodnym tonem – tacy jak oni. Równie źli albo nawet gorsi. Grasują stadami jak psy.

– Wiem.

– Więc weź te noże.

– Nie.

– Weź chociaż jeden.

– Nie.

Siedzieli i kontemplowali szczegóły, które opisywały i definiowały ich relacje. Popioły i dym. Krew i noże. Żywi i martwi.

– Nie wszyscy stali się źli – powiedziała.

Patrzyli na wirujące płatki popiołu.

Po chwili znowu się odezwała:

– Przyszedłeś i ocaliłeś mnie.

– To był czas, kiedy ktoś inny miał umrzeć – odparł, ale nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Ocaliłeś mnie – powtórzyła z naciskiem, a jej głos stał się senny, bełkotliwy i rozmarzony.

To przez prochy, stwierdził.

– Jesteś aniołem. Świętym.

Nic nie powiedział.

– Modliłam się i Bóg przysłał ciebie.

Święty John zadrzał na dźwięk tych słów. Poczul się dziwnie odkryty, jakby to on był nagi, a nie ta kobieta. I wtedy znowu poczul na sobie wzrok. Spojrzenie świętych i aniołów od strony ciemnego wejścia do świątyni. Wstał.

– Zaczekaj tu chwilę.

– Dokąd idziesz? – spytała bełkotliwym głosem.

– Tu, za róg. Zaraz wróćę, a przez ten czas anioly będą nad tobą czuwać.

– Anioly?

– Jest ich wiele.

Jej powieki zatrzepotały. Zamknęła oczy.

– Anioly. Jak miło.

Święty John szybkim krokiem doszedł do rogu ulicy i skręcił w zaułek, gdzie było wiele splądrowanych sklepów. Nie zastanawiał się długo nad tym, co powinien wybrać – wziął pierwsze z brzegu rzeczy, na jakie się natknął. Czarny dres z jakiegoś błyszczącego syntetycznego materiału z podwójnymi czerwonymi paskami z boku i logo firmy, która już od dawna nie istniała. Nie było sportowego obuwia, ale znalazł gumowe pantofle, takie, jakich używali nurkowie i surferzy. Żadnej bielizny, żadnych lekarstw. Ostatnią rzeczą, jaką wybrał, był kij golfowy. Żelazna siódemka. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Siódemka była cyfrą Boga.

Z ciuchami pod pachą i przerzuconą przez ramię żelazną siódemką Święty John wyszedł ze sklepu, przestępując gnijące zwłoki dwóch szabrowników, którzy zginęli od strzałów w głowę. Nie sposób stwierdzić, czy zostali zabici przez policję, czy przez innych szabrowników, a gdyby nawet to wiedział, Święty John wątpił, czy pozostał jeszcze przy życiu ktoś, kogo mogłoby to obchodzić. Jego na pewno nie.

Wyszedł zza rogu i przystanął.

Kobieta – Rose, jak upomniał samego siebie, miała na imię Rose – zniknęła.

Święty John położył ubrania i kij golfowy na ziemi i przebiegł resztę drogi, a pasy podartego

prześcieradła ciągnęły się za nim, trzepocząc. Trzej martwi mężczyźni wciąż tam byli. Jego taczka z bronią również. Ale jej nie było.

Święty John szukał jej prawie przez pół godziny, lecz nie znalazł. Gdy ponownie wrócił pod katedrę, stwierdził, że jest mu smutno. Święty John rzadko się smucił i prawie nigdy nie chodziło wtedy o inną osobę. A jednak, choć brudna i pokiereszowana, Rose go poruszyła. Była wobec niego szczerą, nie miał co do tego wątpliwości.

A teraz odeszła. Życzył jej powodzenia, a kiedy to sobie uświadomił, przystanął na chwilę i uśmiechnął się z zamyśleniem, kontemplując spadające z nieba popioły. Jak na niego to dziwna myśl. Obca, ale nie niepożądana.

– Rose – powiedział na głos.

5. Święty John pozbiierał swoją broń – noże, pałkę z kawałka czarnej rurki, łom z zakrzepłą na nim skorupą krwi – przeniósł ją po schodach do katedry. Na taczce miał broń palną, a nawet miecz samurajski, którym jego poprzedni właściciel nie potrafił się posługiwać. Święty John z przyjemnością udzielił mu stosownej lekcji. Taczka była ciężka od broni, co za owocny tydzień. Wniósł broń naręczce po naręczcu do wnętrza katedry, a pokonując kolejne stopnie, odmawiał w myślach swoje modlitwy. Chciał, żeby wszystko odbyło się jak należy, nie było powodu do pośpiechu. Bądź co bądź to koniec świata. Po co się teraz spieszyć? Niedbałość o szczegóły mogła mieć katastrofalne skutki. Święci i anioły patrzyli.

Z pierwszym naręczem broni przyciśniętym do piersi stanął na najwyższym stopniu. Oczy świętych obserwowały go, a cienie rzucane przez falujące płomienie na ich usta sprawiały wrażenie, jakby święci szeptali jakieś tajemnice. Niektóre z nich Święty John zrozumiał, inne wciąż stanowiły dla niego zagadkę.

Nie widział twarzy aniołów. Otwarte drzwi wyglądały jak ciemne usta, ale wypełniły je puste cienie, gdy wszedł tam z naręczem broni. Przystanął w narteksie i spojrział w głąb głównej nawy biegnącej od zachodniego wejścia z tyłu za nim aż do ołtarza przy wschodniej nawie.

Katedra była ogromna, z żebrowanym sklepieniem niknącym hen wysoko w ciemnościach. Łuki były

widoczne jedynie we fragmentach, w migotliwym blasku płomieni sączącym się przez powybijane witrażowe okna; w tym świetle ciąg kamiennych kolumn wyglądał jak kości. Święty John przeszedł do nawy głównej i przystanął przy ostatnim rzędzie ławek, pochylił głowę nabożnie, po czym bez pośpiechu przemaszerował przez główną nawę aż do ołtarza.

– Przynoszę dary – powiedział.

Mówił cicho, lecz akustyka katedry ujawniła tkwiącą w nim moc i echo tych dwóch słów poniosło się grzmiąco ku sklepieniu.

Kiedy podchodził do ołtarza, jego broń zabrzęczała melodyjnie niczym świąteczne dzwoneczki. Przystanął przed szerokim, inkrustowanym srebrem ołtarzem i pośrodku niego rozłożył swoją broń. Następnie pieczołowicie poukładał noże, młotki i kastety w szeroki łuk, z ostrzami skierowanymi ku przeciwległej ścianie, wskazującymi na podstawę zawieszzonego na wschodniej ścianie wielkiego krucyfiksu. Wisiał na nim, przybity gwoździami za ręce i stopy, krwawiący i triumfujący Chrystus. Święty John znał sekretną historię tego człowieka. Jezus nie umarł, by zmasakrać grzechy potworów takich jak ojciec Świętego Johna. Nie, on pozwolił, by jego ciało zostało umęczone i poprzebijane w rytuale oczyszczenia, a potem ze względu na ten ból został wyniesiony do boskości. Święty John nie mógł się nadziwić, że tylu ludzi przez tyle lat nie zdołało pojąć kluczowego znaczenia tej historii.

Kiedy już porozkładał noże – siedemnaście przyniesionych w tym naręczu – oraz resztę broni, Święty John pokłonił się i wyszedł na zewnątrz po następne.

Gdy wracał do katedry, zauważył na chodniku ślady stóp. Drobne stopy. Kobięce. Rose? Z całą pewnością to jej ślady, ale ujrzał też inne, mniejsze, było ich wiele. Odcisnięte w cieniutkiej warstewce sypkiego popiołu, który zaczął się osadzać na wszystkim. Delikatne stopy.

Stopy aniołów?

Święty John przystanął na chwilę z naręczem okrwawionej broni, przypatrując się śladom stóp. A potem wszedł do katedry.

Kiedy jednak podszedł do ołtarza, ponownie się zatrzymał.

Dopiero co zostawił na ołtarzu siedemnaście noży ułożonych według wielkości i rodzaju, począwszy od maczet poprzez noże myśliwskie i noże do steków po ten cudowny mały nóż do skórowania, który pomógł mu zabić czas pewnego wieczoru, w ubiegłym tygodniu. Teraz nie było już siedemnastu noży.

Leżały tylko dwa. Długa maczeta i ciężki, nieporęczny kukri, tradycyjna broń Gurkhów. Kastety, pałki i broń palna pozostały na miejscu. Ale piętnaście noży zniknęło.

Święty John zastanawiał się nad tym, gdy układał na ołtarzu drugie naręczce broni. Ani przez chwilę nie wierzył, że tylko mu się wydawało, iż przyniósł tu tę broń. Wiele materialnych rzeczy uznawał za z gruntu wątpliwe, lecz nigdy noże. Były kotwicami w jego świecie, a nie fantazjami. Zdarzało mu się czasem widywać latające spodki... te, o których wiedział, że są tylko fantazjami. Ale noże? Niemożliwe.

Nie wierzył również, że ktoś, dajmy na to, ten mały ćpun, mógł zakraść się tu i je zabrać.

Rozważał różne możliwości, kiedy doszedł go cichy dźwięk. Tak delikatny, że prawie niesłyszalny. Raczej sugestia dźwięku. Taki dźwięk mogłyby wydawać cienie, padając na ziemię, kiedy na niebie tańczył księżyc w pełni. Katedra była pusta, nic się tu nie poruszało.

Czy to demony przemykały bezgłośnie między ławkami? Czy to demony przybyły, aby zabrać jego noże?

Święty John poczuł ogarniające go przerażenie.

Czy demony mogły zmaterializować się do tego stopnia, by zabrać przedmiot z metalu? Do tej pory był pewien, że zna odpowiedź na to pytanie, ale teraz już nie. Noże zniknęły. Czy to demony pozostawiły odciski stóp w popiele? Czy demony były tu, w katedrze, i może właśnie teraz szykowały się, by zapolować na niego, wykorzystując do tego jego noże? Czy Upadek człowieka uczynił demony bardziej zuchwałymi? Czy dał im większą moc? Czy wskutek tego, co się stało,

brama między Ziemią a Piekłem stała otworem?

To były przerażające myśli i Święty John obrócił się na pięcie, dobywając dwa noże z pochew ukrytych pod białymi łachmanami zasłaniającymi jego uda.

– To dom boży! – zawołał w głąb pylistych cieni. – Nie możecie tu przebywać!

Znów usłyszał te ciche dźwięki. Tym razem nieco głośniejsze i liczniejsze. Szuranie niewidzialnych stóp poruszających się w ciemnościach za parawanem oddzielającym ołtarz od prezbiterium. Odgłosy były ukradkowe i co do tego Święty John nie miał żadnych wątpliwości. Ta ich ukradkowość przepełniła całe jego ciało spokojem. Jeżeli ktoś się skradał, świadczyło to o ostrożności, a ta z kolei o strachu. Drapieżcy skradają się, by nie spłoszyć ofiary, która miała zapewnić im dalszy byt. Ofiara skrada się, by nie zostać zaatakowana. W obu sytuacjach kluczowy był strach.

Strach, nawet u przerażającego drapieżcy, ujawniał słabość. Słabe punkty. Demon, który ich nie miał, nie obawiał się niczego.

Jesteś świętym, wyszeptał Głos w jego umyśle.

Święty. Pokiwał głową. Święty w świątyni.

Święty John poczuł, że strach w jego sercu słabnie. Nie całkiem, ale na tyle, by z noży, które trzymał, do jego dłoni spłynęły nowe siły, przenikając przez ramiona i mięśnie, do klatki piersiowej, a stamtąd wprost do jego gorejącego serca.

Poczuł, że jego usta wykrzywił pogardliwy grymas. Rozłożył ręce na boki, a noże zdawały się buchać snopem iskier, gdy odbił się w nich blask płomieni z pożarów szalejących za potłuczonymi witrażami.

– Jam jest Święty John z Popiołów – zawołał grzmiącym głosem. – *Exorcizo te, immundissime spiritus... in nomine Domini nostri Jesu Christi!*

Zza parawanu wyszła jakaś postać. Miała na sobie brudne łachmany, w dłoni trzymała jeden z błyszczących noży Świętego Johna.

– Idź precz! – powiedziała postać.

Święty John zaczął się uśmiechać, ale uśmiech szybko zniknął z jego ust.

Jeżeli to był demon, to taki w przebraniu cherubina. Z ręką zaciśniętą na trzonku noża tak niedużą, że ledwie go opasywała. Z twarzą puciołowatą, oczami zapadniętymi, umazanymi ziemią i sadzą, z zaschniętymi smarkami wokół nosa i rozmytym śladem łez na brudnych policzkach. Na ramieniu podkoszulka, którą miała na sobie postać, widniał krwawiący odcisk dłoni. Rączki dziecka.

Cherubin wskazał nożem na Świętego Johna.

– Idź precz! – powtórzył.

Głos miał cichy i wysoki, ale było w nim tyle mocy, że Święty John omal nie cofnął się o krok. Nie zrobił tego jednak.

– Kim jesteś, że każesz mi opuścić dom mego ojca? – zapytał.

Oczy cherubina były niebieskie, wypełnione fascynującą mieszaniną emocji. Jego ciało drżało, z głodu lub choroby wywołanej być może przez jedną z plag. Albo ze strachu. Czy też, jak domniemywał Święty John, z trudem pohamowywanej wściekłości.

To z całą pewnością nie był demon. Trzymał uświęcone ostrze w sposób wskazujący, że rozumiał, do czego służy, i umiał się nim posługiwać, a mimo to z twarzy i postaci przypominał siedmio-, ośmioletnie dziecko.

To będzie ekscytujące.

To będzie wspaniałe, może nawet cudowne; a Święty John nie miał już wątpliwości, że oto znalazł się w obliczu czegoś cudownego. A w każdym razie na granicy tego czegoś.

Święty John postąpił krok naprzód. Cherubin – albo dziecko – nie ruszył się z miejsca, lecz uniósł nóż kilkanaście centymetrów wyżej, mierząc w twarz Świętego Johna i znacząco potrząsając bronią. Dziecko dobrze trzymało noże. Wprawnie. Może nie idealnie, ale instynktownie.

– Ja nie żartuję – powiedział cherubin. – Odejdź.

Święty John był dostatecznie blisko, by móc zabić to dziecko. Miał odpowiedni zasięg i noże, lecz tylko się uśmiechnął.

– Dlaczego miałbym odejść?

– To jest nasz dom.

Ach. Nasz. Wymknęło mu się.

Święty John pomyślał o licznych śladach stóp pośród popiołów. I o piętnastu brakujących nożach.

– To dom ojca mego – powiedział Święty John. – To dom Boga.

– Nie mieszkasz tu – rzekł chłopiec z naciskiem.

Prawdę mówiąc, Święty John nigdy dotąd nie był w tej katedrze, ale to nie miało znaczenia. Świątynia to świątynia, a on był przecież świętym.

– Kto tam? – rozległ się kolejny głos.

Kobiocy. Bełkotliwy, niewyraźny i zaspany. Święty John uśmiechnął się.

– Rose...?

Za przepierzeniem coś się poruszyło i dał się słyszeć szmer wielu głosów. Dzieci, dziewcząt i chłopców, oraz jednej dorosłej – Rose. Za parawanem poruszyły się cienie i nagle wyłoniła się stamtąd Rose. Miała na sobie długą szatę chórzystki – czystą i w przepięknych odcieniach złota oraz fioletu – ale jej twarz wciąż była brudna, zakrwawiona i spuchnięta.

– Czy ty jesteś prawdziwy? – spytała, spoglądając na Świętego Johna. – Wydawało mi się, że śniłam o tobie.

– Być może – powiedział Święty John, zastanawiając się, czy on także śnił, czy może był postacią ze snu tej kobiety. – Czasami jestem tylko snem.

Na jej twarzy pojawił się grymas zakłopotania. Tabletki, które podali jej mężczyźni, brały nad nią górę, mimo to jednak wciąż próbowała się skupić. Święty John rozpoznawał to jako przykład zachowania kogoś, kto często był pod wpływem, ale starał się jakoś funkcjonować.

– To twoje dzieci?

Kiedy padło to pytanie, zza parawanu wyłonili się kolejni cherubini. Wielu z nich miało w rękach noże. Jego noże. Cherubini byli drobni, najmłodsze z dzieci nosiło jeszcze pieluchy, najstarsze było w wieku niebieskookiego chłopca, który wciąż celował nożem w twarz Świętego Johna.

Święty John policzył je. Dwadzieścioro sześcioro. Szalejące na zewnątrz pożary rzucały na ściany ich duże cienie. Czy te cienie miały skrzydła? Święty John nie był pewien.

– Idź stąd! – warknął najstarszy chłopiec. – Albo zrobię ci krzywdę.

– Ej – rzuciła bełkotliwie Rose – bądź grzeczny!

– To jeden z nich!

Wzrok Rose na moment się przejaśnił. Popatrzyła na Świętego Johna i jego noże, po czym pokręciła głową.

– Nie, chłopcze... nie jest jednym z nich. To on mnie ocalił. Modliłam się do Boga i przysłał jego, aby mnie uratował.

W spojrzeniu najstarszego chłopca pojawiło się wahanie. Zerknął na Rose. Święty John mógł wykorzystać tę chwilę zawahania, aby poderżnąć chłopcu gardło albo rozplatać ścięgna dłoni, w której trzymał nóż. Mógł upuścić jeden ze swoich noży i jedną ręką odebrać broń chłopakowi.

Nie zrobił tego jednak.

Zamiast tego czekał, dając chłopcu czas, aby poukładał sobie wszystko i podjął decyzję. Dał mu szansę na zebranie sił. Chłopak przeniósł wzrok na Świętego Johna i jego spojrzenie sposepniało.

– Dokąd zabrali Tommy’ego?

– Nie wiem, kim jest Tommy.

– Zabraliście go. Dokąd go zabraliście?

Pozostałe dzieci zaczęły szemrać, kiedy padło imię Tommy’ego, i wlepiły wzrok w Świętego Johna. Dostrzegł małe rączki zaciskające się na trzonkach noży i ten widok przepełnił go bezmiarem miłości do tych dzieci. Cóż za przepiękny gniew. Były gotowe zrobić użytek z tych noży. Jakie to było dziwne i wspaniałe. Jakie wyjątkowe. Rzadkie.

Tak jak on, jak chłopiec, którym był, kiedy na jego plecach wypalono napis „Dziwka”, a potem pierwszy raz usłyszał Głos i pieśń stalowego ostrza.

– Nie znam nikogo o imieniu Tommy – powiedział. – Nigdy wcześniej nie widziałem żadnego z was z wyjątkiem Rose, a ją spotkałem po raz pierwszy zaledwie kilka minut temu.

– Bzdura! – parsknął najstarszy chłopiec.

– Ciii – szepnął Święty John. Postąpił pół kroku naprzód, nieomal wchodząc w zasięg ciosu dziecka.
– Posłuchaj mnie.

Chłopiec spuścił wzrok, a Święty John zorientował się, że tamten oszacowywał nowy dystans pomiędzy nimi. Bystry dzieciak. Kiedy chłopiec ponownie uniósł wzrok, w jego oczach malowała się prawda. Chłopak wiedział, że znajdował się w zasięgu ostrzy Świętego Johna. Mimo to nie upuścił swojego noża – bo to teraz był jego nóż. Zawłaszczył go sprawiedliwie, a Święty John pogodził się z tym.

Wreszcie Święty John opuścił ręce z nożami. Wsunął ostrza do pochewek przy udach i stanął, z pozoru nieuzbrojony i bezbronny, przed tym cherubinem. Zauważył, że chłopiec nieznacznie przymrużył oczy, gdy wychwycił niewypowiedzianą groźbę ukrytą pod maską bezbronności. Większość dorosłych nigdy by się nie zorientowała. Jedyne ktoś obdarzony darem był w stanie to dostrzec.

Chłopak słyszy Głos, pomyślał Święty John.

– Powiedz mi, kim jesteś – powiedział – i opowiedz mi, co się stało z Tommym.

6. Najstarszy chłopiec opowiedział mu historię.

Byli sierotami. Mieszkali z czterystoma innymi dziećmi w sierocińcu pod wezwaniem Marii Matki Bożej.

Marii. Ach. To imię sprawiło, że poczuł pod sercem bolesne ukłucie. To było jej imię. Jego matki. Od dawna już nie żyła. Była pierwszą ofiarą jego ojca. Próbowwała uchronić syna przed diabłem w swoim domu. Przeżyła ze sto pobić, ale sto pierwszego już nie. Skrzep w tętnicy. Maria.

Matka Zbawiciela.

Święty John wiedział już, do czego to prowadziło. Choć nie był pewien, czy to mu się podoba.

Chłopak powiedział, że dwa tygodnie temu z sierocińca wyjechała kawalkada autobusów zmierzających do rządowego schronu znajdującego się tutaj, w mieście. Były zamieszki, pożary. Odgłosy strzałów. Kierowca został zabity. Zakonnice wywleczono z autobusu. Chłopiec był za mały i miał zbyt ubogi zasób słownictwa, by zrozumieć czy choćby opisać to, co stało się z zakonnicami. Powiedział, że mężczyźni robili z nimi „brzydkie rzeczy”. Raz po raz spuszczał wzrok i głos mu się łamał, ale to w zupełności wystarczyło Świętemu Johnowi za wyjaśnienie. Po raz pierwszy został zgwałcony, kiedy był młodszy niż ten chłopiec. Znał każdy eufemizm tego czynu wykorzystywany w ludzkim języku oraz kilka istniejących tylko w języku potępionych.

Podczas gdy mężczyźni rozprawiali się z zakonnkami, ten chłopiec otworzył tylne drzwi autobusu i wyprowadził stamtąd resztę dzieci. W autobusie było ich trzydzieścioro czworo. Ubiegłej nocy już dwadzieścioro siedmioro. Tommy bawił się dziś rano na schodach katedry, kiedy pojawili się mężczyźni i go zabrali.

Słyszeli, jak krzyczał, gdy go porywali. Jego krzyki słychać było nawet zza rogu.

– Opisz mężczyzn, którzy go zabrali – poprosił Święty John.

Chłopak zrobił to. W większości byli obcy. Dwaj mężczyźni jednak odpowiadali rysopisom Kujonka i Olbrzyma.

Rose starała się nie zasnąć, lecz kiedy usłyszała rysopisy tych mężczyzn, natychmiast się ożywiła.

– To te same dupki, co...

Święty John skinął głową.

– Powiedz mi, gdzie cię trzymali, słodka Rose.

– Ale po co? – spytała. – Tego dzieciaka już nie ma.

– Nie! – zawołał najstarszy chłopak. Inni też zaczęli protestować. Kilkoro najmłodszych wybuchnęło płaczem. – Ja go odbiję!

Święty John pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Nie zrobisz tego. Zostaniesz tu i będziesz strzegł swojej trzódki.

Chłopak łypnął na niego gniewnie. W jego oczach płonął prawdziwy ogień, aż Święty John poczuł gorąco na skórze. To go ucieszyło. Czuł się jak obcy w obcym kraju i oto spotkał kogoś, kto wydał mu się bardzo bliski. Nie spodziewał się ujrzeć takiego żaru tu, u kresu doświadczeń całej rasy ludzkiej, tuż przed opadnięciem kurtyny.

– Powiedz mi, jak masz na imię.

– Peter.

Święty John zamknął oczy i westchnął. Uśmiechnął się i pokiwał głową do siebie. Kiedy znów otworzył oczy, Peter wciąż patrzył na niego spode łba.

– Zamierzam odnaleźć Tommy’ego – oznajmił Święty John – i przyprowadzę go z powrotem.

Rose w końcu powiedziała mu, gdzie mieszka banda i gdzie się zabawiali. Święty John pokiwał głową. Zwrócił się do Petera:

– Zostań tutaj. Zachowuj się cicho. Pozostań w ukryciu.

– Nie możesz mówić mi, co mam robić.

– Nie. Mogę jedynie powiedzieć ci, jak masz utrzymać się przy życiu.

Peter się skrzywił.

– Zginiesz. Opuścisz nas tak jak zakonnice i kierowca.

Święty John czuł ciężar noży ukrytych pod ubraniem.

– Teraz we mnie wątpisz, Peterze. Uwierzysz, kiedy powrócę.

I odszedł.

7. W hotelu pełniącym obecnie funkcję kryjówki wściekłych psów przebywało szesnastu mężczyzn. Szesnastu mężczyzn na trzech piętrach.

Święty John wyjął noże i wszedł pomiędzy nich.

Szesnastu mężczyzn to dla niego za mało.

Chudy ćpun był jednym z nich. Na drugim piętrze spał w łóżku z kobietą przykutą kajdankami do metalowego wezłowania łóżka. Na skórze miała ślady oparzeń od papierosów. Święty John wyjawiał małemu ćpunowi wielkie sekrety. Innym również. Dla niektórych spośród nich wszystko rozegrało się błyskawicznie – srebrzysty błysk, a potem czerwona niespodzianka. Kilku próbowało walczyć, a dwóch Święty John w innych okolicznościach mógłby nawet podziwiać. Ale nie tutaj i nie teraz.

Święty John odmalował nimi ściany. Otworzył dla nich bramy i przesłał ich nimi ku nowym doznaniom. Najdłużej zajmował się dwoma mężczyznami, którzy byli w pokoju z Tommym. Byli ostatnimi, których znalazł. Mieli pecha, gdyż Święty John postanowił poświęcić im więcej czasu, by podzielić się swoimi tajemnicami. Przez cały czas chłopak pozostawał nieprzytomny, i bardzo dobrze, choć Święty John żałował, że Peter nie mógł być świadkiem tych wydarzeń. To dziecko przypuszczalnie potrafiłoby zrozumieć i docenić czystość tego wszystkiego.

Święty John pozostawił dorosłych więźniów z kluczami, bronią i otwartymi drzwiami. Rozpalił ogień w ciałach martwych mężczyzn oraz na łózkach, gdzie leżały kobiety i to ciało. Kiedy stamtąd wychodził, budynek zmienił się w strzelisty słup żółtych płomieni.

Święty John niósł na rękach Tommy'ego. Gdy byli w połowie drogi do katedry, dziecko otworzyło oczy. Zaczęło okładać go małymi piąstkami.

– N... nie – wychrypiał chłopiec.

– Nie – powtórzył Święty John. – I nigdy więcej.

Chłopiec uświadomił sobie, że był otulony czystym kocem, a kiedy popatrzył w oczy Świętego Johna, rozplakał się. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie słów. Prawdę mówiąc, nie istniał leksykon tego typu doświadczeń możliwych do przełożenia na język ludzki. Święty John wiedział o tym już wtedy, kiedy znęcał się nad nim jego ojciec i ci plugawi stękający faceci. Spojrzenie, jakie wymienił z chłopcem, było dostatecznie wymowne.

Święty John pochylił się i wyszeptał do niego:

– To był sen, Tommy, i już się skończył. Peter i inni przyjaciele czekają na ciebie.

Kiedy dotarł do placu, przy którym wznosiła się katedra, Święty John zauważył, że ogień na dachu wygasł. Dachówki były osmalone, ale katedra nie spłonęła. A przynajmniej nie tej nocy.

Płomienie gorejącego hotelu rozświetliły noc i kiedy tak maszerował, Święty John ujrzał innych cherubinów – anioły – i umorusaną Rose stojących u wejścia do świątyni, otoczonych łukowatym sklepieniem z wizerunkami świętych; wszyscy patrzyli w jego stronę.

Peter odłączył się od pozostałych, zbiegł po schodach i już był po drugiej stronie ulicy. Płakał, ale

wciąż trzymał w ręku nóż i ścisnął go z wprawą. Z mocą i miłością. Święty John aprobował jedno i drugie.

Rose także podeszła, chwiejąc się i potykając, bardzo przejęta. Jej oblicze pałało wewnętrznym blaskiem, a po chwili wyciągnęła ręce, by wziąć Tommy'ego od Świętego Johna. Jej czoło zmarszczyło się w wyrazie zakłopotania.

– Dlaczego? – spytała.

Nie potrafił jej tego wyjaśnić. Nie teraz. Może z czasem zrozumie. A może nie.

Rose odwróciła się, kręcąc głową i niosąc Tommy'ego w stronę katedry, otoczona wianuszkiem innych aniołków.

Święty John i Peter pozostali na środku ulicy. Patrzyli na pozostałych, aż tamci zniknęli pośród cieni, po czym odwrócili się, obserwując widoczną na niebie ognistą lunę. Wreszcie spojrzeli na siebie nawzajem. Peter powoli wyciągnął rękę i podał Świętemu Johnowi nóż zwrócony rękojeścią na zewnątrz.

Święty John był od stóp do głów umazany krwią. Miał kilka siniaków i skaleczeń na twarzy i dłoniach. Przykucnął, przyglądając się chłopcu.

– Nie – powiedział, oddając mu nóż. – Dobrze wygląda w twojej ręce.

Chłopak pokiwał głową.

– Nie odpowiedziałeś pani – rzekł. – Zapytała cię, dlaczego poszedłeś i przyprowadziłeś Tommy'ego z powrotem.

– Nie – przyznał Święty John. – Czy muszę to wyjaśniać tobie?

Peter popatrzył na nóż i na krew na twarzy Świętego Johna, po czym spojrział mu w oczy. Ta chwila wydłużała się, podczas gdy wokół nich z nieba sypał się popiół. Gdzieś z oddali dobiegały krzyki i terkot broni automatycznej.

– Nie – powiedział Peter.

Święty John wiedział, że ten chłopak mógłby nawet sam spróbować odbić Tommy'ego. Oczywiście przypłaciliby to życiem i obaj o tym wiedzieli. Peter wciąż był zbyt młody. Ale starałby się ze wszystkich sił, a mężczyźni w hotelu mogliby się bardzo zdziwić. Na pewno nie spodziewaliby się tego. Chłopak nie zginąłby sam.

Święty John pokiwał głową z milczącą aprobatą.

Uśmiechnęli się do siebie nawzajem. Wspólnie przeszli przez ulicę, wspięli się po schodach i stanęli na najwyższym stopniu, obserwując umierające miasto. Pożary szalały już w kilkunastu miejscach.

– Ładne – rzekł Peter.

– Piękne – powiedział Święty John.

Chłopak zamyślił się. Pokiwał głową.

Wokół nich z nieba sypały się płatki złotego, żarzącego się popiołu.

Przełożył Robert P. Lipski

Lauren Groff

Ruta

Dziewczęta zakradają się nocami. Rankiem ogród przedstawia żaloszny widok: łyse plamy we wrotyczu i zdziesiątkowany krwawnik. Werbena i mięta, złocien maruna i szałwia, imbir, melisa, pietruszka. Dzięki nalewce lub naparowi z którejkolwiek z tych roślin białe brzuchy dziewcząt pozostają wciąż jednakowo płaskie i jędrne, wyskrobane od wewnątrz. To prawda, ogród założyłam właśnie dla nich. Jestem świadoma tego, że w kraju rządzonym przez Duchownych, którzy w imię Boga zaprowadzili w nim zupełnie nowe porządki, z powodu mocy roślin z mojego ogrodu z łatwością mogę skończyć na szubienicy. W najlepszym wypadku czeka mnie publiczna chłosta. Dziewczęta jednak trzymają tę informację w tajemnicy i nieustannie korzystają z dobrodziejstw moich upraw. Są jak dla mnie zbyt szybkie. Obserwują mój dom i nasłuchują odgłosów szurania mojej chorej nogi. Kiedy wiem, że tam są, wstaję i najciszej jak potrafię kuśtykam do drzwi. Lecz w nagłym snopie światła sączącym się przez szparę na ogród dostrzegam zawsze tylko cień dziewczyny, białej łani skaczącej przez kamienny murek.

Dzisiejszej nocy słyszę jedną z nich w ogrodzie. Zatrzymuję film i przemieszczam się cicho przez dom w kierunku trawnika. Podchodzę na tyle blisko, że jestem w stanie chwycić ją za ramię. Albo jest głupia, albo strach rzucił się jej na uszy. Wije się w moim uścisku, a przerażenie zmienia całkowicie jej szeroką trójkątną twarz. Trzyma poszewkę pełną ruty.

Znam tę dziewczynę. To ta długonoga, która wilgotnym oddechem moczy ławkę. Potem zwija swoje rude włosy w pędzel i wmalowuje wilgoć w obrazy, które znikają, zanim je kończy. Chłopcy uważają to zachowanie za tajemnicze. Ja za odrażające. Eseje, które pisze na moich zajęciach, są nad wyraz banalne i niegramatyczne.

Wiem, dlaczego tu jesteś, mówię.

Mruży oczy w jednej chwili pełne łez. Odbijają się w nich dwa ubywające księżyce.

Nie mów, szepcze. Nie zawiadamiaj Duchownych.

Wzruszam ramionami: Muszę, mówię. To, co robisz, jest niezgodne z prawem. Możesz za to pójść do więzienia, a nawet umrzeć. Ale jeśli będziesz miała szczęście, może trafisz tylko do jednego z obozów pracy.

Och, mówi. Madame. Proszę. Zrobię, co tylko pani zechce.

Patrzy mi głęboko w oczy, starając się nie odwracać wzroku. Cokolwiek, dodaje i wyciąga w moim kierunku rękę w geście pieśczości. Obserwuję jej rękę. Jak zbliża się do mojego ramienia. Drży i cofa się. Nie potrafi na mnie spojrzeć.

To mnie nie interesuje, mówię sucho. Ale jest coś, co możesz zrobić.

Jej twarz na krótką chwilę rozświecła się nadzieją. Jednak pod ciężarem moich słów, pod ciężarem tego wszystkiego, czego od niej żądam, iskierka nadziei gaśnie. Ociężale spuszcza głowę na pierś. Kiedy kiwa potakująco głową, księżycy spadają z jej oczu i rozbijają się o ziemię.

Dni mijają. Stan oczekiwania rośnie we mnie jak pulsująca żywa istota w tym moim spalonym na popiół ciele. Czas spędzam na zajęciach w szkole, czytam uczniom Perraulta, zostawiam ślady, ale nikt nie jest na tyle bystry, by się zorientować, co robię. Pokazuję im filmy, które znalazłam w sieci, *R'bout de soufflé*, *Les enfants du paradis*. Błuznierstwo przestaje być bluznierstwem ubrane w obcy język. Poza tym uczniowie nie rozumieją wystarczająco dużo, by skarżyć się komukolwiek.

Wraz z dźwiękiem dzwonka podczas międzylekcyjnych modlitw zauważam opięty mundurek na brzuchu rudej dziewczyny. Dostrzega, że dostrzegam go, wzdryga się i blednie.

Czekam na nią w ciemności, otoczona morzem sięgającej mi do ud marchwi zwyczajnej. W końcu pojawia się i powłócząc nogami, przechodzi przez furtkę. Jeśli myśli, że nie dostrzegam tego cichego i niezłomnego uporu, jaki z niej emanuje, gdy biorę ją pod rękę i prowadzę do mojego domu, to jest naprawdę głupią gąską.

Tak jak myślałam, spuścili psy. Lecz zdążyłam już zmyć jej zapach ze ścieżki przed domem szlauchem, a sukienkę pełną kamieni oddałam na przechowanie rzece. Cały dzień słyszymy ujadanie tych biednych stworzeń przy rzece, a kiedy lokalni Duchowni pojawiają się u moich drzwi, dziewczyna jest bezpieczna, ukryta na poddaszu, a ja wyławiam swoją bieliznę ze stojącego na piecyku gara.

Mężczyznom nie wolno patrzeć na intymne rzeczy kobiet, a choć to, co zakazane, najbardziej kusi, nie wydaje mi się, żeby Duchownym specjalnie zależało na widoku moich półprzezroczystych bieliźnianych okropności. By zrobić mi przyjemność, z trudem przypominają sobie poznane na moich zajęciach francuskie zwroty grzecznościowe, kończą rozmowę i kłaniając się, odchodzą.

W końcu zostajemy same.

W szkole zachowuję się jak gdyby nigdy nic, a przecież pod moim dachem goszczę dziewczynę, która w oczach przybiera na wadze. Parzę kawę z cykorii, bo robię to najlepiej ze wszystkich, i słucham wypowiedanej półgłosem przez innych nauczycieli krytyki rządu, gdy przed Pierwszą Modlitwą czytają „Wiadomości Krajowe”. Zbyt wystraszeni, by robić to głośno, zbyt słabi, by zatrzymać to tylko dla siebie. Te bezbarwne i nędzne istoty nazywają się moim kolegami.

Uczę dalej. *Un, deux, trois* w klasie podstawowej. *Demain, d'ès l'aube* w liceum. Plotki się mnożą, a ja wszystko słyszę. Gdy jest się tak brzydkim jak ja, ludzie niemal przestają cię dostrzegać. Stajesz się dla nich powietrzem. Ludzie mają różne teorie na temat dziewczyny, która swoim zaskakującym zniknięciem zyskała niemal status drugiej Joanny d'Arc. Mówią, że zbuntowała się przeciwko surowemu reżimowi Duchownych i uciekła w góry z anarchistami. Nietrudno ujrzyć ją oczami tych pełnych nadziei dzieci, zobaczyć, jak dzierżąc miecze w obydwu dłoniach, zbiega z gór, niesiona płomiennorudą falą swoich włosów. Nawet ci chłopcy, którzy znali głębię jej nieprawości, nie mieli

najmniejszego pojęcia, gdzie mogła być: na mojej kanapie oglądała ewangelizujące programy i zajadała się bogatym w składniki odżywcze domowym budyniem, świeżym chlebem i dżemem malinowym.

Choć mój dom oddalony jest od drogi, rolety opuszczone są dzień i noc. Pewnego dnia, gdy wracam ze szkoły, już z daleka słyszę jej wysoki czysty sopran przecinający powietrze. Gramolę się ociężale do środka i jak wściekły kot rzucam się na nią z sykiem.

Od tej pory żyje w ciszy. Brak słońca sprawia, że jej skóra szarzeje, tylko długie rude włosy wciąż lśnią pełnym blaskiem w ciemności domu.

Nienawidzę cię, szepcze pewnej nocy znad pieczonego kurczaka.

Udaję, że nie słyszę.

Nienawidzę cię, powtarza głośniej.

Cóż za niewdzięczność. Wymierzam jej policzek.

Przykłada dłoń do policzka, na którym różem znaczy się odcisk mojej ręki.

Beze mnie, mówię, byłabyś już w rękach Duchownych. Wiesz, co by z tobą zrobili? Jak tylko wydałabyś na świat dziecko, czekałaby cię śmierć.

Nie, mówi. Sprawiałabym, żeby się ze mną ożenił. Byłabym wolna.

Uśmiecham się do niej całkiem miło. Który z nich?, pytam. I już cała jej twarz, nie tylko policzek, przybiera ceglasty kolor. Wytrzymuje moje spojrzenie przez jedno uderzenie serca, a potem schyla

głowę i solą z łez doprawia mięso na talerzu.

Wreszcie nadchodzi czas rozwiązania. Z wysiłkiem zatykam jej usta, by stłumić jej krzyki. Dzwonię do szkoły, melduję, że jestem chora, i jednocześnie szczypię się w nos, by wywołać wrażenie problemów z zatokami. Sekretarka jest zaskoczona: pracuję już dwadzieścia pięć lat, lecz nigdy jeszcze nie byłam chora. A potem już tylko nieustająca krzątanina: czajniki gorącej wody, prześcieradła rwane na kawałki, by zatrzymać upływ krwi, rdza rozlewająca się na mój materac. Puszczam głośno płyty moich rodziców z muzyką Chopina, by zagłuszyć jej ból. Cały dzień i całą noc toczymy bój, dziewczyna, ja, Jakub i anioł. Zapach potu wypełnia powietrze.

Wydaje się, że ciało dziewczyny rozpoławia się, a już po chwili dziecko, ta śliska żyjąca rzecz, wydziera się wniebogłosy na moich rękach. To tłuściutka dziewczynka pokryta delikatnymi zawijaskami rudych włosów. Otwiera oczy. Dostrzegam błękit nieba.

Gdy tak patrzę na to stworzenie piękniejsze od wszystkiego, co widziałam w życiu, czuję, jak wlatuję poza to powykręcane ciało, które nazywam swoim. To dziecko jest moje.

Kiedy oczarowana podnoszę wzrok, dziewczyna na łóżku wyciąga ręce w moją stronę, z pożądaniem na twarzy. Poproszę, mówi, a ja podaję jej dziecko.

Och, słyszę. Jest taka piękna. Niemowlę trąca jej pierś, przysuwa małą twarz do sutka i usiłuje przystawić się. Dziewczyna, szlochając, szepcze, moje maleństwo.

Wrywam jej dziecko. To moje dziecko, prawie krzyczę.

Nie, odpowiada ona. I znów ten ośli upór. Zaskakuje mnie swoim zdecydowaniem. Siada, opierając się o wezgłowie łóżka, choć wciąż krwawi i wyraźnie widać, że ta pozycja sprawia jej ból. Wyciąga w moją stronę palec. Oddaj mi moje dziecko.

Ty żadasz? Twoja sytuacja nie uprawnia cię do wysuwania jakichkolwiek żądań. Wystarczy, że powiadomię Duchownych, i twój los jest przesądzony. Nie przetrwałabyś nawet roku w obozie

pracy.

Niemądra twarz dziewczyny zamienia się w zdecydowaną pięść. To, co Duchowni zrobią ze mną, mówi miękko i łagodnie, będzie niczym w porównaniu z tym, co zrobią tobie. Zastygam na długą okropną chwilę. Zdarza się, że nawet idiota miewa przebłycki olśnienia.

Prawda jest taka, że nie przeżyłabym nigdy tego, co spotkało mnie w młodości, gdybym nie była sprytna. Przeżyłam, choć z uszczerbkiem na zdrowiu. Uszkodzona noga to wynik przecięcia ścięgna Achillesa. Zniekształcona macica to rezultat wymuszonego użycia. Obierałam ziemniaki w kuchni rebeliantów, recytując wiersze w językach romańskich i odświeżając swój doktorat z literatury porównawczej. W bezsenne noce leżałam na plecach, przekładając poezje na angielski. Drogo okupiłam swoją brzydotę.

Udawałam, że godzę się na jej warunki. Przez dwa dni znosiłam jej apodyktyczne zachowanie, gdy tonem nieznoszącym sprzeciwu żądała jedzenia i pomocy. Pozorowałam strach, widząc w jej ręku słuchawkę telefonu, którą podnosiła, gdy tylko zbliżałam się do jej dziecka. Trzeciej nocy doprawiłam jej herbatę mielonymi kwiatami męczennicy. Męczennica z pstrokatymi płatkami i ciepłym, czarnym sercem. Twarz dziewczyny złagodniała w głębokim śnie.

Niemowlę wyssało męczennicę wraz mlekiem matki i spokojnie spało przez ponad dwadzieścia cztery godziny. Tak oto kupiłam sobie cenny czas. Zanim dziecko się obudziło, rowerem pokonałam noc i dzień i kolejną noc, wioząc je przytroczone jak garb do moich pleców. Gdy zaczęło się wiercić, rower już dawno leżał porzucony przy drodze, a my byliśmy bezpieczne w pociągu.

Na stacji przygotowałam ogromną butlę mleka. Gdy mała zaczęła się przebudzać, włożyłam smoczek do jej ust, a ona ssała i ssała, zaspokajając głód.

Teraz patrzy na mnie nasycona, czysta, kołysana ruchem szybkiego pociągu. Uśmiecham się do niej. Wyobrażam sobie, jak jej matka budzi się w moim łóżku w swoim bólu i brudzie i wolno podnosi dłoń do ślicznej, bladej twarzy. Widzę, jak mruży oczy oślepiąca światłem przeświecającym przez rozchylone po raz pierwszy od wielu miesięcy kotary. Promienie słońca padają na pustą kołyskę przy łóżku. Dom wypełnia się ciszą jak niemym oskarżeniem.

Mężczyzna w garniturze spogląda na nas sponad dzisiejszego wydania „Wiadomości Krajowych” i uśmiecha się. Babcia?, pyta, a ja odwzajemniam uśmiech. Matka chrzestna, pada moja odpowiedź. Odpowiada wymaganą formułką: Błogosławieni niech będą rodzice chrzestni, choć w jego spojrzeniu widać lekkie zdziwienie, gdy taksuje wzrokiem moje pokręcone ciało. Rodzice chrzestni zwykle są zdrowi i młodzi, zdolni wychować dzieci, gdy zabraknie rodziców, którzy mogą zostać zadenuncjowani i deportowani, jeśli Duchowni uznają, że ich odchyleń nie da się już w żaden sposób uleczyć.

Jestem chyba najbardziej nieprawdopodobną matką chrzestną, jaką ten mężczyzna widział na oczy.

Wiem, że jestem najbardziej nieprawdopodobną matką chrzestną. Oczywiście, że wiem.

I tak, unikając szumu, przybywamy do nadmorskiego miasteczka.

Tego samego popołudnia kupuję dom przy drodze zagubionej w gąszczu porastających wydmy roślinności. Stary dom z dwuspadowym dachem opatulony poszarzałymi od wiatru deskami. Agentka nieruchomości z pewnym wahaniem wyznaje, że dom jest tak tani, ponieważ od wielu już lat nie udało się go sprzedać, ponieważ ma opinię... nawiedzonego. Wybucham śmiechem, a dziecko odpowiada mi gruchaniem podobnym do ptasiego.

Duchy, mówię, nie przeszkadzają nam.

Jest na odludziu, dodaje. Osiem kilometrów od najbliższego sklepu.

Nie potrzeba nam towarzystwa, mówię.

Tam, gdzie stoi dom, fale są zbyt wysokie, by opalać się na skałach. Pływać też nie można, bo prąd powierzchniowy natychmiast znosi na pełne morze.

Czy wyglądam na zagorzałą plażowniczkę?, odpowiadam sarkastycznie, a kobieta spuszcza wzrok. Weźmiemy go, dodaję już spokojniej.

Jeśli agentka jest zdziwiona faktem, że tak skrupulatnie odliczam pieniądze, nie daje tego po sobie poznać. Wręcza mi klucz. Możemy dostarczyć dziś pani zakupy. Przywiezie je chłopiec na rowerze. Taką przysługę wyświadczamy wszystkim naszym nabywcom. Uśmiecham się do niej i spędzam kilka minut na przygotowaniu listy rzeczy, których potrzebuję. Unosi brwi w lekkim zdumieniu, gdy przebiega po niej wzrokiem, ale przełyka ślinę i kiwa potwierdzająco głową. Czuję, jak ogarnia ją ulga, gdy w końcu opuszczam pomieszczenie.

Chłopcy zjawiają się, gdy wszystkie okna i drzwi są już pootwierane, a silny wiatr wywiewa z domu zalegający w nim od dawna pył i kurz. Nie próżnowałam. Kuchenne płytki lśnią oryginalną białością, a sypialnia pachnie umytą podłogą.

Siedmiu nad wyraz wyczerpanych chłopców parkuje rowery przed werandą. Wnoszą do środka drewniane skrzynki, a krople ich potu rozbijają się o deski podłogi. Mała cicho gaworzy i jeden z nich – ładny blondyn z błękitnymi oczami – przystaje, by się do niej uśmiechnąć. Daję im hojne napiwki i odjeżdżają w objęciach zmierzchu z powrotem do miasta.

Zamykam drzwi. Postanawiam, że ci chłopcy będą ostatnimi mężczyznami, którzy kiedykolwiek przekroczyli próg tego domu. Mówię to głośno, by w ogóle to powiedzieć. Słowa wibrują w powietrzu i powracają do mnie srebrzystym i czystym dźwiękiem. Duchy zgadzają się ze mną.

Po szybkiej kolacji i pełnej butelce mleka wynoszę niemowlę do ogrodu na tyłach domu, który kończy się wraz z krawędzią klifu. Gwiazdy srebrzą się ponad czerwoną linią zachodzącego słońca. Unoszę dziecko, by pokazać mu ten bezmiar piękna. Chcę, by w pełni poczuło moc i siłę nocnego wiatru.

To właśnie jest szczęście, moja mała, mówię na głos i zaczynam się śmiać po raz pierwszy od lat. Niemowlę wysuwa różowy języczek i zlizuje sól z powietrza.

Jej imię poznaję dopiero wtedy, gdy już pewnie trzyma główkę. Nie mogę uwierzyć, że trwało to aż tak długo. Nazwa ziół, które jej matka zbierała w moim ogrodzie tej pamiętnej nocy; czuję, jak świat, który opuściłyśmy, wypełnia się gwałtownie gniewem i żalem jej matki.

Ruta^[2], mówię, uśmiechając się. Moja droga, mówię do dziecka, które mruga powiekami i nagle wyostrza wzrok. Moja córko, twoje imię brzmi Ruta.

Każdego dnia przeglądam „Wiadomości Krajowe”, aż w końcu natrafiam na artykuł o zbiegłej dziewczynie, która powraca do domu. Wyobrażam sobie, jak matka Ruty powoli wraca do zdrowia, żywiąc się wszystkim, co znajduje w moim domu, aż w końcu zjada wszystkie zapasy. Po kolejnym tygodniu głód wygania ją do domu.

Czytam dalej i dowiaduję się, że spędziła tydzień w miejskich dybach. Myślę wtedy o wypolerowanym przez wiele szuj kawałku drewna na niewielkim podwyższeniu przed Biblioteką. O jego zapachu przesiąkniętym potem i wstydem i o kroplach deszczu na sękach.

Czytam dalej, że w związku ze skomplikowaną naturą jej sprawy dziewczyna zostanie wysłana na kilka miesięcy do obozu pracy. Widzę ją, jak rozbija skały, na każdej widząc moją twarz.

Drzę. Kładę dłoń na plecach mojej dziewczynki. Jej miarowy oddech mnie uspokaja. Splata się z nieustannym odgłosem morskich fal. To echo czy źródło? Tylko głupiec szukałby odpowiedzi na to pytanie.

Wiatr staje się mroźny. Pod ciężarem mojego ciała rower ślizga się po drodze, którą usiłuję pokonać, jadąc do miasteczka. Niepokoję się o Rutę umoszczoną na maleńkim siedzeniu za mną. Postanawiam zawrócić i zamawiam zakupy przez telefon. Mija jakiś czas i mężczyzna kładzie je na werandzie, zabierając ze sobą kopertę z pieniędzmi. Poszło niezwykle gładko. Zaczęłam się obawiać ludzkich spojrzeń. Nieustannie prześladowuje mnie uczucie, że gdziekolwiek się pojawię, obserwują mnie oczy matki dziecka. Aż do wiosny robię więc zakupy przez telefon. Wtedy wiatry cichną i przynoszą ze sobą słodkawą woń wyrzuconych na brzeg wodorostów i kwitnących drzew wiśniowych. Przystaję prenumerować „Wiadomości Krajowe”. Jeśli nawet świat porusza trybami swojej maszyny, to ja nic o tym nie wiem i nie chcę wiedzieć. Dziecko rośnie, siada i uśmiecha się. Jego skóra pokryta jest drobnymi włoskami tak delikatnymi i gładkimi, że trudno mi się oprzeć, by nie pocierać o nią policzkiem. Włosy ma koloru światła widzianego przez pryzmat kieliszka wina. Mówię do niej po francusku i to jest jej pierwszy język. Na początku lekko się zacina, potem sepleni, aż w końcu wymawia płynnie zdania. Woła na mnie *maman*. Białemu kociakowi, który pewnego poranka zawitał głodny na naszą werandę, daję na imię Milou po psie z komiksu. Wkrótce papie jak najęta, przechadzając się w ślicznych sukieneczkach, które szyję dla niej, słodkiego kanarka. Język staje się

kolejną ścianą, którą stawiam między moją córką a światem. Wszystko nas dzieli od niego.

Moja córka czasami jest syreną, czasami wodą. Często wędrujemy poza nasze skały na spokojniejszy odcinek plaży, gdzie kuca przy ogromnych kałużach morskiej wody i obserwuje wszystko, co się w niej porusza. *Regarde, maman*, woła i wskazuje palcem w dół. Olśniewa mnie miniaturowy podwodny świat. Jeże morskie koloru miąższu dyni. Półprzezroczyste kraby straszące moją dziewczynkę szczypcami, jakby wygrażały bogom. Czerwień jej głowy odcina się od wietrznego nieba okolona masywną koroną warkoczy. Patrzę na nią i ogarnia mnie błogość. Moja mała dziewczynka w rajstopach i kurtce ze zmarzniętymi dłońmi. Śliczna. Twarz i włosy to wierna kopia matki. Oczy spozierają moją przenikliwością.

Nasze dni są krótkie i pełne słodyczy. Zasypia na moich kolanach, gdy czytam jej do snu. Lecz pod tym wszystkim czai się wściekłość tej drugiej matki. Czuję, jak skrada się, zasnuwając cieniem nasze życie, definiując je tak, jak ciemność definiuje światło. Tego, że ona przyjdzie, jestem pewna, i tego tylko się boję.

* * *

Pory roku mijają jednak spokojnie jak w raju. Cieszy nas nasze własne towarzystwo, kot zwinięty w kłębek na kolanach, doręczone i przeczytane książki i smaczne posiłki z owoców i warzyw z naszego ogrodu. Każdego wieczoru wsłuchujemy się w fale przyboju, a ja wyczesuję jej włosy. Niekiedy udajemy, że tworzą namiot, pod który wślizguję się, oddychając ich specyficznym zapachem. Narzucam je na swoją twarz i stają się moimi włosami, i wybuchamy śmiechem, bo wokół mojej pooranej zmarszczkami twarzy wyglądają naprawdę zabawnie. Zakręcam je sobie też wokół nadgarstków; oswobodzenie mnie zabiera jej trochę czasu. Jest niezwykle łagodna i ma głęboki sen. Dla Ruty wychowanej na słodyczach, morskim powietrzu i literaturze marzenia są równie rzeczywiste jak pokoje w naszym domu.

Ale dzisiaj, gdy kuca odziana w zeszłoroczny kostium kąpielowy, przyglądając się swoim starym przyjaciółom w kałuży morskiej wody, dostrzegam, jak ściśle opina on jej ciało. Urosła. Jej biodra, biust i wargi nagle rozkwitły. Wstaję poruszona, trzęsę się. Z moich ust wydobywa się tylko słabe: ooch. Biegnie najszybciej, jak może: jej włosy są tak ciężkie, że nie może poruszać się ani tak

szybko, ani tak zwinnie jak kiedyś, lecz robi wszystko, by mi pomóc. Pyta, czy mi zimno, a ja kiwam głową na tak, lecz pozostaję niema. Ciało odmawia mi posłuszeństwa. Cała się trzęsę, a moje drżące wargi nie składają się w słowa.

Ruta szepcze do mnie uspokajająco i pomaga mi pokonać ni stąd, ni zowąd długą i niezwykle stromą ścieżkę do domu. Odgarnia kosmyki przerzedzonych włosów z mojego czoła i tak długo mnie gładzi, aż w końcu zasypiam spokojna.

Coś się zmieniło. Kuleję coraz bardziej, a słowa z trudem znajdują drogę do moich ust. Ruta wyręcza mnie w sprzątaniu, choć od ciężaru włosów na pewno boli ją kark, gdy z pochyloną głową zawzięcie szoruje podłogi, wydając przy tym niskie pochrząkiwania, które przypominają mi o czymś, o czym wolałabym nie pamiętać. Od czasu do czasu widzę jej włosy spoczywające na okiennym parapecie – chwila ulgi dla jej zmęczonej szyi. Mówię jej, czego potrzebujemy, i to ona przygotowuje listy zakupów. Spod moich trzęsących się rąk wychodzą tylko nieczytelne litery. Wciąż jednak mogę składać zamówienia, którym ona przysłuchuje się z dziwnym wyrazem twarzy – nie uczyłam jej angielskiego i bardzo uważałam, by nigdy nie usłyszała, że mówię w tym języku. Lecz gdy i to przerasta moje siły i mężczyzna po drugiej stronie słuchawki traci cierpliwość, Ruta wyjmuję mi telefon z ręki i lekko sepleniąc, stara się naśladować moje dźwięki. Całkiem nieźle jej idzie i jestem z niej bardzo dumna, choć zdarzają się zabawne pomyłki. Raz zamiast czereśni dostajemy czyściki, innym razem zamiast ryżu nóż. Nigdy natomiast nie pozwalam jej zanosić koperty z pieniędzmi na werandę. Nieważne, jak dużo czasu zajmuje mi dojście na werandę i jak często muszę przystawać po drodze do drzwi, to ja biorę na siebie ryzyko spotkania z dostawcą. Mój jedyne skarby ukrywam w środku, tak jak ukrywałam ją w sobie przez te wszystkie lata, zanim poznałam jej matkę i ją samą – nasiono czekające na odpowiedni moment, by rozkwitnąć.

* * *

I znów mamy zimę. Stoję na niewielkim tarasie na szczycie domu, gdy ranek obejmuje swoim ramieniem morze. Obserwuję mężczyznę tulącego w dłoniach papierosa za wydmami. Jego gęste włosy mienią się odcieniem złota, lecz serce jest różową łysiną. Nie wydaje się stary. Jest w nim swego rodzaju młodzieńcza witalność. Nosi takie samo luźne ubranie jak inni dostawcy w dzisiejszych czasach. Po kolei przygląda się uważnie wszystkim oknom. W czarnej sukience za balustradą na szczycie domu wtapiam się w tło. Nawet stąd widzę zieleń jego oczu. Ciska niedopałek w wodorosty. Idiota, mruczę. Może zaproszyć ogień. Jednak nie, przynajmniej ja nic nie widzę. Nic

nie dostrzega. Wiatr wzmaga się i staje się coraz zimniejszy, mężczyzna przerzuca jedną nogę przez ramę roweru, wsiada i odjeżdża.

Moje ciało wypełnia energia wściekłości: obiecałam Rucie, że sprawimy sobie komplet nowych ubrań, czyż nie wspaniale! Zapamiętałam prujemy sukienki, bajkowe fatałaszkę stworzone na podstawie wzorów, które wydobyłam z pamięci odległego dzieciństwa – wszystkie obozy pływackie, kotyliony i zapomniane już pastelowe sukienki szyte na wiosnę. Ruta śmieje się. Podniecenie wywołane aktem niszczenia wypełnia ją jak żądza krwi. Muszę ją czymś zająć, zatrzymać w domu z dala od okien. Mój umysł nieustannie pracuje. We włosy wplątam jej wstążki, a ramiona okrywam zmyślną pelerynką. Jednak nawet w tym dzieciennym i zabawnym przebraniu wygląda jak bogini.

Śmiejemy się, lecz czuję zapach dymu. Zanim dojdę do okna, chłopak lub mężczyzna, lub chłopak-mężczyzna znika i pozostaje sama ze swoją furją.

Ruta jest tak zafascynowana naszym projektem, że nie zauważam, by w ogóle wychodziła na zewnątrz. Nawet kiedy nalegam, byśmy poszły do naszego ulubionego miejsca na plaży, odmawia. A teraz siedzi i marszczy brwi, szyjąc spódnice. Kiedy spoglądam na jej pracę, czuję mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Po bokach spódnica ma bogato haftowane dziurki, a na przodzie falbany. To jest najbrzydsza i najbardziej niestosowna część garderoby, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć. Samo patrzenie na nią wydaje się nieprzyzwoite.

Domagam się, by powiedziała mi, skąd w ogóle przyszedł jej do głowy taki pomysł. Wiem, że moja dziewczynka jest marzycielką, ale jej wyobraźni nie podsyca ogień tego rodzaju.

Ruta czerwieni się i wzrusza ramionami, lecz przynosi mi czasopismo, które znalazła pod jabłonią w ogrodzie. Pełno w nim niestworzonych opowieści, głupich, jaskrawo ubranych i dziwnie wyglądających ludzi i słów tak strasznych, że gdyby pismo dostało się w ręce Duchownych, skazałoby na śmierć każdego, kto by je czytał. Odrzucam czasopismo, jakby mnie parzyło. Ruta patrzy na mnie z ukosa i pyta, czego tak bardzo nienawidzę w przedstawionym tam świecie. Chcę powiedzieć jej wszystko o rebeliantach, którzy metodycznie mnie niszczyli, o Duchownych, którzy uwięzili nas w regułach, o moim starym i pokręconym ciele, o moim ohydny karcerze. Patrzę na moją córkę, której za wszelką cenę starałam się tego oszczędzić, uchronić ją przed tym przez te wszystkie lata. Tylko przygryzam wargę. Składam pocałunek na jej włosach, podnoszę czasopismo i idę wolno w stronę klifu, gdzie ciskam je do wstrząsanego gwałtownymi falami morza.

Staję się niezwykle czujna. Zdobywam się na dodatkowy wysiłek i kiedy Ruta usypia, schodzę z naszego wzgórza. Kamieniami przywiezionymi na taczkach, zmieniam bieg strumienia, który szerokim korytem przecina ścieżkę. Teraz dostawcy muszą zostawiać rowery daleko w dole i pokonywać pozostałe półtora kilometra pod górę w mokrych butach. Już z daleka słyszę ich człapanie i spotykam ich daleko od domu, by wręczyć pieniądze trzęsącą się ręką.

Wieczorem Ruta czyta powieść i trzyma głowę na moich kolanach. Patrzą na nią, gładząc jej ciepłe włosy. W końcu odkłada książkę, wzdycha i pyta, co mnie męczy.

I nie mogę się już dłużej powstrzymać. Tracę panowanie i w przerażeniu słyszę, jak wyrzucam z siebie francuskie słowa: Umarłabym, gdybyś mnie opuściła.

Żadne to pocieszenie, gdy siada z twarzą na kształt znaku zapytania. Cicho pyta, gdzie miałyby pójść. I teraz dopiero dociera do mnie, co zrobiłam. Ogarnia mnie przerażenie: chora myśl mojego umysłu, uwolniona, rozpalila jej wyobraźnię.

Kiedyś jej twarz była jak okno, teraz zamyka się jak drzwi. Znika i kiedy ją wołam, chodząc po domu, słyszę tylko duchy meczące jak stare kozy, przedrzeźniające mnie. Rankami pachnie trawą i nocą. Zamykam ją w pokoju, odkręca zawiasy śrubokrętem. Kuszę ją ciastkami i kremem, lecz trzyma się z dala od domu, żywiąc się słonymi, twardymi śliwkami z ogrodu, które wykrzywają jej usta. Szlocham, a ona tylko patrzy tymi swoimi zimnymi oczami.

Mrugam i nagle jej nie ma. Bez niej dom opustoszał i zniedołężniał. Pod wpływem mocnych podmuchów morskiego wiatru szyby w oknach pękają jedna za drugą, a dach gubi gonty tak jak ja zęby.

Wiedziałam, że jej matka w końcu przyjdzie, jednak nigdy nie byłam pewna, skąd nastąpi atak: przez te wszystkie lata obawiałam się tej jej ciemnej i gniewnej siły, która wzmagala się z każdym rokiem naszej rozłąki, by w końcu się uwolnić. Wyobrażałam sobie, że kradnie mi córkę, tak jak ja ukradłam ją jej. Wyobrażałam sobie, jak maszeruje pod górę, unosząc swoje dziecko jak drobnego noworodka, a warkocze Ruty zbierają kurz z drogi.

Oczami wyobraźni widziałam, jak chwytam te warkocze i zjeżdżam na nich ze wzgórza do miasta

i obwiązuję się nimi tak mocno, że gdy obie wsiadają do pociągu, ciągną mnie za sobą jak latawiec na wietrze.

Od wielu lat jestem jednak pewna, że jej matka nie żyje. Powinnam była przewidzieć, że jeśli miałyby się w jakiś sposób objawić, to przysłaby pod postacią mojej córki, w jej krwi. W tej jednej rzeczy, której nie mogłam jej dać. Choć tak bardzo chciałam to zrobić.

Te noce, kiedy nawet poezja nie pomagała, kiedy leżałam, słuchając głuchych uderzeń bólu, w zimnym deszczu w górach, gdy przychodzili mężczyźni i odpływałam, kiedy tylko mogłam, i obiecywałam sobie córkę.

A teraz klęczę w niewielkim gnieździe uwitym z długich warkoczy mojej córki, ściętych jej rękami, i czekam, by to stare, niezdatne już do niczego ciało opuściło mnie.

Trawiona głodem i pragnieniem, widzę wyraźnie te zaloty. Niemal wiem, jak do tego doszło. Pierwsze słowa, gdy wyszedł z za gruszy, ta dziwna bestia, ten mężczyzna. Zupełnie go nie rozumiała, a dźwięki wydobywające się z jego ust zasiały lęk w jej sercu. I zrobiła jedynie to, co wtedy potrafiła. Uciekła. Jednak przez całą noc wychodził i wychodził z za tej gruszy i o poranku jej ciało drżało z pragnienia ujrzenia go. Oswoił ją i nakłonił do wyjścia. Spotkali się nocą. Trwało to krócej niż mgnienie oka. Jeden pocałunek i we krwi Ruty ożyła jej matka, zmysłowa młoda bestia. Nieważne było, że tych dwoje dzieci nie rozumiało się nawzajem. Każdy, kto choć raz spojrzał na Rutę, zaczynał jej pragnąć. A dziewczęta takie jak Ruta – zbyt ufne, zbyt tętniące życiem, zbyt różne ode mnie – nigdy nie potrzebują słów w tym wielkim świecie. Nigdy.

Czekam, kiedy dom runie z klifu – pokonany dom z pokonanymi duchami. I widzę ją wydaną na pastwę świata, krótko ostrzyżoną, lekką, uwolnioną z jarzma włosów, jej zniszczony dom, jej ciężką starą mnie, jak pozbawiona zbędnego ciężaru swoim pięknym młodym ciałem wykonuje tylko jeden ruch i trzepoce na wietrze. Moja córka przemieniona w ptaka.

Przełożyła Anna Czechowska

[2] Ruta – ang. Rue, to nie tylko nazwa rośliny, ale również przestarzałe „żał” i „żałować” (przyp. tłum.).

John McIlveen

Uległy

Otwórz oczy. O tak, kochany.

Oj, wystraszyłam cię. Mimo że używam swojego seksownego głosu. Wybacz. Ale podoba ci się, prawda? Nawet Marilyn Monroe nie umiała tak mrużyć.

Uwolnić cię? Dlaczego? Co mi to da? Poza tym uwierz mi, kotku, nie chcesz, żebym cię uwolniła.

Nie wyrywaj się. Oszczędzaj siły. Nie marnuj ich. Będę ich jeszcze potrzebowała.

Poczekaj, niech no włączę światło. O tak. Od razu lepiej. Delikatne światło jest przyjemne, nie uważasz, ty mój Romeo? Bardzo romantyczne.

Hmmm. Nie jestem tym, czego się spodziewałeś, prawda? Widzę, że jesteś nieco zagubiony, ale czuję pod sobą coś, co mi mówi, że się mnie nie brzydzisz. Jestem piękna, prawda?

Kim jestem?

Nie wiesz? Dziwne, w końcu nieraz o mnie mówiłeś.

Nie? Może w takim razie zapytaj lepiej, czym jestem. Ojej, zmarszczone brwi. No dobrze, dam ci wskazówkę. Po łacinie moje imię oznacza „leżeć pod”. Czyli to, co ty teraz robisz.

Leżeć pod.

Poza tym jestem też... Jestem ucieleśnieniem twojej najgłębszej fantazji.

Nie ma powodu do wstydu, przyznaj się. Wiem, co oglądasz w internecie. Wiem, co lubisz. Przechowujesz obrazki w ukrytych folderach: blondynki, brunetki, rude, tyle tych zdjęć... Tysiące. Sadomaso, homo, osiemnastki i starsze...

I młodsze...

Och, nie przejmuj się mną. Nie jestem sędzią.

Ale wiem, co cię podnieca. Długie włosy. Podniecają cię długie rude włosy. Im czerwiejsze, tym lepiej. Tak właśnie piszesz, prawda? Panie napalony-małpa-livemail-kropka-net. No i zobacz, masz szczęście. Moje są długie i rude.

Podobają ci się? Dostatecznie czerwone? Ani śladu farby do włosów. To mój własny ogień.

Śmiało, dotknij.

No tak, wiem, że klęczę na twoich rękach. Tak właśnie jest, gdy ktoś cię dosiada. No to masz, poczuć je na twarzy. Lubisz ich dotyk? Myślę, że tak. Właśnie poczułam Pana Wesołka, jak trącił mnie w tyłek.

Masz, poczuć...

...patrzysz na moje piersi.

No dobrze, to nic złego. Patrz sobie i ciesz się widokiem. Wiesz co? Ta czarna skóra jest taka krępująca... Niech no się rozepnę. Wtedy będziesz mógł ich dotknąć.

A tak. Twoje ręce. Cóż, tak naprawdę teraz ich nie potrzebujesz. Może tylko ułożymy je wzdłuż ciała. O proszę. Idealna pozycja, żebyś złapał mój tyłek.

No to teraz powiedz: czy to nie są piersi, które lubisz najbardziej? Miseczka D. D, bo możesz się nimi delectować. Żadnego silikonu, żadnej soli fizjologicznej – tylko miękka, jędrna przyjemność. Czujesz je na swojej twarzy? Mmmmm. Lubisz zabawę, tak?

Aha! Kręcą cię brodawki! Nie możesz sobie odmówić, co? I widzę, że lubisz gryźć, łobuziaku. Uwielbiam twoje zęby. Och tak, trochę mocniej. Kiedy to robisz, mam ochotę się w ciebie... wgryźć.

Czujesz moje ciepło? Ja czuję twoje nawet przez skórę. Rozepnij paski. Czujesz je? Dokładnie tam, gdzie jestem najbardziej rozgrzana? O właśnie. Rozepnij je. Och tak, tak dobrze. Użyj palców, włóż je... we mnie. Och... Czujesz?

Jestem mokra.

To pomaga, bo już czas, żebyś się... we mnie... wślizgnął. Powooli.

Cudownie.

Zdaje się, że ci się to podoba. Coś na pewno ci się spodobało. Moje ciepło? Moje intensywne, ogniste... Czy może to, jak się na tobie zaciskam...

Poczekaj, zwolnij. Nie tak szybko, kochanie. Jeszcze nie czas. Leż wygodnie i czuj mnie na sobie, wokół siebie.

Mmmm, lubisz, jak gryzę cię w ucho? Jak mówię szeptem?

Powiem ci coś w tajemnicy. Zamierzam cię zerznąć tak, jak jeszcze nikt cię nie rznął. Wow, nieźle we mnie urosłeś. Pulsujesz. Pragniesz tego, co?

No dobrze, to mam dla ciebie jeszcze jeden sekret. Zerznę cię... na śmierć.

Tak, zgadza się. A ty nawet nie spróbujesz mnie powstrzymać. Wywlekę twoje wnętrzności, a ty będziesz błagał o więcej.

Ojej, skurczyłeś się. To nic. Wystarczy mały uścisk od wewnątrz. A mogę się na tobie zacisnąć mocniej niż ludzka dłoń.

Widzisz? I znów jesteś ze mną... całkowicie. Mam rację, panie kaznodziejo?

No co? Dziwisz się, że wiem, kim jesteś, Panie Święty? Tak w każdym razie mówisz swoim wiernym.

Nie, nie uda ci się wyjść.

Spróbuj.

Widzisz? Nie wyrwiesz mi się, gdy cię tak trzymam, gdy sprawiam ci taką przyjemność. Jesteś mój. Poczuj, jak cię doję, jak masuję cię swoim wnętrzem. Trochę, jakby małe języki lizały cię po całym ciele, prawda?

Gdyby twoja trzoda mogła cię poznać. Gdyby tylko twoi bezmyślni wierni poznali twoje grzechy i słabości, za które zawsze mnie obwiniałeś. Gdyby wiedzieli o samotnych żonach, które wykorzystałeś, o bezbronnych chłopcach, o dziwkach, o dziewczynach uciekających z domu. Wszyscy oni byli dla ciebie zabawkami.

A teraz ty jesteś moją zabawką.

Nazywałeś mnie uwodzicielką. Mówiłeś im, że stanąłeś ze mną twarzą w twarz i mnie pokonałeś. Nie miałeś pojęcia. Nie brałeś mnie na serio, traktowałeś jak żart i nie wierzyłeś. A myślałam, że jesteś człowiekiem wierzącym.

No cóż, jestem tu i zdaje się, że to ja wygrywam. Wysysam z ciebie życie i nie jesteś w stanie mi się oprzeć.

Trzymaj mnie. Trzymaj się mnie, gdy cię zabijam. Dobrze. Grzeczny kaznodzieja. Ściśnij mnie mocniej, obejmij mnie.

Czujesz je? Czujesz skrzydła?

Co? Uważasz, że to obrzydliwe? A jednak nie możesz mnie puścić, prawda?

Czujesz, jak wyrywam ci twoją duszę? Czy to nie wspaniałe, że oddawanie życia jest takie przyjemne? Że oddawanie duszy jest tak bliskie ekstazy?

Umierasz, mój święty. Wgryzam się w ciebie coraz szybciej, ale co by było, gdybym... przestała?

Uratowałam ci życie, lecz ty nie możesz się zatrzymać. Prawda? Nawet gdy ja przestaję, ty brniesz dalej.

Ujawniłam już swoją tożsamość, zrzuciłam ludzką skórę, a ty dalej nie możesz mi się oprzeć. Och, ten strach w twoich oczach. Jest najśłodszy. Właśnie to mnie w tobie podnieca, najdroższy.

Błagaj. Niech usłyszę twoje błagania, a wtedy skończę twoje męki.

Dobrze, bardzo dobrze. Błagaj.

Ale ja jeszcze trochę się z tobą pobawię. Doprowadzę cię na skraj i wtedy zwolnię. I będę to powtarzać. Wywieszę cię nad przepaścią, aż chęć uwolnienia doprowadzi cię do szaleństwa.

I jeszcze raz.

I jeszcze...

A teraz puść. Poczuj, jak cię opuszcza. Poczuj, jak ci ją wyrywam. Jakby tysiąc zardzewiałych brzytw rozcinało cię od wewnątrz, a mimo to nadal się rzucasz i wbijasz się głębiej we mnie. Tak bardzo chcesz umrzeć.

Tak mocno pragniesz, bym się opętała.

Tak pragniesz mi ulec.

I teraz, nareszcie...

Jesteś mój.

Odwróć się, kaznodziejo.

Odwróć się i przytul do żony. Ucieszy się, wiedząc, że w swoich ostatnich chwilach wyciągnąłeś do niej dłoń, choć doskonale wie, że nigdy jej nie kochałeś. Ucieszy się, wiedząc, że poza nią nie miałeś do kogo się zwrócić.

Pozostaje mi już tylko cię ucałować...

Pocałować twoją duszę...

Odetchnij...

Żegnaj.

Przełożył Piotr Kaliński

Kevin J. Anderson

Zerwane szwy, rozbite szkło

Mała srebrna igielka, ostry szpic. Moje wielkie paluchy przez lata ćwiczeń i delikatnego skupienia nabrały wprawy i potrafiłem już za pierwszym razem przełożyć zwilżony koniuszek nitki przez ucho igielne, a potem mocno naprężyć nić. Dokończyłem pierwsze szwy, skądinąd bardzo zgrabne w przeciwieństwie do niezbornych czarnych ściegów, jakich używa koroner po zakończeniu autopsji.

Igła zagłębiła się w końcu oderwanego ramienia, po czym wyłoniła na zewnątrz, a ja przeciągnąłem przez otwór mocną nitkę, łącząc oderwaną rączkę z tułowiem. Natychmiast zorientowałem się, że powinienem był użyć białej nitki, bo mniej rzucałaby się w oczy. Wyrównałem długość końcówek i kontynuowałem szycie.

Siedziałem w półmroku, w swoim małym warsztacie krawieckim w ingolstadzkim getcie. Niektórzy uważali, że było tu ciasno, mnie to miejsce wydawało się przytulne. Zostałem zaakceptowany, chociaż nie byłem Żydem – jaka religia pozwoliłaby przygarnąć kogoś takiego jak ja? Ludzie witali przybyszów, rozumieli ich i nie zadawali trudnych, niewygodnych pytań. Był rok 1938, a ja mieszkałem tu od wielu lat. Nie wyczekiwałem niecierpliwie dnia, kiedy będę zmuszony ruszyć w dalszą drogę.

Skończyłem ścieg wokół kikuta ramienia, po czym zrobiłem porządną supel i oderwałem nitkę. Odwróciłem się do małej dziewczynki o gęstych brązowych włosach i bystrym rozumku, która siedziała, obserwując mnie z uwagą. Oddałem jej naprawioną szmacianą lalkę.

– Proszę, mała Rachel, wszystko nareperowałem. – Uniosłem lalkę, palcami wprawiając w ruch obie jej rączki. – Nic a nic jej nie bolało.

Rachel Schulmann była bystrzejsza, niż mogło się wydawać.

– Nie bolało jej, bo to tylko lalka, Franck. – Dziecko sprawiało wrażenie, jakby musiało udzielić mi odpowiedzi. – Ona nie jest prawdziwa. Została zrobiona.

– Oczywiście.

W swoim małym getcie Żydzi z początku zachowywali się wobec mnie podejrzliwie – i tak też patrzyli na wielkiego mężczyznę o kanciastych rysach i twarzy poranej bliznami jak u boksera, który przegrał zbyt wiele pojedynków. Trzymałem się na uboczu, nie okazując ciepła ani nie zawierając przyjaźni, lecz nie stanowiłem również zagrożenia. Miałem już dość uciekania i omal nie zrezygnowałem z człowieczeństwa, widząc, że ludzie nienawidzili tego, czego nie potrafili pojąć, gardzili obcymi, a wściekłości dawali upust, biorąc do rąk zapalone pochodnie i widły. Tu jednak, w getcie w Ingolstadt, byłem cierpliwy, pomocny, nie miałem specjalnych potrzeb ani ambicji. Zostałem krawcem, bo lubiłem zszywać różne rzeczy i dopasowywać je do siebie. Cóż za ironia, doprawdy.

Gdy Rachel wzięła ode mnie lalkę, mój rękaw przypadkiem się zsunął, odsłaniając przedramię. Zwykle noszę workowate kurtki z szerokimi mankietami, ale teraz dziewczynce oczy niemal wyszły z orbit, kiedy zobaczyła linię okalającą mój przegub, wciąż widoczne blizny po starych szwach w miejscu, gdzie dłoń została przymocowana, dłoń kogoś innego do całkiem obcego przegubu, pierwsze dwa elementy w procesie stawania się mną.

– Czy to boli? – spytała bardziej zafascynowana niż przerażona.

Pokręciłem uspokajająco głową.

– Nie, maleńka. Tak po prostu zostałem zrobiony.

Teraz, kiedy wykonałem to co najważniejsze – czyli naprawiłem lalkę dziewczynki – mogłem zająć się drugą rzeczą, którą mi przyniosła. Jej ojciec, rabin, podrzucił przez nią swoją marynarkę z czarnego materiału, która przez lata w wielu miejscach została skrzętnie, choć dość niezręcznie połatana. Gdybym miał parę dni, mógłbym naprawić niedoróbki, których rabin i jego żona starali się

nie dostrzegać – wzmocnić ścięgi, podszyć postrzępione mankiety i kołnierz. Ale szkody były znacznie bardziej dotkliwe i niepokojące. Gdy tylko spojrzałem na rozerwany materiał przy ramieniu, plamy z błota i zaschniętą krew, przypomniałem sobie, co się wydarzyło. Tu, w getcie, nikt nie umiał utrzymać czegokolwiek w sekrecie.

Naziści – było ich trzech – pobili rabina Schulmanna na ulicy. Śmiali się, gdy upadł w błoto, a on nie próbował z nimi walczyć, nie obrzucał ich przekleństwami, lecz zachował się z godnością. To nierozsądne. Kiedy oficer SS Schein i jego dwaj podkomendni uznali, że rabin nie wygląda na dostatecznie sponiewieranego i upokorzonego, wrzucili go do rynsztoka i pobili pałkami. Niektórzy ludzie wstrzymywali oddech i pojękiwali bezradnie, podczas gdy inni przyglądali się temu ze zgrozą. Rabin Schulmann skulił się, przyjmując kolejne ciosy, i niebawem Staffelführer Schein i jego zbiry znudzili się tą zabawą i odeszli.

– Atakują nas, bo jesteśmy inni – powiedział głośno rabin do oszołomionych ludzi, którzy pospieszyli mu z pomocą. – Stanowimy dla nich łatwy cel.

Był cały posiniaczony i krwawił, odprowadzili go więc do lekarza.

Widziałem fragment tego zdarzenia spoza brudnej szyby okiennej w moim zakładzie krawieckim. Żydzi udawali, że złe rzeczy w ogóle się nie działy. Uprzątnęli wszystkie ślady tego incydentu, usuwając to, co zostawili po sobie naziści, jakby to był odpowiedni sposób na przetrwanie. A teraz trafiła do mnie podarta, brudna marynarka rabina. Obejrzałem ją, wpychając grube paluchy w rozdarcie i przyglądając się zaschniętej krwi. Moje ciemne usta wykrzywiły się w uśmiechu.

– Powiedz ojcu, że mogę to naprawić, Rachel. Obiecuję, że do jutra wieczorem będzie jak nowa.

– Dziękuję, Franck. – Przycisnęła lalkę do piersi. – Kiedy ją przyniesiesz, moi rodzice chcieliby, żebyś zjadł z nami kolację. Jutro wieczorem?

– Z przyjemnością.

Naprawdę się ucieszyłem. Ludzie rzadko zapraszali mnie do swoich domów.

Na ulicy, na zewnątrz, widziałem, jak Żydzi zabijali deskami witryny swoich sklepików, w których szyby zostały powybijane dzień wcześniej, kiedy Schein i jego mały oddział Staffeln obrzucili cegłami przybytki, które im się nie spodobały – biuro rachunkowe, szkółkę gry na pianinie, piekarnię. Wiedziałem, że sklepikarze złożyli już zamówienia u miejscowego szklarza, pragnąc wstawić jak najszybciej nowe szyby do witryn. W ciągu jednego dnia ulica w getcie będzie wyglądać tak jak zawsze – aż do następnego razu. Ale wewnętrzne blizny nie znikają tak łatwo.

Jak mogłem nie czuć gniewu?

Kiedy Rachel podeszła do drzwi, by opuścić mój zakład, przystanęła nagle przerażona. Usłyszałem odgłos silnika wojskowego auta jadącego ulicą i ostrzegawczym ruchem położyłem dłoń na ramieniu dziewczynki, przytrzymując ją, żeby nie wyszła i nie została zauważona.

Staffelführer Schein siedział z tyłu, podczas gdy jego kierowca niespiesznie prowadził pojazd: łypał gniewnie, gdy ludzie na jego widok chowali się po bramach albo opuszczali story w oknach. Wojskowe auto pojechało dalej, a cisza, jaka zapadła wokoło, sprawiała wrażenie, jakby wszyscy w okolicy wstrzymali oddech.

– Dlaczego wrócili? – wyszeptała Rachel.

– Bo oni lubią, kiedy się boisz, maleńka.

Patrzyliśmy, jak naziści odjeżdżają i znikają w oddali, ale nie wyrządzili żadnych szkód... nie dzisiaj.

Ingolstadt wciąż było niewielkim miastem leżącym z dala od areny wojny, z nic nieznaczącą żydowską dzielnicą, co sprawiało, że Schein i jego niewielki oddział SS tym bardziej pragnęli jakoś zaznaczyć tu swoją obecność. Ale na mnie raczej nie mogli liczyć. Dawno nauczyłem się, że jeśli chcę przeżyć, nie mogę zwracać na siebie uwagi.

Kiedy na ulicy znów zaczęło być gwarno, a ludzie z nerwowymi westchnieniami powychodzili ze swoich sklepików, pozwoliłem małej, aby wróciła do rodziców.

– Powiedz tacie, że jutro wieczorem przyniosę mu marynarkę.

W minionym stuleciu w Ingolstadt wiele się zmieniło.

Ponieważ nie pojawiłem się na świecie w taki sposób jak normalni ludzie, nie starzałem się ani nie mogłem umrzeć jak oni. Większość dzieci ma mgliste wspomnienia z dzieciństwa, ja jednak pamiętałem żywy potok obrazów i doznań od chwili, kiedy otworzyłem mętne żółtawe oczy, leżąc na stole otoczony błyskawicami, i ujrzałem oblicze Victora Frankensteina, mojego stwórcy... mojego ojca... człowieka, który poczuł wobec mnie tak wielką odrazę, że postanowił mnie wygnać.

Victor znienawidził mnie, bo byłem inny, choć przecież sam mnie stworzył. Czyż miałem inny wybór, aniżeli w odpowiedzi znienawidzić jego?

Przez sto lat mieszkańcy Ingolstadt uczynili, co w ich mocy, żeby zapomnieć, a przynajmniej udawali, że nie pamiętają o wydarzeniach w ich mieście. Pradawny zamek przestał istnieć, zburzony kamień po kamieniu, na przełomie XIX i XX stulecia. Stary wiatrak dawno spłonął, po czym został odbudowany, ale ostatecznie znów opuszczony. Teraz zostały z niego tylko stare ruiny na wzgórzu nad miasteczkiem.

Podróżowałem po świecie, w pogoni za Victorem dotarłem na zamrożone pustkowia i tam też go udusiłem na pokładzie okrętu płynącego przez lodowe morze. To powinna być moja zemsta, moje zwycięstwo, i kiedy dokonałem tego, co sobie zamyśliłem, wyskoczyłem za burtę, by odpłynąć na krze, ale od tamtej pory wiele się nauczyłem.

A teraz wróciłem do domu, do tego małego niemieckiego miasteczka, w którym zostałem stworzony. Moi żydowscy sąsiedzi przyjęli mnie, nie zadając zbyt wielu pytań, niekiedy popatrując na mnie z politowaniem, kiedy indziej przełykając ślinę nerwowo, gdy dostrzegali moje blizny i kanciaste rysy. Nie zrobiłem jednak niczego, aby musieli się mnie obawiać. Nie byłem już mściwym,

niezdarnym monstrum, lecz raczej kimś, kto próbuje się przystosować. Przez chwilę czułem, że może mi się udać... ale wtedy sytuacja polityczna pogorszyła się, do władzy doszli naziści na fali pomówień i strachu i coś mówiło mi, że nie pozwolą, by ktokolwiek mógł żyć w spokoju, nie rzucając się w oczy.

Kiedy dziewczynka wyszła, wziąłem marynarkę rabina i delikatnymi ruchami szczotki do ubrań oczyściłem materiał z błota. Następnie użyłem środków chemicznych, by usunąć ślady krwi. Potem, wykonując drobne, idealne ściegi, zacząłem naprawiać szkody.

Pracowałem całą noc przy świetle lampy i jeszcze przed świtem marynarka rabina była wyczyszczona, zacerowana, a nawet odprasowana. Nie mogłem jednak pozwolić sobie na to, by robić rzeczy zbyt tajemnicze. Gdybym wykonywał moją pracę za szybko, idealnie, mogłyby pojawić się plotki, że param się czarną magią i jestem w rzeczywistości cudzoziemskim czarownikiem ukrywającym się w żydowskim getcie. Plotki rozchodzą się zawsze bardzo szybko.

Odkąd naziści zaczęli obwiniać Żydów o wszelkie możliwe zbrodnie, można by przypuszczać, że mieszkańcy getta nie będą rzucać na nikogo żadnych podejrzeń, ale z tego między innymi składają się ludzie, ze skaz, których nie są w stanie dostrzec w swoim wnętrzu.

Ponieważ nie potrzebuję snu – Victor zapomniał mnie nim obdarować, kiedy dawał mi życie, jakby przeoczył jakiś szew – siedziałem i czytałem gazety do wschodu słońca, gdy to mogłem znowu wyjść na ulicę, nie wyglądając jak przerażający, zwalisty cień.

Miałem jedną gazetę z Berlina, jedną z Salzburga, a nawet egzemplarz tygodniówki w jidysz (choć wciąż nie dość dobrze radziłem sobie z tym językiem). Był 9 listopada 1938 roku, a sytuacja polityczna w Niemczech nie przedstawiała się różowo. Czytając, między wierszami wyczuwałem na horyzoncie nadciągającą burzę, choć nie taką, która mogła przynieść ze sobą iskierkę życia, jak ta, która mnie ożywiła, ale raczej siejącą zniszczenie. Całe Niemcy – a nawet cała Europa – wydawały się pełne wieśniaków niosących pochodnie i poszukujących ofiary...

Kiedy tego ranka getto obudziło się do życia, pomogłem staremu złotnikowi z naprzeciwna ponownie obsadzić drzwi uszkodzone przez nazistów podczas ich poprzedniej eskapady, a on przyjął moją pomoc z wdzięcznością. Nie miałem za dużo do roboty, parę spodni do przeróbki, kilka guzików do przyszycia. Przeszedłem przez całe getto właściwie bez celu. Czarne chmury zdawały się wisieć

ponad głowami tych wszystkich ludzi, jakby wiedzieli, że wydarzy się coś strasznego, ale udawali, że to zwykły dzień.

Tego wieczoru przyniosłem naprawioną marynarkę do domu rabina znajdującego się przy synagodze; wziąłem także ze sobą torbę z czterema jabłkami, które nabyłem na straganie przy rogu. Rachel ucieszyła się na mój widok, a rabin podziękował za pomoc. Włożył zacerowaną marynarkę i pochwalił, że wygląda idealnie.

Jego twarz była sponiewierana i przebarwiona jak kiedyś moja; fioletowe sińce, pamiątka po pobiciu, zaczęły już żółknąć na brzegach. Kiedy zauważył, że na nie patrzę, powiedział:

– Zagoi się. Musimy być wdzięczni, że nie stało się nic gorszego. Zabawili się trochę. Staffelführer Schein i jego ludzie są jak rozwydrzone, pałające gniewem dzieci.

Żona rabina nie ukrywała złości.

– A tobie się wydaje, że ponieważ dałeś się im pobić, to ich zadowolili?

– A co miałbym zrobić? – rzucił rabin z frustracją w głosie.

Rachel uniosła pospiesznie swoją lalkę i uśmiechnęła się do mnie.

– Mógłbyś zrobić mi jeszcze jedną, Franck? Tak dobrze radzisz sobie z szyciem.

– Rachel, to nieuprzejme tak się dopraszać – upomniał ją ojciec.

Moje ciemne usta wykrzywił uśmiech.

– Ale w pełni zrozumiałe, rabinie. Chyba znajdę jeszcze parę gałganków i szmatek. Czy chciałabyś, żebym zrobił męża dla twojej szmacianej laleczki?

– Tak, poproszę!

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zraniła mnie ta myśl. Gdyby Victor uczynił to dla mnie, zapewne nigdy nie stalibyśmy się wrogami. Ale Victor Frankenstein był strasznym człowiekiem. A to o mnie wieśniacy mówili, że jestem nieludzki!

Frau Schulmann przyrządziła wspaniały posiłek z tego, co było dostępne. Usmażyła nawet jabłka, które przyniosłem, z odrobiną cynamonu i szczyptą cukru.

Po posiłku rabin zaproponował, abym wypalił z nim fajkę, gdy słuchaliśmy przez radio wiadomości ze świata. Kiedy lampy się rozgrzały, nastawił urządzenie na najsilniejszą radiostację, w której puszczano Wagnera. Rabin rozsiadł się wygodnie, pykając fajeczkę.

Poczułem się rozluźniony, bo przypominał mi się inny mężczyzna, ślepiec mieszkający samotnie w chatce, który zaprzyjaźnił się ze mną i nauczył mnie różnych rzeczy, pokazując po raz pierwszy, że ludzie mają serce. Brakowało mi tego staruszka, przez lata spotkałem zbyt mało ludzi takich jak on.

Kiedy spiker beznamiętnym głosem zaczął czytać wiadomości, obaj, ja i rabin, słuchaliśmy z uwagą. Napięcia w Niemczech narastały. Wielu Żydów, którzy czuli się prześladowani i wykluczeni, uciekło już z kraju, jeśli tylko mieli do tego środki. Stracili domy i cały majątek. Próbowali znaleźć sobie jakieś miejsce, gdzie mogliby się ukryć.

Dziś jednak sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej. W Paryżu niemiecki dyplomata został zamordowany przez polskiego Żyda, młodego mężczyznę, który miał już dość tego, że naziści prześladowają jego lud. Zamachowca popchnęła do przemocy rozpacz i poczucie bezradności, kiedy jednak słuchałem gniewnego głosu spikera, wiedziałem, że czyn tego młodzieńca tylko zaogni sytuację Żydów. Prawdę mówiąc, byłem pewien, że sprawy już wkrótce przybiorą fatalny obrót. Spiker zakończył krótką, jakby z góry przygotowaną konkluzją: „Śledczy są przekonani, że to element

spisku żydowskiego mającego na celu obalenie rządu”.

Rabin Schulmann zrobił się szary i pokręcił głową.

– O nie. – Odmówił krótką modlitwę. – To pretekst, którego naziści poszukiwali już od dawna.

Z kuchni, gdzie zmywała naczynia, żona rabina spojrzała na niego rozszerzonymi oczami, przerażona usłyszonymi wiadomościami. Rachel bawiła się w pokoju lalką i znów zaskoczyła nas swoją przenikliwością.

– Czy coś nam grozi, papo? Czy źli ludzie znów będą chcieli cię skrzywdzić?

Rabin Schulmann westchnął przeciągle zbolały po tym, do czego musiał przyznać się córce.

– Musimy się modlić, aby do tego nie doszło, kochanie.

Dziewczynka miała posępną, poważną minę.

– Powinniśmy mieć golema, żeby nas obronił, jak w Pradze. Wtedy bylibyśmy bezpieczni.

– To tylko legenda, dziecinko – rzekł rabin Schulmann.

Dziewczynka zareagowała oburzeniem.

– Mówiłeś, że to prawdziwa historia.

Rabin spojrzał na mnie zmęczonymi oczami.

– To przerażająca historia, moje dziecko, ciekawa, ale nie mogę ręczyć za jej prawdziwość. W tysiąc pięćset osiemdziesiątym roku w Pradze rabin Loew ulepił z gliny wielką, potężną istotę, golema, aby chronił naszą społeczność przed pałającym nienawiścią wobec Żydów kapłanem, który podburzał przeciwko nim chrześcijan. Kiedy tłum przybył do getta, golem rabina Loewa stawił im czoło i obronił Żydów, zapobiegając pogromowi. Później jednak golem wpadł w amok i zaczął zagrażać niewinnym ludziom, powodując wielkie szkody. Rabin Loew był zmuszony usunąć iskierkę życia, zamieniając golema na powrót w bryłę nieożywionej gliny. – Odwrócił się do córki. – To powinno nas czegoś nauczyć.

– Nadal uważam, że powinniśmy mieć własnego golema – stwierdziła Rachel. – Ale bez ostatniej części tej historii.

Na zewnątrz rozległ się warkot silników, krzyki, huk strzałów... a potem śmiech, któremu towarzyszył brzęk tłuczonego szkła.

Zaczęły wybuchać pożary. Staffelführer Schein jeździł jak cesarz w wojskowym aucie wraz z dwoma podkomendnymi i dwoma kolejnymi esesmanami eskortującymi go na motocyklach. Jego ludzie rzucali kamieniami i cegłami, wybijając wszystkie szyby przy ulicy. Kiedy paru sklepikarzy z rodzinami wybiegło na zewnątrz, błagając, by przestali, ich także naziści obrzucili kamieniami.

Stary złotnik, któremu pomogłem, uniósł ręce i stanął przed naprawionymi dopiero co drzwiami. Jeden z esesmanów uśmiechnął się, zważył w dłoni połówkę cegły i cisnął nią z zabójczą celnością, trafiając złotnika prosto w czoło. Mężczyzna, bez wątplenia martwy, osunął się na ziemię.

Naziści strzelali z karabinów w powietrze, ale byłem pewien, że już wkrótce znajdą sobie inne cele. Kiedy korpulentny piekarz pogroził im pięścią, klnąc na całe gardło, Staffelführer odwrócił się na siedzeniu swojego wojskowego pojazdu, uniósł lugera i wpakował piekarzowi kulę w pierś.

– Spalcie synagogę! – rozkazał Schein. – To właśnie tam spiskują przeciw nam!

Jego ludzie cisnęli lampy naftowe na drzwi synagogi, roztrzaskując więcej okien.

Rachel wybiegła na ulicę z płaczem i piskliwym głosem błagała nazistów, żeby przestali. Przerażony rabin pochwycił ją i odciągnął w tył, ale dziewczynka już zwróciła na siebie uwagę nazistów. Dostrzegli i rozpoznali mężczyznę, którego pobili przed kilkoma dniami.

– Proszę, nie róbcie jej krzywdy! – zawołał rabin Schulmann, lecz naziści już unieśli karabiny.

Widywałem wcześniej tłum ogarnięty szalem nienawiści, któremu musiałem stawić czoło. Ledwie udawało mi się przeżyć. Naziści byli destrukcyjni i niebezpieczni, lepiej zorganizowani niż prości wieśniacy, a tym samym zdolni do wyrządzenia znacznie większych szkód. Wolałbym zostać w swoim zakładzie krawieckim i nie mieszać się, tak byłoby rozsądniej.

Może jestem masywny i wyglądam topornie, a moje ręce i nogi zostały pozszywane z nie całkiem dobrze dobranych części, ale Victor świetnie wykonał swoje zadanie i potrafiłem poruszać się z siłą i szybkością drapieznika. Skoczyłem naprzód, by stanąć przed rabinem i Rachelą.

Naziści otworzyli ogień.

Poczułem uderzenie trzech kul karabinowych i pocisków pistoletowych mniejszego kalibru. Trafiły mnie w tors, dzięki czemu nie skrzywdziły nikogo innego. Rozgrzane kule uszkodziły skórę i mięśnie, ale moje ciało było już raz martwe i nie tak łatwo ponownie je uśmiercić.

Naziści pierwsi otworzyli ogień. Teraz kolej na mnie.

Nie zwracając uwagi na rozprzestrzeniające się pożary, osłupiały tłum czy aroganckie grymasy na twarzach nazistów, dopadłem najbliższego esesmana. Schwyciłem jego karabin i wyrwałem z taką siłą, że połamane mu trzy palce, usłyszałem też przyprawiający o mdłości trzask wyłamywanego barku. Uderzyłem go kolbą karabinu w twarz z taką siłą, że wgniotłem mu czaszkę, kości pękły jak

czoło starego złotnika. Zaraz potem machnąłem karabinem w bok, gruchocząc kręgosłup drugiego esesmana.

Następnie rzuciłem się na dwóch motocyklistów. Chwytając każdego z nich za krawędź hełmu, szarpnięciem dźwignąłem ich w górę, zapewne łamiąc jednemu z nich kręgosłup. Drugi żołnierz zaczął się wyrywać i szamotać, ale cisnąłem obu brutalnie na ulicę. Potem podniosłem jeden z motocykli wysoko ponad głowę i rzuciłem maszynę, miażdżąc ich obu. W kilka chwil uporałem się ze wszystkimi esesmanami i żaden z nich nie zdążył nawet oddać drugiego strzału.

Pozostał Staffelführer Schein. Patrzył na mnie z rozdziawionymi ustami, a oczy niemal wychodziły mu z orbit. Chyba oddał do mnie kilka strzałów z lugera, lecz nawet nie poczułem trafiających mnie kul. Schwyciłem pistolet i rękę, która go trzymała, po czym obróciłem broń. Zamierzałem zgiąć rękę Scheina w łokciu, ale wygięła się w przegubie. To bez znaczenia. Wbiłem rozgrzaną lufę lugera pod brodę oficera SS i zacisnąłem palce, miażdżąc palec oficera na spuście i oddając jeszcze jeden strzał, który wyrwał mu wierzch czaszki.

Upłynęło tylko piętnaście sekund.

Choć synagoga wciąż płonęła, a z rozbitych witryn sypały się odłamki szkła, cisza wokół mnie wydawała się ogłuszająca. Odwróciłem się. Na moim ubraniu widniało kilka otworów po kulach, lecz można je było bez trudu zaszyć paroma zgrabnymi ściegami.

Ale nie byłem w stanie nic poradzić na strach i zgrozę, z jaką rabin Schulmann i jego ludzie patrzyli teraz na mnie.

– Coś ty zrobił? – zapytał półgłosem rabin.

– Uratowałem was. – Jak inaczej mogłem odpowiedzieć?

– Może tak... może nie. – Rabin pokręcił głową jak sparaliżowany tym koszmarem. – Czym ty jesteś?

Teraz prawda, którą przed nimi ukryłem, moja zatuszowana nienaturalna przeszłość, została w jednej chwili ujawniona. Ujrzeni moją szpetotę, zobaczyli blizny i szybko zaklasyfikowali mnie jako „niebędącego jednym z nich”. Choć im pomogłem, stawiałem czoło ich wrogom, ocaliłem przed atakiem bestii, patrzyli na mnie ze strachem. Nawet Rachel.

– To golem – powiedziała.

– Pozabijałeś nazistów – stwierdził rabin. – A teraz oni wrócą i zemszczą się na nas okrutnie. Wezmą na nas odwet i wymordują nas wszystkich.

Wiedziałem, że w Ingolstadt znajdował się tylko niewielki garnizon nazistów, a ja zabiłem ich wszystkich. Minie kilka dni, może nawet tydzień, zanim dowódca z tego okręgu zacznie się zastanawiać, co się stało z Scheinem i jego ludźmi. Mielibyśmy dość czasu... gdyby tylko pozwolili mi na to.

Uniosłem wzrok i spojrzałem w pochmurne niebo. Tej nocy nie było księżyca. Miałem nadzieję, że inni mieszkańcy Ingolstadt nie wpadną na pomysł, by zaatakować dzielnicę żydowską w odwecie za wieści o niedawnym zamachu.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł – powiedziałem. – Będziemy potrzebować koców, żeby ich przykryć.

I jakby nie znaczyli więcej niż lalka, którą zreperowałem dla Racheli, podniosłem ciała martwych nazistów i wrzuciłem do pojazdu wojskowego jak stertę drzewa opałowego.

– Możemy pozbyć się ciał, podobnie jak samochodu i motocykli. Nikt nie musi się dowiedzieć, co tu zaszło.

– My wszyscy wiemy, co się stało – odrzekł rabin.

– I będziecie żyć, by to wiedzieć.

Spojrzałem na Staffelführera Scheina, który leżał na stosie ciał. Aż za bardzo przypominał mi Victora, kiedy udusiłem go na pokładzie statku, daleko na zimnym morzu. Nie odczuwałem ulgi ani nawet satysfakcji z zadośćuczynienia sprawiedliwości.

Frau Schulmann pochlipywała, podobnie jak kilka innych osób na ulicy. W końcu niektórzy zmobilizowali się i ruszyli na ratunek synagodze, by podjąć walkę z rozprzestrzeniającym się pożarem. Inni zajęli się ciałami tych, których zabili naziści.

– Teraz będzie jeszcze gorzej – powiedział pustym głosem rabin. – Gdybyś był prawdziwym golemem, mógłbym usunąć fragment pisma, który cię ożywił, zgasić iskierkę życia. – Pokręcił głową. – Ale nie mam takiej mocy. Nie wiem, skąd pochodzisz. Mogę jedynie poprosić, abys odszedł i zostawił nas w spokoju. Nie chcemy cię tu, jesteś zbyt niebezpieczny.

Żydzi bali się mnie, ale przynajmniej nie mieli widel i pochodni. Wyświadczę im ostatnią przysługę, a potem odejdę, by znaleźć jakieś miejsce wysoko w górach.

Raz jeszcze popatrzyłem na Rachel, lecz dziewczynka nie spojrzała na mnie. Jej szmaciana lalka leżała na ulicy.

Pozbierałem wszystko, co należało do Staffelführera Scheina i jego ludzi, po czym odjechałem ich wojskowym pojazdem, opuszczając Ingolstadt, i wyboistą polną drogą dotarłem do opuszczonego skrzypiącego wiatraka, gdzie wśród wybitych szyb hulał wiatr. Wniosłem ciała do wiatraka i podłożyłem ogień pod starą zrujnowaną budowlę. Nie lubię niebezpiecznego, nieprzewidywalnego ognia, ale ten wzbudził we mnie raczej uczucie satysfakcji niż zgrozę. Kiedy płomienie strzeliły w górę, rozjaśniając kształt wiatraka na tle nocnego nieba, wydało mi się to właściwe – jak zupełnie inne zakończenie. Tym razem to ja podпалиłem wiatrak, odnosząc osobiste zwycięstwo nad przesadami, uprzedzeniami i strachem. Choć historia jeszcze się nie skończyła...

Odjechałem wojskowym pojazdem daleko od Ingolstadt, kierując się w odległe góry. Nie

zamierzałem już nigdy powrócić, lecz to samo obiecywałem sobie sto lat wcześniej.

Wiele godzin później, gdy w pojeździe skończyła się benzyna, znalazłem dogodne pobocze przy stromym urwisku, zrzuciłem motocykle z klifu i zepchnąłem pusty samochód w przepaść, gdzie, koziołkując, zniknął pośród mroku. Nawet jeśli wrak zostanie odnaleziony, nikt nigdy nie dowie się prawdy.

Wciąż nie czując bólu po otrzymanych postrzałach ani zmęczenia po trudach minionej nocy, rozpocząłem wędrówkę przez górskie doliny i odludne turnie. Nie interesowały mnie zimne lodowce ani smagane przez wiatry kotliny. Chciałem jedynie znaleźć miejsce, gdzie mógłbym być sam... miejsce, do którego przynależałem.

Przełożył Robert P. Lipski

Sharyn McCrumb
Szaman i człowiek-ćma

Nie powiem, że nie wyglądał groźnie, bo właśnie tak wyglądał.

Nie mam monopolu na rozmawianie z umarłymi, choć wygląda na to, że zdarza mi się to dość często. I co gorsza, pomimo tego.

Można by pomyśleć, że zaszywając się w lesie tak jak ja, żywiąc się napojami gazowanymi

i ciasteczkami, można zyskać więcej spokoju i ciszy, niż dane było Janowi. *(To biblijne nawiązanie, które umyka większości współczesnych mi ludzi. W XXI wieku życie pod wieloma względami nie wygląda tak, jak powinno, i właśnie dlatego wybrałem las, ale w świecie, w którym Dalajlama jest na Twitterze, nie mogę liczyć na to, że któremuś z nas, Szamanów – jak mówią Nowi Ludzie – dana będzie choć odrobina spokoju).*

Moimi ulubionymi sąsiadami byli ci, którzy na zimę odlatywali na południe albo hibernowali się w jaskiniach do wiosny. Nigdy nie przysparzali mi kłopotów, ale niestety w miesiącach letnich w lasach roiło się od rozmaitych huncwotów. Niedaleko stąd przy drodze zadekował się jakiś kretyn, który szczyli się mianem reżysera niezależnego, co oznacza, że nie ma pieniędzy ani za grosz talentu. Tak czy siak kręci się po okolicy, próbując zwerbować tutejszych mieszkańców, aby za darmo wzięli udział w jego wiekopomnym dziele *Upiór z Czarnej Doliny*. Stwierdził, że bym się nadawał. Gdy odpowiedziałem, że wolałbym, aby przeciągnięto mnie nago przez gąszcz jeżyn, potraktował to jako „może”. Pochodzi z Florydy i nie mówi dobrze miejscowym dialektem. Z tego, co opowiadał o swoim filmie, wynika, że zamierza wykorzystać wszystkie znane schematy i wyświechtane stereotypy, ukazując równocześnie mieszkańców tych gór jako tępych, zapyziałych dzikusów, w sam raz do tandetnego horroru klasy Z. Powinien sam zagrać rolę potwora. W ten sposób dobór obsady byłby idealny.

Poza tym stale nękają mnie turyści z plecakami, którzy docierają tutaj, by prosić mnie o lekarstwa na jakieś ich bolączki, choć tak naprawdę, o ile zdołałem się zorientować, doskwiera im głównie nuda i przerost cywilizacji.

Jeżeli są uprzejmi i faktycznie mają problem, częstuję ich słodką herbatą z sasafrasem, a jeżeli to aroganccy *turistas*, którzy drwią z mojego szłaasu i śmieją się z mojego akcentu, gdy wydaje im się, że tego nie widzę, serwuję im dawkę środka na przeczyszczenie, czy tego potrzebują, czy nie. Są po prostu irytujący, ale kiedy musiałeś wysłuchiwać wykładów na temat teorii strun od ravenmockera z plemienia Cherokee i stać pod zimnym żelazem, aby pozbyć się wędrowców nocy, tracisz cierpliwość w kontaktach z najbardziej prymitywnymi prostackimi debilami, zwłaszcza takimi, którzy noszą bluzy od dresu z logo klubu Sierra i używają do podcierania się liści trującego bluszczu.

Pod wieczór zaczęło się trochę uspokajać. Chyba podmiejscy miłośnicy pieszych wędrówek bali się, że o zmierzchu nie będą w stanie dostrzec węży, na które mogliby przypadkiem nadepnąć, więc gdy robiło się ciemno, udawali się tam, dokąd szli wszyscy zaopatrzeni w komórki, ubrani w ciuchy z L.L.Bean, pijący wyłącznie wodę mineralną wegańscy pionierzy.

Wtedy właśnie wyniosłem stare drewniane krzesło z kuchni na podwórze, wyciągnąłem butlę czegoś, co nie było herbatą ani sasafrasem, i zacząłem liczyć gwiazdy. Jest ich tu znacznie więcej niż na niebie nad miastami, i zazwyczaj przez resztę wieczoru siadałem tak i rozmawiałem z nimi w samotności. Jednak tej szczególnej nocy, zanim jeszcze zrobiło się na tyle ciemno, by można było zobaczyć gwiazdy, obserwując nietoperze przelatujące ponad wierzchołkami drzew i polujące na owady, dostrzegłem coś, hen daleko na ciemniejszym niebie, pomiędzy łańcuchem górskim a wierzchołkiem góry. W pierwszej chwili pomyślałem, że to nietoperz, a kiedy policzyłem w głowie odległość, zorientowałem się, że stworzenie musiało być raczej wielkości lotni niż nietoperza – ale nie mogła to być lotnia, ponieważ miała skrzydła, które się poruszały.

Odwrociłem krzesło tak, żeby móc obserwować tę latającą istotę, dopóki nie rozpoznam, co właściwie obserwuję. Gdybym miał pieniądze, mógłbym się założyć, że to robota dowcipnisiów z pobliskiej lotniczej bazy wojskowej, ponieważ filmowca nie było stać nawet na samolocik z papieru. Plotki głosiły, że piloci lubili oblatywać najnowsze eksperymentalne jeszcze samoloty na bardzo niskim pułapie, tuż nad wierzchołkami gór, aby wzbudzać popłoch wśród okolicznych mieszkańców, którzy akurat widzieli ich popisy. Ale w tym wypadku się pomyliłem.

Coś mnie podkusiło i sięgnąłem ręką po latarnię. Zapaliłem ją i pomachałem powoli z boku na bok, przez cały czas nie odrywając wzroku od latającej istoty. Miałem nadzieję, że podleci na tyle blisko, abym mógł lepiej się jej przyjrzeć. I rzeczywiście, sekundę czy dwie później stworzenie spostrzegło mój sygnał, bo na moment zawisło, kołysząc się lekko w powietrzu, po czym zaczęło pikować w moją stronę. Ja zaś odstawiłem latarnię i oczekiwałem na przybycie gościa.

Nie trwało to długo. Najpierw istota okrążyła wierzchołki drzew wokół mojej chaty, tak jak to robiły nietoperze. Ona jednak, zamiast pożywiać się owadami, badała mnie, może chciała sprawdzić, czy prócz latarni nie mam przy sobie żadnej broni.

Nie miałem.

Większość niebezpiecznych istot, które polowały na mnie w tych lasach, nie zwolniłaby nawet ostrzeliwana z broni palnej, a te, które mogłyby zwolnić – czyli niedźwiedzie i rysie amerykańskie – zazwyczaj podobnie jak ja starały się unikać kłopotów, dzięki czemu za obopólnym milczącym przyzwoleniem nie wchodziliśmy sobie w drogę. Najogólniej rzecz biorąc, jestem nastawiony życzliwie wobec innych – bogów Indian Cherokee i im podobnych, choć nie powiem, że bym tęsknił za ich towarzystwem.

Istota się zbliżała. Wyglądała jak olbrzymi cień przesłaniający nocne niebo, po czym spłynęła poniżej wierzchołków drzew, a gdy przyjrzałem się uważniej, zobaczyłem przed sobą parę czerwonych ślepi, które przywodziły na myśl światła lecącego samolotu, tyle że te zamrugały raz czy dwa. Były osadzone w mrocznym obliczu, na które zwróciłbym większą uwagę, gdyby nie przykuły jej długie na pięć metrów błoniaste skrzydła, trzepoczące powoli, gdy stworzenie zatrzymało się wśród traw blisko mojego krzesła.

W słabym świetle latarni mogłem lepiej go obejrzeć. Sylwetkę miał z grubsza ludzką, stał wyprostowany na nogach zakończonych ptasimi szponami. Czerwone ślepia błyskały i świeciły, zdając się ogarniać wszystko, co go otaczało. Były szeroko rozstawione, po zewnętrznych stronach okrągłego oblicza ozdobionego ostrym jak dziób nosem i pozbawionymi warg ustami, które przywodziły na myśl wejście do jaskini z drogą prowadzącą w głąb ciemności. Zastanawiałem się, czy ma zęby, i jakoś nie spieszyło mi się, aby się tego dowiedzieć.

Jego wygląd sprawiał, że pomyślałbyś o nim jak o „owadzie”, gdyby trzeba było zaklasyfikować go do jakiegoś gatunku, jednak wyraz twarzy i sama postawa świadczyły o inteligencji. To coś było znacznie mądrzejsze niż przeciętna mucha domowa. Bez wątpliwości.

Jego czoło pokrywał delikatny meszek (szary lub niebieski, w słabym świetle nie potrafiłem tego stwierdzić), który mógł być sierścią lub puchem, jak ten u piskląt. Mogłem wyciągnąć rękę i przekonać się, co to było, gdybym tylko zechciał.

Ale nie chciałem.

Wciąż wpatrując się we mnie gorejącymi oczami, stwór złożył skrzydła na plecach i z pietyzmem rozsiadł się na pniu zwalonego jaworu, który oczyściłem z mchu i chwastów, na wypadek gdybym miał mieć kiedyś gości. Gdy tak patrzyłem, jak mnie namierzał, pikował, a potem rozsiadł się wygodnie na starym pniu, w myślach rozważałem różne możliwości. Indianie Cherokee zamieszkujący te okolice opowiadali historie o wielkiej, zionącej ogniem osie zwanej Ulagu, która wypaliła wszystkie drzewa na górze Roan, tak że nigdy żadne drzewo tam już nie wyrosło. Wierzchołek tej góry jest do dziś pozbawiony drzew i rosną tam jedynie krzewy rododendronów. Nikt nie wie dlaczego. Uczeni nazywają takie nagie tereny górskie „gołoborzami”, ale to tylko termin, który niczego nie tłumaczy, dlatego śmiem twierdzić, że olbrzymia osa może stanowić równie dobre wyjaśnienie jak każde inne. Nie sądziłem jednak, żeby to on był tą osą. Zgodnie ze starymi

opowieściami miałyby być znacznie większa niż mój mierzący dwa metry dziesięć nocny gość i raczej nie grzeszyła inteligencją, tak więc Ulagu mogłem wykluczyć. Pozostawał mi już tylko jeden potencjalny kandydat i choć jego odwiedziny wydawały się mało prawdopodobne, wszystko wskazywało, że to właśnie on.

– Dobry wieczór – powiedziałem, kłaniając się nisko mojemu gościowi, a jednocześnie otaksowując go wzrokiem i usiłując wymyślić jakieś uprzejme słowa powitania dla kogoś, kto mierzył ponad dwa metry i miał całe ciało pokryte kaczym puchem. Pochylił głowę w moją stronę, a ja uznałem to za gest powitania. Cisza przedłużała się, więc wreszcie znów się odezwałem:

– Nie spodziewałem się ujrzeć cię tutaj.

Trudno było powiedzieć cokolwiek o jego emocjach na podstawie twarzy wyglądającej jak halloweenowa maska, ale mogłbym przysiąc, że się ucieszył. Wstał i wydał z siebie cichy skrzek jak polująca sowa, po czym tupnął szponiastą stopą o ziemię. Rozpostarł błoniaste skrzydła na ich pełną rozpiętość ponad pięciu metrów, aby wyrzucić na mnie jeszcze większe wrażenie, a ja dodałem:

– No. Z całą pewnością nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj. Przecież pochodzisz z Wirginii Zachodniej i w ogóle.

Teraz go замуrowało. Zamrugał, przerywając swoje popisy, popatrzył na mnie, a jego skrzydła same zaczęły się składać. Z pewnością byłby znacznie szczęśliwszy, gdybym zaczął bełkotać i korzyć się przed nim, ale na podwórku przed moją chatą zjawiały się istoty znacznie gorsze niż on i nie zamierzałem pozwolić, aby zorientował się, że zrobił na mnie wrażenie.

– Rad byłbym, mogąc powitać cię imieniem nadanym przez twoich ziomków, jednak nie przypuszczam, aby w Wirginii Zachodniej pokwapili się, żeby oficjalnie ci je nadać, czyż nie? Poza tym wątpię, aby zorientowali się, że masz już imię, którym obdarzono cię gdzie indziej i znacznie dawniej. W innym paśmie gór, gdzie bywałeś czasami widywany, nazywano cię Garuda, zgadza się?

Jego czerwone ślepia zamrugały kilka razy, a potem stwór zaczął się rozglądać dokoła, jakby się spodziewał, że z pobliskich krzaków wyskoczy gromada ludzi i rzuci się na niego. Nie przychodził mi do głowy nikt, kto mógłby tego spróbować, ale tylko uśmiechnąłem się do niego przymilnie,

podczas gdy on zastanawiał się, co ma teraz zrobić.

W końcu odezwał się gardłowym głosem, z akcentem, którego nie byłem w stanie rozpoznać:

– Jest wielu garudów. To nie jest tylko imię.

Przez dłuższą chwilę opowiadał mi o czterech królach garudów, o wielkich miastach garudów i o ich odwiecznych wrogach, nagach, czyli, o ile zdołałem się zorientować, węzach albo smokach, ale najwyraźniej życiową misją garudów było zabijanie nagów. Twierdził, że umiał powiększyć się na tyle, by rozpiętość jego skrzydeł sięgała nieomal dwóch tysięcy kilometrów i jednym ruchem tych skrzydeł mógłby osuszyć ocean. Zaproponował, że mi to zademonstruje, lecz ponieważ Tennessee znajduje się w odległości prawie dwóch tysięcy kilometrów od oceanu, wolałem odmówić.

Wzruszyłem ramionami.

– No cóż, może faktycznie garuda to nie tylko imię. Pomyślałem, że bardziej do ciebie pasuje niż Człowiek-Ćma, Mothman, ale to moje osobiste zdanie.

Wciąż tylko patrzył, zapytałem więc:

– Jesteś właśnie tym konkretnym garudą, zgadza się? Tym, którego w Wirginii Zachodniej nazywano człowiekiem-ćmą?

To było jakieś trzysta kilometrów na północ stąd, w linii prostej lotu... ćmy. W końcu lat 60. XX stulecia, o ile dobrze pamiętam, dwie młode pary spostrzegły przypominające jastrzębia stworzenie na wiejskim odludziu, w pobliżu opuszczonej jednostki wojskowej, niedaleko Point Pleasant w Wirginii Zachodniej. Istota napędziła im niezłego stracha. Twierdzili nawet, że ruszyła w pościg za ich samochodem. Pomijając jednak kilka wieczornych wizyt, które przeraziły okolicznych mieszkańców, stworzenie tak naprawdę nie wyrządziło nikomu krzywdy. Można było obarczyć je winą co najwyżej za zniknięcie jednej czy dwóch kur. Jednak w grudniu 1967 roku wydarzyło się coś strasznego. I rzecz jasna oskarżono właśnie tę istotę, ale taka jest ludzka natura, że

wynajdujemy to, co inne i odróżniające się od reszty, by winę za wszystkie nieszczęścia złożyć na karb takiego odmieńca. Oczywiście mogli mieć rację. Biorąc pod uwagę moce, jakimi, twierdził, dysponuje, był w stanie doprowadzić do najpoważniejszych katastrof. Staralem się wymyślić uprzejmy sposób, aby poruszyć ten temat, tak żeby – no wiecie – nie poleciały przy tym pióra.

– Człowiek-ćma, tak – powiedziała istota, kiwając głową powoli w górę i w dół. – Tak mnie kiedyś nazywano. Wtedy poszukiwali mnie przez wiele dni. Ale my możemy się zmieniać. Zmieniać rozmiary. I kształt. Niektórzy garudowie mogą nawet przybierać postać ludzi.

Popatrzyłem na niego z zastanowieniem.

– Ale ty jeszcze tego nie potrafisz?

Wzruszył ramionami – a przynajmniej ja tak odebrałem ten gest. Następnie wychylił się do przodu, spojrział mi w oczy i odczekał chwilę, jakby nasłuchiwał czegoś z oddali.

– Nie masz nic przeciwko mojej wizycie – powiedział powoli.

To było stwierdzenie faktu. Po chwili przekrzywił głowę i znów odczekał chwilę.

– Nie boisz się mnie, nie tak jak inni ludzie. Lubisz swoją samotność, tak... to zrozumiałe. Bardziej niechętny byłbyś odwiedzinom zwykłego człowieka, miłośnika pieszych wędrówek czy choćby turysty. Wolisz raczej mnie niż ich.

Cóż, nie mogłem spierać się z istotą, która dostrajała się do ludzkich umysłów jak radio do konkretnej stacji, więc tylko pokiwałem głową i usiadłem wygodnie, zastanawiając się, co właściwie go sprowadzało. Nie był jednak gotów mi tego wyjawić, a kiedy cisza potrwała dobre kilka minut, przerwałem ją.

– Wiesz, wtedy w latach sześćdziesiątych w Wirginii Zachodniej napędziłeś ludziom niezłego stracha, wyłaniając się tak nagle z ciemności przed ich samochodami i zaglądając do okien domów. Do dziś o tym mówią.

Mruknął tylko.

– Ktoś nawet kiedyś zjawił się tutaj w podkoszulku z wizerunkiem człowieka-ćmy. Wydaje mi się, że w Wirginii Zachodniej traktują cię jak własnego smoka.

Z jego gardła dobył się głuchy warkot, a błoniaste skrzydła lekko zafalowały.

– Nie... jestem... nagiem!

– Nie, no skąd. Bez urazy. Spokojnie, staruszk. – Jeżeli sądzicie, że ambasadorzy mają trudną pracę, powinniście spróbować szczęścia w sztuce dyplomacji z istotami nie z tego świata. – Chciałem tylko powiedzieć, że byłeś kimś niezwykłym jak na tamtą okolicę. Nie przywykli do wielkich, budzących grozę istot ze skrzydłami.

– Byłem tam, jeszcze zanim oni nastali.

Pokiwałem głową i bynajmniej jego słowa wcale mnie nie zdziwiły.

– Tak podejrzewałem – stwierdziłem krótko. – Wydaje mi się, że słyszałem jedną czy dwie opowieści Indian Shawnee, które świetnie by do ciebie pasowały.

– Starzy Indianie. Tak. Oni rozumieli mnie lepiej niż ludzie, którzy żyją tam teraz.

– Cóż, to zapewne dlatego, że ludzie w dawnych czasach po prostu akceptowali to, co podsuwały im

ich zmysły, a współcześni stale starają się przesiewać rzeczywistość przez treści rodem z podręczników naukowych, wiedzę konwencjonalną i to, co zdołają im w danym miesiącu wcisnąć dziennikarze, a co jest innym określeniem kłamstw, w które wszyscy wierzą.

Zignorował mój wywód. Najwyraźniej nie był w nastroju do dyskusji o polityce kulturalnej, a może po upływie paru pierwszych tysiącleci takie rzeczy stawały się nużące i monotonne.

– Już tam byłem – powiedział. – Przed nastaniem ludzi. Kiedy po raz pierwszy poznałem to miejsce, ląd był pokryty ciepłym płytkim morzem.

Pokiwałem głową.

– Słyszałem o tym. Kilka milionów lat temu, prawda? Większość kontynentu znajdowała się wówczas pod wodą. Wiem, że mniej więcej w tym okresie z paproci zaczął tworzyć się węgiel. Założę się, że na płycznach tych pradawnych mórz widać było wyłaniające się z wody dinozaury.

Jego ślepie znowu rozbłysły i zasyczał:

– Nagowie!

– No cóż... przypuszczam... że w pewnym sensie tak.

Smoki, dinozaury... wszystko to było, jak sędzę, kwestią semantyki. A może my wszyscy widzieliśmy tylko to, co spodziewaliśmy się zobaczyć.

– Ale już ich nie ma.

Czerwone ślepie ponownie zajaśniały i z niejaką satysfakcją w głosie oznajmił:

– Nie ma ich. Tak. Bo je pozabijałem.

– Ty... – Przypomniałem sobie, że rozmawiam z pewnego rodzaju bóstwem i że jego doświadczenie czasu i rzeczywistości różni się od mojego. Nie zamierzałem ryzykować i otwarcie zarzucać mu kłamstwa. Życzliwości i kurtuazji nauczyłem się w kontaktach z docierającymi w te strony mieszczuchami i tępymi turystami, tak więc uprzejmość wobec pradawnego skrzydlatego monstrum to była bułka z masłem. Poza tym jego opowieści były o wiele mniej dziwaczne niż historyjki niektórych niedzielnych turystów. – Sam je zabiłeś? Własnoręcznie?

Jego skrzydła nieznacznie zatrzepotały.

– Mówiłem ci. Kiedy osiągnę pełne rozmiary i machnę skrzydłami, potrafię osuszyć ocean.

– Tak, wspominałeś o tym. Domyślałem się, że jesteś w stanie to zrobić. Wierzę ci na słowo. A zatem osuszyłeś ten płytki ocean, który pokrywał Wirginię Zachodnią, a potem wybiłeś wszystkich nagów, którzy pozostali?

Pokiwał głową.

– Potem długo, bardzo długo odpoczywałem. Wszędzie panował spokój.

Nastąpiła długa, bynajmniej niekrępująca cisza, a ja zamyśliłem się nad tą nową teorią zagłady dinozaurów. Nie zamierzałem wspominać o niej na uniwersytecie. Nie miałem żadnego tytułu naukowego, więc nie wolno mi było nawet mieć na ten temat własnej opinii. Poza tym prawdą jest to, w co wszyscy już dawno wierzą, a ta nowa teoria nijak nie mogłaby się wpasować do ogólnie przyjętych konwencji.

Po kilku kolejnych minutach obustronnego milczenia wpadła mi do głowy jeszcze jedna myśl.

– Jak to się stało, że po unicestwieniu wszystkich nagów pozostałeś tutaj?

– Po tak wielkiej bitwie potrzebowałem długiego snu.

– Trwającego kilka milionów lat? Czuję się podobnie, kiedy uwarzyłem kociołek gulaszu i próbowałem go zjeść do ostatka. Później miałem ochotę spać przez wiele dni. Bo ty ich pożarłeś, prawda? Znaczący się nagów. Zjadłeś ich wszystkich?

Odchrząknął.

– Tylu, ilu zdołałem. Ich kości wyplułem w błoto.

– Tak, chyba je znaleźliśmy.

– Potem wróciłem do innych oceanów, gdzie żyją inni garudowie. Tam spędzałem czas. Budowaliśmy miasta i walczyliśmy z innymi nagami. Ale któregoś dnia wróciłem na ziemię, gdzie znajdowało się płytkie morze. I kiedy tam przybyłem, okazało się, że na lądzie są inne umysły. Takie jak twój.

– Pewnie Indianie Shawnee. Myślę, że jesteśmy dalekimi krewnymi.

Skoro on odszedł w późnym plejstocenie, by powrócić w czasach Shawnee, musiał uciąć sobie naprawdę długą drzemkę po swojej przypadkowej wizycie w Azji, pomiędzy unicestwieniem dinozaurów i ponownym pojawieniem się w Wirginii Zachodniej jakieś trzy tysiące lat temu. Ale jak już wspomniałem, mógł nie doświadczać czasu tak jak my, a ja nie zamierzałem dyskutować z nim o metafizyce – w każdym razie nie na trzeźwo. Miałem pod zlewem butlę bimbrowa i przyszło mi do głowy, żeby go nim poczęstować, jednak sprawiał wrażenie, że po pijaku mógłby się zrobić agresywny, więc sobie odpuściłem.

– Shawnee... – zdawał się smakować to słowo albo może sprawdzał, czy zdoła ono trącić jakąś czułą nutę w jego pamięci.

Zastanawiałem się, gdzie był ostatnio.

– Tak, spodziewam się, że ich pamiętasz. To byli cisi ludzie żyjący w zgodzie z tą ziemią, zanim przybyli tu obecni mieszkańcy, zaczęli wytyczać przez puszcze brukowane drogi i wdzierać się do wnętrza gór, by wydobyć stamtąd węgiel.

Powoli pokiwał głową, jakby przywoływał odległe wspomnienia.

– Pamiętam ich. To był spokojny czas. Stworzenia, które zamieszkiwały w kraju garudów, stały się dla nas niczym dzieci i niekiedy próbowaliśmy wysłuchiwać ich próśb i spełniać je.

Nie spodobało mi się to, co usłyszałem. Odniosłem wrażenie, że pomiędzy grupą prostych wieśniaków a wielką skrzydlatą istotą często mogło dochodzić do nieporozumień. Ja byłbym bardziej powściągliwy w kierowaniu próśb do tej istoty.

– Potrafisz odczytywać ludzkie myśli? – spytałem z największą ostrożnością.

Zastanowił się chwilę.

– Twój umysł słyszę wyraźniej niż inne. Może dlatego, że żyjesz samotnie w lesie, a w pobliżu nie ma innych umysłów. Ale wydaje mi się, że chodzi o coś więcej.

Pokiwałem głową. Prawdopodobnie to, co sprawiało, że potrafiłem rozmawiać z umarłymi i miałem inne równie irytujące przeżycia musiało jednocześnie zwiększyć siłę sygnału moich fal mózgowych. Nie uważałem tego za błogosławieństwo.

– Ale choć słyszę ciebie... nieczęsto zdarza mi się wychwytywać myśli osobników należących do twojego gatunku. Wasze umysły są zbyt małe, abym mógł w nie wejrzeć, no i tak krótko życie. Czasami jednak, kiedy wiele wielkich umysłów pragnie tego samego, ich myśli stają się dostatecznie silne, by do mnie dotrzeć.

– Aha. – Nie spodobała mi się uwaga o małych umysłach, ale postanowiłem puścić ją mimo uszu. – Czy pierwsi ludzie żyjący tutaj zażyczyli sobie czegoś konkretnego?

– Obawiali się potworów na swojej ziemi i dlatego pozabijałem je wszystkie.

Mogłem się tylko domyślać, co to były za potwory: tygrysy szablozębne, lwy amerykańskie, mastodonty, i z całego serca pragnąłem, by zostawił je w spokoju, ale spóźniłem się o jakieś dziesięć tysięcy lat i nie mogłem robić mu z tego powodu wyrzutów.

– Czy kiedykolwiek zażyczyli sobie czegoś jeszcze?

Pokiwał głową.

– Na ich ziemi przybyli nowi, dziwni ludzie. Z początku było ich niewielu. Zbudowali fort ze ściętych drzew i wykarczowali tereny nad wielką rzeką, by uprawiać tam rolę. Leśni ludzie wiedzieli, że jeśli tamtym się uda, przybędzie ich więcej. I zażyczyli sobie, żeby ich nie było.

Przypomniałem sobie tę historię tylko dlatego, że stało się to na terytorium Shawnee, które zawsze szczególnie mnie interesowało. W 1775 roku, tuż przed wybuchem rewolucji amerykańskiej, Jerzy Waszyngton wysłał grupę osadników, aby skolonizowali ziemię, które należały do niego i znajdowały się na krańcu terytorium ówczesnej Wirginii. Przyszły prezydent nabył akty własności gruntów od weteranów wojen z Francuzami i Indianami i zgromadził około czternastu tysięcy hektarów ziemi: nad rzeką Kanawha, poza terytoriami, których był właścicielem, znacznie dalej na wschód stamtąd. Osobiście wybrał te ziemie i zasadził tam sporo dębów, sądząc więc, że to miejsce musiało mu się spodobać. Ktoś jednak powinien był mu powiedzieć, że Indianie Shawnee mieli własną nazwę na rzekę Kanawha, a brzmiała ona Keninsheka, czyli Rzeka Złych Duchów.

Przyjrzałem się z uwagą mojemu gościowi siedzącemu na kłodzie przed moją chatą. Nie ulegało wątpliwości, że Indianie Shawnee go znali.

Waszyngton pragnął, by jego kolonia stała się przyczółkiem na obcym terytorium. Wysłał więc Jamesa Clevelanda i Williama Stevensa, aby poprowadzili rodziny ochotników i założyli tam osadę. Tak też się stało. Pobudowali domy, wykarczowali ziemię pod pola i sady i wydawało się, że wszystko jest w porządku. Wtedy jednak wybuchła wojna o niepodległość i nikt nie miał czasu, by martwić się losami grupy osadników po drugiej stronie gór. Jerzy Waszyngton był zajęty. Wiecie, jak to jest.

I tak od Bunker Hill po Yorktown wszyscy wyruszyli na wojnę, pozostawiając kolonistów nad Kanawha, aby sami martwili się o siebie, a kiedy w końcu ktoś sobie o nich przypomniał, okazało się, że wszyscy osadnicy zniknęli. Jakby wyparowali. Nie został po nich żaden ślad. Ani szkieletów w wysokich trawach wokół opustoszałych chat, ani adresu, dokąd mieliby się przenieść, wrytego na pobliskim drzewie. Zupełnie nic.

Ludzie zawsze obwiniali Indian Shawnee o zniknięcie osadników z kolonii Waszyngtona w Wirginii Zachodniej i skądinąd ja też przychylałem się do tej wersji wydarzeń, choć dziwiło mnie, że nie zrobili tego w tradycyjny sposób: atakując fort, wybijając jego mieszkańców i paląc całą osadę. Nie... myślę, że Indianie Shawnee po prostu zażyczyli sobie, żeby tamci zniknęli.

Garuda pokiwał głową. Najwyraźniej znów dostroił się do moich myśli, co pozwoliło zaoszczędzić zbędnej gadaniny i wyjaśnień, a zarazem czyniło z niego znośnego kompana, choć uznałem, że mógł być niebezpiecznym przyjacielem. Kiedy mówisz coś na głos, masz przynajmniej pewność, że ludzie usłyszeli to, co zamierzałeś powiedzieć. Albo i nie, biorąc pod uwagę semantykę i całą resztę. *(Turyści sądzą, że ludzie, którzy żyją w lesie, są ignorantami, ale jeśli nie musisz się z nikim bratać, masz sporo czasu na czytanie).*

– Indianie Shawnee zażyczyli sobie, żeby koloniści zniknęli, zgadza się? Wszyscy co do jednego mieli to samo życzenie, mam rację?

– W rzeczy samej. Złożyli mi dary i modlili się do mnie. To mi się spodobało. Pomyślałem, że może te istoty za drewnianymi murami są nagami w innej postaci, więc ocaliłem przed nimi mój leśny lud.

I sprawiłem, że zniknęli.

Zastanawiałem się, gdzie tym razem wypluł kości.

– A potem uciałeś sobie studziwieńcdziesięcioletnią drzemkę?

– Krótką drzemkę, tak, lecz kiedy znów się obudziłem, moje ziemie się zmieniły. Lasy i góry wciąż tam były, jednak umysłów nastąpiło wiele, podobnie jak drewnianych murów. Wybudowano wielkie miasta.

– Czy polubiłeś tych nowych ludzi?

– Kochali te ziemie. I z tego powodu przynależeli do tego miejsca. Ale zapomnieli o mnie. Dlatego pojawiłem się raz czy dwa, żeby przypomnieć, kto strzeże tych ziem.

– Tak. Nie przeoczyli tego.

Pomyślałem o przerażonej parze nastolatków w Mason County w Wirginii Zachodniej, którzy powiadomili o wielkiej, przypominającej ptaka istocie ścigającej ich samochód na wiejskiej drodze. Albo o tych ludziach, którzy mieszkali w pobliżu opuszczonej bazy wojskowej i przyłapali go na ganku, gdy zaglądał do okien ich domu. Podejrzewam, że nigdy nie przyszłyby im do głowy modlitwy do niego i składanie mu ofiar.

– Nie pojmowali mojej obecności. Postanowiłem uczynić dla nich coś wzniosłego, aby zrozumieli, kim jestem.

– Założę się, że zacząłeś się rozglądać za nagami?

Zorientowałem się już, że garudowie byli bardzo ograniczeni w kwestii czynienia cudów. Nie mogli – lub nie chcieli – uczynić cię bogaczem, poprawić twojego stanu zdrowia albo usunąć zanieczyszczenia z powietrza. Byli dobrzy wyłącznie w zabijaniu. Wirginia Zachodnia mogła trafić na lepszych strażników, ale w głębi duszy ucieszyłem się, że garuda nie wybrał sobie za siedzibę Waszyngtonu. Od życzeń tamtejszych mieszkańców mogłyby zjeżyć się wam wszystkie włosy.

– No dobrze, opowiedz mi o moście – powiedziałem.

To zdarzenie związane z człowiekiem-ćmą pamiętają chyba wszyscy. W grudniu 1967 roku widziano go w okolicy Silver Bridge w Point Pleasant, a niedługo potem most runął, zabijając czterdzieścioro sześcioro pechowców, których auta znajdowały się właśnie na nim.

– To był tylko drobny gest – powiedział człowiek-ćma.

Cóż, pewnie tak w porównaniu z wytępieniem dinozaurów i ssaków z okresu epoki lodowcowej, mimo to wciąż zastanawiałem się, dlaczego wybrał ten most.

Wychwyił to pytanie w moich myślach.

– Dlatego że... ten most prowadził do krainy nagów.

Ach tak. No jasne. Ohio.

Pokiwał głową.

– Odczytałem w umysłach tych ludzi jedno i to samo pragnienie, jak u wszystkich dawnych leśnych ludzi, kiedy chcieli pozbyć się wrogów.

Domyślałem się, że musiał wychwycić cały bezmiar gniewu i złości. Mieszkańcy Wirginii Zachodniej mieli serdecznie dość uszczypliwych żarcików, jakie na ich temat opowiadali mieszkańcy Ohio, i darzyli szczerą nienawiścią tamtejszych zadzierających nosa lekarzy i milionerów, którzy uważali Wirginijczyków za wieśniaków bez grosza przy duszy. Najgorsze jednak było to, że niektórzy mieszkańcy Ohio, w poczuciu spełnienia dobrego uczynku, choć kompletnie bezmyślnie, pakowali do swoich furgonetek stare ciuchy i przejeżdżali przez rzekę do Wirginii Zachodniej, by nieść pomoc charytatywną ludziom, którzy wcale o nią nie zabiegali ani jej nie potrzebowali. Chyba wolałbym mieć za sąsiadów nagów po drugiej stronie rzeki Kanawha.

Człowiek-ćma pokiwał głową.

– Otóż to – powiedział. – Moje nowe dzieci nie były w stanie unicestwić tego wroga, uczyniłem więc dla nich ten drobny gest. Nie zniszczyłem wszystkich ich ciemięzców, ponieważ ci nowi ludzie nie okazali mi należytego szacunku. Pokazałem im jednak moją moc.

– I co ci to dało?

Po dłuższej przerwie garuda odpowiedział:

– Odwrócili się ode mnie. Więcej im nie pomogę. Ale może dam istotom zamieszkującym te ziemie jeszcze jedną, ostatnią już szansę. Czy jest jakiś wróg, który zagraża mojemu ludowi tutaj? Mógłbym raz jeszcze przypomnieć im, kto strzeże tych ziem.

Zastanowiłem się nad tym i szczerze mówiąc, miałem nie lada problem z dokonaniem wyboru. Kogo chciałem wydać na pastwę człowieka-ćmy? Górników niszczących okoliczne góry? Podstarzałych milionerów zaszywających się tu, w swoich nowych, otoczonych murami rezydencjach i szpecących górski krajobraz „drewnianymi chatami” za milion dolarów? A może handlarzy narkotyków żerujących na ludziach słabego ducha?

Pokusa była zbyt silna, ale nie chciałem obciążać swojej karmy, a jak się domyślałem, garudowie przykładali do karmy olbrzymią wagę. Dlatego nachyliłem się naprawdę blisko do czerwonoookiej istoty i powiedziałem tylko tyle:

– Niedaleko stąd, w sąsiedniej dolinie, jest facet, który kręci film o potworach. Myślę, że powinieneś zgłosić się na casting.

Przełożył Robert P. Lipski

David Moody
Wielkolud

To było niczym scena z jakiegoś czarno-białego filmu grozy z lat 50., jednego z tych, które tak lubił oglądać w dzieciństwie: rozmieszczone po łuku oddziały wojska czekały w gotowości, by bronić pobliskiego miasta przed atakiem stwora. Swego czasu major Hawkins przepadał za filmami tego gatunku. Teraz jednak, choć rzeczywistość miała wiele wspólnego z historiami oglądanymi kiedyś na dużym ekranie, a kilka ostatnich dni potoczyło się według jakby znajomego scenariusza, wszystko jawiło się zupełnie inaczej niż w kinie. To się dzieje naprawdę, powtarzał sobie major. To wojna.

Tyle że nie toczyła się w pokazywanej w filmach Ameryce z okresu zimnej wojny. Był środek zimy, a on stacjonował na południowy zachód od skąpanego w deszczu Birmingham, niemal w samym sercu Wielkiej Brytanii. Na tym różnice się nie kończyły. Przede wszystkim Hawkins nie był aktorem grającym przystojnego bohatera, lecz żołnierzem zawodowym, który miał misję do wypełnienia. I nie był żadnym tam szeregowcem, ale najwyższym rangą oficerem na polu walki. To znaczy najwyższym rangą oficerem, który na tej wojnie nadstawiał karku, podczas gdy ukryci w bunkrze przełożeni majora, rozparci w skórzanych fotelach, z bezpiecznej odległości obserwowali rozwój wypadków na ekranach monitorów.

Z drugiej strony w starych kiczowatych filmach produkowanych przez Rogera Cormana czy Samuela Z. Arkoffa tkwiło jakieś ziarno prawdy. Fabuły *Zdumiewająco kolosalnego człowieka*, *Wojny kolosalnej bestii* czy choćby *Ataku kobiety olbrzymia* miały podobny przebieg jak rozgrywające się dziś zdarzenia: oto wskutek nieoczekiwanego splotu okoliczności rodził się potwór, który zaczynał szerzyć zniszczenie i śmierć, a kolejne gorączkowe próby powstrzymania go spełzały na niczym...

Ale ta historia miała jeszcze inny wymiar, który w filmach grozy stanowił jedynie tło dla snutej opowieści. W napadzie szału bestia zabiła wielu ludzi, rozdeptując ich albo rozrywając na strzępy, i wyrządziła szkody sięgające milionów, a nawet miliardów funtów. Poza tym żołnierze nie czekali na pojawienie się animowanej kukielki czy kaskadera w gumowym kombinezonie, lecz na żywego stwora, odrażającego mutanta, który kiedyś był człowiekiem, a teraz w niczym nie przypominał istoty ludzkiej. Ohydne, zdeformowane monstrum, które będzie rosło i zabijało, dopóki nie zostanie przez kogoś powstrzymane. Hawkins dźwigał na barkach ogromny ciężar, a jego decyzje mogły być brzemiennie w skutki.

Glen Chambers, politowania godny drań, który znalazł się w samym centrum tych niesamowitych zdarzeń, jeszcze kilka dni temu był nikim, człowiekiem bez twarzy, ojcem małego chłopca, facetem, którego nie znał nikt poza jego rodziną, kilkorgiem znajomych oraz kolegami z pracy. Hawkins mógłby go wielokrotnie minąć na ulicy i ani razu nie zwróciłby na niego uwagi. Teraz musiał zapomnieć, że Chambers był kiedyś człowiekiem, i skoncentrować się na śmierci i zniszczeniu, do których to monstrum doprowadziło. W tak tragicznych okolicznościach pewnie każdy normalny zjadacz chleba postradałby zmysły. Można by się nawet upierać, że Glen Chambers jest równie niewinną ofiarą nieszczęśliwego splotu zdarzeń jak ludzie, których zamordował. Jednak fakt pozostawał faktem: niezależnie od intencji czy winy potwora należało go powstrzymać.

Major Hawkins po raz pierwszy zaangażował się w całą akcję po ataku w klinice. Tamtejsi lekarze robili wszystko, co w ich mocy, aby pomóc Chambersowi. Przez cały czas podawali mu środki uspokajające i trzymali pod obserwacją, szukając sposobu, by odwrócić skutki nieszczęśliwego wypadku, zatrzymać wzrost i deformację ciała. A jak on odpłacił im za życzliwość i troskę? W napadzie szału zabił ponad trzydziestu niewinnych ludzi i zamienił klinikę w stertę gruzu. Właśnie tak. Potem tchórzliwy drań schował się gdzieś i póki udawało mu się znajdować budynki dające mu schronienie, nie wychodził z ukrycia.

Atak na Shrewsbury pokazał, że sytuacja jest o wiele poważniejsza, niż dotąd sądzono. Skala zniszczeń i liczba zabitych nie pozostawiała wątpliwości, że szybkie zlikwidowanie monstrum to sprawa najwyższej wagi. Potwór stanowił zagrożenie, z jakim do tej pory nikt się nie spotkał. Mordował mężczyzn, kobiety i dzieci, rozdeptując ich lub rozrywając na strzępy. Zrujnowane ulice miasteczka spływały krwią.

Potwór zaatakował tę malowniczą miejscowość niczym niesprovokowany. Zburzył zabytkowe budynki i zgładził setki niewinnych ludzi. A kiedy nasycił swoją żądzę krwi, ruszył dalej, siejąc śmierć. Wytropili bestię w samym sercu kraju, podążając śladem wyrządzonych przez nią zniszczeń. Przerazające monstrum nie oszczędzało nikogo ani niczego. Nie zdołało przed nim uciec nawet pasące się na polach bydło. Setki rozerwanych zwierzęcych trupów walały się na przestrzeni wielu

kilometrów.

Co stwór robił w tej chwili?

Pomimo ogromnych (i coraz większych) rozmiarów udało mu się gdzieś schować. Wiedzieli, że jest blisko, ale wciąż nie mieli pewności gdzie dokładnie. Nie musieli go jednak szukać. Hawkins był przekonany, że wkrótce zabraknie miejsc, w których potwór będzie mógł się schronić, i sam wyjdzie z ukrycia, a na to żołnierze majora będą już przygotowani. Aby zabić monstrum, wykorzystają taktykę stosowaną w starych horrorach – będą strzelać ze wszystkiego, co jest pod ręką, dopóki nie zabraknie im amunicji albo dopóki nie poślą monstrum do piekła. A jeśli po wszystkim okaże się, że stwór wyszedł z tej konfrontacji bez szwanku, trzeba będzie wezwać ekspertów od mokrej roboty. Atak jądrowy to ostateczność, ale Hawkins wiedział, że dowództwo wyda taki rozkaz, jeśli zajdzie potrzeba (z perspektywy siedzących w bunkrze ważniaków nie był to znów taki wielki problem). Zginęłyby dziesiątki tysięcy, a może nawet setki tysięcy ludzi, lecz jeśli nie uda się powstrzymać stwora, to co wtedy? Nikt nie mógłby się czuć bezpiecznie. W ciągu niespełna tygodnia z anonimowego człowieka bez twarzy Glen Chambers zmienił się w największe zagrożenie dla rodzaju ludzkiego, w mordującego na oślep i bez litości oprawcę.

Major Hawkins starał się odsunąć od siebie myśli o najgorszym możliwym scenariuszu i nieuchronnie zbliżającej się konieczności użycia broni jądrowej. Spróbował przypomnieć sobie utarte schematy z filmów grozy, które mogłyby wskazać wyjście z beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Omal nie parsknął śmiechem, gdy wyobraził sobie, że potwór chwyta go niczym King Kong swoją ofiarę i rusza na poszukiwanie wzniesienia. W końcu w zaistniałych okolicznościach taki rozwój wypadków był w jakimś, choćby wielce nieprawdopodobnym stopniu możliwy. Byłoby ciekawie! W myślach major zastąpił dwupłatowce i Empire State Building szwadronem myśliwców rodzimej produkcji i budynkiem Blackpool Tower...

– Sir!

– O co chodzi, Rayner? – błyskawicznie zareagował Hawkins, próbując ukryć przed młodym oficerem, że na moment stracił kontakt z rzeczywistością.

– Znaleźliśmy go.

Mutant, w którego zamienił się Glen Chambers, ukrywał się przed resztą świata w ciemnej jaskini, kuląc się, drżąc z zimna i płacząc nad swoim losem. Wszystko go bolało, każdy naciągnięty nerw i mięsień. Udało mu się wcisnąć ogromne i wciąż rosnące cielsko w szczelinę, która z godziny na godzinę stawała się coraz ciaśniejsza. Wiedział, że niebawem będzie musiał ruszyć dalej. To było nieuniknione, ale chciał tu zostać tak długo, jak to tylko możliwe. Nad okolicą unosiły się helikoptery. Pewnie już wiedzieli, gdzie jest.

Zanim znalazł jaskinię, przystanął nad brzegiem jeziora, żeby się napić wody, i zobaczył swoje odbicie. Stwór, który patrzył na niego, budził w nim zarówno ogromny smutek, jak i przerażenie. Ogromne potwory, które pokazywano w kinie, miały zazwyczaj takie same proporcje jak zwykli ludzie, tyle że były po prostu większe. On wyglądał zupełnie inaczej. Od wypadku nieustannie rósł. Każda część ciała stawała się coraz masywniejsza, ale wszystkie rozrastały się w różnym tempie. Czaszka zrobiła się nabrzmiąta i ciężka, osiągając rozmiary małego samochodu. Jedno oko było teraz dwukrotnie większe od drugiego i wyglądało jak okrągły talerz. Stracił część włosów, a te, które mu nie wypadły, bez przerwy rosły: pozlepiane w strąki, długie i sztywne jak drut. Glen uderzył pięścią w lustro wody, nie mogąc dłużej znieść tego widoku. Potem podniósł zaciśniętą dłoń i popatrzył na nią z niedowierzaniem – przed oczami miał spuchniętą, pokrytą guzami masę z kciukiem dwukrotnie dłuższym od reszty palców. A skóra?! Napełniała go największą odrazą. Jej kolor się nie zmienił, ale zrobiła się bardzo gruba i szorstka, niemal jak skóra słonia. Tworząc fałdy i mokre od potu zagłębienia, opinała rozrastające się cielsko. Ku jego rozgoryczeniu jedynym organem, który wciąż funkcjonował bez szwanku, był mózg. Na tym polegała ironia tej sytuacji – fizycznie stał się czymś zupełnie innym, czymś niewyobrażalnie przerażającym, lecz w środku pozostał sobą, Glenem Chambersem. Był groteskowo zdeformowany i ogromny. Tylko w niewielkim stopniu podobny do osoby sprzed zaledwie kilku dni. Ale pod względem emocjonalnym prawie nic się w nim nie zmieniło. Te same wspomnienia. Te same uczucia. Ten sam ból.

Ogromny żołądek Glena głośno dopominał się jedzenia. Chambers jadł niemal bez przerwy, lecz rósł tak szybko, że nigdy nie był w stanie w pełni zaspokoić głodu. Sięgnął w dół i jedną ręką podniósł martwą owcę. Przegryzł ją i krztusząc się kośćmi, krwią i wełną, które wypełniały mu usta, zmusił się do przeżucia i przełknięcia mięsa.

Jego pochylone plecy zaczęły napierać na sklepienie jaskini. Czas ruszać dalej, zanim kryjówka zmieni się w pułapkę. Wyczołgał się na popołudniowy deszcz i przysiadł bez ruchu. Nie chcę się ruszać, pomyślał. Kiedy się ruszam, umierają ludzie. To nie moja wina, ale to właśnie mnie oskarżają o wszystko.

Boże, jeśli istniejesz, proszę, spraw, żeby ten koszmar wreszcie się skończył.

Glen szedł w ciemności przez pola otaczające wzgórze Malvern, nie zważając na deszcz ani chłód. Przeżył tu kiedyś wiele szczęśliwych chwil z Dellą i jej ojcem. Zanim jeszcze wydarzyło się to całe zło. Ku jego zaskoczeniu powrót do znajomych miejsc okazał się bardzo bolesny. Żołądek znów zaczął się dopominać jedzenia. Glen gołymi rękami złapał więc spłoszonego konia, jednym ruchem nadgarstka skręcił mu kark i odgryzł kawał dobrze umięśnionego zwierzęcego korpusu. Nie potrafił się pogodzić ze zniszczeniem, które powodował na każdym kroku, no ale cóż mógł na to poradzić? Im będzie większy, tym będzie gorzej. Już teraz coraz trudniej przychodziło mu dźwiganie swojego masywnego ciała. Zatrzymał się i usiadł na ziemi, opierając się o zbocze najwyższego wzgórza British Camp. Z ulgą stwierdził, że przynajmniej na chwilę przestał być największym elementem otaczającego go krajobrazu. Wzgórze było tak ogromne, że na moment znów poczuł się mały i niepozorny.

Dlaczego właśnie jego to spotkało?

Choć próbował o wszystkim zapomnieć, przed oczami wciąż miał każde, nawet najdrobniejsze zdarzenie z minionych dni. Pamiętał wypadek: ostre światło i przeraźliwe wycie syren ostrzegających przed promieniowaniem. A potem uczucie dezorientacji, kiedy się obudził w klinice. Przez chwilę zdawało mu się, że gra w którymś z filmów science fiction o profesorze Quatermassie, które oglądał jego ojciec. Jednak tam każdy człowiek objęty kwarantanną był bohaterem – astronautą albo genialnym naukowcem. Nie to co on. Na litość boską, on tylko sprzątał to cholerne laboratorium. Nawet nie był naukowcem. Pracował dla nich, to wszystko.

Przez jakiś czas szprycowali go lekami, próbując zatrzymać przemianę. Przyglądali mu się z daleka przez szybę albo przez lustro weneckie i żaden z nich nie miał odwagi, by się zbliżyć. Aż nadszedł moment, kiedy leki i środki usypiające nie odnosiły już żadnego skutku. Gdy przestały działać, ból stał się nie do zniesienia. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że nie mieści się w łóżku. W końcu mebel rozpadł się pod jego ciężarem. Glen był dwukrotnie większy niż normalnie. Jego rozrastające się ciało szybko wypełniło pokój. Zaczął odczuwać klaustrofobię i wpadł w panikę. Chciał poprosić o widzenie z synem, Ashem, ale nagle usta odmówiły mu posłuszeństwa i nie mógł wymówić wyraźnie ani jednego słowa. Próbował wstać, lecz w pokoju było za mało miejsca. A kiedy usiłował podciągnąć rolety i wyrzucić przez okno, niezdarną ręką wybił szybę. Ludzie za lustrem weneckim zaczęli krzyczeć, żeby się uspokoił i leżał nieruchomo, ale to wystraszyło go jeszcze bardziej. Zaczął napierać na zewnętrzną ścianę, która runęła pod jego naciskiem. Wygramolił się przez powstałą wyrwę i stanął w świetle poranka – całkowicie nagi, wysoki niemal na cztery metry. Próbował biec, lecz upadł. Ucieczkę utrudniały mu różnej długości nogi. A gdy drogę zajechały mu ciężarówki, pomyślał, że siedzący w nich ludzie chcą go skrzywdzić. Próbował ich tylko przesunąć na bok, ale poniosło go i zabił kilku pracowników ochrony. Nieświadomy ogromnej siły swojego rozrośniętego ciała, roztrzaskał im czaszki jak łupiny orzecha.

Ukrył się w opuszczonym magazynie – jedynym miejscu, które uznał za wystarczająco duże na schronienie. Przez większość czasu leżał zwinięty w kłębek na podłodze hali magazynowej. Usiadł tylko po to, żeby posłuchać wywodów zamrozonego alkoholem i narkotykami bezdomnego, który wziął go za swoją kolejną halucynację. Teraz Chambers oparł się o zbocze góry, gniotąc rosnące za jego plecami drzewa jak suche gałęzie, i przypomniał sobie tamtą rozmowę, a właściwie monolog nieznanego (Glen nie był w stanie nic powiedzieć, mógł tylko słuchać). Jak ślepiec z filmu o Frankensteinie pijacek nie osądził go ani nie uciekł na jego widok w popłochu. Rano jednak był martwy – został zgnieciony przez Glena, który podczas snu urósł dwukrotnie. Chambersa zbudziły odgłosy przygotowywanej zasadzki. W trakcie ucieczki zniszczył budynek i dosłownie rozdeptał mały oddział wojska, który miał go wykurzyć z kryjówki i pochwycić. Pod ostrzałem, w chmurze unoszącego się pyłu, ruszył w kierunku kolejnego znanego mu miejsca, miasta Shrewsbury. Unikając głównych dróg, szedł wzdłuż płynącej meandrami rzeki Severn.

Teraz gorzko żałował, że udało mu się dotrzeć do tego pięknego, wiekowego miasta. Jego przerośnięte serce drgnęło na samo wspomnienie tamtych zdarzeń. Nieprzyzwyczajony do zawrotnego tempa, w jakim powiększało się jego zniekształcone ciało (bo czy można się do tego przyzwyczaić?) i w jakim zmieniały się jego proporcje, Glen zataczał się jak pijany olbrzym, na każdym kroku powodując coraz więcej szkód. Kiedy starał się schodzić z drogi samochodem i pieszym, wpadał na zabytkowe budynki, które waliły się pod jego ciężarem. Zupełnie nieumyślnie niszczył miejsca, które on, Della i Ash znali i lubili. A kiedy chciał stamtąd uciec, żeby nie czynić dalszego spustoszenia, uśmiercił wielu niewinnych ludzi. Pełne bólu i przerażenia krzyki umierających dręczyły go najbardziej. Przecież wcale tego nie chciał. Ostatnią kroplą przepełniającą czarę goryczy był widok rozdeptanego dziecięcego wózka, który zauważył, gdy podniósł nogę, by postawić ją na zgliszczach częściowo zburzonego rzędu domów. Czy zabił leżące w nim dziecko? Nawet nie próbował się tego dowiedzieć. Uciekł stamtąd najszybciej, jak się dało, a w uszach wciąż rozbrzmiewały mu odgłosy dochodzące ze stratowanego miasta.

Siedząc w cieniu wzgórz, Glen podniósł ciężką głowę, spojrzał w górę i zapłakał, a jego szloch przetoczył się jak grzmot po wieczornym niebie. Z każdą godziną coraz mniej przypominam człowieka, a coraz bardziej potwora, pomyślał. Pewnie nie zostało mi zbyt wiele czasu. Jeśli mam to zrobić, muszę to zrobić teraz.

Zakładali, że w końcu wróci do domu. Że będzie chciał, aby Della i reszta jego rodziny cierpiała tak jak on. To było idealne miejsce na atak: wyeksponowane, na pustkowiu, z dala od ludzkich siedlisk. Oddział Hawkinsa został tu przysłany, aby zlikwidować monstrum. Żołnierze chwycili za broń, gdy na ciemniejącym horyzoncie dostrzegli wielki, zataczający się kształt, z zarysu coraz mniej przypominający człowieka. Padły rozkazy i w kierunku zbliżającego się olbrzyma otwarto ogień. Kule i pociski mózdzierzowe odbijały się od jego łuskowatej skóry, nie raniąc go ani trochę.

Rozwścieczony stwór zabił wielu napastników i szedł dalej, pozostawiając za sobą porozrzucane trupy i umierających.

Kiedy ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały ziemię, znalazł wreszcie to, czego szukał – dom ojca Delli. Zwrócił się w stronę samotnie stojącego budynku, ignorując kilku ocalałych, przypominających mrówki żołnierzy, którzy uciekając spod jego stóp, wciąż próbowali go atakować. Gdy doszedł do sięgającego mu do pasa domu, zamachnął się ogromną, niezdarną ręką i jednym uderzeniem strącił dachówki i belki stropowe. Próbował zajrzeć do środka i coś tam dostrzec pomimo unoszącego się pyłu i panującego wieczornego półmroku. Kiedy stwierdził, że na ostatnim piętrze nikogo nie ma, zerwał podłogę, a potem kolejne warstwy budynku. Ukląkł na skraju drogi (zgniół przy tym kolejną ósemkę ludzi) i spojrzał do środka jak nadąsane dziecko, które w poszukiwaniu zgubionej zabawki zniszczyło domek dla lalek.

Nie było ich. Dom był pusty. Niepocieszony Glen wstał, kopnął zdemolowany budynek i patrzył, jak gruz rozpryskuje się na niemal półtora kilometra wokół.

U jego stóp kilku ostatnich żołnierzy przegrupowało siły i przystąpiło do kolejnego ataku. W tej chwili było to jego najmniejsze zmartwienie – dość irytujące i przykre, ale nic poza tym. W gniewie schylił się i jednym ruchem ręki zmiotł żołnierzy z powierzchni ziemi, a potem odwrócił się i pomaszerował dalej, momentalnie żałując, że ich zabił.

To wszystko przez Dellę. Gdyby nie ona, nigdy nie znalazłby się w tak beznadziejnej sytuacji. Czy miała tego świadomość? Wiedziała, że to jej wina? Musiała coś przeczuwać. Gdyby się nie rozstali, gdyby nie zmusiła go do sprzedaży domu, nigdy by do tego nie doszło. Mogła przecież z nim najpierw porozmawiać, powiedzieć mu, jak się czuje, jaka jest nieszczęśliwa... Ale ona uważała, że powinien się domyślić. Twierdziła, że próbowała mu o tym powiedzieć wiele razy. A przecież on nie jest jasnowidzem.

To przez Dellę wszystko poszło nie tak. A jej romans z tym cholernym terapeutą był niczym ostatni gwóźdź do trumny, kropka postawiona w zdaniu kończącym ich związek. Wiedział rzecz jasna, że całą sprawę pogorszyło jego głupie poczucie dumy. Za wszelką cenę chciał utrzymać syna, a Cresswell w miesiąc zarabiał więcej pieniędzy niż on w ciągu roku. Sam przysporzył sobie kłopotów. Jego upór kazał mu pracować coraz ciężiej. W końcu w centrum jego zainteresowania były już tylko pieniądze, a nie Ash. To nie wina Glena, że natura poskąpiła mu inteligencji Cresswella i że nie miał tyle szczęścia, aby odebrać tak elitarnie wykształcenie jak człowiek, który zajął jego miejsce w łóżku Delli. Ash go nie lubił. To wiedział na pewno. Sam mu to powiedział.

Glen za wszelką cenę usiłował udowodnić swoją wartość i nie zawieść syna. Dlatego zgodził się poddać badaniu (poza tym chciał nabrać masy i dodać sobie męskości, co mu się akurat udało). Wszystko było zupełnie bezpieczne i całkowicie legalne. Tak mu przynajmniej powiedzieli, gdy podpisywał formularz, godząc się na udział w kontrolowanym teście nowych mieszanek wspomagających przyrost masy mięśniowej u sportowców. W przyszłym roku miały je stosować wszystkie największe gwiazdy sportu. Mówili, że środek daje dwa razy lepszy efekt za jedną czwartą dotychczasowej ceny, a jego stosowanie nie niesie ze sobą żadnego ryzyka... Może mieli rację. Brał mieszankę przez jakiś czas i oprócz przyrostu wagi oraz sporadycznych nudności nie zauważył żadnych innych skutków ubocznych. To promieniowanie po wypadku musiało spowodować zmianę. Albo jedno i drugie. Ale nawet za wypadek winę częściowo ponosiła Della. Gdyby nie poszła do sądu i nie zrobiła afery z tego, że kilka razy nie odebrał Asha i nie odwiózł go do domu, nie spieszyłby się tak bardzo, by skończyć pracę na czas, i nie zostawiłby wyłączzonego zabezpieczenia, kiedy powinien...

Jego myśli przerwał nagły przenikliwy świst. Poczul ostre ukłucie – w połowie jego obnażonych pleców, w fałdzie twardej skóry utkwiał pocisk moździerzowy i wybuchł. Glen zawył z bólu. Jego skowyt rozszedł się na wiele kilometrów wokół, powodując pęknięcie szyb w oknach i wywołując panikę wśród ludzi.

Skup się, upomniał sam siebie. Wyprostował się, jak dalece mógł, sięgnął przerośniętą ręką ponad ramieniem i długimi paznokciami strzepnął resztki pocisku. Koło jego głowy rozbrzmiało kilka kolejnych eksplozji. W normalnych okolicznościach już by nie żył, ale teraz wybuchy nie miały praktycznie żadnego znaczenia. Glen obrócił się i jedną ręką, jakby zgarniając ze stołu okruchy chleba, usunął ze swojej drogi żołnierzy, a potem, korzystając z chwili spokoju, ruszył dalej. Co teraz? Próbował sobie przypomnieć, jak w tej sytuacji potoczyłaby się akcja w filmie grozy. Czy nadszedł moment, w którym zrzucą na niego bombę atomową albo coś równie niebezpiecznego? Może spróbują go zagazować? Czy powinien się poddać już teraz, czy raczej udać się w stronę morza i zniknąć w podwodnej otchłani jak Godzilla? Och, gdyby tylko na horyzoncie pojawił się większy potwór: jakaś Mothra albo król Ghidorah. Stanąłby z nim do walki, pokonał go, ocalił świat i pokazał Ashowi, że jego tata wcale nie jest taki zły – po prostu nikt go nie rozumie. Próbował sobie wyobrazić ojcowski wykład, jaki ten łajdak Cresswell wygłosi wieczorem jego synowi: „Twój ojciec był kiedyś dobrym człowiekiem, Ash, ale czasem dobrzy ludzie stają się zli i dlatego trzeba go było zlikwidować...”.

Musi znaleźć Dellę i Asha. Przed nim w pewnej odległości rozpościerało się Birmingham – szary pas miasta z tysiącem migoczących świateł zanurzonych w oceanie zieleni. Ruszył w tamtą stronę. Po chwili zaczął biec ciężko i niezdarnie, coraz szybciej i szybciej, a jego serce waliło jak opętane.

Dom. Muszę spróbować dotrzeć do domu.

Stwierdził, że dotarcie do miasta jest najbezpieczniejszym i najprawdopodobniej jedynym rozwiązaniem, jakie mu pozostało. Gdy będą go otaczać miliony ludzi, wojsko nie odważy się użyć broni masowego rażenia. Chcąc nie chcąc, mieszkańcy miasta staną się jego zakładnikami. Sama jego obecność wystarczy, aby władze tańczyły, jak im zagra.

Monstrum szło dalej, pozostawiając za sobą zgliszcza i głębokie odciski stóp przypominające ślady dinozaura. Widząc jego cień, ludzie uciekali przerażeni w poszukiwaniu schronienia. Wiedzieli jednak, że nigdzie nie jest bezpiecznie. Odległości, jakie oni pokonywali w kilka godzin, górujący nad nimi potwór przemierzał w kilka minut. Im bardziej zbliżał się do Birmingham i im bardziej zaludniona była okolica, tym więcej ludzi ginęło. Wiedząc, że olbrzym kieruje się w stronę miasta, władze bezskutecznie próbowały ewakuować spanikowane tłumy mieszkańców, ale ucieczka była niemożliwa. W krótkim czasie każda główna ulica została całkowicie zastawiona przez samochody. Nie zważając na nic, potwór roztrącał nogą blokujące mu drogę pojazdy. W napadzie szału zniszczył zbiornik retencyjny i podeptał tamę. Kilometry zatłoczonych ulic zalała woda. Zawalił się szpital, grzebiąc w jednej chwili setki pacjentów i cały personel medyczny. Los szpitala podzieliło wiele szkół, domów i budynków publicznych. Bezlitosny, żądny krwi kolos zmiotł z powierzchni ziemi niezliczone rzesze istnień ludzkich.

Częściowo opustoszałe było jedynie centrum miasta, zwłaszcza po tym, jak do uciekających w popłochu mieszkańców dołączyli ludzie wracający z pracy, nieświadomi zbliżającego się zagrożenia. Podejmując ostatnią desperacką próbę zawrócenia olbrzyma, major Hawkins dał rozkaz do ataku lotniczego.

W kierunku monstrum wystartowały pierwsze myśliwce. Wystrzelone przez nie pociski ledwo otarły się o grubą skórę potwora. Bardziej odruchowo niż z rozmysłem olbrzym machnął gigantyczną ręką, dwoma najdłuższymi palcami złapał skrzydło jednego z samolotów i cisnął maszyną, która kręcąc się wokół własnej osi, bezwładnie poleciała w dół, aby już nigdy więcej nie wznieść się w powietrze. Pilot zdołał się katapultować. Był zbyt mały, aby potwór go zauważył albo zaprzętał sobie nim głowę. Otworzył spadochron i przyglądając się fragmentom napiętej skóry, fałdom oraz niezwyklej kształtom przerażającej bestii, zaczął powoli opadać na ziemię za plecami groteskowego monstrualnego człowieka.

Podobny los spotkał kilka innych samolotów. Zniszczony został też czołg, który potwór, kierując się do centrum miasta, bezwiednie zgniótł niczym pustą puszkę po napoju gazowanym. Olbrzym szedł między wysokimi, sięgającymi mu do poziomu oczu biurowcami i przewracał je, jakby były zrobione z tektury. Ilu ludzi było w środku, zastanawiał się Hawkins, przyglądając się wszystkiemu z oddali. Ilu jeszcze umrze?

W parę sekund potwór zburzył popularne centrum handlowe. Gruz z budynku spadł jak deszcz na przedmieścia, a iskry z rozerwanych kabli elektrycznych i niewielkie eksplozje oświetlały okolice jak lampy błyskowe aparatów fotograficznych. W kilka minut zniknęła też zabytkowa katedra, która przez wieki dumnie wznosiła się ponad miastem. Zniszczeniom nie było końca.

Major Hawkins przygotowywał się do podjęcia decyzji, której obawiał się najbardziej. Nadchodził moment, kiedy będzie musiał wykonać telefon skazujący potwora, miasto i setki tysięcy ludzi na zagładę nuklearną. Obserwował bestię z daleka. Czuł suchość w ustach i słyszał przyspieszone bicie własnego serca. Jego żołnierze trwali na swoich stanowiskach. Nerwowo czekali na rozkaz przystąpienia do ataku, wiedząc, że ich broń jest tu całkowicie bezużyteczna. Byli też tacy, którzy odwracali się na pięcie i uciekali ze strachu przed konfrontacją z monstrem albo śmiercią w wyniku zastosowania przez dowództwo jakiejś straszliwej broni.

Hawkins przerwał rozmyślenia, gdy do jego wozu wtargnęła była żona Chambersa i zażądała rozmowy. Ani naukowcom, ani generałom nie udało się wymyślić niczego sensownego. Kobieta przekonała Hawkinsa, żeby jej wysłuchał, zanim zrobi coś, czego będzie żałował. Do diabła, stwierdził major, przysłuchując się jej słowom, cała ta historia faktycznie przypomina jeden z tych cholernych filmów, które nieustannie chodzą mi po głowie.

– Pozwólcie mi go zobaczyć – błagała kobieta. – Dajcie mi z nim porozmawiać.

Co złego może jeszcze się wydarzyć, skoro do tej pory śmierć poniosło tylu ludzi? Na pewno warto spróbować. Zwłaszcza że monstrem atakowało z coraz większą siłą i z każdą sekundą ginęło coraz więcej mieszkańców miasta. Hawkins miał niewielkie pole manewru.

Glen nie wiedział, dokąd iść. Gdzie teraz? Wciąż znajdował się w samym centrum miasta. Ku swojemu przerażeniu zwrócił z ziemią znaczną jego część. Ale rzeczywistą skalę spowodowanych przez siebie szkód mógłby ogarnąć dopiero wtedy, gdyby schylił się i spojrział w dół na panujący tam

chaos. Pół roku temu zaciągnął pożyczkę na samochód, który był jego oczkiem w głowie, a dziś zniszczył tysiące samochodów należących do ludzi takich jak on. Do tego zburzył wiele domów przypominających ten, który kiedyś dzielił z Della i Ashem. Jednak najgorsze były trupy. Przecież nie chciał nikogo skrzywdzić. Co by było, gdyby to wszystko przydarzyło się komuś innemu i Ash zginąłby w wyniku podobnego splotu okoliczności? Glen podniósł głowę i zawył z bólu, a pod wpływem jego żalostnego skowytu popękały ostatnie szyby w oknach i zawaliło się wiele uszkodzonych budynków.

Niech to się już wreszcie skończy.

Wszystko mnie boli.

Błagam, niech to już będzie koniec.

Otoczona przez żołnierzy Della szła przez park, a za nią biegł Cresswell. Terapeutę za rękę trzymał Ash, którego płacz było słychać pomimo odgłosów toczącej się w oddali walki.

– Nie możesz tego zrobić – protestował Cresswell. – Dello, posłuchaj mnie!

– Nie, Anthony, to ty mnie słuchaj – powiedziała Della, odwracając się w jego stronę. – Jeśli w tym stworze zostało jeszcze coś z Glena, to mnie posłucha.

– Nie pozwolę ci na to.

– Nie możesz mnie powstrzymać.

Della odwróciła się na pięcie i poszła dalej, a uzbrojeni strażnicy okrążyli ją i poprowadzili w kierunku rozległej, porośniętej trawą łąki, na którą wojsko próbowało zwabić monstrum. Della widziała w oddali jego zarys: ogromny czarny cień górujący ponad ruinami zmienionego

w cmentarzysko miasta. Wysoko ponad ich głowami w kierunku potwora poleciało kilka helikopterów z reflektorami oświetlającymi znajdującą się poniżej ziemię. Kobieta nerwowo czekała na ich powrót, kuląc się z zimna.

Wypadki potoczyły się niezwykle szybko. Helikoptery przyciągnęły uwagę olbrzyma, który od razu ruszył w ich stronę. Być może stwierdził, że skoro go nie atakują, to na pewno zostały wysłane w pokojowych zamiarach. Serce Delli waliło w takt jego ciężkich kroków. Wstrzymywała oddech za każdym razem, kiedy wydawało jej się, że olbrzym na moment traci równowagę. Stwór machnął ręką i uderzył w jeden z helikopterów jak w dokuczliwą muchę. Śmigłowiec wpadł na lecącą obok maszynę i płonąca kula metalu runęła z hukiem na ziemię. Ilu zginęło ludzi?, zapytała siebie w myślach kobieta. Ile osób zabił helikopter, spadając na ziemię? Ile osób zabił Glen?

Mutant podszedł bliżej. Oświetlony przez pozostałe helikoptery, które wzniosły się wyżej, aby się znaleźć poza zasięgiem jego rąk, był teraz doskonale widoczny. Della popatrzyła na niego z niedowierzaniem, zszokowana zarówno rozmiarami stojącego przed nią stworzenia, jak i tym, że pomimo ogromnej deformacji wciąż mogła w nim rozpoznać Glena. Ciało olbrzyma było potwornie zniekształcone, ale ona знаła ten kształt ust i sposób trzymania głowy, ten zarys szczęki, który Ash odziedziczył po ojcu, i kolor oczu...

Kiedy stwór zauważył u swoich stóp oddział żołnierzy, pochylił się i ryknął. Della miała wrażenie, że zabrzmiało to raczej jak wołanie o pomoc, a nie okrzyk bojowy, lecz najwyraźniej żołnierze byli innego zdania. Jeden ze stojących blisko niej mężczyzn przygotował karabin do strzału. Widząc to, potwór podniósł go dwoma ogromnymi palcami i cisnął na bok. Della zobaczyła, jak ciało żołnierza leci w powietrzu i uderza w drzewo. Wzdrygnęła się, gdy usłyszała suchy trzask: pnia albo ludzkich kości. Potwór zaryczał ponownie i tym razem siła jego potężnego głosu ścięła Dellę z nóg. Jeden z żołnierzy rzucił się, żeby jej pomóc. Wstała, odtrąciła go i pobiegła w kierunku olbrzyma.

– Glen! – krzyknęła. – Glen, to ja, Della.

Mutant zamachnął się, żeby usunąć ją z drogi, ale znieruchomiał. Po chwili zniżył ogromną głowę i spojrzał na Dellę. Po kilku sekundach, które zdawały się trwać całą wieczność, odchylił się do tyłu i zwałił się ciężko na ziemię, która zdrząła pod jego masywnym cielskiem. Ubrojeni strażnicy Delli trzymali się na odległość, bardziej ze strachu niż z jakiegokolwiek innego powodu. Zresztą w tej sytuacji kilka dzielących ich od potwora metrów nie robiło wielkiej różnicy.

– Chcę się tylko dowiedzieć dlaczego, Glen – powiedziała Della i podeszła bliżej, nie mając pewności, czy stwór ją słyszy i rozumie. – Wszyscy ci zabici ludzie... Za co? Na pewno byłeś przerażony, na pewno cierpiełeś, ale dlaczego...?

Potwór gapił się na nią, mrużąc oczy. Za wszelką cenę starał się skoncentrować wzrok, a jego ogromne źrenice na zmianę rozszerzały się i zwężały. Wreszcie podniósł głowę i ryknął głośniejszym niż do tej pory.

Na ziemi, między drzewami, pojawiła się samotna postać. Cresswell wyminął żołnierzy, którzy zamarli w miejscu, wpatrując się w olbrzyma, i chwycił Dellę.

– Chodź ze mną – powiedział, próbując ją odciągnąć. – To już nie jest Glen. To coś cię nie rozumie. Jeśli tu zostaniesz, to on cię zabije. Pomyśl o Ashu i o mnie, i...

Zamilkł, gdy zdał sobie sprawę, że monstrum gniewnie spogląda w jego stronę. Przerażony zaczął się wycofywać, ale było już za późno. Masywne palce owinęły się wokół mężczyzny i mocno zacisnęły. Uchwyt był tak silny, że z Cresswella uszło całe powietrze. Potwór uniósł mężczyznę i przeniósł rękę za głowę, jakby chcąc cisnąć w dal tym, co trzymał w dłoni.

– Tato! Tato, przestań!

Glen zamarł.

Czy mu się zdawało? Przysięgłby, że przez sekundę słyszał głos Asha. Ale czy to możliwe? Znowu uniósł rękę, gotów raz na zawsze wyrzucić Cresswella ze swojego życia. Z życia całej ich trójki...

– Nie, tato, proszę.

Glen spojrzał w dół i zobaczył syna. I nagle wszystko inne przestało mieć znaczenie. Wyciągnął rękę

i upuścił Cresswella na tyle daleko, aby nie zaprzętać sobie nim głowy. Potem ostrożnie odsunął Dellę i pozostających przy niej żołnierzy na bok. Ash stał przed ojcem. Był zupełnie sam i wydawał się taki malutki.

Cześć, wielkoludzie, chciał powiedzieć Glen, ale nie mógł. Przykro mi, Ash. Nie chciałem, żeby to się tak skończyło. Nie chciałem nikogo skrzywdzić.

– Wszystko w porządku, tato?

Niezupełnie, pomyślał, podniósł delikatnie syna i przysunął go do swojej twarzy. Ash usiadł na dłoni ojca ze skrzyżowanymi nogami.

– Bałem się o ciebie.

Ja też się bałem, Ash.

– Mówili o tobie różne rzeczy – powiedział Ash i zamilkł, aby odpowiednio dobrać kolejne słowa. Serce Glena zamarło. – Ale ja im nie wierzę. To znaczy, wiem, że jesteś teraz potworem, każdy to potwierdzi, lecz ja wiem, że wcale nie chciałeś stać się taki jak teraz. Nie wierzę, że chciałeś skrzywdzić tych wszystkich ludzi. Powtarzałem temu człowiekowi, że wcale tego nie chciałeś. Mówiłem mu, żeby spróbował sobie wyobrazić, jak się czujesz. Jesteś wielki i silny i w ogóle, ale założę się, że się boisz.

To prawda.

– Mówiłem, żeby zostawili cię w spokoju. Powiedziałem, że powinni ci znaleźć jakieś miejsce, w którym będziesz mógł odpocząć. Albo zbudować duży dom czy coś takiego. Żeby lekarze wymyślili, co trzeba zrobić, żebyś znów stał się normalny.

Do tego raczej nie dojdzie, skarbie. Sądzę, że jest już za późno.

– Tęsknię za tobą, tato. Bardzo się bałem.

Też za tobą tęskniłem.

– Twierdzili, że wrócisz tutaj, żeby wszystkich pozabijać, ale ja im powiedziałem, że to nieprawda. Mówiłem, że przyjdiesz, żeby zobaczyć się ze mną. Miałem rację, tato?

Miałeś rację, synu. Po prostu chciałem cię znów zobaczyć. Jeszcze ten jeden raz...

Glen Chambers siedział w parku, trzymając syna na dłoni i przysłuchując się jego słowom. Aż wreszcie jego rozrośnięte do nienaturalnych rozmiarów serce nie było w stanie dłużej utrzymać go przy życiu.

Przełożyła Anna Kurpiewska-Welenc

Kelley Armstrong
Rakshasi

Od dwóch stuleci pokutuję za zbrodnie, które popełniłam, gdy byłam człowiekiem. Po dwudziestu latach uratowałam więcej istnień, niż zabiłam. Po pięćdziesięciu latach ludzi, którym pomogłam, było więcej niż tych, którym wyrządziłam zło. Wiem, że końca mojej kary nie powinien wyznaczać prosty rachunek. A jednak po dwustu latach języczek u wagi zdecydowanie przechylił się w drugą stronę. Doszłam więc do wniosku, że życie, które teraz wiodę, nie różni się od poprzedniego. Jeśli czegoś pragnę, nie mogę oczekiwać, że ktoś mi to po prostu ofiaruje.

Czekałam w samochodzie, a Jonathan sprawdzał dom. Jonathan. To zabawne zwracać się do swojego pana po imieniu. Sztuczny przejaw nowoczesności. W dawnych czasach mówiłam do nich: „mistrzu” albo *isha*. Kiedy rodzina przeniosła się na Zachód, używałam zwrotów: „sir”, a potem „pan Roy”.

Mojemu obecnemu mistrzowi chyba nie przeszkadza taka poufałość. A może tylko udaje, bo ja muszę się do niego zwracać pełnym imieniem, podczas gdy żona i inni mówią do niego po prostu: „Jon”. To o czymś świadczy.

Jonathan zadzwonił na komórkę.

– Amrita? – zapytał, jakby ktoś inny mógł odebrać mój telefon.

Amrita to nie jest moje imię. Imię jest nieważne. A może zbyt ważne. Nigdy nie podałam go żadnemu z moich panów. Mówią do mnie Amrita, nieśmiertelna.

– Jest czysto... – Zamilkł na chwilę. – To znaczy...

– Znam amerykańskie powiedzonka – wtrąciłam. – Mieszkałam tutaj, zanim się urodziłeś.

Mruknął coś niezrozumiale i poinstruował mnie, co mam robić, jakbym sama nie wiedziała i nie robiła tego wielokrotnie, zanim on się urodził.

Wysiadłam z samochodu i ruszyłam w stronę domu.

Na piętrze było uchylone okno, tak jak powiedział Jonathan. Znalazłam spokojne miejsce z dala od drogi i przybrałam swoją drugą postać – kruka. Szybki lot do okna sypialni. Już jestem w środku. Ponownie zmieniam postać.

Nie mają nawet alarmu w oknie, żeby ostrzegał przed intruzem. Co za rozczarowanie. Taka właśnie jest teraz ta praca. Z rozrzewnieniem wspominam dawne czasy, gdy staczałam krwawe bitwy z silnymi angielskimi sahibami i szalonymi kszatrijami. Potem pojawili się mordercy, alfonsi i mafia, handlarze narkotyków. W owym czasie Royowie musieli przemyśleć swoją strategię. Handlarze narkotyków otaczali się na ulicy dobrze uzbrojonymi kompanami. Jestem nieśmiertelna, ale to nie znaczy, że nie można mnie zranić. Chociaż mój komfort jest nieważny, to potencjalny zysk już tak. Royowie próbowali osaczać dilerów w pomieszczeniach, ale często towarzyszyła im grupa względnie niewinnych. W ostatniej dekadzie Royowie skoncentrowali się więc na nowym źródle zła. To zło jest słabe, nieciekawe i cienko łąka, co niezmiernie mnie nudzi. Jednak moja opinia, podobnie jak samopoczucie, nie ma tu żadnego znaczenia.

Miałam chwilę, by przygotować się przed lustrem. Jestem wiecznie młoda. I piękna. Piękniejsza niż wtedy, kiedy żyłam. Nie mogę powiedzieć, że wtedy byłam brzydka, ale gdy teraz spoglądam w lustro, wyobrażam sobie, co powiedziałaby Daman, mój mąż. Widzę jego uśmiech. Słyszę, jak się śmieje. Czuję jego pocałunki. Nie widziałam go od dwustu lat. Kiedy teraz się upiększam, by oczarować mój cel, wyobrażam sobie, że robię to dla Damana.

Mój cel – Morrison – siedzi w gabinecie. Mówi coś do słuchawki, pisząc na laptopie. Podeszłam do drzwi. Oparłam się o nie plecami. Przywołałam uśmiech na usta.

On zaniemówił. Przestał pisać. Wytrzeszczył oczy.

– Bill? Oddzwonię później – wydukał do mikrofonu. Zamknął laptop. – Jak się tu dostałaś? – zapytał.

– Mam na imię Amrita. Jestem prezentem. Od wdzięcznego klienta.

Zrobiłam krok, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Gapił się na mnie przez chwilę, zanim oprzytomniał.

– Ale jak tu weszłaś?

– Gdybym zadzwoniła do drzwi, to nie byłaby niespodzianka, prawda? – Obejrzałam się. – Jesteśmy sami?

Jonathan powiedział, że w domu jest tylko Morrison, lecz wolę zawsze sprawdzić.

– T-tak.

– To dobrze.

Podeszłam i odepchnęłam jego fotel na kółkach od biurka na wypadek, gdyby miał chęć sięgnąć do przycisku alarmu lub broni ukrytej w szufladzie.

Usiadłam okrakiem na jego kolanach. W oczach dostrzegłam wahanie. Nie był głupi. To wszystko wydało mu się podejrzane. Jednak w końcu, jak już wspomniałam, jestem piękną kobietą.

Objęłam go, przesunęłam dłonie wzdłuż jego ramion, splotłam palce z jego palcami. Potem uniosłam nasze splecione ręce... i wykręciłam mu ramiona do tyłu tak mocno, aż krzyknął z bólu. Szybko wstałam, odwróciłam obrotowy fotel i związałam mu ręce sznurkiem, który zwykle noszę zamiast paska.

Miałam już do czynienia z czarusiami, których musiałam okiełznać, ale zwykle sprawiali mi więcej problemów niż Morrison. Próbował walczyć, lecz umiałam wiązać wojowników. On nie był wojownikiem.

Potem go torturowałam, żeby zdobyć informacje. Zastosowałam bezkrwawe tortury. Ból psychiczny jest najskuteczniejszy, ma niebywałą siłę iluzji. Mogę sprawić, że człowiek uwierzy, że wydieram mu ciało kawałek po kawałku, i krzyczy jak w agonii.

Informacje, których potrzebowałam, były listą jego oszustw: szczegóły finansowych przekrętów, jakie robił, by zapłacić za tę posiadłość. Zmusiłam go, żeby to wyznał na piśmie. Potem kontynuowałam tortury. W końcu podał mi szyfr do domowego sejfu.

Z moją pomocą Royowie zabijają, przepraszam, usuwają najgorsze męty z kryminalnego tygła. To ich boska misja prowadzona od tysiącleci, kiedy otrzymali zdolność kontrolowania istnień takich jak ja. Oni szukają zła. Ja je eliminuję. Bardzo szlachetna profesja, ale nie przynosi dochodów. Wyszukiwanie celu, zbieranie materiałów i przygotowanie mojej akcji to praca w pełnym wymiarze godzin. Royowie, tak jak inne rodziny *isha*, mają więc boskie przyzwolenie na to, by brać od swoich ofiar, co tylko zechcą.

Tym razem ja też dostałam to, co chciałam. Zmusiłam Morrisona, żeby wyjął pistolet i się zastrzelił. Zostawił na biurku list z wyznaniem i odpowiednie odszkodowanie dla skrzywdzonych pobrane z sejfu.

Zanim nacisnął spust, popatrzył na mnie. Oni zawsze to robią. Przypuszczam, że szukają litości. Ale ja wiem lepiej niż inni, że ten rodzaj grzechów nie może zostać wybaczony w tym życiu. W przeciwnym razie miłosierdzie byłoby oznaką słabości, a przestępca powróciłby na swoją ścieżkę, gdy tylko minąłby początkowy lęk.

Oni zawsze na mnie patrzą i zadają to samo pytanie.

– Kim jesteś?

– *Rakshasi*^[3] – odpowiadam.

Sprawiłam, że jego palec nacisnął spust.

Rakshasi. Morrison nie wiedział, co to znaczy. Tak jak wielu innych. Nawet ludzie w moich dawnych rodzinnych stronach mają mgliste pojęcie o tym rodzaju istot, chyba że słuchali bajek opowiadanych przez babcie, które chciały przestraszyć nieposłuszne dzieci.

To słowo znaczy „opiekun”, co zawsze mnie śmieszy. Jesteśmy bowiem demonami wojownikami. Klątwa zesłani na ziemię, którą przemierzamy jako potwory siejące spustoszenie. Niszczyciele. Burzyciele. Profani.

Opiekunami stajemy się tylko wtedy, gdy zawrzemy umowę z *isha*. Gdy wstajemy z łoża śmierci, spotykamy się z wysłannikiem rodziny *isha*. On mówi nam, co nas czeka. Męka, poczucie winy i ból, wieczne cierpienie za wszystkie krzywdy, jakie w życiu wyrządziliśmy. Ale możemy się jeszcze uratować. Zawrzeć układ z *isha* i pracować dla nich do czasu, aż spłacimy nasz dług. Potem będziemy wolni.

Początkowo nie przyjąłem tej oferty. Miałam wątpliwości, czy ktokolwiek ją zaakceptuje. My, *rakshasi*, mężczyźni i kobiety, mamy niezłomną wolę i niełatwo nas przestraszyć wizją nieszczęść. Poza tym nie wierzyłam, że *isha* chcą porozumienia. W każdym razie nie wtedy. Sądziłam, że przedstawiają propozycję i odchodzą, jeśli ktoś ją odrzuci. Ale oni wracali w kolejną rocznicę śmierci i ponawiali ofertę.

W końcu się złamałam, ale nie z powodu męki, poczucia winy czy bólu. Nie mogłam znieść samotności. Demony są bowiem skazane na samotną wędrówkę po ziemi. Być może i to bym wytrzymała, jednak któregoś roku *isha* przyniósł mi list. List od Damana. Mój mąż też był przeklęty, podobnie jak ja. Razem popełnialiśmy różne zbrodnie, wszystko przeżywaliśmy wspólnie już od dzieciństwa.

Daman zawarł układ ze swoim *isha*. Błagał mnie, żebym zrobiła to samo. Przyjmij propozycję, wtedy znowu będziemy razem. To mu obiecano. Mnie również. Dlatego się zgodziłam.

Wróciliśmy do domu Jonathana. Mieszkam w nim od sześćdziesięciu lat. Jonathan i Catherine wprowadzili się tu dopiero dwa lata temu, kiedy Jonathan przejął po swoim wuju obowiązki *isha*. Czuję się związana z tym domem. Chociaż może powinnam raczej powiedzieć, że to on jest związany ze mną.

To nie jest skromny dom. Rozmiarami i bogatym wystrojem przypomina rezydencję Morrisona. W tej rodzinie krzyżowców widocznie nie ślubowano ubóstwa. Podobnie jak templariusze, bez umiaru nabijali kabzy dobrymi uczynkami, co być może sprawiło, że z czasem zamienili się w rekiny. W każdym razie obecnie panuje recesja. To znaczy, że niektórzy muszą zaciskać pasa, a inni szukają lepszych źródeł dochodu. Nikogo nie oceniam. Zachowywałam się podobnie, gdy byłam człowiekiem. Wiem, że Royowie tracą źródło zysków, jeśli mnie uwolnią. Dlatego nie mają motywacji, by przyznać, że już spłaciłam swój dług.

Jonathan zaprowadził mnie do mojego apartamentu. To typowa złota klatka. Sypialnia, salon, kuchnia i łazienka, wszystkie pomieszczenia bogato wyposażone. Na półkach stoją książki. Kupiono mi też komputer, stereo i telewizor, żebym miała trochę rozrywki. Dostaję wszystko, czego zapragnę. Z wyjątkiem wolności. Ściany są magicznie zabezpieczone, żebym nie mogła wyjść bez *isha*.

Podczas czterogodzinnej podróży z domu Morrisona nie rozmawialiśmy z Jonathanem prawie wcale, nie licząc krótkiego sprawozdania z wydarzeń. Każdy *isha* jest inny. Z niektórymi łączyło mnie coś w rodzaju przyjaźni. Większość z nich wolała układ biznesowy. Jonathan jest tego skrajnym przypadkiem, odzywa się do mnie tylko wtedy, gdy to konieczne. Gdyby ze mną rozmawiał, mógłoby go to doprowadzić do zbędnego wniosku, że mam jakieś myśli i odczuwam emocje, co znaczyłoby, że jestem istotą czującą. Lepiej o tym nie wiedzieć.

Zaczęłam robić sobie obiad w kuchni. Szklanka ludzkiej krwi. Porcja ludzkiego mięsa. Tym się żywie i każdy *isha* mi to dostarcza. Kiedyś wykorzystywali w tym celu swoje ofiary. Ale w obecnych czasach to niewygodne. Ktoś z rodziny *isha* nieposiadający *rakshasi* wyczuł zapotrzebowanie na rynku. U niego Jonathan zamawia jedzenie dla mnie. Przyjeżdża w specjalnej lodówce: krew w butelkach po winie, a mięso ładnie zapakowane i oznaczone niczym wieprzowina.

Przygotowałam danie curry. Może i jestem kanibalem, ale zachowałam zmysł smaku. Skończyłam jeść i czekałam na Catherine. Ona zawsze daje mi trochę czasu, żebym mogła zjeść po pracy, i woli nie przychodzić, gdy w powietrzu unosi się zapach pieczonego mięsa. Z grzeczności otworzyłam okna tak głośno, żeby usłyszała.

Catherine, także z uprzejmości, zawsze najpierw puka, zanim wejdzie. Większość moich *isha* nigdy tego nie robiła – jedni nie uważali, że mogę potrzebować prywatności, a inni chcieli mi pokazać, gdzie jest moje miejsce w hierarchii. Jonathan regularnie „zapomina” pukać, to jego sposób na podkreślenie swojej pozycji bez prowokowania mnie. Gdyby się tak nie zachowywał, darzyłabym go większym szacunkiem.

– Jak było? – zapytała Catherine, gdy tylko się pojawiła.

Ktoś mógłby przypuszczać, że już wcześniej rozmawiała z mężem, wszystko wie i tylko pyta kurtuazyjnie. Nic z tego. W wypadku tej pary taki rodzaj komunikacji nie istniał.

Odparłam, że akcja się udała, i wprowadziłam ją do salonu wolnym krokiem, bo Catherine chodziła o kulach. Cierpiała na chorobę, która dziś nosi nazwę stwardnienie rozsiane. Nieszczerólnie interesują mnie postępy w medycynie, ale na temat tego schorzenia przeprowadziłam własne badania. Chciałam lepiej zrozumieć żonę *isha*, która pierwsza szukała mojego towarzystwa.

W przeszłości większość żon nie miała pojęcia ani o niezwykłych zdolnościach swoich mężów, ani o mojej obecności w ich domu. Całymi latami wchodziłam i wychodziłam bocznymi drzwiami i byłam trzymana w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu.

Zdarza się, że Royowie wybierają sobie żonę w swojej społeczności. W ten sposób Jonathan poznał Catherine. To, że była córką *isha*, ale też kaleką, pomogło mu zdobyć wyższą pozycję wśród braci... Ale to nie moja sprawa.

Catherine i ja mamy ze sobą niewiele wspólnego, co daje nam sporo tematów do rozmowy. Ona jest bezgranicznie zafascynowana moim życiem. Dla niej jestem gwiazdą, niesamowitą bohaterką niekończącej się, mrożącej krew w żyłach opowieści.

– Dobrze ci poszło? – zapytała, gdy przygotowywałam herbatę.

– Ciągłe żyję. Obie wiemy, że wolałabym, aby było inaczej, jednak... – Uśmiechnęłam się. – Już sporo słyszałaś o tej sprawie.

– Chciałabym, żebyś była szczęśliwa, Amrito.

– Żyję zbyt długo, żeby czuć się szczęśliwa. Wolałabym odejść. W pokoju. – Podałam jej filiżankę. – Ale już o tym mówiłyśmy. To przygnębiający temat, niezbyt odpowiedni na pogawędkę. Wolałabym raczej porozmawiać o tobie i twoim szczęściu. Zapytałaś Jonathana o tę podróż?

Jej wzrok spoczął na filiżance.

– Powiedział, że to niemożliwe. Bardzo chciałby jechać, lecz nie może wziąć ciebie i zostawić wszystkich obowiązków.

– Och, myślałam, że może mnie zabrać. Zgromadzenie mogłoby rozważyć, czy wolno mi odwiedzić rodzinne strony. No cóż, przepraszam, że o tym wspomniałam.

– Nie ma za co przepraszać. Wiesz, że chcę zobaczyć Indie. Tak pięknie o nich opowiadałaś. Miałam nadzieję... – wypić łyk herbaty – że do tej pory on się upora z obowiązkami, a ja dobrze się czuję, więc... – Głos Catherine ucichł.

Nie musiałam jej mówić, że to naiwne złudzenia.

– On chce cię tam zabrać – zapewniłam.

– Wiem.

– Sam chciałby tam pojechać.

– Tak, ale ma zobowiązania...

Mógłby się z nich wywiązać w każdej chwili, gdyby tylko chciał. Tej myśli nie wypowiedziałam na głos. Także następnej: On nie ma ani siły, ani chęci, żeby wystąpić przed rodziną i uwolnić mnie z własnej woli, chociaż decyzja i tak należy do niego, a zgromadzenie by ją poparło.

– Będę za tobą tęsknić – wyznała Catherine. – Będzie mi brakować naszych rozmów.

Uśmiechnęłam się.

– Mnie również. Gdybyś mogła swobodnie podróżować, sama odwiedziłabyś nowe miejsca, nawiązała przyjaźnie. Tutaj obie jesteśmy jak w więzieniu.

Jonathan nalegał, żeby przebywała w domu. Twierdził, że to dla jej bezpieczeństwa. Mogłaby bowiem stać się celem ataku w odwecie za nasze akcje.

Catherine podejrzewała, że on robi to dla własnej wygody, jestem tego pewna. Była jego własnością, podobnie jak ja. Gdyby nie zasłaniał się „obowiązkami”, ona miałaby więcej wolności, czyby mu się to podobało, czy nie.

– Jonathan wie lepiej – powiedziała w końcu. – Uwolni cię. Wiem o tym. Po prostu jeszcze nie nadszedł czas.

I nigdy nie nadejdzie. Nie mogłam wierzyć w mrzonki Catherine.

Ja i Daman zgadzaliśmy się w wielu sprawach, byliśmy partnerami w życiu. Łączyła nas miłość i ambicje. Uważaliśmy – w przeciwieństwie do tego, czego uczą bramini – że ludzie rodzą się równi. Każdy ma zdolność, by osiągnąć to, czego pragnie. Potrzebuje tylko silnej woli.

Historia Damana jest stara jak świat. Pochodził z dobrej rodziny, cieszącej się powszechnym szacunkiem, ale pozbawionej majątku i wpływów. Rodzice chcieli, żeby ożenił się z córką kupca, która miała otrzymać spory posag. Jednak on wybrał mnie, córkę uczonego, towarzyszkę dziecięcych zabaw. Miałam coś, co cenił wyżej niż pieniądze – byłam inteligentna i ambitna. Wspólnie planowaliśmy przyszłość.

Sto lat temu, kiedy rodzina moich *isha* żyła w Anglii, jeden z nich zobaczył w teatrze *Makbeta* i od tamtej pory nazywał mnie Lady Makbet. Uznałam to za obraźliwe. Makbet był tchórzem, a jego żona harpią. Ja nie musiałam namawiać Damana do działania. Cokolwiek robiliśmy, zawsze działaliśmy ręka w rękę.

W ciągu dwudziestu lat odzyskaliśmy wszystko, co jego rodzina straciła przez wieki. Nasi zwolennicy twierdzili, że w prowincji dzięki nam zapanował porządek i dobrobyt. Przeciwnicy oskarżali nas, że zostawiamy za sobą wiele trupów, a w naszych kufrach przybywa złotych monet. Ani jedni, ani drudzy nie mieli racji. Czyniliśmy dobro, ale również wyrządziliśmy sporo zła. Zostawiliśmy nasze ziemie w lepszym stanie, niż je zastaliśmy, jednak cena za to była zbyt wygórowana.

Naprawdę żałuję, że obraliśmy tę drogę. Gdybym mogła cofnąć czas, nie byłabym tak zadowolona ze swojego losu. Powinnam poskramiać ambicje i bardziej szanować wartość ludzkiego życia. To właśnie mam na uwadze w obecnej sytuacji. I dlatego tkwię w martwym punkcie.

Po czterech miesiącach dostałam następane zadanie do wykonania. Typowe. Ktoś ogląda świat i widzi ogromną liczbę złoczyńców, ale tylko niektórzy z nich zostaną usunięci. Jonathan zajmuje się wyszukiwaniem odpowiedniego kandydata. Potem musi przygotować dokumenty i przedstawić je zgromadzeniu, które podejmuje decyzję o eliminacji, a czasem żąda więcej dowodów. Następnie tygodniami prowadzimy obserwacje, w czym muszę brać udział z powodu moich zdolności do przeobrażania się i wywoływania iluzji.

Jonathan powinien prowadzić inwigilację razem ze mną. Jednak czasem mówi, że będzie obserwował w innym miejscu, i znika. Kiedyś go śledziłam i odkryłam, że przesiaduje w kawiarniach. Flirtuje z kelnerkami i pisze powieść.

Powinien też nadzorować mnie, na wypadek gdybym chciała porzucić obowiązki i samowolnie udać się do kawiarni. Szczerze mówiąc, rozważałam to. Nawet mam już pomysł na powieść. Bardzo mnie bawi myśl, że mogłabym to zrobić. Ale nie chcę. Lubię te chwile, gdy on mnie nie obserwuje, nie mogę więc ryzykować. Poza tym nie odpowiada mi wysiadywanie i opowiadanie historii. To kwestia osobowości.

Tym razem, prowadząc inwigilację, byłam bardziej... skryta, jeśli chodzi o spostrzeżenia.

Naszym celem był znowu finansista. Ten człowiek, w przeciwieństwie do Morrisona, zatrudnił ochroniarza. Grożono mu śmiercią, więc wynajął młodego mężczyznę, którego przedstawiał jako swojego asystenta.

O pogroźkach dowiedziałam się z podsłuchów. Nie wspomniałam o tym w raporcie. Prawdziwy status asystenta odkryłam podczas obserwacji. Także to postanowiłam zachować dla siebie. Moje oficjalne wnioski były następujące: nasz cel – Garvey – podobnie jak inni jest umiarkowanie ostrożny. Jednak jego asystent rzadko się gdzieś oddala, więc muszę najpierw go odciągnąć, żeby Jonathan się nim zajął. Wtedy ja rozprawię się z Garveyem.

Poszło tak, jak zaplanowaliśmy. Rozdzielenie ich okazało się proste. To żaden problem dla kogoś, kto od setek lat stosuje sztukę iluzji. Zwabiłam ochroniarza na piętro, gdzie już czekał na niego Jonathan. Potem szybko ruszyłam na dół, do Garveya.

Kiedy byłam u stóp schodów, usłyszałam krzyki Jonathana. Wołał o pomoc. Wiedziałam, że to zaalarmuje Garveya. W tej sytuacji musiałam jak najszybciej obezwładnić finansistę, zanim wyciągnie broń. Dopiero potem mogłam pospieszyć na pomoc *isha*.

Ujarzmienie Garveya zajęło mi trochę czasu. Był nadspodziewanie silny. W każdym razie tak później

zeznawałam.

Gdy wróciłam na piętro, Jonathan leżał pobity do nieprzytomności, a ochroniarz chciał mu zadać śmiertelny cios. Zastrzeliłam go z broni Garveya. Zostawiłam Jonathana i znowu zesłam na dół, żeby dokończyć zadanie. To była moja misja, stawiałam ją wyżej niż życie mojego *isha*.

Garvey przyznał się, że zabił swojego ochroniarza, i popełnił samobójstwo. Wtedy zawiozłam Jonathana do szpitala. Następnie zadzwoniłam do Catherine.

Stałyśmy razem przy szpitalnym łóżku, na którym leżał Jonathan.

– Biorę na siebie całą odpowiedzialność za to, co się stało – powiedziałam do niej. – Miałam go osłaniać. Zawiodłam.

– Nie wiedziałaś, że tam był ochroniarz.

– A powinnam. To część mojej pracy. Wspólnie prowadziliśmy obserwacje – odparłam.

– Skoro Jon nie wiedział, ty też nie mogłaś wiedzieć.

Milczałam. Patrzyłam na Jonathana. Przeszedł operację, która miała powstrzymać krwotok wewnętrzny, i nadal nie odzyskał przytomności. Zerkiałam na Catherine, szukając skrywanych oznak, że jego śmierć przyniosłaby jej ulgę. Nic takiego nie zauważyłam.

Powiedziała mi, że go kocha. Naprawdę go kocha. Mogłam to wykorzystać.

– Ta misja staje się coraz bardziej niebezpieczna – mruknęłam. – Wypadki zawsze się zdarzały, ale coraz trudniej jest zapewnić bezpieczeństwo *isha*.

– Wypadki? Coś takiego jak to... nigdy się nie zdarzyło.

Nadal patrzyłam na Jonathana.

– Amrito...

Powoli przeniosłam wzrok na nią.

– Zgromadzenie zapewniło mnie, że wskaźnik zranień podczas moich misji jest znacznie poniżej średniej – powiedziałam po chwili wahania.

– Wskaźnik zranień? – Jej głos przypominał pisk. – Nigdy nie słyszałam, żeby jakiś *isha* został poważnie ranny podczas akcji. Chyba że masz na myśli skręcenie kostki i siniaki.

Milczałam.

– Amrito!

Znowu podniosłam wzrok.

– Zdarzały się... różne incydenty – ponownie odpowiedziałam z wahaniem. – Na przykład wypadek samochodowy wuja Jonathana to wcale nie był... wypadek. Ale właśnie taką wersję zgromadzenie przedstawiło rodzinie. Były też inne podobne historie. Jednak ryzyko, jakie niesie udział w misjach ze mną, jest niewielkie w porównaniu z innymi – dodałam.

Moje wyjaśnienia nie rozproszyły wątpliwości Catherine.

Milczałam. Ziarno zostało zasiane. Teraz czekałam, aż wykiełkuje.

Tydzień później Jonathan nadal leżał w szpitalu, dochodząc do siebie. Nie wróciłam do swojego apartamentu, bo gdybym tam weszła, nie mogłabym sama wyjść. Catherine musiała przynosić mi jedzenie i picie z mojej lodówki. Nie podobało jej się to, ale w przeciwnym razie musiałyby umieścić mnie, swoją jedyną pomocnicę, w więzieniu do czasu, aż Jonathan wyzdrowieje. Ulokowała mnie w pokoju gościnnym.

Wyznaczono już termin, kiedy Jonathan miał wrócić do domu. Dzień wcześniej zajrzała do mnie Catherine.

Weszła bez słowa. Usiadła bez słowa. Milczała tak prawie pół godziny. Wreszcie się odezwała:

– Powiedz mi, jak cię uwolnić.

Musiałyśmy się spieszyć. Mogłam zostać uwolniona bez zgody Jonathana tylko wtedy, gdyby on sam nie był w stanie mi jej udzielić.

Nie podałyśmy Jonathanowi lekarstwa na gorączkę, żeby wzrosła mu temperatura. Zamroczony gorączką – i kilkoma moimi trikami – miał rozstać się ze mną dla własnego bezpieczeństwa.

Odszukałam wszystko, co należało. Dotknęłam stosów rachunków wystawianych na sumę stu dolarów. Nie wzięłam żadnego, nie były mi potrzebne.

– Czy jesteś pewna, że tego chcesz? – zapytała Catherine, gdy przygotowywałam się do rytuału. – Mówią, że gdy *rakshasi* przechodzi na drugą stronę, nie ma kolejnego życia. To jest twoje życie po życiu. Po tamtej stronie nie ma już nic.

– Tam osiągnę spokój.

Pokiwała głową. Moja śmierć była dla niej korzystna. Jeśli zakończę życie, zgromadzenie nie osądzi jej i Jonathana tak surowo, jak mogłoby się zdarzyć, gdyby tylko puścili mnie wolno.

Zazaczyłam piaskiem koło wokół łóżka Jonathana. Zapaliłam małe płomienie w odpowiednich miejscach. Włożyłam naszyjnik z połową amuletu, Jonathanowi nałożyłam ten z drugą połową. Zaczęłam recytować zaklęcia. Odwieczny rytuał, wryty w mojej pamięci niczym odległe wspomnienie, wydawał się tak zwyczajny jak inne elementy mojej magii. Ta sytuacja różniła się tylko w jednym aspekcie: niezbędna była obecność Jonathana. A raczej jego cielesnej formy. Spaliłam kosmyk jego włosów, potem starłam na proch kawałek paznokcia i zmieszałam z jego śliną i krwią.

Następnie wstrzyknęłam sobie tę miksturę. Catherine obserwowała mnie w napięciu. Rytuał wymagał, żeby wetrzeć substancję w otwartą ranę. Wybrałam współczesną wersję. Catherine też wydawała się zgadzać ze mną, że ta metoda jest mniej barbarzyńska.

Potem zrobiłam zastrzyk Jonathanowi. Znowu wyrecytowałam zaklęcia.

Jonathan zadrzał we śnie. Nagle otworzył i zamknął usta, jakby gwałtownie nabierał powietrza. Catherine chwyciła go za rękę.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się.

– Więź została przerwana – odparłam.

Teraz ja poczułam dreszcz. Odniosłam wrażenie, że znieawidzona smycz napięła się mocno niczym w gwałtownym sprzeciwie, a następnie luźno opadła.

Catherine wyczuła, że coś jest nie tak. Jonathan nie oddychał. Dlaczego? Miał słaby, zanikający puls. Dlaczego jego serce biło coraz słabiej?

Zaczęła krzyczeć i szarpać mnie za ramię. Zignorowałam ją. Stałam z zamkniętymi oczami dopóty, dopóki ostatnia nić nie została przerwana. Poczulałam silny dreszcz i otworzyłam oczy. Zobaczyłam świat taki jak dwieście lat temu. Jasny, lśniący i pełen obietnic.

Catherine krzyczała coraz głośniejsze. Wrzeszczała, że serce Jonathana przestało bić.

Odwróciłam się do drzwi. Catherine rzuciła się w moją stronę, upuściła kule i chwyciła mnie za koszulę obiema rękami.

– On nie żyje! – krzyczała. – To przez ciebie! Coś zrobiłaś źle!

– Nie, wszystko poszło dobrze – odparłam.

Zawyła z wściekłości i żalu. Był to niekończący się skowyt. Wzięłam ją na ręce i lekceważąc ciosy i kopniaki, posadziłam delikatnie w fotelu. Kule ustawiłam obok, żeby mogła ich dosięgnąć.

Chwyciła je szybko i wstała. Chciałam odejść, ale zdołała mnie wyprzedzić i zatrzymać.

– Co zrobiłaś? – wycodziła.

– Uwolniłam nas. Obie.

– Okłamałaś mnie!

– Powiedziałam to, co pragnęłaś usłyszeć. Nie chcę być unicestwiona. Chcę tylko dostać to, co mi obiecano – wolność. Do tego potrzeba zgody *isha*, a zgromadzenie dostarcza stosownych procedur. Ale w prawie jest luka. Ostatni akt miłosierdzia *isha* dla jego *rakshasi*. Na łożu śmierci on może mnie uwolnić, wykorzystując do tego amulet i odpowiedni rytuał.

– J-ja... nie...

– Opowiesz przed zgromadzeniem, że właśnie to się stało. Trucizna, którą mu wstrzyknęłam, jest niewykrywalna. Wiele razy stosowaliśmy ją do wyeliminowania naszych celów. Zgromadzenie uwierzy, że Jonathan zmarł nieoczekiwanie na skutek odniesionych obrażeń.

– Nie powiem im, że...

– Owszem, tak. W przeciwnym razie będziesz odpowiadać za współudział w zabójstwie. Jeśli nawet zdołasz ich przekonać o swojej niewinności, stracisz ten dom i wszystko, co w nim jest. Możesz zatrzymać majątek tylko wtedy, kiedy potwierdzisz, że Jonathan umarł, a ja zostałam uwolniona. Gdyby jednak to zakwestionowali, na pewno zdążysz zabrać zawartość sejfów. Wszystko ci zostawiam.

To nie do końca była prawda. Przez lata gromadziłam w swoim pokoju to, co zabierałam od eliminowanych przez nas złoczyńców. Nie mogłabym odejść z pustymi rękami. Zawsze jestem zapobiegliwa i przygotowana na wszystko.

Teraz, kiedy więź została przerwana, mogłam wejść do swojego apartamentu, zabrać stamtąd to, co chciałam, i bez przeszkód wyjść. Minęłam Catherine i skierowałam się do drzwi.

Milczała. Odezwała się dopiero wtedy, gdy nacisnęłam kławkę.

– Co mam teraz zrobić? – zapytała.

Spojrzałam na nią przez ramię.

– Życ. Ja w każdym razie mam taki zamiar.

Przełożyła Małgorzata Winkler-Pogoda

[3] *Rakshasi* – demon, mityczna istota z kręgu kultury hinduistycznej i buddyjskiej, podobna do ludzi (przyp. tłum.).

Nate Kenyon

Płodząc demony

Różowa, nalana twarz Fowlera błyszczała, a w jego spojrzeniu malowało się nienasycenie człowieka pragnącego dać upust swoim obsesjom.

– Długo tu siedzisz? – zapytał Ian.

Fowler burknął coś i sięgnął po fotografię; oczy miał szkliste, wargi poczerwieniałe od drinka. Cuchnął potem i taną wodą kolońską. Na stoliku klubu nocnego stały trzy puste szklaneczki po krwawej mary, a Fowler poluzował krawat.

Ian wślizgnął się za stół i położył na blacie skórzane portfolio, ciesząc się tym, że mógł choć trochę wydłużyć oczekiwanie tamtego. Fowler jednak nie zamierzał zwlekać. Schwycił portfolio i przejrzał zawartość, a jego oddech stał się przyspieszony, w miarę jak oczy chłoneły treść fotografii.

W końcu westchnął i uniósł głowę. Wyjął zdjęcia z portfolio i wsunął do pustej szarej koperty, którą włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Jesteś, kurwa, genialny – powiedział.

– Musiałem posmarować, komu trzeba. To droga impreza...

– Twoja sprawa. – Fowler pokiwał grubym jak parówka paluchem, na którym nosił spory sygnet. – Zachowaj to dla siebie.

Ian wzruszył ramionami. Spodziewał się tego. Fowler nie chciał wiedzieć, jak to robi, podobnie jak nabywcy pornograficznych pisemek nie chcieli znać szczegółów doboru modelek, ustawienia oświetlenia, a następnie retuszu.

– Kiedy mogę liczyć na kolejny zestaw?

– Potrzebuję trochę czasu. Nie mogę przecież dawać wszystkim w łapę i spodziewać się, że każdy przymknie na to oko.

– Cóż, może wymyśl coś innego. – Fowler wydawał się rozdrażniony, że musiał udzielać porad. – Nie muszę ci mówić, co się stanie, jeśli po prostu to przerwiesz. Nawet teraz z trudem ich zadowolam.

– Załatwię to najszybciej, jak się da.

– Masz mieć następny zestaw najdalej do końca tygodnia.

– Do końca tygodnia? Skąd, u licha, miałbym...?

Koperta pojawiła się jakby znikąd. Tego wieczoru wydawała się gruba, z dziesięć patoli, jeżeli wzrok go nie mylił. To więcej, niż potrzebował, żeby wrócić do pracy. Przynajmniej na razie.

Fowler nie zawsze był taki. Ian pamiętał go wiele szczuplejszego i martwiącego się tylko załapaniem się na kolejny posiłek za friko. Jednak zadał się z wyjątkowo ekscentryczną grupą klientów, których pieniądze stanowiły naprawdę potężny narkotyk. I którzy byli nienasyceń. Jeżeli uznamy oczy za okna duszy, to Fowler oślepił już dawno. Niebawem stanie się taki sam jak ci, którym służy.

Po powrocie do studia Ian zaczął poszukiwać swojej muzy pośród cieni zalegających przy ścianach. Powierzchnię na środku pomieszczenia oczyścił, aby móc pracować. W jednym kącie zostawił tylko łóżko i dwa podniszczone krzesła, pośrodku zaś zainstalował nieco wklęsłe podwyższenie z metalowych płyt ze specjalnym otworem odpływowym. Podłoga była goła i wypolerowana na wypadek rozbryzgów. Przez wielkie, wysokie na dwa piętra okna magazynowe wpadało sporo światła, gdy tego potrzebował. Zwykle jednak ciężkie story opuszczał, bo wolał pracować przy blasku świec albo zupełnie po ciemku.

W jednej z dwóch dużych przemysłowych chłodni wciąż znajdowało się kilka części luzem, ale nic do niego nie przemawiało, kiedy stał pośród oparów snującej się mgiełki. Nie dałoby się sklecić niczego z części, jakie pozostały. Miał pewną koncepcję, ale potrzebował właściwych materiałów.

Najpierw zatrzymał się przed domem Anny. Mieszkała w kamienicy czynszowej z widokiem na rzekę

i woń odpadów przemysłowych wpływała przez zamknięte okna i drzwi do kuchni oraz sypialni, aż przesiąkły nią nawet ubrania wiszące w szafach. Jednak tej nocy powietrze było czyste, a Anna otworzyła mu, kiedy zapukał, ubrana tylko w koszulkę nocną i czarne jedwabne majteczki, które kupił jej na urodziny trzy tygodnie temu.

– Napijesz się? – zapytała, kiedy wszedł za nią do kuchni, patrząc na jej smukłe długie nogi. – Właśnie zamierzałam przyrządzić jakiegoś fajnego drinka.

– Grunt, żeby było mokre.

Wyjęła lód z zamrażarki, dorzuciła tequilę i kiedy zamieszała to w shakerze, nalała drinka do oszronionej szklaneczki. Usłyszał cichy trzask, kiedy kostka lodu pękła, i upił pierwszy łyk, podrażniając nim nieco nadwrażliwe wargi.

– Interesy?

– Nie chcesz wiedzieć.

Wzruszyła ramionami.

– Jesteś zajęty. W przyszłym tygodniu przyjeżdża moja siostra. Czy wtedy też nie będziesz miał ani chwili?

Oparła się o kontuar. Kiedy się wyprężyła, jej sutki uwydatniły się pod materiałem cienkiej koszulki. Niepiesznie otaksował ją wzrokiem od stóp, których paznokcie pomalowane były na kolor krwi, poprzez kształtne łydki, krągłe biodra i szczupłą talię, aż po twarz z pełnymi hiszpańskimi ustami i oczami koloru kawy, o kształcie migdałów.

– Boże, aleś ty piękna. Jak to możliwe, że tak mi się poszczęściło?

– Żadna ze mnie piękność. I nie próbuj zmieniać tematu.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu. Ja jestem żabą, a ty księżniczką.

Upił kolejny łyk, przytrzymał w ustach, odstawił szklankę na kontuar i zsunął jej koszulkę aż do ramion. Zadrżała, gdy trzymając w ustach kostkę lodu, pochylił głowę i powiódł językiem po jej piersi, dmuchając schłodzonym powietrzem po delikatnym ciele, na którym natychmiast pojawiła się gęsia skórka.

Później leżeli w ciemnościach na skotłowanej pościeli. Strużka potu ściekała Ianowi po szyi aż do zagłębienia przy obojczyku. W powietrzu unosiła się woń seksu. Płuca paliły go przy każdym oddechu.

Anna bawiła się kosmykiem włosów, skręcając go między długimi, wąskimi palcami.

– Widziałam dziś w kuchni mrówki – powiedziała. – Maszerowały gęsiego, wychodząc skądś spod lodówki, i wędrowały po kontuarze, niosąc ziarenka zaschniętego ryżu z miseczki, którą zostawiłam wczoraj wieczorem w kuchni. Dwie z nich zaczęły walczyć między sobą, więc zgmiotłam tę większą kciukiem. I wiesz, co zrobiła ta druga? Pochwyciła tę martwą za głowę, powlokła po podłodze i zniknęła na powrót pod lodówką.

– To okropne.

– Wiem. – Westchnęła. – Zastanawia mnie, co robi z tym ciałem. Czy one zjadają się nawzajem?

– Daj mi już spokój, dobra?

– Co my robimy, Ianie? Spotykamy się już od trzech miesięcy. Naprawdę cię lubię, lecz ty nie pozwalasz mi się do siebie zbliżyć. Mówię ci, że moja siostra przyjeżdża z wizytą, a ty zwyczajnie każesz mi się zamknąć.

– To nie tak.

– Masz swoje sekrety. Gdzie byłeś dziś wieczorem? Dzwoniłam do ciebie do domu, do twojego domu, którego ani razu nie widziałam. Nie chcę cię śledzić. Ale wydaje mi się, że trochę przesadzasz z ochroną swojej sekretnej tożsamości. Mogę stracić zainteresowanie.

Wysunęła śliską od potu nogę spod jego nogi, obróciła się i podparła na łokciu, aby na niego spojrzeć.

– To nic takiego. Sprzedałem kilka kolejnych zdjęć, to wszystko.

– Naprawdę? – Nachyliła się nieco bardziej. – To świetnie. Mogę je zobaczyć?

– Nie ma co oglądać. To zdjęcia przyrodnicze, nuda i tyle.

Podniósł się i stanął w ciemnościach, by włożyć koszulę i spodnie. *Nie zrozumiałabyś*. Cóż za niedomówienie.

– Może umówisz się na lunch z siostrą i dasz mi znać, o której to ma być? Zadzwoń do mnie jutro.

Kilka godzin później wracał przez miasto. Cmentarna ziemia oblepiała jego ubranie, a nowe materiały były zapakowane bezpiecznie w tylnej części furgonetki. Zastanawiał się, jakim cudem z taką łatwością prześlizgnął się między światami. Czy dlatego, że jako przymierający głodem artysta otrzymał propozycję nie do odrzucenia? Nie, chodziło o coś więcej. Wiele lat temu miał kilka wernisaży w małych galeriach w Nowym Jorku, głównie podczas wystawy sprzętu radiowo-

telewizyjnego i urzędzeń AGD, zorganizowanych przez jego starych kumpli ze studiów; śmieci w stylu Warhola, przetworzone, przemodelowane i przeceniane. Nie był takim wizjonerem jak Warhol i opinia publiczna o tym wiedziała. Jego prawdziwe upodobania były mroczniejsze i bardziej niepokojące.

Raz za razem odprawiano go z pustymi kieszeniami albo z paroma groszami na przeżycie, a po pewnym czasie nawet ci nieliczni spośród kumpli, którzy wciąż się z nim przyjaźnili, przestali używać mu powierzchni wystawienniczej. Przez kilka miesięcy błąkał się pogrążony w depresji, stawiając czoło prawdzie, że marzenie jego życia legło w gruzach. Nigdy nie wątpił, że ma talent (a jeśli już, to tylko chwilowo), ale wiedział, że pozostawał on niepokojąco ulotny. Ujawniał się coraz rzadziej i w końcu Ian zaczął wątpić, czy warto o to zabiegać.

Podjął pracę w zakładach mięsnych, gdzie ćwiartował udźce wołowe i jagnięce. Potem spotkał Fowlera. Fowler przedstawił go innemu światu, który istniał pomiędzy smugami światła, za każdym cieniem, za każdym ciemnym zaułkiem. Klientami Fowlera były oczy obserwujące cię z mrocznych czeluści twojej szafy. Byli chłodnym wiatrem czającym się w miejscu wypadku samochodowego i za spojrzeniami szaleńców oraz seryjnych morderców. Ian nie sądził, aby Fowler wtedy zdawał sobie sprawę, w co wdepnął, podobnie jak nie miał o tym pojęcia on sam. Ale było już za późno.

Skorzystał ze starej windy towarowej na tyłach budynku i przeniósł cuchnący, przeciekający ładunek tonącymi w ciszy korytarzami. Musiał obrócić kilka razy. Było późno, a budynek stał opuszczony – dopilnował tego niedługo po tym, jak się tu wprowadził, wynajmując kolejne lokale, w miarę jak nadarzały się po temu okazje.

Kiedy znalazł się w studiu, zapalił grube świece i zaczął krążyć po pracowni w poszukiwaniu ulotnego natchnienia. To będzie majstersztyk. Coś zupełnie nowego. I naprawdę powalającego. Stworzy coś zrodzonego z rzeźniczej ludy, kompendium najbardziej odrażających i krwawych idei, jakie mogły się zrodzić w umyśle ludzkim. Tamci będą zdumieni, zaskoczeni, podekscytowani tak, że ogarnie ich istny szal żądz. I zapłacą za to, zapłacą sownie we wszechmocnych dolarach.

Ian zdjął ze ściany narzędzia. Ta część olbrzymiego pomieszczenia przypominała średniowieczną izbę tortur; zadbał o taki wystrój dla osiągnięcia odpowiedniego nastroju. Gołe cegły pociemniały od zacieków, a krawędzie stalowych narzędzi do oczyszczania kości mrugały i uśmiechały się z haków. W tle słychać było cichą muzykę, *Mawrę* Strawińskiego, kiedy przykucnął przy wielkim metalowym zbiorniku i oddzielił kończyny dwóch pogrzebanych niedawno zwłok, dziecka i jego matki, używając w tym celu noża i piły. Szczególną uwagę zwracał na miejsca gorzej zachowane wskutek leżenia

w konkretnych pozycjach. Śluz i zakrzepła krew szybko pokryły jego dłonie. Nie włożył rękawic, ponieważ to dzieło miało być szczególnie bliskie jego sercu, a co za tym idzie, chciał zachować intymną relację z nim.

Kiedy skończył, poszedł do chłodni po kolejne części. W jego umyśle tańczyły wizje wielogłowych stworzeń, trójnogich i pozbawionych oczu, z mięśniami i kośćmi po zewnętrznej stronie skóry. Ale to były jedynie przebliski kulminacji jego talentu. Ogarnął go istny szal tworzenia. Odpowiedzi kotłowały się w jego głowie, miał za zadanie nie ukrywać manipulowania ciałem, lecz uwydatnić je, podkreślając każdy nienaturalny staw i połączenie.

Wziął igłę sekcyjną i grubą czarną nić, by mocując się ze śliską skórą, przytwierdzić ją do kości. Pierś kobiety stała się skróconą dziecięcą kończyną, pozbawiona palców dłoń przebijała się przez odsłonięte żebra. Oczy bez powiek patrzyły przez membranę z błony śluzowej żołądka. Wśród uwypuklonego ciała pojawił się rząd zębów. Ian kroił i wycinał otwory, zarazem łącząc ciało i rozrywając je z brutalnością, którą wcześniej z trudem utrzymywał na wodzy. Warstwa po warstwie tworzył złożone i bardzo pierwotne w swej surowości rzeźbione wizje śmierci.

Pracował przez całą noc, ranek, aż do popołudnia. Świece całkiem się wypaliły, aż zostały z nich tylko ogarki. Jediną oznaką upływającego czasu była delikatna poświata przesączająca się spoza grubych stor. Zatracił się w gorączkowym, lśniącym delirium.

W końcu, gdy nad miastem ponownie zapadła noc, podniósł się w zbolącej ciszy, obserwując to, co pojawiło się na podłodze pracowni. Blask świec tworzył migocące refleksy na plecach umarłych. Czarne nici jak żyły rozciągały się wszędzie, jeden szew w górę, drugi w dół. Bezzębne usta zmieniły się w łona, by zrodzić niewypowiedziane istoty. Kończyny sięgały ku górze, jakby w swoim cierpieniu usiłowały dosięgnąć nieba.

Ian zwymiotował do rynny odpływowej, gdy resztki wypitego alkoholu podeszły mu do gardła wraz z zawartością żołądka, a gdy już puścił pawia, na jego wargach pozostał wilgotny, nieprzyjemnie cuchnący ślad. Podniósł się, pohamowując dreszcze targające jego ciałem. Aparat miał zawsze pod ręką. Ian sięgnął po niego, a ze wszystkich porów jego ciała sączył się pot, świerbiło go całe ciało poruszone surową potęgą tego nowego dzieła, żołądek wyczyniał dziwne harce. Nigdy dotąd nie miał przekonania, że udało mu się uchwycić to, co usilnie starał się stworzyć jego umysł; zawsze czuł się pusty, niespełniony, jakby gdzieś po drodze zboczył z właściwej ścieżki.

Ale to, to było doskonałe.

Następnego wieczoru wybrał się do miasta, żeby nieco rozprostować obolałe nogi. Cały dzień przespał jak zabity i obudził się z jasnym umysłem. Stworzył coś niewyobrażalnego. Pornografię dla istot nie z tego świata. Demony nie miały orgazmów, a w każdym razie nie takie jak ludzie. Jednak fotografie wywoływały u nich reakcje, które były potężne i szalone. Taratcha zawsze chcieli więcej, niezależnie od tego jak bardzo mogły zrazu wydawać się zaspokojone. Krew ścinała mu się w żyłach na samą myśl, co musiałby stworzyć, żeby usatysfakcjonować je następnym razem.

Anna by tego nie zrozumiała. Jak dotąd udawało mu się utrzymać wszystko przed nią w tajemnicy, ale zapewne już niedługo ona coś zauważy.

No i pozostawała jeszcze kwestia jego nieśmiertelnej duszy. Ian wyczuwał pewne zmiany. Kiedy mijał miejsce wypadku samochodowego, zaczynał się lekko ślinić, miał ochotę zatrzymać się i zanurzyć palce w kałużach krwi. Wizyty w kostnicy szybko zatraciły cechy odwiedzin służbowych i zaczęły sprawiać mu przyjemność; widok pozbawionych życia, zimnych, sinych kończyn budził w nim fizyczne podniecenie. To nie taka znowu nadzwyczajna reakcja, stwierdził, po tym, ile czasu i wysiłku poświęcał tego typu istotom, ale było to niebezpieczne. Nie zamierzał poświęcać temu dziełu całego życia.

Gdy zrobiło się ciemno, znalazł się w dzielnicy klubów nocnych i kin, neony mrugały miarowo. Zza na wpół przesłoniętych witryn reklamy zachęcały do czynnych całą dobę peep show. Byli tam ludzie różnego pokroju, biznesmeni w trenczach wracający pospiesznie do domów jak karaluchy pragnące zdążyć do swoich kryjówek przed wschodem słońca, dziwki, transwestyci, motocykliści i narkomani o wynędzniałych twarzach i ramionach pokrytych siniakami.

Pomiędzy salonem tatuażu a sklepikiem oferującym gadzety erotyczne znajdowały się niewielkie drewniane drzwi, a na tabliczce nad nimi widniał napis „stróżówka”. Ian wszedł na wąską, cuchnącą moczem klatkę schodową i zaczął w milczeniu schodzić w dół. Schody wydawały się dłuższe, niż powinny. Ostatni raz był tutaj prawie pięć lat temu, kiedy po raz pierwszy zapoznawał się ze szczegółami swojego kunsztu. Stróżówka przypuszczalnie uratowała mu wówczas życie i teraz przy odrobinie szczęścia znów pozwoli mu ocalić skórę.

To miejsce było jak oaza pomiędzy światami. Okultystyczne parafernalia, książki i amulety

poupychano tu na regałach wraz z najnowszymi rozprawami naukowymi. Narkotyki wszelkiego rodzaju pomagały przygotować umysł na nowe doświadczenia. Gdybyś usiadł przy stoliku w głębi i zażyczył sobie poznać swoją przyszłość, mógłbyś więcej nie podnieść się z krzesła, bo tu przepowiadano przyszłość absolutnie prawdziwie i trafnie, o czym przekonało się wielu klientów, a rzeczywistość nierzadko okazywała się brutalna.

– O co chodzi tym razem? – Głos zdawał się dochodzić znikąd. – Szukasz środka odstrasającego demony? A może plasterka na zbolałą duszę? Czy zapuściłeś się tak daleko, że jest już na to za późno?

– Pokaż się, żebym mógł cię zobaczyć, Frost.

– Nerwusek, co? Ach, wciąż jeszcze jesteś człowiekiem.

Cienie zafalowały i z zaplecza zmaterializowała się mała smukła postać. Trudno było stwierdzić, czy ta pomarszczona, bezwłosa istota, która postąpiła naprzód, była kobietą czy mężczyzną i czy ukrywała się wśród cieni, czy po prostu pojawiła się znikąd. Ian w obu wypadkach obstawiał drugą opcję.

– Spodziewałem się ciebie wcześniej – powiedział Frost. – Sądziłem, że nie żyjesz. Ale zważywszy na sytuację, muszę przyznać, że trzymasz się całkiem nieźle.

Podszedł bliżej i spojrzał na twarz Iana. Jeden, zakrzywiony jak szpon, chudy palec uniósł się i musnął jego żuchwę.

– Choć trzeba przyznać, że sporo cię to kosztuje, prawda?

Ian pokiwał głową.

– Chcę się wypisać.

Frost zachichotał.

– Wszyscy tak mówimy.

– Nie żartuję. Zrobiłem to ostatni raz.

– Ale przecież to lubisz, prawda? A może boisz się, że staniesz się taki jak oni?

Frost miał niepokojący dar trafiania w samo sedno. Stał mocno obiema stopami w obu światach. Świadomość, że ktoś był już tam przed tobą, nie przynosiła szczególnej pociechy.

– Fowler jest już stracony – rzekł Ian, ze zdziwieniem stwierdzając, że głos mu drży. – Chcę, żebym to kontynuował, podobnie zresztą jak oni. Całkiem w to wsiąkł. Nie mogę się go pozbyć.

– Boisz się, że po ciebie przyjdą? Dlaczego go po prostu nie zabijesz?

– Nie zabijam ludzi. A poza tym nie jestem pewien, czy on by po prostu... nie wrócił.

– Rozumiem.

Frost był o prawie trzydzieści centymetrów niższy od Iana, jego wilgotna czaszka błyszczała w żółtym świetle. Nie sposób było określić jego wieku. Uszy miał dziwnie zwiędłe i pomarszczone, a jego twarz wyglądała jak nadgryzione jabłko.

– Mogłoby się tak stać. Chyba że go uwięzisz.

– O czym ty mówisz?

– Słyszałeś o plemionach z Ameryki Południowej, które boją się aparatów fotograficznych? Wiesz dlaczego? Wierzą, że aparat jest w stanie uwięzić duszę. To nie do końca prawda. Ale może uwięzić coś innego.

– Nie rozumiem.

– Taratcha są istotami nocy. Żywią się strachem, niezdolnością ujrzenia tego, co może nadejść. Jeśli udałoby ci się sfotografować jednego z nich, pozostałby uwięziony na kliszy.

– Na zawsze?

– Do czasu, kiedy zechciałbyś obejrzeć odbitki. – Frost uśmiechnął się. – Za taki numer mogliby się nieelicho wściec. Szczegóły pozostawię tobie. Niemniej wydaje mi się, że to może być odpowiedź, której szukasz.

– Dziękuję, Frost.

– A zapłata? Nawet porada nie z tego świata nie jest nigdy za darmo.

Ian podał plik banknotów i odwrócił się, by odejść. Frost zatrzymał go przy drzwiach.

– Zastanawiałeś się kiedykolwiek, skąd biorą się takie istoty?

– O czym ty mówisz?

– O demonach. Taratcha. O tych, których mógłbyś nazwać swoimi klientami.

– Zakładam, że byli kiedyś tacy jak my. Natomiast Fowler to chciwy sukinsyn. Zawsze uważałem, że całkiem się przemieni, to tylko kwestia czasu.

– To coś, nad czym należałoby się zastanowić.

– A inne rzeczy, nad którymi powinienem się zastanowić?

Frost wzruszył ramionami.

– Nie powiem ci wszystkiego, bo to nie byłoby fair. Ale wiedz jedno: musisz być uczciwy wobec samego siebie. I bądź ostrożny, Ianie Quinn. Oni są bliżej, niż myślisz.

Bliżej, niż myślisz. Słowa Frosta prześladowały go całą drogę do domu. Czy popełnił niewybaczalny błąd w swoim osądzie? Czy pozbycie się Fowlera niczego nie rozwiązywało?

Kiedy zbliżał się do budynku, w którym mieszkał, z cieni wyłonił się kształt i wszedł w krąg światła rzucanego przez latarnię.

– Mogłabym pomyśleć, że mnie unikasz – powiedziała Anna.

Miała na sobie obcisły biały top i dżinsy zgrabnie opinające jej krągłe biodra. Czarne włosy upięła z tyłu, ale parę luźnych pasemek opadało, by muskać jej szyję.

– Dzwoniłam do ciebie na komórkę i włączała się poczta głosowa.

– Wyłączyłem telefon – odparł Ian. – Musiałem się przejść. Właściciel budynku czeka na pieniądze za czynsz i wolałbym z nim teraz nie rozmawiać.

– Chcesz wiedzieć, jak cię znalazłam? Wiedziałam, że mieszkasz w tej okolicy, i objechałam kilka przecznic, aż zobaczyłam twoją furgonetkę. Przydałoby się ją umyć. Zmarszczyła nos. – Tobie zresztą też kąpiel dobrze by zrobiła.

– Wyłączyli mi wodę. – Wzruszył ramionami. – Co mogę powiedzieć, trochę zalegam...

– Dlaczego nie wrócisz do mnie. Mogłabym ugotować coś dobrego, ty byś się odświeżył.

– Naprawdę mam coś do zrobienia.

– Musimy pomówić, Ianie. – Skrzyżowała ręce na piersiach i nie podeszła już ani kroku bliżej. – Chodź ze mną, proszę cię. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Po powrocie do jej mieszkania Anna krzątała się w kuchni, a Ian stał w strugach gorącej wody pod prysznicem, zmywając z siebie brud z ostatnich paru miesięcy, a przynajmniej tak mu się wydawało. Włożył głowę pod strumień wody i powoli oddychał przez usta. Coś spłynęło i zawirowało w wodzie ściekającej do otworu odpływowego. Odczekał, aż woda z szarej stanie się przezroczysta, i dopiero wtedy wyszedł na miękką, puchatą, zieloną matę łazienki i wycierał się ręcznikiem tak długo, aż zapiekła go skóra.

Przebrał się w jeden z przydużych podkoszulków Anny i spodnie od dresu, po czym wszedł do salonu, podczas gdy ona pracowała w kuchni. Zdjął z półki album ze zdjęciami, usiadł na kanapie i zaczął go wertować. Anna jako dziewczynka z uśmiechniętymi mężczyzną i kobietą przed rezydencją w stylu Tudorów, ze starannie przystrzyżonymi krzewami; Anna w stroju sportowym do softballa; wakacje i piękne piaszczyste plaże oraz statki wycieczkowe na tle gęsto zalesionej góry, z inną kobietą o podobnych rysach. Obie miały plecaki z przytroczonymi do nich śpiworami. Każde zdjęcie wspaniale wychwytywało spojrzenie, uśmiech, gest albo myśl zawartą w którymś wyrazie twarzy.

Kiedy poczuł zapach jedzenia, ślinka od razu napłynęła mu do ust. W kuchni Anna nałożyła na talerz siekane mięso z ryżem i fasolą i postawiła na drewnianym, rustykalnym stole. Patrzyła, jak Ian zabiera się do pałaszowania, a na jej ustach pojawił się nieśmiały półuśmiech.

– Już prawie rano, ale pomyślałam, że coś konkretnego do przegryzienia dobrze ci zrobi. Przynajmniej ktoś zje to, co upichciłam.

– W tej chwili zjadłbym naprawdę cokolwiek.

Dała mu kuksańca w bok i wsunęła jedną stopę pod krzesło.

- To skąd dziś wracałeś?

- Musiałem zrobić dla klienta zdjęcia nabrzeża. Będą przebudowywać.

- Nie miałeś aparatu.

- No cóż, to prawda. – Wzruszył ramionami. – Chciałem się rozejrzeć, zbadać teren.

- Spotykasz się z kimś, Ianie?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego więc nie mówisz mi prawdy?

- To nie twoja sprawa, Anno.

- Kiedy sypiasz z kimś od jakiegoś czasu, spodziewasz się, że związek zacznie się stopniowo rozwijać. Lubię cię, Ianie, jesteś zabawny, słodki, wrażliwy. Ale nie lubię twoich tajemnic.

- Mam swoją mroczną stronę.

- Ją także chciałabym poznać.

- Musisz coś zrozumieć w związku ze mną. Moja praca jest jak inna kobieta, w której jestem

zakochany. Nie mogę tak po prostu rozstać się z nią ani dzielić się nią z tobą. To nie wchodzi w rachubę.

– Skąd wiesz? Może byłoby fajnie. Powinieneś dać mi szansę, mogłabym cię zaskoczyć. – Wzięła głęboki oddech, jakby zbierała się na odwagę. – Wiesz, co myślę? Wydaje mi się, że obawiasz się banalnego życia. Żona, dzieci, dom na przedmieściach. Myślisz, że to śmiertelnie nudne. Uważasz, że nie chcesz tego mieć, i nadal pragniesz robić to, co robisz. Może potrzebujesz mroku, depresja daje ci inspirację do działania, mam rację? Gdybyś był szczęśliwy, straciłbyś kontakt ze swoją żoną, tą, która jest twoim natchnieniem. Co zyskujesz, odcinając się od wszystkich, którzy cię kochają, tylko dlatego, że boisz się tego, co mogłoby się wydarzyć?

– To nie tak, jak myślisz.

– Nie? Wobec tego powiedz mi. Zakochałam się w tobie, Ianie. Jestem gotowa zrobić kolejny krok. Chciałabym poznać tę drugą kobietę. Ale nie mogę dłużej trwać w takim związku. Daj mi znać, gdybyś kiedyś postanowił mnie do siebie dopuścić.

Zostawił opuszczone story w swoim mieszkaniu. Kiedy jednak otworzył drzwi, były podniesione i promienie porannego słońca padły na cuchnące ciało spoczywające na podwyższonej metalowej scenie. Chwilę potem z niewielkiej kuchni wyłonił się Fowler, który ukrył oczy za ciemnymi okularami.

– Wspaniale – wyszeptał. Jego obwisłe policzki zatrzęśły się jakby z podniecenia. – Znów przeszedłeś samego siebie. Nie sądziłem, że stać cię na to.

– Ty sukinsynu – wycedził Ian. – Jeżeli którykolwiek z nich dotarł tu za tobą...

– Bądź rozsądny. – Fowler machnął ręką w stronę okna. – Przecież jest jasno, a może nie zauważyłeś? Od tego światła aż bolą mnie oczy, a oni nie przestawaliby wyć z bólu. Gdyby chcieli się dowiedzieć, gdzie mieszkasz, odnaleźliby cię bez mojej pomocy.

Ian wziął ze stołu aparat. Spojrzał przez lepiący się obiektyw na Fowlera, który unosił ręce w górę i żywo gestykulował.

– Ejże...

Klik. Błysnął flesz, aparat jęknął, białe światło odmalowało wnętrze pomieszczenia.

Fowler się skrzywił.

– Jezu Chryste, przestaniesz wreszcie? Oczy mnie od tego bolą...

Klik. Puf. Kolejne skrzywienie i chrapliwy oddech. Ian opuścił aparat na piersi. Fowler wciąż tam był.

– Dlaczego, do diabła, to zrobiłeś?

– Bo świetnie wyglądałeś, stojąc obok tego.

– Tak, jasne, ale nie rób tego więcej. – Oczy Fowlera przez moment zabłyśły czerwono z za ciemnych szkieł okularów, po czym przygasły. – Ty też nie prezentujesz się najlepiej, wiesz o tym? Powinieneś od czasu do czasu przejrzeć się w lustrze.

Ruszył w stronę drzwi.

– Daj mi te odbitki.

Rzucił jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie na twór wciąż leżący na podwyższonej, okrwawionej, srebrnej platformie, a na jego twarzy odmalowała się nieskrywana tęsknota. Ian wyobrażał go sobie, jak pięści krwawe boki tworu i pochyła się, by dotknąć ustami śliskiego ciała. Ale po chwili tamten już wyszedł.

Ian uderzył pięścią w otwartą dłoń. Fowler nie stał się jeszcze Taratchą i nie było łatwo pochwycić go w pułapkę, jak zasugerował Frost. Będzie musiał wymyślić inny sposób.

Późną nocą przyszło do niego rozwiązanie. Jak większość rozwiązań zrodzonych z desperacji, tak i to nawiedziło go przypadkiem.

Leżał w łóżku już długo, ale sen wciąż nie nadchodził. Nie mógł jeszcze się zmobilizować, by rozebrać swoje mistrzowskie dzieło. Dlatego wciąż leżało samotnie na swoim ołtarzu jak pozostałości krwawej ofiary. Ian zaczął myśleć o nim jako o czymś więcej niż o swojej sztuce, świadectwie wszystkiego, co udało mu się osiągnąć, ukoronowaniu talentu. Co więcej, to było jego dziecko i choć z początku ta myśl przepelniała go zgrozą, nie miał już w sobie siły, by odczuwać odrazę.

Nie wiedział, kiedy zasnął ani kiedy konkretnie się obudził, ale przez chwilę pozostały z nim ulotne cienie kształty i pełzające, wywijające mackami istoty ze snu. Na olbrzymim poddaszu było ciemno i cicho jak w grobie. Leżał, mrugając w ciemnościach, aż parcie na pęcherz zmusiło go, aby wstał z łóżka.

Kiedy zapalił światło w łazience, omal nie krzyknął, bo ujrzał odbicie, które spojrzało na niego z lustra. Szerokie czoło ocieniało zapadnięte, podkrążone oczy z maleńkimi czerwonymi iskierkami pośrodku. Ponownie zgasił światło i stał, mrugając w ciemnościach. Fowler miał rację. Nie zauważył, jak bardzo się posunął. Ale ta przemiana była odwracalna. Musiała być.

Coś nie dawało mu spokoju. Zbyt łatwo było myśleć o Taratcha jako po prostu o złu, któremu nadano formę i treść, elemencie trwającej podziemnej wojny, systemu zachowania równowagi pomiędzy światłością a mrokiem. Bo samo to ich nie ukształtowało. To nie czyniło ich realnymi. Teraz, widząc odbicie swojej twarzy wylaniające się jak duch z otaczającej go czerni, zaczął pojmować ich prawdziwą esencję. Istoty zrodzone ze zbiorczej podświadomości. Śladowa pamięć rasy ludzkiej, zbyt dzikiej, by nieść światło. Potwór pod łóżkiem, iskierka za oczami pedofila. Zawartość mózgu

szaleńca. To były twory człowieka, czyż nie? A jakie jest lepsze miejsce na narodziny demona niż wewnątrz mrocznego serca artysty?

Omal się nie spóźnił. Kiedy usłyszał za sobą poruszenie, odwrócił się, świadomy przyćmionej czerwonej poświaty, której oczy ludzkie nigdy nie zdołałyby w pełni zarejestrować. Drzwi do łazienki uchyliły się, a spoza nich dobiegł odgłos czegoś przesuwanego się po śliskiej powierzchni.

Wymknął się cichcem boso z łazienki, idąc wzdłuż ściany, okrążył pomieszczenie. Aparat wisiał na kołku wraz z innymi narzędziami. Jednym ruchem odwrócił się, postąpił naprzód i uniósł aparat do oczu. Dopiero wtedy przyjrzał się temu, co stworzył.

To pełzło powoli naprzód, małe dziecięce rączki poruszały się, chwytając kościstymi palcami powietrze w miejscu, gdzie stał jeszcze przed chwilą. Szwy wykonane czarną nicią łączyły się i rozchodziły na niekończącej się przestrzeni pomarszczonego ciała, otwierając się i zamykając jak tysiąc małych ust. Ostre końce kości wystawały na zewnątrz jak kolce jeżozwierza. Oczy jak zbiegłe rakowate narośla obracały się pod skórą naprężoną do granic wytrzymałości. Rozmazana smuga ciemnej cieczy znaczyła drogę istoty od metalowego podestu przez całą długość pomieszczenia jak ślad pozostawiony przez ślimaka.

Pierwsze kroki demona. Ian odruchowo miał ochotę wybuchnąć śmiechem; ta istota na oślep poszukiwała jego, swojego stwórcy, niezależnie od tego, jaki cel jej przyświecał, zmuszając do działania obrzmiałe, zniekształcone ciało. Co by zrobiła, gdyby go znalazła? Czy posunęłaby się do ojcobójstwa? A może powitałaby go z otwartymi ramionami?

Jego druga myśl była mniej precyzyjna. Kiedy istota odwróciła się i odnalazła go dzięki jakiemś zmysłowi danemu ślepcom, a jego głowę wypełnił głos brzmiący jak tysięczny wrzask, zogniskował kadr i nacisnął spust migawki. Białe światło wypełniło pokój jak błysk flary. Wrzaski osiągnęły nagle pułap rozszalałego crescendo, gdy nowo narodzony demon zniknął, a Ian odniósł ulotne wrażenie zastygłego w czasie lasu falujących kończyn. Przez moment otworzyła się dla niego niewidzialna brama i przez obiektyw aparatu dostrzegł armię niewyobrażalnych istot wijących się niczym kopiec robaków wewnątrz ciasnej jak zaciśnięta pięść jaskini o ścianach z wilgotnego, ociekającego wodą kamienia. Nic z tego jednak nie zapamiętał i pozostało w nim jedynie dziwne uczucie straty; jego głos powtarzał to samo zdanie raz po raz jak słowa zapomnianego rytuału rozbrzmiewające w ciszy poddasza.

– Przepraszam. Nie wiedziałem.

Fowler czekał na niego przy tym samym stoliku co zwykle. Uniósł wzrok, kiedy Ian podszedł, i tym razem nie próbował nawet ukrywać nienasyconego pragnienia malującego się w jego oczach.

– Jezu, nie spieszyło ci się – rzekł. Głos miał trzeszczący jak radio, które traci sygnał. A może to było coś więcej? Odgłos mężczyzny prześlizgującego się pomiędzy szczelinami?

– Przepraszam. To już się nie powtórzy.

Fowler wydawał się zadowolony z postawy Iana. Zamilkł jednak, kiedy po wilgotnym blacie stolika przesunięto w jego stronę skórzane portfolio. Coś w oczach Iana sprawiło, że stracił rezon. Wyczuł zmianę, pewność siebie i siłę, które wzbudziły w nim ciekawość. Zaraz jednak pragnienie przemogło wszystko inne. Palce Fowlera dotknęły portfolio i je otworzyły.

– Zaczekaj – rzekł Ian. – Nie chcę jeszcze, żebyś je zobaczył.

– A to dlaczego, do cholery?

– Zaufaj mi. Weź to portfolio, oddasz mi je później. Będziesz chciał to zrobić w samotności.

Tłuste łapsko Fowlera niemal wystrzeliło i schwyciło Iana za przedramię. W tym uścisku zawierała się jakaś desperacja. Palce Fowlera naprężyły się, zagłębiając się w ciało.

– Widziałeś kiedyś, co Taratcha robią z człowiekiem? Samo zabicie go im nie wystarcza. Chcą, żeby żył w ciągłym bólu.

Ian przewyciężył w sobie przemożną chęć odtrącenia dłoni Fowlera, tak jak odpędza się

dokuczliwego owada.

– Rozumiem.

– Jeśli zamierzasz odciąć się ode mnie, dobrze się zastanów. Jedno moje słowo i będzie po tobie. Tak jak po wszystkich, których kochasz. Kumasz?

– Oczywiście.

– Wiesz, twój nowy wygląd nie od razu przypadł mi do gustu. Ale gusty się zmieniają, uwierz mi. Jak to się mówi, tak trzymaj.

Ian pozostał przy stoliku jeszcze długo po tym, jak Fowler wyszedł. Nie dotknął nawet grubej koperty, którą tamten zostawił. Zamówił drinka, potem następnego, zbierając się na odwagę.

Uczucie straty nie opuszczało go przez resztę nocy i cały poranek. Dostrzegł coś w tej istocie pomimo całej jej okropności. Jakąś iskierkę rozpoznania, jakiś rodzaj empatii.

Sztuka to jedyna dziedzina, w której kiedykolwiek był naprawdę dobry, a mimo to zawsze czuł się zawstydzony. W młodości często pytano go, skąd biorą się mroczniejsze akcenty jego talentu, a kiedy na próżno próbował odpowiedzieć, zazwyczaj spotykał się ze spojrzeniami pełnymi politowania czy nawet zawoalowanej nieufności. Co ukrywasz, zdawali się pytać. Jego jedyna odpowiedź brzmiała po prostu: „Nie wiem”.

Przyćmione światło w barze raziło go w oczy. Ian poszedł do pustej toalety. Zgasił światło i stał w ciemnościach, pochylając się nad umywalką i trzymając rękami chłodną porcelanę. Wreszcie uniósł wzrok. Lustro nad umywalką ukazało twarz rozjaśnioną własnym blaskiem. Oczami duszy wejrzał w głąb siebie i zobaczył morze wijących się kształtów rozmnażających się i dzielących. Wyobrażał sobie drżące palce Fowlera, gdy rozpinały zatrzask skórzanego teczkę, wyjmowały z niej fotografie i unosiły je na wysokość twarzy: a zwłaszcza jedno zdjęcie, to, na którym uwięził swojego nowo narodzonego syna.

„Jeśli udałoby ci się sfotografować jednego z nich, pozostałby uwięziony na kliszy – powiedział Frost – do czasu, kiedy zechciałbyś obejrzeć odbitki. Za taki numer mogliby się niełicho wściec”. Wyobrażał sobie eksplozję ciała, gdy jego potomek, jego pomiot, dokonał tego, po co został zrodzony, uwalniając się z fotografii i wyładowując swój gniew na Fowlerze, którego śmierć dawała Ianowi przynajmniej jakąś szansę na rozpoczęcie wszystkiego od nowa.

Powrócił myślami do Anny i tego, co mu powiedziała, kiedy ostatni raz ze sobą rozmawiali. „Daj mi znać, gdybyś kiedyś postanowił mnie do siebie dopuścić”. Wyjął z kieszeni komórkę i ją włączył. Nie wiedział, czy zdoła przeżyć, kiedy te dwa światy zderzą się ze sobą, ale musiał przestać się ukrywać. Nadszedł czas, by dowiedzieć się, czy dwie miłości jego życia mogły współistnieć.

Anna odebrała już po krótkiej chwili.

Przełożył Robert P. Lipski

Dana Stabenow

Syreni śpiew

Opowiadanie z serii Kate Shugak

Szaleniec, kto się zbliży i syren tych śpiewy usłyszysz.

Homer, *Odyseja*

5. Zeznawała spokojnym głosem, obszernie odpowiadając na pytania obrony, i świadomie, lecz niespiesznie, od czasu do czasu nawiązywała kontakt wzrokowy z ławą przysięgłych. Każdy członek ławy przez moment spoglądał jej w oczy, a potem odwracał głowę w stronę trzech oskarżonych. Kobieta, która zeznawała teraz jako świadek, mogła z łatwością znaleźć się na ich miejscu dwadzieścia lat wcześniej.

Oskarżonymi były Pauline, Laura i Linda Akulurak, odpowiednio w wieku szesnastu, piętnastu i dwunastu lat. Proces dotyczył morderstwa pierwszego stopnia, a dziewczynki oskarżono o zabicie swojego alfonsa, Duprégo Thomasa Jeffersona, lat dwadzieścia osiem, działającego pod pseudonimem Da Prez lub – w jednym lub dwóch wypadkach – John Smith. Mężczyzna miał grubą kartotekę. Pierwsze adnotacje na jego temat pojawiły się w niej, gdy miał dziewięć lat i uczęszczał do szkoły podstawowej w Los Angeles. Potem jego ślad prowadził na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża USA, do Portland i Seattle. Na końcu wylądował w Anchorage. Wysoki i przystojny, był obdarzony niezwykłym wdziękiem i czarem, z których skwapliwie korzystał przy prowadzeniu stajni prostytutek.

Martwy Jefferson nie był w połowie tak przystojny jak żywy Jefferson. Kula, która go uśmierciła, została wystrzelona z bliskiej odległości w tył głowy i pozbawiła go górnej części czaszki. Do zdarzenia doszło podczas snu denata. Narzędziem zbrodni był smith & wesson kaliber .357 magnum znaleziony przy ciele z pustym bębenkiem. Morderstwo nosiło znamiona zemsty gangów, ale na rewolwerze widniały zarówno odciski placów trzech oskarżonych, jak i denata. Ręce oskarżonych sprawdzono na obecność prochu z niejednoznacznym wynikiem.

Oskarżyciel przedstawił wszystkich swoich świadków dzień wcześniej i z ulgą oddał pole obronie. Tego poranka obrońca powołał na świadka oficera dochodzeniowego, który w trakcie przesłuchania ujawnił wiele nowych dowodów dotyczących innych członków rodziny Jeffersona – tu obrońca kaszlnął z dezaprobatą – zamieszkujących w domu na McKinley i Alder, jak również częściowych

i niewyraźnych odcisków na broni nienależących do oskarżonych. Z zeznań oficera wynikało, że okazję do zastrzelenia Da Preza miało jeszcze przynajmniej piętnaście osób. Mogłoby się zresztą okazać, że było ich znacznie więcej, gdyby wziąć pod uwagę jego przyjaciół, których było niewielu, rywali, których było całkiem sporo, oraz wrogów, których były rzesze.

Oskarżone podążyły za urzędnikiem sądowym do miejsca dla świadków. Pauline, najstarsza, sprawiała powalające wrażenie. Jedwabista śniada skóra sprężyście opinająca delikatnie zaznaczone kości policzkowe, lekko skośne ciemnobrązowe oczy w kształcie migdałów i gęste kruczoczarne włosy do pasa, które otulały dziewczynę jak płaszcz. Miała na sobie ciemnoniebieską, zapinaną na guziki sukienkę z kołnierzykiem i długimi rękawami, cienkie cieliste pończochy oraz czarne baleriny. Obrazu dopełniały niewielkie złote kolczyki w kształcie kółek i delikatnie pociągnięte tuszem rzęsy. Ława przysięgłych, której dziewięciu członków było mężczyznami, przyglądała się górnemu guzikowi jej sukienki z niesłabnącą fascynacją.

Laura, średnia siostra, miała na sobie dzinsową kurtkę z cekinami nałożoną na koszulkę z podobizną Justina Biebera, minispódniczkę w kolorze różowym, rajstopy w czarno-białe paski jakby żywcem wyjęte z Kota Prota oraz żółte lakierowane koturny na dziesięciocentymetrowym korku. Jej czarne włosy, tak samo długie i lśniące jak starszej siostry, były zebrane w koński ogon z boku głowy jasnoblękitną plastikową zapinką w kształcie kwiatu. Paznokcie u rąk pomalowała mieniącym się wściekle różowym lakierem. Tym razem u dziewięciu mężczyzn z ławy przysięgłych na ustach zagościł pobłażliwy uśmiech. Trzy kobiety, które dopełniały jej składu, podobnie zareagowały.

Linda, najmłodsza, wybrała koszulkę z niedźwiedziem polarnym firmy J.Crew, wojskowe spodnie oraz ognistoróżowe płócienne trampki za kostkę z różowymi światełkami w podeszwie, które błyszczały przy każdym kroku. Włosy, tak samo czarne i gęste jak u jej sióstr, były ostrzyżone na boba, a grzywka zasłaniała trochę oczy. W rękę trzymała lalkę Barbie ubraną pod kolor jej stroju. Tym razem wszystkich dwanaścioro członków ławy przysięgłych miało gniewny wygląd i nie było w swojej reakcji osamotnionych. Napakowana sala sądowa wypełniła się pomrukiem współczującego oburzenia i sędzia musiał ostrzegawczo unieść młotek, by uciszyć tłum.

Zeznanie Pauline było pozbawione emocji, rzeczowe, niemal suche. Swoją wersję zdarzeń zdążyła powtórzyć niewiadomo ile razy i jej brak uczuć rodził już raczej współczucie niż zdziwienie. Kiedy obrońca zapytał ją, dlaczego ona i jej siostry uciekły do Anchorage, nie szcędząc żadnych szczegółów, opowiedziała o napastliwości seksualnej ojczyma. Kiedy z kolei spytał, dlaczego wybrały prostytutkę, powiedziała: „Dlaczego miałyśmy dawać za darmo? Tego miałyśmy wystarczająco w domu”. Kiedy obrońca spytał, czy ona lub jej siostry zabiły Da Preza, odpowiedziała: „Był dla nas miły. Miałyśmy ciepły, suchy kąpiel i czyste ubrania. Opiekował się nami. Po cóż miałybyśmy go zabijać?”.

Laura nieustannie bawiła się swoim końskim ogonem. Kiedy obrońca zapytał ją, czy zabiła Da Preza, odparła w sposób, który nosił znamiona szczerego oburzenia. „Nie! Był dla nas miły. Zabierał nas do kina”. Jej wielkie brązowe oczy wypełniły się łzami, gdy zwróciła się do sędziego. „Nie wyślecie nas z powrotem do niego, prawda?”. Sędzia prawie zdradził swoje podejście do całej sprawy, gdy zaczął robić w jej kierunku pocieszający gest ręką. W porę jednak się powstrzymał.

Linda odpowiedzi na wszystkie pytania kierowała do swojej lalki Barbie. Kiedy obrońca najłagodniejszym głosem spytał, dlaczego ona i jej siostry zamieszkały z Jeffersonem, odpowiedziała po prostu: „Byłyśmy głodne. A na zewnątrz było zimno”. Kiedy zapytał, czy ona lub któraś z jej sióstr zastrzeliła go, przecząco potrząsnęła głową, głaszcząc rączką blond pukle Barbie.

Ostatnim świadkiem obrony była kobieta, która zeznawała właśnie teraz. Tak samo jak dziewczynki rdzenna mieszkanka Alaski pochodziła z ich rodzinnych stron – ogromnego dzikiego obszaru rozciągającego się na północny wschód od Anchorage, poprzecinanego siatką nielicznych dróg i pojedynczych wiosek, popularnie zwanego Alaskim Buszem. Żyła tam populacja, której liczba w porównaniu z żyjącymi na tym terenie zwierzętami wydawała się nieistotna. Tak, znała rodzinę dziewczynek. Tak, znała ich rodziców. Opowiedziała o ojcu dziewczynek, który utopił się, łowiąc ryby w zatoce Alaganik sześć lat temu, a także o ich matce, która zmarła w połogu trzy lata temu. Tak, znała ojczyma dziewczynek, pod którego opieką przebywały dwa i pół roku, zanim uciekły, i wyrecytowała jego litanie wykroczeń. Na pytanie, dlaczego takiej osobie została powierzona piecza nad nieletnimi dziećmi, zdobyła się na tak oczywisty wysiłek, by nie spojrzeć oskarżająco na sędziego, że i tak wszyscy na niego spojrzeli. A on nie wyglądał na kogoś, kto byłby w tej chwili niezwykle dumny ze swojej profesji.

Członkowie ławy nie obradowali nawet piętnastu minut. Wrócili z jednomyślnie podjętym wyrokiem – niewinne. Salę sądową zalała fala oklasków. Na twarzy sędziego pojawił się uśmiech. Nawet nie pokusił się o próbę uciszenia radości.

Pracownicy stanowego urzędu do spraw rodziny i dzieci pospieszyli do dziewczynek, które utonęły w ich ciepłym biurokratycznym uścisku. Dziennikarze pstrykali zdjęcia i uaktualniali blogi na swoich smartphonach. Prezes lokalnego banku pozował do zdjęcia wraz z dziewczynkami i czekał na dużą sumę pieniędzy. Zebrano ją dzięki datkom tysięcy mieszkańców Alaski, którzy trudną sytuację sierot na bieżąco i ze szczegółami śledzili w telewizji i gazetach. Zapoznawali się z życiorysami, datami, komentarzami wszelkiej maści specjalistów oraz chwytającymi za serce zdjęciami dziewczynek w ich nowym domu, z nowymi, tym razem już odpowiednio wybranymi przybranymi rodzicami oraz oceniających najdorodniejsze kapusty na dorocznym kiermaszu.

Kobieta, która składała zeznania w sprawie charakteru dziewczynek i opinii środowiska na ich temat, przeciskała się niezauważona przez tłum w stronę drzwi, gdzie czekał już na nią mieszaniec rasy husky i wilczura z tak wielkimi uszami, że mógłby swobodnie sam rzucać symbol nietoperza na niebo w Gotham City. Obok psa stał oskarżyciel.

Zamknięte drzwi przytłumiły radosną wrzawę dobiegającą z sali sądowej, lecz całkowicie jej nie wygłuszyły.

– Jak tam, Kate? – spytał postawny rudy mężczyzna w poplamionym krawacie.

– I jak co, Brendan? – zapytała.

Spojrzał na dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na salę sądową.

– Sprawiedliwości stało się zadość?

Jak na człowieka, który właśnie przegrał dużą sprawę roztrąbioną tego wieczoru przez wszystkie stacje telewizyjne, wyglądał na zaskakująco zadowolonego z siebie.

4. – Co za cyrk – powiedziała Kate. Trudno jej było przebić się przez otaczający ich gwar. – Kto dał cynk prasie?

– Nie wiem – odparł ponuro Brendan.

Torował drogę pośród hordy dziennikarzy. Kate podążała za nim, nie mówiąc ani słowa, dopóki nie byli bezpieczni za drzwiami jego gabinetu. Usiedli i popatrzyli na siebie.

– Trzeba będzie postawić je przed sądem – powiedział.

Kate nie potrafiła ukryć zdenerwowania.

– Nawet dwunastolatkę?

– Nie wiesz, jak jest, Kate? Może przede wszystkim dwunastolatkę. Krajowe Stowarzyszenie Strzeleckie trzyma całe Juneau^[4] za jaja i równie dobrze jak ja znasz ich slogan. „Broń nie zabija ludzi, to ludzie zabijają ludzi”. Prawo Brady’ego niczego nie zmieniło. Powiedziałbym nawet, że dolało tylko oliwy do ognia. Sformułowano je tak, że musimy sądzić niemal każdego, bez względu na wiek, kto popełnia przestępstwo przy użyciu broni palnej. A tu mamy do czynienia z morderstwem.

Pomyślała, że oskarżyciel nie zdradzał żadnego entuzjazmu do zajęcia się tą sprawą, ale nie powiedziała tego na głos. Niemniej Brendan miał rację. Biuro prokuratora okręgowego znalazło się w wielce niewygodnej sytuacji między Scyllą opinii publicznej a Charybdą politycznej potrzeby i jego zespół musiał wykazać się teraz znakomitą umiejętnością żeglugi, by ani nie pójść na dno, ani nie dać się pożreć żywcem.

3. – Możesz wierzyć lub nie, ale on nie był takim złym facetem – powiedział Brendan. – Kilka razy zgarnęliśmy go za napaść na klientów, którzy bili jego dziewczyny. Chronił je, mścił się, jeśli nie udało mu się ich ochronić, żywił je, dostarczał im czystych ubrań, a nawet raz w miesiącu załatwiał im wizytę u lekarza. Wyobraź sobie, że starsze zapisywał nawet na kursy planowania rodziny. Płacił za aborcje w porządnej klinice. Kupował prezerwatywy w Costco i uczył dziewczyny, jak ich używać.

– Nawet dwunastolatki? – spytała Kate.

Brendan podniósł dłoń wnętrzem skierowaną w jej stronę.

– Okej. Mówię tylko, że Da Prez nie był najgorszym z możliwych alfonsów. To chyba się liczy.

Nie mogła się z nim nie zgodzić. W zeszłym roku zbyt dużo nastoletnich rdzennych mieszkank Alaski uciekło z domów, z wiosek położonych na terenach Alaskiego Buszu, i pojawiło się na ulicach Anchorage. Powód ucieczki zwykle był ten sam: przemoc i molestowanie spowodowane nadużywaniem alkoholu. Przeciętnie jedna na trzy stawała się prostytutką. Gdy już udało się je oswoić i wyszkolić, większość alfonsów traktowała je czysto przedmiotowo jak maszynki do zarabiania pieniędzy, które z łatwością można zastąpić nowym narybkiem.

Brendan westchnął.

– Dzieciaki lądują w Anchorage. Są zmarznięte, głodne i samotne. Wałęsają się po centrum handlowym Dimond Mall, błagając o drobniaki, i pojawia się koleś w hummerze, który obiecuje im góry złota. Trudno się temu oprzeć.

Biuro FBI z Anchorage wysłało ostatnio oddział specjalny na tereny Buszu, aby ostrzec starszych mieszkańców przed tym trendem.

– Przyjechali do Niniltny – powiedziała Kate – i cała wioska zjawiała się w szkole na sali gimnastycznej, by posłuchać, co mają do powiedzenia.

– Przecież ludzie w wioskach nie mogą nie zauważać, że znikają im dzieci. – Brendan skrzywił usta w wymownym uśmiechu. – I większość z nich wie przecież, dlaczego tak się dzieje. – Spojrzał na Kate. – Znałaś dziewczyny Akuluraków?

– Znałam – powiedziała. – Jednak najwyraźniej nie tak dobrze, jak powinnam.

– Przestań, Kate. Nie możesz pomóc wszystkim.

Jej posępny wyraz twarzy starczył mu za odpowiedź.

2. – One są z Niniltny? – Brendan szybkim ruchem wyciągnął telefon. – Proszę o połączenie z Jimem Chopinem z jednostki policji w Niniltnie, szybko.

1. Trzydziestoletni dom był zbudowany w stylu ranczerskim. Na płycie fundamentowej mieściły się trzy sypialnie i dwie łazienki. Dach porastały zielone łaty mchu, ale niebieska farba na zewnętrznych ścianach trzymała się jeszcze nieźle, a trawa przed domem pyszniła się zielonością niedawnego koszenia.

Umeblowanie i wyposażenie było lekko zużyte, lecz czyste i w dobrym stanie. W pokoju gościnnym królował duży telewizor z płaskim ekranem oraz sięgające od podłogi do sufitu półki zastawione kolekcją płyt DVD, w której nie zabrakło żadnego filmu Disneya, począwszy od *Królowny Śnieżki i siedmiu krasnoludków*. Na ścianach wisiały plakaty z X-Menów oraz *World of Warcraft*. Na małym stoliku stało małe przezroczyste plastikowe pudełko pełne kosmetyków, a lalka Barbie, porzucona na podnóżku rozkładanego fotela, zwieszała smutno blond włosy przez jego krawędź. Z korytarza odchodziło kilkoro drzwi. Za jednymi z nich ktoś chrapał.

Na sofie, ciasno przytulone do siebie, siedziały dwie dziewczynki i wbijały wzrok w trzecią, która usadowiła się na wprost nich na stoliku kawowym. Broń kalibru .375 wydawała się dla niej za duża, ale trzymała ją bardzo wprawnie. Prawa dłoń zaciśnięta mocno wokół uchwyty, palec poza spustem w pozycji zabezpieczonej, rewolwer skierowany w dół i od sióstr.

– Wiem, że to było trudne – powiedziała. – Ale wszystkie uznałyśmy to za jedyny sposób.

Najmłodsza, Linda, pokiwała potakująco głową z bardzo poważnym wyrazem twarzy. Natomiast Laura, średnia siostra, powiedziała z wahaniem:

– Czy nie możemy po prostu uciec?

– Rozmawialiśmy już o tym, Lauro. – Pauline wskazała głową w kierunku korytarza. – Nie mamy pieniędzy, a poza tym wiesz, że on nie pozwoli nam tak po prostu odejść, dopóki mężczyźni wciąż będą nas chcieli.

Wzięła do ręki pilota, skierowała go w stronę telewizora i przeskakiwała po programach, dopóki nie znalazła stacji nadającej lokalne wiadomości. Para na ekranie była atrakcyjna, ale nie oszałamiająco piękna, a kobieta – długowłosa brunetka – miała w sobie coś niezwykle matczynego.

– Oglądałam wszystkie stacje nadające lokalne wiadomości. Zdaje się, że to ta.

Tym razem Linda zaczęła się wiercić.

– Czy naprawdę musimy im to mówić? – spytała cienkim głosem.

– Tak – powiedziała Pauline.

– Wszystko? – spytała Linda ze wzrokiem wbitym w swoje buty. – Wszystko, do czego nas zmuszał?

– A to, co Rod kazał nam robić, też? – dodała pytająco Laura, metodycznie zdzierając jaskrawoniebieski lakier ze swoich paznokci.

– Tak – odrzekła Pauline. Wyciszyła dźwięk i wskazała głową na ekran. – Niedługo będą robić telewizyjny ranking oglądalności. Sprawdzają wtedy, ilu widzów ogląda dany kanał. To znaczy, że stacje telewizyjne potrzebują mnóstwa ludzi, którzy by je oglądali, by mogły zwiększyć cenę reklam. Nadają więc takie programy, które ich zdaniem przyciągną przed telewizory najwięcej ludzi.

– I myślisz, że będą oglądać właśnie nas? – zapytała Laura.

– Sprawimy, żeby tak było – odrzekła Pauline.

– I dadzą nam pieniądze?

– Tak. Wyznącą dorosłego, który założy nam konto w banku, i powiemy im, że nie mamy żadnych pieniędzy, i wszyscy zaczną nam je wysyłać.

– I będziemy miały prawdziwych rodziców? Mamę i tatę? – zapytała Laura, wciąż wpatrując się uporczywie w swoje buty.

Wzrok Pauline złagodniał.

– Tak.

– Jesteś pewna? – zapytała Laura. – Czy jesteś pewna, że nie każą nam wrócić z powrotem do wioski? Do...

– Jestem pewna – potwierdziła Pauline. – Ale stanie się tak tylko wtedy, gdy wszystko im powiemy. Dorośli sprawią, że ktoś nas weźmie i – kiwnęła głową w stronę ekranu – ci ludzie sprawią, że wszyscy będą się nami interesować i dopilnują, byśmy trafiły do kogoś dobrego.

Odłożyła pilota, podniosła żółtego stikersa i podała go Laurze.

– Tu masz numer, gdyby nie było go na ekranie, kiedy... no wiesz.

– Nie – powiedziała Linda, spoglądając na siostrę. – To powinnam być ja. To ja powinnam zadzwonić. Jestem najmłodsza i z mojego powodu będzie im najbardziej przykro.

Pauline odszukała oczami Laurę.

– Dobrze – zgodziła się i wręczyła karteczkę Lindzie. – I nie zapomnij, telewizor ma być włączony aż do ich przyjazdu.

Podniosła się zdecydowanym ruchem, trzymając pewnie rewolwer, i ruszyła spokojnie w kierunku korytarza.

2. – Znaleźli dziewczyny Akuluraków?! – powiedziała Kate, a jej twarz się rozpogodziła. – Boże, super, ciotka Balasha w końcu odetchnie z ulgą. Nie mogę się doczekać, by...

– Nie wygląda to tak różowo – ostrzegł ją Jim, drapiąc Mutt za uszami. Pies natychmiast wywiesił język i przymknął oczy w stanie niewysłowionej błogości. – Brendan mówi, że zabiły alfonsa.

– Swojego alfonsa? – doprecyzowała Kate. A potem powtórzyła niedowierzająco: – Zabiły go?

– To jeszcze nie wszystko, Kate – powiedział. – Jesteś gotowa? Mówią, że ten dupek Rod Jimmieskin wykorzystywał je od chwili, gdy umarła ich matka, i właśnie dlatego uciekły.

3. – Czy zabójcy zwykle nie wybierają broni kaliber dwadzieścia dwa cale? – spytała Kate.

– Zgadza się – powiedział Brendan. – Ale dziewczyny powiedziały, że broń kalibru trzysta siedemdziesiąt pięć cali zawsze leżała na nocnej szafce. – Zrobił pauzę. – Nauczył je, jak się nią posługiwać. Nauczył wszystkie trzy.

– Tak mówią.

Do kamery, na każdym kanale, w każdym studiu telewizyjnym na Alasce.

– Zabierał je na strzelnicę. Nauczył je, jak celować, strzelać, przeładowywać i jak czyścić broń po powrocie do domu.

– Ciekawa jestem, czyj to był pomysł – powiedziała Kate.

– Co masz na myśli?

– To dość zastanawiające, że żadnej innej swojej podopiecznej nie zabierał na strzelnicę i nie uczył, jak posługiwać się jego osobistą bronią.

– Nie zapominaj, że one z nim mieszkały – przypomniał Brendan. – Inne dziewczyny miały swoje mety. A poza tym robił w biznesie, którego nie można raczej nazwać zawodem niskiego ryzyka. Mówią, że chciał, by potrafiły się same obronić. W każdym razie taka będzie linia ich obrony w kontekście śladów użycia broni na skórze. Dzień wcześniej były na strzelnicy.

– No to masz problem – zgodziła się Kate.

Nie zrozumiał ironii.

– Chyba chciał też, żeby potrafiły obronić i jego, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Na pewno masz rację – przyznała Kate. Rzuciła raz jeszcze okiem na teczkę ze sprawą. – Dlaczego nie zadzwoniły na posterunek? Dlaczego nie na dziewięćset jedenastcie?

– Zeznały, że telewizor był włączony, a ten numer wyświetlał się na dolnym pasku.

– A był?

Brendan potwierdził.

– Przejrzeliśmy kasetę z nagraniem wiadomości. Codziennie KKAK emituje program, w którym zachęca widzów do telefonowania lub mailowania i dzielenia się swoimi komentarzami. Przez cały czas trwania programu na dolnym pasku pokazuje się numer telefonu oraz adres mailowy. Linda powiedziała, że to był pierwszy numer telefonu, który zobaczyła po tym, jak usłyszały wystrzał.

– Dlaczego to ona zadzwoniła?

– Stała najbliżej telefonu.

Kate milczała przez chwilę.

– Nawet nie usiłowały uciekać. Po prostu siedziały tam i czekały na przyjazd policji. Dlaczego nie uciekały?

Rzucił jej lekko rozbawione spojrzenie.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale ty chyba zeznajesz jako świadek obrony?

4. – To nic osobistego, Kate, ale wyglądasz dość niechlujnie – powiedział Brendan i pociągnął nosem. – I pachniesz też mało pociągająco.

– Człowieku, w centrum handlowym nie ma pryszniców – odcięła się, nalewając sobie kawy do styropianowego kubka.

Jego oczy zwięzły się.

– Mówisz o centrum handlowym?

Siedziała naprzeciw niego.

– Tak, mam na myśli centrum handlowe.

Wziął głęboki wdech i wyrzucił z siebie:

– Centrum handlowe Dimond Mall?

– Tak, to by się zgadzało.

Upiła łyk kawy, skrzywiła się i upiła jeszcze jeden.

– Miejsce, gdzie Da Prez zwerbował siostry Akulurak.

– Gdzie mówią, że je zwerbował. Tak. Swoją drogą to zabawne.

– Co jest zabawne?

– Żaden z dzieciaków, z którymi rozmawiałam, nie pamiętał, by je tam widział.

Trawił w ciszy to, co powiedziała.

– Ci, którzy tam rezydują, nie należą raczej do kategorii wiarygodnych świadków.

Wypiła jeszcze trochę kawy.

– Dlatego też przez ostatnie pięć dni spędzałam tam dużo czasu. Rozmawiałam z mnóstwem dzieciaków i z niektórymi alfonsami. Tak na marginesie, jeden z nich zaproponował mi nawet pracę. Powiedział, że niektórzy jego klienci wolą takie bardziej doświadczone. Trochę to perwersyjne, ale w końcu prowadzi biznes i dostarcza pożądaną usługę. Cóż można na to poradzić. Trzeba się dostosować.

– I jak mu idzie?

– Kiepsko.

Pochyliła się do przodu, obracając w rękach pusty kubek.

– Chodzi o to, Brendan, że oni wszyscy znają już siostry Akulurak z telewizji, lecz nikt nie pamięta, by widział je w centrum handlowym, gdzie, jak mówiły, spędziły tydzień, walcząc o niedojedzone kawałki pizzy, zanim przyszedł Da Prez i złożył im ofertę nie do odrzucenia.

– To niczego nie udowadnia. – Patrzył na nią lekko zaskoczony. – Kate, już je ujęto. W poniedziałek staną przed sądem oskarżone o morderstwo. Po co teraz szukać dziury w całym? W jakim celu?

Spojrzała na psa, który oparł mordę na jej kolanie i popatrzył na nią ogromnymi żółtymi oczami.

– Powiedziałaś, że jak na alfonsa był całkiem dobrym facetem.

– A ty powiedziałaś, że to nie zmienia faktu, że był alfonsem.

Wzruszyła ramionami.

– To po prostu dziwne, że zaraz po tym, jak uciekły ze swojej wioski i po raz pierwszy znalazły się w dużym mieście, trafiają właśnie na niego.

– Nie – powiedział – niekoniecznie. Przecież on się tym właśnie zajmuje. Czy raczej zajmował. Rekrutował dziewczyny z małych wiosek, które zamieszkiwały w jego domu i w kilku wynajmowanych dwupokojowych mieszkaniach. Miał stronę internetową. Reklamował je w sieci jako Tajki i Wietnamki.

– Gliny przyskrzypiły go na jakiś czas pół roku temu – powiedziała.

Z kieszeni dzinsów wyjęła złożoną na cztery części kartkę papieru. Wziął ją od niej. Był to przedruk artykułu sprzed roku z lokalnej gazety w Anchorage dotyczący aresztowania niejakiego Duprégo Thomasa Jeffersona alias Da Preza za napaść pierwszego stopnia. Pobitym był Charles Louis Carson. Jefferson twierdził, że tylko bronił Loretty Igushik, na ulicy znanej jako Słodycz. Igushik, twierdził Jefferson, była jego znajomą, którą Carson rzekomo pobił w trakcie kłótni kochanków.

– Chodzi ci o to, że Carson był synem senatora Carsona? – dopytywał Brendan.

– Czytaj dalej.

Wrócił do tekstu.

– Masz na myśli cytat wypowiedzi anonimowego informatora pozyskanego przez policję w trakcie

dochodzenia, który chwalił Da Preza za to, że pilnował, by klienci nie maltretowali jego dziewczyn?

Wstała i trafiła kubkiem w sam środek kosza na śmieci.

– Rzut, zaliczone, dwa punkty, duża drużyna, dwa punkty. – Spojrzała na Brendana. – Czy wspominałam ci już, że kopalnia Suulutaq podarowała szkole w Niniltnie antenę satelitarną? A także komputer na każdą ławkę w szkole? W dzisiejszych czasach dzieciaki ze szkoły w Niniltnie mogłyby zalogować się do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, gdyby tylko chciały.

5. – Jak tam, Kate? – spytał postawny rudy mężczyzna w poplamionym krawacie.

– I jak co, Brendan? – zapytała.

Spojrzał na dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na salę sądową.

– Sprawiedliwości stało się zadość?

Patrzył na drzwi, tak jakby przez nie widział, jakby dziewczynki wciąż były w zasięgu jego wzroku.

– Brendan – powiedziała – zauważyłeś, że większość ławy przysięgłych stanowili mężczyźni.

Wciąż patrzył na drzwi.

– Co?

– Nie wykorzystałeś w pełni swojego prawa do odrzucenia przysięgłego bez podania powodu. Nie

pomyślałeś, że dobrze byłoby zachować równowagę pomiędzy kobietami a mężczyznami zasiadającymi w ławie przysięgłych w sprawie takiej jak ta? W ławie, którą przecież chciałeś przekonać do swojej racji?

– Aha – mruknął nieuważnie. – Mężczyźni. Przysięgli. No jasne.

– Aha – powtórzyła. – Tak właśnie sobie pomyślałam. Brendan, spójrz na mnie.

Musiała ponowić prośbę, by w końcu zwrócił twarz w jej stronę.

– Chciałeś się przespać z Pauline – stwierdziła.

Zaczerwienił się jak człowiek złapany na gorącym uczynku.

– Nie załamuj się, nie byłeś jedyny – powiedziała. – Każdy mężczyzna przysięgły czuł dokładnie to samo. Zresztą sędzia też. I wszyscy chcieliście zaadoptować Laurę i wszyscy chcieliście chwycić w dłoń lancę, dosiąść konia i zgładzić każdego, kto tylko dotknąłby Lindy. Stawiam dziesięć do jednego, że każdy facet, który oglądał to w telewizji, miał ochotę zrobić dokładnie to samo. Jestem również przekonana, że każdy z was chętnie wypisze czek.

Rumieniec zniknął z jego twarzy.

– Jeśli nawet chcieliśmy, to co z tego?

– Po prostu staram się odpowiedzieć na twoje pytanie.

Niepostrzeżenie jego uwaga znów skupiła się na drzwiach. To w ich stronę powiedział:

– Jakie pytanie?

– Czy sprawiedliwości stało się zadość? – odpowiedziała i spojrzała na stojącą obok niej Mutt, jej nastroszone uszy i żółte, czujnie wodzące za nimi oczy. Dla czworonożnego ssaka wyposażonego w tak ogromne siekacze definicja sprawiedliwości była dość krótka: „Zrób krzywdę mnie lub temu, co moje, a zjem cię”. Biorąc pod uwagę, że siostry Akulurak dopiero niedawno opuściły dzikie ostępy Alaskańskiego Buszu, ich definicja mogła być podobna.

– Co? – spytał Brendan.

– Nieważne – skwitowała Kate.

Jej słowa utonęły w gwarze, który wypełnił pomieszczenie, gdy otwarto drzwi, przez które wyszły siostry Akulurak na czele czegoś, co przypominało paradę. Brali w niej udział prawie wszyscy członkowie ławy przysięgłych.

Ponad przesuającym się tłumem oczy Kate napotkały wzrok Pauline. Trzymając za ręce obie siostry, Pauline przystanęła na setną sekundy. Tyle jednak wystarczyło, by Kate poczuła się nieswojo. Miała wrażenie, że czyta w jej myślach.

A co innego miałam zrobić? Pozwolić Rodowi pieprzyć mnie i Laurę, aż Linda podroślaby na tyle, by mógł to robić i z nią? Nie dostałyśmy żadnej pomocy ani od ciebie, ani od nikogo innego. Zrobiłyśmy to, co musiałyśmy, by się uwolnić, a potem zrobiłyśmy to, co musiałyśmy, by przeżyć poza domem. I tak wybrałyśmy Preza, zabiłyśmy Preza i skłamałyśmy, mówiąc, że zrobił to ktoś, kto wtargnął do domu. I zostawiłam wystarczająco dużo dowodów, bym przynajmniej ja była oskarżona i sądzona, i pilnowałam, by każda najobrzydliwsza rzecz, do której robienia zmuszali nas ten drań Rod i ten drań Prez, ujrzała światło dzienne w telewizji. Teraz mamy miły dom i ćwierć miliona dolarów na koncie i jesteśmy zabezpieczone do czasu, gdy będę wystarczająco dorosła, by prowadzić dom dla nas trzech. Masz z tym jakiś problem?

Parada szła dalej zahipnotyzowana syrenią pieśnią dziewcząt na jej przodzie.

Może Kate nie miała z tym problemu. Może to jednak była swego rodzaju sprawiedliwość.

– Chodź, Mutt – powiedziała. – Idziemy do domu.

Przełożyła Anna Czechowska

[4] Juneau – stolica Alaski (przyp. tłum.).

Chelsea Cain

Mniej niż dziewczyna

Sophie mówi, żebym się nie martwiła – że czternastoletnie dziewczynki mają dużą praktykę w spieraniu krwi. Twierdzi, że są w tym prawdziwymi specjalistkami. Usuwają ją z krocza majteczek i dzinsów. Spierają ją z prześcieradeł i materacy. Ścierają pojedyncze kropelki z podłogi łazienki, z deski sedesowej i spod paznokci. Krwawią jak zarzynane świnię, mówi Sophie. Wykrwawiają się. Mówi, popatrz na czternastolatkę wstającą z krzesła, w większości wypadków obejrzy się przez ramię, by sprawdzić, czy nie zostawiła na siedzeniu krwawego śladu.

Mówi, że powinnam przestać się gapić i pójść po papierowe ręczniki.

– Pod zlewem – mówi – w kuchni.

Drzwi jej sypialni są pomalowane na kolor zakażonej rany i zaklejone plakatami aktorów ze sztucznymi, wampirzymi kłami. W zeszłym roku drzwi były żółte i wyklejone zdjęciami koni.

Sporo czasu upłynęło, odkąd wyszłam z tego pokoju.

Podoba mi się tu, w pokoju. Zapach błyszczyku do ust o smaku wiśniowym, świec o aromacie piña colady, lakieru do włosów o woni waty cukrowej, proszku do prania z detergentem, w którym jej matka pierze pościel, moczu chomika, trocin i skórki pomarańczowej, która od dwóch tygodni gnije w koszu na śmieci, pod biurkiem, a także zapach talku i kleju.

Ale teraz już nie czuję tego wszystkiego.

Teraz czuję tylko woń potu, krwi i ćwiartowanego mięsa.

– Papierowe ręczniki – powtarza Sophie. Patrzy na trupa Charlotte, na krew na dywanie i marszczy brwi.

Sięgam do klamki i otwieram drzwi na korytarz.

– Nie pozwól, aby moja matka cię zobaczyła – woła Sophie.

To jak przejście po desce i skok z trampoliny do basenu.

Korytarz ma trzydzieści siedem kroków. Na ścianach wiszą oprawione w ramki kolorowe fotografie Sophie i jej rodziny. Ich oczy mnie śledzą. Na zdjęciach Sophie, tak jak jej rodzina, jest ubrana w wełnianą kamizelkę. Albo w biały sweter z golfem. Albo w dżinsach stoi oparta o belę słomy. A na jeszcze innym zdjęciu wszyscy stoją rzędem na plaży nad brzegami chłodnego Pacyfiku.

Idę, ale nie słyszę swoich kroków na dywanie.

Teraz mają na sobie odświeżone stroje i pozują przy choince. Teraz leżą obok siebie, robiąc orzełki na śniegu.

Na parter prowadzą schody, stopni jest siedemnaście.

Widzę bladoniebieską poświatę laptopa matki Sophie. W powietrzu czuć zapach farby do włosów, zwęglonego drewna i zgniłych winogron. Siedzi na kanapie, ze stopami opartymi o stolik do kawy, obok kieliszek z winem.

Przez całe życie poruszałam się bezgłośnie, unikając wykrycia. Potrafię stanąć pod ścianą tak nieruchomo, że przy odpowiednim oświetleniu pozostaję niewidzialna. Jestem istotą, którą wydaje ci się, że dostrzegasz nocą w swoim pokoju, zanim oczy przyzwyczają ci się do ciemności, i stwierdzasz, że to tylko sweter przerzucony przez oparcie krzesła. Kiedy twoja dłoń zsuwa się nocą z materaca, boisz się, że to właśnie ja wyskoczę spod łóżka i złapię cię za rękę. Jestem naga, bezwłosą bliźniaczką Sophie. Mam taki sam kształt jak ona. Jak ona mam małe, dopiero pączkujące piersi. Mam jej chude nogi. Jej blizny. Jej siniaki.

Papierowe ręczniki są pod zlewem w kuchni. Matka Sophie kupuje ręczniki Brawny. To droga marka. Ale Sophie mówi, że jej matce podoba się facet na etykiecie.

Wkładam rolkę pod pachę i wycofuję się z kuchni, woń gnijącej żywności drażni mój nos; przemykam przez salon, za plecami matki Sophie, zostawiam w tyle niebieskawą poświatę jej komputera, zapach jej czerwonego wina, pokonuję siedemnaście schodów pod górę i przez korytarz docieram do drzwi sypialni Sophie.

Jej podwójne łóżko stoi pod ścianą w rogu. Niebieska narzuta w kwiaty jest naciągnięta starannie i zakrywa poduszkę. Pocztówki i zdjęcia wyrwane z czasopism są przyklejone na ścianie nad wezłowiec łóżka. Regał aż pęka w szwach od książek i nagród za zwycięstwa w zawodach hipicznych; jest tam także kilka kolekcjonerskich lalek, którymi nigdy nie było wolno jej się bawić.

Na biurku jest naklejka, którą nalepiła na szufladę, kiedy miała osiem lat, i nie zdołała jej odkleić. Przedstawia zamek, ale krawędzie są ponadrywane w miejscach, gdzie próbowała zerwać naklejkę z drewna. Po drugiej stronie pokoju stoi jeszcze jeden regał, którego półki zajmują pluszowe zwierzątka. Są poukładane rodzajkami: misie, psy, koty. Różowa pomarańczowa lampa lava na nocnym stoliku emanuje światłem i tworzy przy tym widowiskowe efekty kolorystyczne. Sufit jest pokryty świecącymi w ciemnościach gwiazdami. Na toalecie stoi siedem pustych puszek po dietetycznej coli.

Charlotte leży martwa na poliestrowym śpiworze, na podłodze obok łóżka Sophie. Śpiwór jest ozdobiony wizerunkiem Hannah Montany.

Sophie łyżeczką wydlubuje jedno oko Charlotte.

Wiecie, jak to jest, kiedy ktoś próbuje wyłuskać nie całkiem dojrzałe awokado? Właśnie tak to wygląda.

Oczy pachną jak morska woda i tusz gazetowy.

Sophie opiera jedną rękę na czole Charlotte, a drugą zapiera się łokciem, wciskając łyżeczkę w oczodół Charlotte i walcząc z falą gęstego czerwonego śluzu.

Spogląda na mnie.

– Zamknij drzwi – mówi.

Czerwony śluz z oka spływa po policzku Charlotte. Sophie zapięła suwak śpiwora do połowy, dzięki czemu Charlotte jest nim otulona jak kokonem. Hannah Montana uśmiecha się radośnie.

Łyżeczka wydaje wilgotne, mlaszczące dźwięki.

Nabrzmiały koniuszek języka Charlotte wysuwa się spomiędzy zębów, na których ma założony aparat. Ciemne sińce, poprzetykane śladami uszkodzonych naczyń krwionośnych, otaczają jej szyję i żuchwę. Głowę ma odchyłoną do tyłu, podbródek uniesiony, przez co postrzępiona rana na szyi jest szeroko rozchylona jak szczelina krwawych tkanek i tłuszczu. Włosy, wciąż jeszcze jasne od letniego słońca, wyglądają jak ptasie gniazdo pozlepiane krwią.

Zostaję przy drzwiach.

Rozlega się wilgotne mlaśnięcie, cichy trzask i gałka oczna Charlotte już znajduje się w dłoni Sophie, która zaczyna ciągnąć ją i wykręcać z całej siły, bo oko wciąż jest połączone nerwem wzrokowym z mózgiem Charlotte, i oto nagle – pach – gałka oczna się urywa. Sophie unosi ją w dłoni i mruga w moją stronę, jakby znalazła wyjątkowo ciekawą muszelkę, oko jest miękkie i czerwone, zwisają z niego czerwone, postrzępione nerwy, a Sophie mówi:

– Zjedz je.

Potulnie pokazuję jej rolkę papierowych ręczników.

– Może powinnyśmy najpierw posprzątać? – proponuję.

Sophie niemal ze smutkiem kręci głową i wciąż wyciąga do mnie rękę.

– Wyglądasz tak blado – mówi.

Jej paznokcie są pomalowane fioletowym błyszczącym lakierem.

– Nie jestem głodna – mówię.

– Podaj mi to – rzuca. – Zamierzam zająć się drugim.

Wskazuje porcelanowe naczynie stojące na nocnym stoliku. Ma kształt babeczki. Pokrywka imituje lakier na wierzchu. Jest ozdobiona wisienką i sztuczną posypką we wszystkich kolorach tęczy. Ta porcelanowa babeczka to skrytka, w której Sophie przechowuje swoje skarby: dwa mleczne zęby, główkę małego plastikowego chłopczyka, który mieszkał w jej domku dla lalek, pięciocentówkę z 1935 roku, kamyk, fragment stłuczonej filiżanki i resoraka znalezionego na dnie Zatoki Meksykańskiej, kiedy była tam na wakacjach. Podaję jej naczynie, a ona wyrzuca całą zawartość na podłogę. Przedmioty odbijają się od podłogi i znikają nam z oczu, zęby, moneta, samochodzik. Sophie wrzuca do babeczki gałkę oczną Charlotte.

– Spodziewałaś się, że tak będzie? – zwraca się do mnie Sophie.

Nie odpowiadam.

Znów marszczy i unosi brwi.

– Chcę, żebyśmy już zawsze byli przyjaciółkami – mówi.

Wydaje się taka szczerą. I urażoną. Odrzuciłam jej podarunek, piękne niebieskie oko. Teraz czuję się jak potwór.

– Dobrze – mówię.

Wyłuskuję gałkę oczną z naczynia, wkładam do ust i trzymam tak przez chwilę. Jest jeszcze ciepła, śliska od krwi o metalicznym posmaku. Kiedy się w nią wgryzam, pęka mi w ustach, uwalniając słodki, cukrowy żel, który oblepia mi język i spływa do gardła.

Ciepłe słońce łaskocze moje ramiona swoimi promieniami.

Oblizuję wargi.

– Widzisz? – mówi Sophie. Oczy jej błyszczą i zagłębia się łyżeczką w drugi oczodół przyjaciółki.

Plask.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

Odsuwam dłoń Sophie i przykucam nad twarzą Charlotte, by językiem obluzować gałkę oczną w oczodole, nadgryźć powiekę, zemleć zębami rzęsy, aż w końcu oko wyslizguje się z moich ust, a wówczas, ciężko dysząc, przegryzam się przez włókna nerwów wzrokowych, siorbiąc, pijam krew i przelykam. Ciepłe płyny wypełniają mi usta i spływają do gardła.

Czuję na sobie wzrok Sophie, więc wsuwam palce głęboko w oczodół Charlotte, zahaczam je o kości od spodu i ciągnę tak długo, aż czaszka pęka. Jej głowa zmienia kształt, gdy kość ustępuje, teraz jest już mniej niż dziewczyną, jest ochłapem mięsa. Tak jest łatwiej.

Próbuję jeść szybko. Odłamek kości, obrzmiały płat języka, suche jak słoma włosy, jej ciało, tłuszcz i ubranie. W ustach mnie piecze od metalowego posmaku krwi i ostrych kawałków ciała.

Jest młoda i łatwo rozebrać ją na części. Oddzielić tłuszcz od mięśni. Mięśnie od kości. Chrzątki

i tkanki łączne. Krew, płyn rdzeniowy i śluz.

Pożeram ją. Nic nie zostaje. Zlizuję krew z jej śpiwora, aż Hannah Montana ciemnieje od mojej śliny.

Potem spoglądam na Sophie. Siedzi po turecku na łóżku, policzki ma zaróżowione.

Dotykam plamy krwi na dywanie i pocieram palce.

– To nie zejdzie – mówię.

Plama jest wielkości kilkudziesięciu centymetrów.

– Łóżko – mówię.

Sophie kiwa głową i przestawia nocny stolik z lampką lava, po czym chwyta łóżko za wezglowie, a ja za oparcie w nogach i wspólnie centymetr po centymetrze przesuwamy je, aż plama zostaje przez nie zasłonięta.

Śmierć maskuje zapach oddechu przesyconego wonią wina i nie słyszemy, jak jej matka wchodzi po schodach i przechodzi korytarzem. Puka do fioletowych drzwi, a my wzdrygamy się nerwowo.

Klamka porusza się energicznie.

– Zamknięte na klucz? – pyta jej matka.

– Chwileczkę – odkrzykuje Sophie.

Przez dłuższą chwilę patrzymy na siebie nawzajem, aż wreszcie Sophie mówi:

– Zmykaj.

Wślizguję się pod łóżko, plecami dotykam dywanu, nosem sprężyn pod materacem.

– Przystawiłaś łóżko – słyszę głos matki Sophie.

– Tak – odpowiada Sophie.

Niezdarnie przebiera się w piżamę. Widzę jej stopy i kostki na dywanie. Spodnie w prążki. Paznokcie u stóp pomalowane na fioletowo. Obok niej na podłodze leży porcelanowa babeczka rozbita na trzy części.

– Po co ci te ręczniki? – pyta jej matka; rolka drogich ręczników leży na biurku Sophie.

– Rozlałam dietetyczną colę – wyjaśnia Sophie.

– Pamiętaj, odrywaj tylko po jednym kawałku – mówi jej matka. – Te ręczniki są bardzo drogie.

Podchodzi, by zabrać rolkę papierowych ręczników, i jej stopy zatrzymują się obok stóp Sophie. Po chwili sięga ręką i zbiera kawałki potłuczonej porcelany ozdobione sztuczną kolorową posypką i wisienką – i słyszę, jak wrzuca resztki stłuczonej babeczki do kosza na śmieci przy biurku Sophie.

– Mam cię otulić? – pyta matka Sophie.

Chwila ciszy.

– Nie trzeba – odpowiada Sophie.

– No dobrze – mówi jej matka. – Ale już późno. Gasimy światło.

W pokoju robi się ciemno.

– Karaluchy pod poduchy – słyszę od drzwi głos matki Sophie. – A szczypawki na zabawki.

Zaczyna zamykać drzwi i pokój pogrąża się w mroku.

– Mamo? – pyta nagle Sophie. – Możesz zostawić uchylone drzwi?

– Oczywiście – odpowiada jej matka.

Światło z korytarza rozjaśnia dywan, tworząc na nim kształt żółtego rombu, Sophie nie odzywa się. Słyszę jej oddech. Myślę o Charlotte i przesywają mnie raz po raz kolejne fale rozkoszy. Policzki palą mnie żywym ogniem. Do ust napływa ślina. Sprężyny materaca Sophie skrzypią o centymetry nad moim nosem.

Pode mną na podłodze plama krwi wciąż jest jeszcze wilgotna, czuję to, bo dotykam jej plecami, a jeden z mleczaków Sophie wpija mi się w ramię.

Obie milczymy przez dłuższą chwilę.

– Niekiedy mam wrażenie, że moje pluszowe zwierzaki gapią się na mnie – mówi w końcu Sophie.

– Bo tak właśnie jest – odpowiadam szeptem.

Przełożył Robert P. Lipski

Tom Piccirilli

Okrutny złodziej rumianych niemowląt

Do kołyski nie włożono żelaza, kwiatu naparstnicy, otwartych nożyc ani żadnego innego przedmiotu czy talizmanu, który mógłby mnie odstraszyć, a niemowlę ochronić. W garnku na piecu, niczym zaproszenie, dusił się gulasz z łba świniaka. To mogła być pułapka. Sześćdziesiąt lat temu zostałem złapany w sidła przez ośmiu mężczyzn, którzy zaczęli się na mnie z drewnianymi pałami i żelazną klatką. Dopiero po czterech dniach zdołałem dać drapaką przez komin.

To jednak nie wyglądało mi na zasadzkę, mimo że ludzkie dziecko – dziewczynka – leżało tuż przy otwartym oknie, zupełnie samo, owiewane chłodną wieczorną bryzą.

Moją uwagę przykuły odgłosy dobiegające z piętra. Warczenie, stękanie, kwilenie i miauczenie.

Pierwsze, co przyszło mi na myśl: kogoś tam mordują! Mordują i patroszą! Jednakże po chwili uzmysłowiłem sobie, iż są to odgłosy spółkowania. Akt kopulacji zdawał się mało subtelny, lecz skoczny. Można by przygrywać sobie do niego na skrzypcach, bębenkach czy fletni Pana. Moja noga zaczęła przytupywać, a nos swędzieć. Ukradkiem uraczyłem się jedną chochlą gulaszu. A następnie drugą. Zawsze miałem słabość do świńskich łbów. Szkopuł w tym, że lekarz mi ich zabrania. Małżonka na pewno by mnie zrugła za to, że się skusiłem. Potrzebowałem gałązki mięty, żeby odświeżyć oddech.

Niemowlę leżące w kołysce uśmiechnęło się do mnie. Miało jasne oczy i rumiane policzki. Chwyciło mnie mocno za palec wskazujący. Nie dostrzegłem u niego żadnych śladów cherlawości czy choroby. Dżuma się do niego nie przypałętała. Nie skakały po nim pchły, nie miało robaków ani kleszczy. Serce w małej piersi dudniło solidnie, bez żadnych oznak arytmii czy niewydolności. Jego spokojne tętno stanowiło miłą odmianę w dzikich jękach jego matki. Wszystko wskazywało na to, że wyrośnie na zdrowego, przeciętnego człowieka.

Jest tym, czym jest, pomyślałem. Choćby stanęło na głowie, będzie tym, czym jest. Istotą szpetną i przyglupią. Bezwłosą, cuchnącą i bezzębną. Toporną, pokraczną, niczym się niewyróżniającą, do bólu pospolitą. Z jej pokrytych bąbelkami śliny ust wydobył się śmiech. Mała znowu złapała mnie za palec. Jej rodzice już pocili się nad rodzeństwem, które będzie toczka w toczkę takie samo.

W tym świecie – po tej stronie ściany – ludzka dziewczynka podrosłaby, aby doić krowy i kozy, tkać szarą szorstką odzież, a potem powić własne niezgrabne potomstwo. Zaznałaby przytłaczającej miłości, rozdzierającego bólu i dojmującego smutku, ale nigdy – być może z wyjątkiem chwili śmierci – nie zbliży się do piękna.

Odchyliłem poły palta, odsłaniając buzię córeczki Livii. W jej żywych oczach dostrzegłem pełne zrozumienie i przyzwolenie na to, co miało się stać. Złociste włosy okalały jej ostre rysy twarzy, na której malowała się inteligencja. Biło od niej światło, tak jak od wszystkich przedstawicieli naszego gatunku. Była istotą promienną i powabną.

– Jesteś tu potrzebna, moja droga – wyszeptalem.

Wydało mi się, że przytaknęła. Nie miała nic przeciwko zamianie, która lada chwila się odbędzie, jakby rozumiała, że czynimy to, co czynimy, ponieważ czynić to musimy.

Martwiłem się natomiast o Livię. Oddała mi swoje dziecko z wyraźną niechęcią – o wiele większą, niż się tego spodziewałem. Odniosłem wrażenie, że zanim się odwróciła i ruszyła szybkim krokiem do swojego domu na urwisku, w jej oczach zalśniły łzy.

Nieczęsto ronimy łzy. A już nigdy, przenigdy wtedy, gdy czynimy to, co czynić musimy.

Zamieniłem dzieci, jak nakazywał mi obowiązek. Taki był też obowiązek mojego Da, a wcześniej – jego Da i tak dalej, aż od zarania dziejów naszego gatunku, jak mi powiedziano. Moja rodzina para się tą działalnością od co najmniej piętnastu stuleci, choć trzeba pamiętać, że czas płata figle, kiedy przechodzi się z jednej strony ściany na drugą. Być może więc nie piętnaście stuleci, ale pięćdziesiąt? Tak czy owak trwa to od dawna.

Ludzkość nadała nam przydomek. Każdy kolejny z nas znany jest jako złodziej rumianych niemowląt. Nie jest to tytuł, który napawa mnie dumą i przepełnia moje serce radością. Nie jest to tytuł, który skłania obcych ludzi do obsypywania nas różami. Nie jest to imię, które chciałbym widzieć zapisane w dziejach naszego gatunku.

Leżąc na łożu śmierci, mój Da powiedział: „Obarczono nas świętym, a zarazem straszliwym obowiązkiem. Jeśli będziesz nadmiernie dumął nad jego naturą, najpewniej postradasz zmysły”. Ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie w czoło. „Mój synu, podróżując między światami, nieraz zagubisz się w czasie i przestrzeni. Ludzkość będzie pałać do ciebie nienawiścią. Nasi bliźni również będą tobą gardzić, albo otwarcie, albo za twoimi plecami. Jest mi przykro, że urodziłeś się moim synem, przez co jestem zmuszony przekazać ci ten bolesny obowiązek”.

Gdy mój Da umarł, zgodnie z jego życzeniem pochowałem go na dnie rwącej rzeki, aby jego grzechy mogły zostać zmyte. Ciekaw jestem, czy to poskutkowało.

Kiedy rodzice tej ludzkiej dziewczynki odkryją w kołysce nie swoje niemowlę, z ich ust wyrwie się przeraźliwy wrzask, będą krzyczeć nawet głośniejsze niż w tej chwili. Będą płakać i wyć, zawołają gwardię królowej, padną na kolana w kościele, oddając się błagalnym modłom, ale ostatecznie – szybciej i łatwiej, niż mogliby podejrzewać – przywykną. Podmienionemu, lecz pięknemu dziecku nie sposób się oprzeć. Nawet barbarzyńskie ludzkie serce ulega jego urokowi.

Z dziewczynką za pazuchą ruszyłem w drogę powrotną do ściany.

W tej podróży musiałem pokonać ścianę zbudowaną z kamieni rzecznych połączonych zaprawą murarską, okalającą wschodnie rubieże miasta Luftvillion narażonego na ataki dzikich plemion zamieszkujących pobliskie góry. Ściany bywały jednak rozmaite. Czasami była to ceglana ściana małej kapliczki wzniesionej ku czci dziwnych bogów, a innym razem rząd rosnących sosen w gęstym lesie. Raz przeszedłem przez wysoki na trzy metry, a długi na niemal sto mur wzniesiony z trupich czaszek. Zdarzyło mi się to na polu bitwy, gdzie okryte zbroją konie bez jeźdźców błąkały się z grzywami ubroczonymi krwią.

Zapadła już noc. Starszyzna wyszła z domów, aby usiąść na ganku, ćmić fajki, dziergać na drutach skarpety i kołysać się w fotelach bujanych. Ludzie w podeszłym wieku lubią się wpatrywać w gwiazdy iskrzące się na wieczornym niebie. Młodzi natomiast w tej chwili parzyli się, pili w pubach albo planowali obalenie rządu i wyrżnięcie ludzi, którzy mówią innym językiem i mają inny kolor skóry. Starzy mają marny wzrok, dlatego machali do mnie i kłaniali się, gdy ich mijałem opromieniony blaskiem lamp gazowych. Ja również im machałem.

Zatrzymałem się przed katedrą, gdzie odbywała się właśnie msza święta. W tym świecie msze święte odbywają się bez przerwy. Od grzmiącego kazania aż drżały barwne witraże. Kamiennie pomniki, symbole ich wiary, spoglądały w dół z wież i dzwonic. Miały srogie, władcze oblicza, rozpostarte ramiona, ciała powykręcane i spustoszone cierpieniem tak bardzo, aż katusze i tortury stawały się, o dziwo, pociągające dla ludzkości. Nie mogąc się powstrzymać, zerknąłem do środka przez szparę na listy.

Ławy i nawy wypełnione były szlochającymi ludźmi, głównie w średnim wieku. Błagali o więcej pieniędzy i lekarstwo na pylicę węglową albo syfilis. Chór kościelny zaczął beczeć i ryczeć. Jego członkowie stali na wysokim balkonie, wystrojeni w czerwone szaty. Ich usta były rozdziawione, a oczy zmrużone. Dłonie trzymali złączone w geście modlitwy lub wyciągali je ku symbolom boskich bytów, które zwisały na łańcuchach z krokwi.

Dwaj alciści w nagłym napadzie hysterii przechylili się przez barierkę i rzucili z balkonu. Chór przestał śpiewać dopiero wtedy, gdy runęli z głuchym hukiem na drewniane ławy. Wierni wypluwali z siebie nazwiska pośredników hipotecznych i poborców podatkowych. Tarzali się po ziemi i szczekali niczym psy. Pastor srebrną laską bił ich po twarzach, ramionach i krocach. Buchał im

w twarz dymem. Karmił ich ciastkami i poił alkoholem. Padali na kolana, plaskając twarzą o podłogę.

Proszenie, błaganie i płaszczenie się to coś, co ludziom wychodzi lepiej niż wszystko inne. To coś, co robią najlepiej, pomijając zabijanie.

Wróciłem na wybrukowaną ścieżkę. Dziecko tuliło się do mojego brzucha i łagodnie chrapało. Co jakiś czas bekało, wzdychało i puszczało wiatry. Nie miało w sobie za grosz piękna.

Dotarłem wreszcie do skarpy na wschodnim skraju miasta, wszedłem zwawszym krokiem na most, zbliżając się do ściany. Woda na progu rzeczonym pieniała się, wirowała i huczała. Przeszedłem przez most i spojrzałem na wielką łódź żaglową płynącą po rzece. Na pokładzie odbywała się gwarna pijatyka. Gwizdy, pojedynki na miecze, salwy śmiechu. Macałem mur, szukając szczeliny na tyle dużej, by precisnęło się przez nią dziecko. To zawsze jest czasochłonne, ponieważ każde niemowlę, choć malutkie, i tak jest na swój sposób większe ode mnie, kiedy przemieszcza się pomiędzy światami. Wreszcie znalazłem. Ścisnąłem mocno dziecko i przywarłem plecami do gładkich kamieni. Przechodząc przez ścianę, przypomniałem sobie słowa, które niegdyś wypowiedział do mnie mój Da: „Będziesz świadkiem osobliwych i ponurych zdarzeń. Nie tylko w granicach ludzkiego świata, ale również wewnątrz siebie samego. Oswój się z myślą, że będziesz cierpiał katusze”.

Moja małżonka Harella czekała na mnie po drugiej stronie, jak ma to czasem w zwyczaju, kiedy zapuszczam się do świata ludzi. Biło od niej takie piękno, że na chwilę musiałem zasłonić oczy. Bywa, że czas, który spędzam po drugiej stronie, źle wpływa na moje samopoczucie, tak jak tym razem. Moje serce napełniła głęboka melancholia, co nam się zdarza, choć niezbyt często. Czułem się otumaniony.

Harella przytknęła dłoń do mojej twarzy, a ja niemal ukloniłem się nisko przed jej luminescencją. Jej usta musnęły moje usta, a ramiona, które mnie oplotły, były tak mocarne, że zdołały poderwać mnie do góry niczym potężny podmuch wiatru zwiastujący zbliżającą się burzę. Zamknąłem oczy i zacząłem mruczeć.

– Cuchniesz świńskim łbem! – zawołała. – Przecież lekarz od dawna wbija ci do głowy: żadnych świńskich łbów!

Wiedziałem, że powinienem był zagryźć gulasz gałązką mięty.

– Lekarz – odparłem – jest jełopą.

– Lekarz jest lekarzem i zna się na lekarzowaniu. Skoro mówi, że koniec ze świńskim łbem, to znaczy, że koniec ze świńskim łbem. Łapy precz także od soli, papryki, cynamonu, miodu pitnego, oregano, karkówki, smażonych pikli, pieczonej cielęciny, czterodniowego zająca morskiego...

– Jakim sposobem oregano miałoby zaszkodzić moim trzewiom? – zdziwiłem się.

– Ja nie jestem lekarzem, ale ty też nim nie jesteś.

Ludzkie dziecko, które już wcześniej nie pachniało najpiękniej, teraz zaczęło cuchnąć wprost niemiłosiernie. Robiło tę paskudną rzecz, którą robi reszta ludzi, i to aż nazbyt często. Ptaki na drzewach przestały śpiewać. Zwierzęta na pobliskich farmach zaczęły się stukać rogami, gonić własny ogon bądź nagle rodzić.

Dziecko znowu sięgnęło po mój palec, wetknęło jego koniuszek do swojej paszczy i zaczęło go gryźć.

– Muszę ją zanieść Livii, i to prędko – rzekłem. – Jest głodna.

Harella milczała, co u mojej małżonki oznaczało, że coś mówi, i mówi to bardzo głośno. Tak głośno, że musiałem wreszcie przerwać ciszę i oświadczyć:

– Obawiam się, że będą kłopoty z Livią.

– Obawiam się, że twoje obawy nie są bezzasadne – powiedziała.

– Rano w jej oczach dostrzegłem łzy.

– Ona jest wrażliwsza niż większość z nas. Przepelnia ją większe wewnętrzne piękno.

To była prawda, przytłaczająca prawda. Poczulem w sercu bolesne ukłucie. Spojrzałem prosto w oczy małżonki i ujrzałem w nich głębię, światło i smutek, które mną wstrząsnęły. Zadałem pytanie, które musiało zostać zadane.

– Uważasz, że Livia skrzywdzi to dziecko?

– Livia jest szalenie nieugięta i nieustępliwa – odrzekła Harella.

Tymi ostrożnie wypowiedzianymi słowami moja małżonka potwierdziła moje obawy. Owszem, jej zdaniem Livia może skrzywdzić ludzką dziewczynkę, o którą od tej chwili będzie musiała dbać, by wychować ją jak własne dziecko, aby mała stała się jedną z nas.

– Trzeba będzie mieć na nią oko.

Dziewczynka zaczęła płakać. Uniosłem ją, a ona sięgnęła do mojego nosa i mocno go ścisnęła. Uśmiechnąłem się. Odwzajemniła uśmiech. Bez żadnego logicznego powodu podetknąłem ją mojej żonie, choć wiedziałem, że Harella nie będzie chciała jej tknąć nawet kijem.

– Jest bezwłosa i szkaradna – odparła, cofając się o krok.

– Rodzina i sąsiedzi zapewne wyrażali się o niej z zachwytem.

– Oni są ślepi.

– Potrafią kochać tak samo jak my.

– Nie tak samo. W ich sercach nie ma ani odrobiny cnoty i czystości.

– Odrobinka by się znalazła – odparłem.

Ruszyłem w stronę domu Livii drózkami wiodącymi przez serce naszego miasta, wzdłuż Samotnej Rzeki, pod którą pochowany jest mój Da. Livia nie jest zamężna, lecz ma kochankę, żonatego architekta usiłującego wynaleźć sposób, jak wznosić wieże wyższe niż te najwyższe, które zdaniem wielu były i tak już zbyt wysokie. Jakiś czasu temu spróbował zrealizować swoją wizję, wierząc w ziemi wielkie dziury, aby następnie wlać w nie miliony ton betonowych fundamentów. Wywołało to erupcję wulkanu, przez co w gruzach legło teologiczne skrzydło Wielkiego Muzeum.

Dziecko zaczęło czkać i chichotać. Kilka razy podrzuciłem je do góry, a ono zaklaskało drobnymi rączkami. Chłodne wieczorne powietrze namalowało różowe kółeczka na jego policzkach, lśniących teraz w blasku księżyca.

Dom Livii znajdował się na urwisku, wysoko ponad białymi plażami. Muszelki migotały w piasku niczym gwiazdy na niebie. Syreny wypływały z głębin i śpiewały do marynarzy pływających od portu do portu. Dostrzegły mnie i zaintonowały moje imię. Prześlizgiwały się po grzbietach fal i tańczyły na moją cześć. Ich pieśń stopniowo przybierała na sile. Dziewczynka zacisnęła ze strachu rączki na moim ciele.

Livia stała w progu z zafrasowaną miną. Obejmowała się ramionami, naciągając brzegi utkanej z puchu ostu szaty tak kurczowo, że gdzieś material się porwał. Jej zaciśnięte usta były w ciągłym ruchu, wykrzywiały się bez ustanku. Słowa rodziły się na jej wargach, lecz po chwili cichły, ginęły. Domyśliłem się, że architekt jeszcze nie odszedł od żony.

Z odrazą zerknęła na dziecko.

- To plugawa istota – rzekła.

- To twoja córka.

- Nie ma w niej ani krzty piękna. Jest pokraczna, bezwłosa, bezzębna i...

- To prawda – przerwałem jej – jednakże od teraz jest twoją córką. Najwyższa pora, abyś ją nakarmiła. Daj jej mleka.

- Wyssie ze mnie krew. Co do kropelki.

- Nonsens. Napije się tylko twojego mleka jak każde inne niemowlę. Karm ją, kształć i kochaj.

- Nigdy nie pokocham tego czegoś.

- Musisz, Livio. Wszyscy musimy czynić to, co musimy, kiedy nadchodzi czas, abyśmy czynili to, co musimy.

- Bredzisz jak przeklęty głupiec.

Wzięła dziecko w ramiona i podała mu pierś. Ludzkie niemowlę zakrztusiło się, nieprzywykłe do słodkiego smaku mleka, lecz po kilku chwilach już się uspokoiło. Oczy Livii płonęły nienawiścią. To był wstrząsający widok.

- Może udławi się moją pierśią i zdechnie – syknęła.

– Livio...

– Mam taką nadzieję. Muszę żyć nadzieją.

Odwróciła się i zniknęła za drzwiami swojego domu. Dziecko natychmiast zaczęło wrzeszczeć. W oddali zapłakały syreny.

Usiadłem w bibliotece przed kominkiem, dumając o swojej rodzicielce, która rzekła pewnego dnia: „Gdzieś pochował swojego ojca? Pod rzeką?”.

Weszła Harella, niosąc wazon pełen świeżo ściętych róż. Postawiła go na stole, który dawno temu, przed naszym ślubem, wystrugałem dla niej z ogromnej sekwoi w dowód miłości. Byłem wówczas młody, więc zacząłem się teraz zastanawiać, czy nadal mam ten talent.

Harella usiadła na krześle i ujęła moją dłoń. Wyczuła mój smętny, ponury nastrój, a ja wyczułem, że ona go wyczuwa. Po chwili jednak uświadomiłem sobie, że jej myśli zaprzęta również coś innego. Pocałowałem ją w rękę i zwróciłem ku niej twarz.

– Jutro zaczynają się coroczne turnieje szermiercze – oświadczyła.

– Już jutro?

Westchnąłem głośno. Czas płata mi figla, kiedy podróżuję na drugą stronę. Rozciąga się, kurczy, zakręca, zmienia tempo. Do tej pory dwukrotnie spotkałem samego siebie na tej czy innej wybrukowanej polnymi kamieniami drodze. Nie ukloniłem się sobie, nie pomachałem. Nie odezwałem się do siebie ani słowem, jedynie rzuciłem samemu sobie gniewne spojrzenie. Byłem piękny, ale nie tak piękny, jak sądziłem, zanim samego siebie spotkałem.

– Nie leż tam w tym roku – poprosiła. – Zostań ze mną.

– Wyjdę na tchórza.

– Wyjdiesz na kogoś, kto jest ponad tymi głupstwami.

A jednak nie mogłem powiedzieć, że jestem ponad. Nigdy nie opuściłem żadnego turnieju szermierczego. Byłem najlepszym szermierzem. Zawsze byłem najlepszym szermierzem! Zostałem jednak wykluczony z zawodów, ponieważ mam za zadanie podróżować pomiędzy światami. Wytoczono przeciwko mnie następujący argument: gdy znikam z oczu sędziom, mistrzom i innym szermierzom, być może konsultuję się wówczas z barbarzyńskimi ludźmi, którzy udzielają mi tajemnych porad. Tłumaczę moim bliźnim, że jeśli chodzi o władanie mieczem, przeciętny człowiek nie pokonałby nawet zdechłego zająca morskiego, lecz moje słowa nie trafiają do ich głuchych, choć pięknych, uszu. Świat ludzki jest dla nich tajemnicą jeszcze większą niż dla mnie.

Stąd bierze się ich obawa, że mam nad nimi niesprawiedliwą przewagę. I tak oto już dawno zostałem wykluczony ze wszystkich turniejów. Turniejów, lecz nie pojedynków sparingowych. Mam prawo do sparingu z każdym szermierzem, co zresztą już uczyniłem. Zwyciężyłem z każdym z nich zapewne dlatego, że wszyscy pałają do mnie nienawiścią, która rozprasza ich uwagę. Ja posiadam tytuł, a oni nie. Owszem, każdy z nich nosi imię, lecz żaden nie może się poszczycić tytułem. Oni wykonują pracę, a ja spełniam posłannictwo. Oni mają rodziny, a ja wywodzę się z rodu. Oni się jedynie rozmnażają, a ode mnie zależy los obu ras.

Mój Da rzekł kiedyś: „Twoje umiejętności zostaną podane w wątpliwość. Jediną słuszną reakcją na krytykę jest powstrzymanie się od reakcji. Bądź pewny swojej ważności i wartości”.

– Według jakich kryteriów jest mierzona moja wartość i ważność? – zapytałem.

– Główne kryterium stanowi twój kodeks moralny – odparł mój Da. – Twoje posłannictwo polega na niesieniu pomocy naszym bliźnim. Tylko to się liczy.

Znowu zadumałem się nad tymi słowami. Mój Da, tak samo jak jego Da oraz wszyscy poprzedni Da znacznie mnie przewyższali pod względem siły. Cechował ich również większy altruizm, przepełniała ich większa pokora.

Harella podniosła się z krzesła i poprosiła, abym położył się do łóżka. Zapewne po to, abym najpierw się z nią kochał, a dopiero potem zdrzemnął. Nie miałem jednak ochoty na żadną z tych rzeczy. Westchnęła ciężko raz i drugi, po czym samotnie wpłynęła po schodach na górę; jej długa szeroka suknia falowała i łopotała niczym żagiel, a światło bijące od jej piękna unosiło ją w powietrzu niczym rozpostarte skrzydła.

Dalej tkwiłem w fotelu, deliberując nad swoimi sprawami, pełen zadumy tyleż głębokiej co nużącej, aż za oknem rozgorzała jutrzienka i rozbrzmiały w oddali pierwsze dźwięki fletów, trąbek i akordeonów witające mistrzów sztuki szermierskiej.

Siedziałem w bezruchu jeszcze przez minutę, usiłując wznieść się ponad te głupstwa, lecz szybko odkryłem, że nie tylko nie jestem ponad nimi ani nawet na równi z nimi, lecz najpewniej poniżej nich. I tak oto wkrótce stałem już przy szafie i przywdziewałem swój najznakomitszy strój szermierczy.

Harella, leżąc w łóżku dwa piętra nade mną, usłyszała, jak zapinam wszystkie paski, klamerki i sprzączki. Wzdychała tak ciężko, że falbany mojej koszuli powiewały jak targane wiatrem. Zdjąłem miecz znad kominka, wetknąłem go do pochwy, dosiadłem konia i udałem się na turniej. Dotarłem akurat w momencie, gdy fagoty, tuby i klawesyny anonsowały przybycie Reedle'a.

Reedle był niezwykłym mistrzem szermierki. Cieszył się tym tytułem od momentu, kiedy zostałem wykluczony z konkursu. Jego płaszcz zdobiły miriady medali, które jednak lśniły słabiej niż jego białe zęby i błyszczące czarne oczy. Zjawił się w karecie ciągniętej przez sześć koni. Ujrzałem jego miecz, jego epolety i jego purpurową szarfę. Wyłonił się z karocy, wywołując burzliwy aplauz zebranych widzów. Dopiero wtedy zeskoczyłem z konia.

– Ach, okrutny złodziej rumianych niemowląt. Jak się dzisiaj miewasz? – zapytał, posyłając mi swój uśmiech najbielszy z białych.

Ja również z całej siły próbowałem przywołać na usta swój najbielszy uśmiech, lecz nie był on aż tak

biały jak uśmiech Reedle'a.

– Miewam się dobrze – odrzekłem.

– Czyżby uchylono decyzję o pozbawieniu cię prawa do partycypowania w naszym turnieju?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– W jakim zatem celu wdziałeś swój strój szermierczy?

– Moja żona niedawno wypucowała moje buty i wypolerowała moje guziki, tak więc z szacunku dla jej potu i wysiłku pomyślałem, że powinienem dziś mieć na sobie ten strój, kiedy będę siedział na trybunach i nagradzał brawami twoją maestrię we władaniu mieczem.

– Twoje buty są ubabrane końskim łajnem – raczył mnie powiadomić.

Tak jak my wszyscy Reedle jest pełen wewnętrznego piękna, lecz w nieco mniejszym stopniu niż reszta z nas.

Reedle wygrał turniej z dziecinną łatwością. Dzieje się tak za każdym razem, odkąd mnie zdyskwalifikowano. Ilekroć rozgromił tego czy innego przeciwnika, odwracał się do trybun, rzucał okiem na moje wypolerowane klamerki, sprzączki i guziki, a następnie ciał mieczem powietrze, jakby w myślach kroił moje serce. Uśmiechałem się i salutowałem, lecz czułem w środku każdy z jego symbolicznych ciosów. Nie byłem pewien swojej wartości ani ważności, a mój kodeks moralny nie dawał mi w tej chwili żadnego oparcia. Udałem się na pole walki i odczekałem, aż większość widowni oddali się do swoich domów. Pokonanym szermierzom rzucałem zdawkowe słowa pocieszenia, okazywałem im szacunek, ściskając im dłonie i poklepując ich po ramieniu. Kiedy zbliżyłem się do Reedle'a, odwrócił się do mnie plecami, demonstrując swoją pogardę, a następnie wskoczył do karocy wraz ze swoimi purpurową szarfą, epoletami i mieczem i tak oto opuścił turniej.

Moje palce zacisnęły się w pięść na rękojeści mojej broni. Zmrużyłem oczy. Poczulem pokusę, by pognać za nim. Marzyłem o tym, by rzucić się na niego, ciąć, rżnąć, dźgać, żgać, kłuć, bóść, szlachtować, kroić i siekać, a na koniec wytrzeć końskie łajno z moich butów jego strojem najwytworniejszym z wytwornych. Cieszyłem się, że w tej chwili nie podróżuję między światami. Nie chciałem spotkać siebie na dróżce i ujrzeć swojego oblicza takiego, jakie musiało być w tym momencie.

Wskoczyłem na konia i pojechałem do domu.

Harella pracowała w ogrodzie, który pod jej troskliwą opieką pięknie kwitł i płonął wszystkimi barwami tęczy. Zeskoczyłem na ziemię i rozpiąłem wszystkie sprzączki, klamerki i guziki, zerwałem z siebie płaszcz i strój szermierczy. Miałem ochotę cisnąć tym wszystkim w błoto. Zamiast tego jednak położyłem ubranie na marmurowej ławce w ogrodzie, którą wykonałem dla mojej małżonki tuż po naszym ślubie. Musnąłem dłonią gładką powierzchnię ławki, zamknąłem oczy i próbowałem przypomnieć sobie moje dawne talenty, lecz mogłem myśleć jedynie o obowiązkach, o szorstkich ludzkich rękach i biciu mojego nieobliczalnego serca.

Nakarmiłem i napoiłem konia. Nagle poczułem, jak Harella dotyka mojego ramienia.

– Musisz przynieść z powrotem dziecko Livii – powiedziała.

– Co się stało?

– Widziałam dzisiaj, jak uderzyła dziecko, które jej wcisnąłeś.

– To niemożliwe.

– To nie był sen. Zapewniam cię, że byłem w pełni przytomna.

– Nie możemy czynić tego, co...

– Och, przestań już wygadywać brednie o tym, co musimy zrobić, bo musimy. Ukradzono jej dziecko. Jest zdolna do wszystkiego. Tak wygląda prawda.

Owszem, wiedziałem, że niestety tak wygląda prawda.

– Musisz tam wrócić i przynieść Livii jej prawdziwą córkę.

– Nie mogę tego uczynić. Nikt nie może mnie o to prosić. Nawet Livia.

– To nie Livia cię prosi – odparła Harella. – To ja ciebie proszę.

– Nie można prosić mnie o coś, czego nie mogę uczynić.

– Podmieniasz dzieci. To twoje powołanie. To twoja praca. A zatem po prostu wróć tam i znowu zrób to, co robisz. Ponownie podmień dzieci.

– To nie należy do naszych obowiązków.

– Być może częściej powinieneś zastanawiać się nad tym, co robisz, zamiast ślepo wykonywać swoje obowiązki. Odzyskaj córkę Livii albo twoje ręce splami krew tego ludzkiego dziecka. Mógłbyś z tym żyć? Powąchaj swoje pięści. Czy już czujesz, jak pachną krwią?

Tak, czułem.

Przeszedłem przez ścianę. Tym razem była to ściana ludzi stłoczonych na miejskim skwerze. Przybyli obejrzeć publiczne stracenie.

Naciągnąłem na czoło kapelusz z miękkim szerokim rondem, aby zakryć twarz.

Na środek placu wjechał wóz z sianem ciągnięty przez dwa muły. Na wozie siedziała kobieta, którą tłum zaczął obrzucać zgniłymi owocami, warzywami i jajkami, jak również różnymi ohydnyymi obelgami.

Kobieta była tęga i krępa, miała miękkie rysy twarzy, lecz dumnie uniesioną głowę i ciemny błysk w oku, który przykuł moją uwagę. Czasami przed egzekucją torturuje się skazańców, lecz jej twarz była nieskalana, pomijając skorupki jajek, co oznaczało, że przyznała się do winy dobrowolnie. Wyglądała jak okaz ludzkiego zdrowia. Nadal miała na sobie fartuch i czepek.

Kiedy patrzyłem w jej spokojne, łagodne oblicze, do głowy przychodziły mi wyrażenia takie jak: macierzyństwo, karmienie, opatrywanie ran, leczenie, dawanie życia, ratowanie życia. Herold miejski rozwinął zwój pergaminu i wyrecytował listę jej przewinień. Tęgą damę skazano na śmierć przez powieszenie między innymi za to, że zajmowała się brzemiennymi kobietami, dla których ciąża nie była błogosławieństwem, lecz istną udręką, leczyła chorych ziołami i gorącymi okładami i zdarzyło jej się zrugać działającego w imieniu królowej poborcę podatkowego, który skopał w ciemnym zaułku kilku urwisów.

Kiedy spróbowano nałożyć jej na głowę czerwony aksamitny worek, kobieta wyniośle odmówiła. Powodowała nią nie tylko odwaga, lecz również pragnienie zemsty na tłumie. Chciała, by ciekawsza gawiedź ujrzela jej martwą, wykrzywioną, przerażającą twarz, a nie jedynie nieruchome ciało z zakrytą głową, czyli widok raczej mało szokujący. Kat sprawdzał i poprawiał węzeł, pastor wygłosił przydługą i niezbyt stosowną do sytuacji modlitwę, trupa tancerzy odprawiła rytualny taniec, rozsypując płatki kwiatów, chór wyśpiewał dwa hymny bez krzty polotu, gwardia królewska równym krokiem predefilowała przez skwer, po czym oddała przepisowe trzydzieści siedem salw prosto w niebo. Część gapiów wpadła w zachwyty po tym widowisku, inni już teraz zemdleli z nadmiaru wrażeń. Co poniektórzy się ślinili. Niejeden głośno splunął.

Wreszcie poproszono kobietę, by wypowiedziała ostatnie słowa, lecz odmówiła, kręcąc głową. Omiotła wzrokiem skwer, szukając zapewne znajomych twarzy: rodziny, przyjaciół, kochanków,

kogoś z serdeczną lub choćby smutną miną. Uniosłem rondo kapelusza. Jej spojrzenie splotło się z moim. Skinęła lekko głową. Odwzajemniłem ten gest.

W chwili śmierci jej piękno spotkało się z moim pięknem. Kiedyś na stałe się połączą w miejscu, do którego się trafia, gdy życie dobiega końca.

Wróciłem do domu, w którym zostawiłem dziecko Livii. Wszedłem przez komin i przemierzając puste pokoje, rozglądałem się dookoła. Nigdzie nie było żywego ducha. Sypialni nie wypełniały żadne odgłosy, czy to spółkowania, czy mordowania. Cisza jak makiem zasiał. W gabinecie nikt nie ćwiczył na tubie. Na piecu nie gotował się gulasz.

Opuściłem pusty dom przez frontowe drzwi i obszedłem stajnie. W chlewie wieprze wesoło tarzały się w błocie. Niestety wszystkie miały głowy na miejscu. Zaburczało mi w brzuchu. Znowu zaczęło mnie nękać pytanie: jakim sposobem oregano może szkodzić moim trzewiom?

Wydeptana ścieżka prowadziła do lasu. Szedłem nią przez pół kilometra, aż usłyszałem echa śmiechu i dźwięki muzyki. Fletnie Pana, fleciki piccolo, bębny, trójkąt. Ukryłem się w zaroślach i omiotłem wzorkiem łąkę zaludnioną biesiadnikami.

Kilka chłopskich rodzin wspólnie jadło, piło wino, bawiło się i tańczyło. Wyglądało mi to na jedno z rolniczych świąt. Oni zawsze się bawią i biesiadują z tego czy innego agrarnego powodu. Urodzajne żniwa, koniec suszy lub powitanie wiosny. Zawsze znajdzie się coś do świętowania bądź wychwalania.

Świetliste dziecko Livii wyróżniało się w tłumie. Dziewczyna zapierała dech w piersi. Była powabna, smukła i niemal przezroczysta na tle pobrużdżonych twarzy i koślawych stóp jej ludzkich towarzyszy zabawy.

Stała się już niemal dorosłą kobietą. Czas znowu splatał mi figła, rozciągnął się i przyspieszył, podczas gdy ja byłem w domu i zapinałem swoje sprzączki i klamerki. Minęło około siedemnastu lat. Z ust dziewczyny ulatywał perlisty śmiech, który jakby rozświetlał i upiększał cały ten ludzki świat.

Usłyszałem, jak rodzice zawołali do niej po imieniu. Miała na imię Eva.

Młodzieńcy ustawiali się w kolejce, by z nią zatańczyć. Muzyka ani na chwilę nie ustawała, bardowie i minstrelle śpiewali pieśni ułożone specjalnie dla niej. Eva tańczyła, skakała i wirowała w niezgrabnych objęciach rolników, którzy sączyli jej coś szeptem do ucha. Zapewne każdy z nich, bez wyjątku, oświadczał jej się. Ona jedynie składała pocałunki na ich owłosionych twarzach i tańczyła dalej w ich objęciach. Wielbiciele byli usatysfakcjonowani, przynajmniej na razie. Ostatecznie dziewczyna wybierze jednego z nich, a reszta będzie się w niej dalej podkochiwać i patrzeć, jak wychowuje gromadkę złotowłosych dzieci świecących niczym słońce.

Ten świat jej potrzebował. Ten świat, w którym co chwila się kogoś wiesza. Temu światu przyda się tyle szczęścia i piękna, ile może zgarnąć. Ludzie potrzebowali naszej krwi, tak samo jak my potrzebowaliśmy ich krwi.

Popełniłem błąd, sądząc, że mogę zmienić zasady mojego posłannictwa. Porwać tę niewiastę, która, jak widać, czuła się tutaj dobrze, była szczęśliwa. Nie da się cofnąć zamiany.

Odwróciłem się, żeby odejść, lecz nagle z ust Evy wydobył się dźwięk, który jedynie ja mogłem usłyszeć. Przemówiła do mnie. Mogłem się ukryć przed ludźmi, ale nie przed nią. Zawołała mnie, abym z nią tańczył i ucztował.

Czasami przedstawiciele naszego gatunku zapominają, że nie są ludźmi, i z powodzeniem wiodą przeciętne życie, które wieść muszą. Eva najwyraźniej nie zapomniała. Pamiętała mnie, choć tamtego dnia była przecież niemowlęciem.

Miałem świadomość cierpienia Livii, lecz byłoby niesprawiedliwe, gdybym kazał Evie wrócić na drugą stronę, porzucić rodziców, rodzeństwo i adoratorów. Nie powinienem tutaj wracać. Powinienem wiedzieć, że nie na tym polega wypełnianie moich obowiązków. Livia musi przywyknąć do swojego ludzkiego dziecka. Musi uczynić to, co musi. Musi je kochać tak, jak kochają ludzie. A jeśli nie będzie chciała tego uczynić, wówczas, jak podejrzewam, ja i Harella będziemy musieli przygarnąć i wychować podmieńca.

Cóż mogłoby być sprawiedliwsze niż to, bym musiał zostać Da przygłupiej, pokracczej, pospolitej,

szpetnej ludzkiej istoty?

Aby wrócić do swojego świata, musiałem przejść przez miasto zwane Limwelt, w którym odbywała się kolejna publiczna egzekucja. Tym razem na śmierć skazano pięć kobiet i dwie kozy. Kobiety, według ludzkich standardów, były szalenie powabne, nadal miały na sobie gorsety i zwiewne krótkie spódnice, które odkrywały obfite połacie masy mięśniowych nóg. Przepychałem się przez tłum, zerkając na podniecone twarze gapiów. Odczytano zarzuty.

Kobiety były rzekomo winne zaszczepiania grzesznych, nieczystych myśli w głowach wielu młodych chłopców. Tłum gwizdał i wymachiwał pięściami. Kozy wydawały się zadowolone i spokojne, żując ostatnią w swoim życiu porcję świeżej trawy. Postawiono im mniej więcej takie same zarzuty jak kobietom. W pewnym momencie moje spojrzenie zderzyło się ze spojrzeniem kozy, a jej piękno splotło się z moim pięknem. Uniosłem dłoń w geście pożegnania. Koza wciąż przeżuwała. Odwróciłem się twarzą do ściany nikczemnej pijanej cizby domagającej się śmierci oskarżonych kobiet i zwierząt. Kat pociągnął dźwignię. Tłum wstrzymał oddech. Niektórzy sapnęli głośno i zaniemówili, zszokowani tym, co ujrzeli, inni zaczęli wiwatować. Ja natomiast już po chwili znowu znalazłem się w swoim świecie.

Harella stała w ogrodzie, gorejąca blaskiem i lśniąca od potu, który spływał obficie po jej ślicznej twarzy. Rozpostarłem ramiona, by ją uściskać, lecz ona warknęła:

– Gdzie dziecko? Dlaczego tak długo cię nie było? Gdzie córka Livii?

– Nie mogłem jej porwać – wyznałem.

– Co?

– Ona czuje się tam szczęśliwa. Jest dzieckiem światła w przeraźliwie mrocznym świecie.

Harella milczała, a jej milczenie było tak głośne, że aż dzwoniło mi w uszach. Uniosłem dłonie i przytknąłem je do skroni, aby zagłuszyć tę nieznośną ciszę.

– Co się stało? – spytałem.

– Livia nie pokochała ludzkiego dziecka. Znęcała się nad nim.

– Znęcała?

– Biła batem.

– Batem?

– I łokciami. Czasami również, jak podejrzewam, stopami.

– Łokciami? I...

– Przestańże powtarzać jak papuga każde moje słowo!

Przełknąłem głośno. Moje dłonie zacisnęły się w pięści, aż poczerwieniały.

– Przecież my nigdy nie znęcamy się nad dziećmi – odparłem – nawet nad podmieńcami. Bez względu na to, jak drażni i złości nas to, co czynimy, bo czynić musimy.

– Jesteś taki naiwny, mój kochany.

Spojrzała na mnie oczami wypełnionymi po brzegi smutkiem i współczuciem. Współczuciem nie dla

sponiewieranego, rumianego niemowlęcia, tylko dla okrutnego złodzieja, który je porwał.

– Muszę się zobaczyć z córką Livii – oświadczyłem. – Muszę ją odwiedzić. Czy Livia już nadała jej jakieś imię?

– Oczywiście. Dziewczyna nazywa się Grot.

– Grot? – Słowo to pozostawiało w ustach cierpki posmak. – To bardzo nieprzyjemne imię.

– I właśnie dlatego tak ją nazwała. To imię miało podziałać jak przekleństwo. I podziałało. Ta dziewczyna jest przeklęta. Mieszka samotnie w jaskiniach przy plaży.

– Ale...

– Ma teraz siedemnaście lat. Nie wiesz, jak długo cię nie było? Nie jesteś tego świadom?

Nie, nie byłem tego świadom. Pierwszy raz czas spletał mi figla po tej stronie ściany. Naszła mnie pewna myśl. Czy jeśli odwrócę gwałtownie głowę, ujrzę siebie samego? Czy ten drugi ja stoi teraz za mną, patrzy na mnie z nienawiścią i wykonuje sprośne gesty w moim kierunku?

– Mieszka w jaskiniach? – powtórzyłem.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie powtórzyć słów Harelli. Miałem wrażenie, że całe moje życie składało się teraz z ciągłych powtórzeń niczym echo echa. Czyniłem w kółko to samo, jakbym w ten sposób chciał cofnąć to, co uczyniłem.

– Nasi bliźni pozwalają jej mieszkać samotnie w jaskiniach?

– Wszyscy chcą, aby tam właśnie mieszkała. Nawet gdyby sama nie chciała się tam ukryć, mędrcy mogliby ją do tego zmusić.

– To nie jest coś, co...

– Przestań to powtarzać!

– Gdzie jest Livia?

– Odeszła. Nikt nie wie dokąd. Ja uważam, że przemieniła się w syrenę. Wycie i wylegiwanie się na piachu... to pasuje do jej charakteru. Ta wyniosłość, taplanie się w płytkiej wodzie z obojętną miną. Kiedy jej kochanek, architekt, uda się w podróż do innych krain, aby przyglądać się obcym budowiom, Livia będzie mogła płynąć tuż obok jego statku i śpiewać dla niego.

Smutek, który dostrzegłem w oczach Harelli, przeszył głęboko moje serce. To uczucie przytłaczało mnie, miażdżyło, nie mogłem go ścierpieć. Odwróciłem głowę i ujrzałem siebie. Patrzyłem, jak sam siebie gromię wzrokiem. Ten drugi ja podniósł pięść i potrząsnął nią w powietrzu. Wykonał gest dźgania nożem, jakby chciał mnie zamordować i wypatroszyć.

Wprawdzie słyszałem o ludzkich matkach, które katowały podrzuconych im podmieńców, rozpaczliwie licząc na to, że ich prawdziwe dziecko zostanie im zwrócone, ale żeby ktoś z naszych skrzywdził ludzkie dziecko? To było dla mnie zupełne zaskoczenie. Wiedziałem jednak, że istnieje powód, dla którego Livia pałała nienawiścią do rasy ludzkiej. Jej prababka została podmieniona przez mojego pradziadka. W żyłach Livii krążyła ludzka krew, która odpowiadała za jej zwyrodniałe zachowanie.

– To, co zostało uczynione, musiało zostać uczynione – rzekłem słabym głosem.

Moja małżonka miała rację. Byłem naiwny. W kółko powtarzałem te same stare zdania, rozkazy

i polecenia. Przypomniałem sobie słowa ojca: „Będziesz świadkiem osobliwych i ponurych zdarzeń”.

– A więc kalamy i osłabiamy naszą krew, aby ratować ludzi? – syknęła Harella.

– Przeciwnie. Wzmacniamy naszą krew. Tu chodzi nie tylko o dobro ludzi, ale również o nasze dobro. Dlatego to, co czynimy, jest koniecznością.

– Tak mawiają mędrcy. Tak mawiasz ty.

– Ponieważ to prawda. Nowa krew jest potrzebna, aby uniknąć degeneracji będącej skutkiem rozrodu wsobnego i zbyt bliskiej paranteli.

Harella zmarszczyła czoło.

– Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

– To ma związek z chromosomami – wyjaśniłem. – Zmienność genetyczna, szkodliwe allele.

– A cóż to takiego?

– Ludzkie słowa, jeszcze niewynalezione, lecz szalenie istotne.

– Och! Ty i ta twoja gadanina o zakrzywionym czasie, równoległych przyszłościach i spotykaniu samego siebie na drodze. Uważam, że robisz to, co robisz, po prostu dlatego, że jesteś niespełna rozumu! Tak samo jak twój Da.

– Niektórzy członkowie mojej rodziny rzeczywiście byli obłąkani – przyznałem skwapliwie. – Ale tylko kilku. Dosłownie garsteczka. – Raz jeszcze spróbowałem wszystko wyjaśnić swojej małżonce.
– My i nasi bliźni jesteśmy długowieczni, lecz jest nas niewielu.

– Aż nadto. I coraz więcej naszych jest ludzkiego pochodzenia. Dlatego pędzimy w stronę zguby i zagłady.

Harella w pewnym sensie miała rację. Ubywało nam piękna. Moja małżonka była na to dowodem. Tak samo jak ja. Jedynie ktoś, w czyich żyłach płynie mnóstwo ludzkiej krwi, może być nazywany okrutnym złodziejem rumianych niemowląt. Z tego samego powodu potrafiłem tak dobrze fechtować. Potajemne instrukcje barbarzyńskich ludzi były zapisane w mojej krwi. Mój Da miał więcej umiaru i godności niż ja. A jego Da jeszcze więcej. Owszem, jest z nami coraz gorzej, pomyślałem posępnie.

– Cóż mam więc począć? – zapytałem.

Drugi ja łypał na mnie okiem i wciąż wykonywał obsceniczne gesty. Po chwili jednak uciekł. Zrobiłem parę kroków, by rzucić się za nim w pogoń, ale rozmyśliłem się i zatrzymałem. Harella spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem.

– Złóż wizytę Grot – rozkazała. – Los, który spotkał tę dziewczynę, to nie jej wina. To twoja wina. Postaraj się wszystko jej wytłumaczyć. Ulżyć jej w cierpieniu.

Nie tylko ja byłem naiwny. Harella była chyba irracjonalną idealistką, skoro łudziła się, że ludziom można wytłumaczyć, dlaczego spotkał ich taki, a nie inny los. Nic dziwnego. Ja również nie zrozumiałbym mojego Da i nie uwierzyłbym w jego słowa, gdybym teraz tu nie stał i nie widział w oddali samego siebie, który biegnie dróżką i wymachuje rękami, nadal oburzony swoim, czyli moim, postępowaniem.

* * *

Krocząc przez miasto, odkryłem, że podczas mojej nieobecności kochanek Livii wreszcie zdołał wybudować strzeliste wieże, wyższe niż najwyższe wieże, które wcześniej górowały nad naszym miastem. Co musiała sobie myśleć Livia, gdy patrzyła na te niesamowite, niebosiężne fortece? Zapewne nie mogła znieść ich widoku.

Zbiegłem po krawędziach urwiska na białą plażę. W zboczu klifu ujrzałem gigantyczne, ziejące mrokiem dziury i szczeliny.

– Jest tam kto? – zawołałem. – Czy mieszka tu niejaka Grot?

Zapuściłem się w głąb wijących się tuneli. Ludzkie oko niczego by nie dostrzegło w tej ciemności, lecz ja bez większych trudności przeciskałem się przez wąskie korytarze, idąc tropem śladów pozostawionych na zakurzonej ziemi. Nagle w oddali ujrzałem blask płomienia. Zawołałem ponownie:

– Jest tam kto? Czy jest tam Grot?

– Nareszcie.

Z wnętrza kamiennego lochu dobiegło mnie echo niskiego, jękliwego głosu.

Zbliżyłem się do światła i tak oto znalazłem się we wnętrzu jamy. Na samym jej środku ustawiony był kamienny krąg, wewnątrz którego płonęło ognisko. Na grubych stalagmitach, które służyły za stoły, leżał skąpy dobytek Grot: jakieś ubrania, kawałki skór, garnki. Ze ścian zwisały sieci, liny i dzidy do łowienia ryb.

Od tej ponurej pieczary odchodziło wiele tuneli, prowadząc dalej w głąb tego misternego labiryntu. Sufit był wysoki i podziurawiony przypominającymi kominy otworami.

Pomyślałem o niebywale okazałym domu Livii stojącym samotnie na urwisku. Był tak ogromny, a zabrakło w nim miejsca dla Grot? Przypomniałem sobie słowa Livii, kiedy niechętnie przystawiła dziecko do piersi; miała nadzieję, że niemowlę się udławi, udusi. Moje dłonie co chwila zaciskały się w pięści.

– Grot? – zawołałem.

Nieprzyjemne imię mające na celu skrzywdzić to dziecko sprawiało mi ból, kiedy je wypowiadałem na głos. Nasi mędracy to zakute łby, pomyślałem gniewnie, skoro wiedzieli, że Livia znęca się nad dzieckiem, a mimo to nie kiwnęli nawet palcem, by coś z tym zrobić. Rozejrzałem się dookoła. Znowu z bólem wypowiedziałem jej imię. Jamę wypełniało echo dyszenia, sapania. Odwróciłem się gwałtownie, szukając samego siebie. W duchu modliłem się o to, by wybaczone mi mój błąd.

Znowu się odwróciłem i ujrzałem wreszcie Grot. Biła od niej wrogość tak samo silna jak jej wytrzymałość.

Wykształciła w sobie kilka cech mojej rasy – kształt podbródka, błyszczące oczy, płomienny wyraz twarzy – lecz niestety nie odziedziczyła po nas ani odrobiny czaru i powabu. Istota, która niegdyś była do bólu zwyczajna i pospolita, teraz była szkaradna, z bliznami, opuchnięta. Krzywy nos. Łyse placki na głowie. Wyszczerbione zęby. Zgarbione plecy. Ramiona wprawdzie umięśnione, lecz skrzypiące od starych złamań.

Livio, Livio, gdzie się podziało twoje piękno?, zapytałem w myślach. Miałem ochotę zanurkować w morzu, wywlec ją na powierzchnię i zażądać odpowiedzi na to pytanie.

Wsadziłem drżące palce w usta i pomyślałem: Da, nie przygotowałeś mnie na taką ewentualność! Twoje instrukcje były niekompletne. Nie jestem pewny swojej ważności i wartości. Mój kodeks moralny i moje posłannictwo nagle wydały mi się niedorzeczne.

Wyjąłem palce z ust i rozchyliłem wargi, by się odezwać, przedstawić się i opowiedzieć Grot o jej prawdziwych rodzicach, w miarę możliwości wyjaśnić, kim jestem i dlaczego oboje znajdujemy się

w tym miejscu. Grot wyjęła z kieszeni spódnicy nóż z krótkim zakrzywionym ostrzem i przecięła linę przywiązaną do stalowego haka wbitego w ścianę. Moje uszy przeszył dziwny odgłos przypominający wycie drapieżnego ptaszyska. Spojrzałem w górę. Z sufitu spadła na mnie żelazna klatka.

Solidny, gruby metal, oeniłem w myślach. Klatka wykonana z wielką dbałością i nienawiścią. Najeżona kolcami, które wyglądały jak otwarte nożyce. Grot dobrze wiedziała, w jaki sposób można zrobić mi krzywdę.

I tak oto znowu zostałem uwięziony.

– To ty – rzekła. – Okrutny złodziej. Czekałam na ciebie.

– Wiem.

– Wreszcie przyszedłeś.

– Wcześniej nie mogłem. Podróżowałem.

Zbliżyła się do krat. Ujrzałem jej brzydotę w całej okazałości. Sprawiała wrażenie, jakby była dumna ze swojej paskudnej powierzchowności.

– Po co tutaj przyszedłeś? Co chcesz mi powiedzieć?

Te pytania były zbyt trudne, zbyt ciężkie. Przytłoczyły mnie i przygniotły niczym ogromny głaz.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – bąknąłem.

– A może chcesz mi opowiedzieć o moich narodzinach? O mojej matce? O tym, czym się trudnisz? O podmienianiu dzieci?

Przytaknąłem, bo cóż innego mogłem zrobić? Poruszyłem dłonią i przypomniałem sobie, jak mała Grot chwyciła i gryzła mój palec wskazujący, śmiejąc się przy tym prawie tak, jak teraz śmieje się Eva, piękna niewiasta rozświetlająca swoim blaskiem ponurą krainę.

– Nie zwlekaj, gadaj – rozkazała.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Czy raczysz mi przynajmniej zdradzić, jak mam na imię? Mam na myśli imię, które nadali mi rodzice. Imię, które nosiłam, zanim mnie porwałś.

– Nie jestem pewny, czy je znam. Nie znałem twoich rodziców. Nie słyszałem, jak się do ciebie zwracali. Ale być może... być może miałaś na imię Eva.

Powtórzyła za mną to słowo. Dostrzegłem koniuszek czarnego języka, który na chwilę wyśliznął się spomiędzy jej warg.

– Eva. Nie, to nie jest moje imię. Nie nazywam się Eva.

– Pewnie nie.

– Powiedz więc, dlaczego oddałeś mnie... tamtej kobiecie.

– Ponieważ byłaś podmieńcem. Tak się właśnie postępuje z podmieńcami. Podmienia się je. Zamienia miejscami.

Podeszła jeszcze bliżej. Blask ognia podświetlił jej wyniszczoną twarz. Milczała. Nabrałem powietrza w płuca i odwróciłem się w ciasnej klatce.

– Raz na jakiś czas – rzekłem – zdarzają się niefortunne wypadki.

– A więc tym właśnie jestem? Wypadkiem?

– W pewnym sensie, biorąc pod uwagę twój los, chyba tak. Nieszczęśliwym wypadkiem.

Jej usta wykrzywił uśmiech. Był to brzydki uśmiech, lecz mimo wszystko uśmiech. Przyjąłem go z ulgą.

– Czy wiesz, co zamierzam z tobą zrobić? – zapytała.

Ze ściany, na której wisiały jej narzędzia i broń, zdjęła bicz. Smagnęła nim, celując w moją pierś. Bicz mnie nie dosięgnął. Nie przepuściły go gęsto rozstawione metalowe kraty.

– Uderzę cię tysiąc osiemset szesnaście razy. Dokładnie tyle, ile uderzyła mnie Livia.

– Aby to uczynić, musisz podnieść klatkę.

– Mogę ci zrobić krzywdę – zagroziła.

– Wiem, że możesz.

– I zrobię. Będę cię biła. Gotowała. Przypalała.

– Nie będziesz pierwsza, Grot.

– Ale będę najgorsza.

– Tak, być może.

Z jej gardła wyrwał się dziki wrzask. Znowu smagnęła biczem klatkę, raz, drugi, trzeci. Nie przestawała uderzać, jej furia karmiła się sama sobą. Dwukrotnie końcówka bicza uderzyła ją w policzek, lecz ona nawet tego nie zauważyła. Choć bicz mnie nie dosięgał, bolał mnie odgłos uderzania w klatkę. Zmuszałem się jednak do tego, by zachować kamienną twarz, nie okazywać słabości. Myślałem o tym, jak Livia krzywdziła tę dziewczynę przez tyle lat, każdego dnia. Poczułem, jak wzbiera we mnie fala gniewu. Wyobraziłem sobie Grot wypuszczającą się w morze w małej łódeczce, by polować na swoją matkę z siecią i włóczniami. Nurkowała każdego ranka w nadziei, że wreszcie wytropi tę znenawidzoną syrenę, znajdzie ją i zabije.

Grot długo smagała biczem klatkę, w której kuliłem się uwięziony, obolały od samego odgłosu uderzania w kraty. Raptem za plecami, od strony wejścia do jaskini, usłyszałem piękny śpiewny głos:

– Witaj, siostro.

Grot chyba rozpoznała ten głos, choć słyszała go pierwszy raz w życiu. Nawet się nie odwróciła. Dostrzegłem, jak każdy mięsień w jej ciele napina się, jedna dłoń zaciska się na biczu, a druga na nożu.

– Wróciłaś – odrzekła.

– Kiedy biesiadowałam dziś ze swoją ludzką rodziną, zauważyłam, jak mnie podgląda. Dostrzegłam w jego oczach głęboki smutek. Postanowiłam za nim pójść. Dotarłam do Limwelt, przecisnęłam się przez tłum zgromadzony, by obejrzeć egzekucję, a potem przeszłam na drugą stronę, do tego świata. Jak tylko nappełniłam płuca tutejszym powietrzem, natychmiast przypomniałam sobie poprzednie życie. Czas, kiedy byłam niemowlęciem. Pamiętałam, co się wtedy wydarzyło. Pamiętałam zamianę. Domyśliłam się, dlaczego spoglądał na mnie z taką zboląłą miną.

– A więc wiesz już wszystko? Wiesz, ile nienawiści noszę w sercu?

– Tak, domyślam się – odrzekła Eva.

– A mimo to postanowiłaś mnie odszukać?

– Musiałam, kiedy uświadomiłam sobie, co ci się przytrafiło.

Grot wreszcie się odwróciła, nadal trzymając bicz i nóż w stanie gotowości. Posłała Evie gromiące spojrzenie. Szramy na jej twarzy nabrzmiały.

– Nie jesteśmy siostrami. Łączy nas bliższa więź. Jesteś tym, kim ja powinnam być. Tym, kim ja bym była, gdyby nie on.

– Jestem winna w takim samym stopniu jak on. Nawet jako niemowlę miałam świadomość tego, co się wówczas działo.

Grot skinęła głową. Z jej pokrytej bliznami twarzy wyzierała nienawiść.

– Niech ci będzie. Jesteś winna. Tak samo jak on. Jesteście winni niesprawiedliwej zamiany.

– Niezbędnej – wtrąciłem, lecz zostałem zignorowany.

Mocarne ramiona Grot napięły się, gdy jeszcze bardziej ścisnęła nóż. Podeszła do Evy zgarbiona, zgięta w pół, niemal pełzając po ziemi i jęcząc pod nosem. Powoli, krok po kroku, zbliżała się do swojej siostry – do osoby, którą powinna być. Czas znowu zaczął płatać mi figła. Zatrzymywał się, a potem znowu płynął lub pędził. Ogarnięty frustracją, zacisnąłem dłonie na żelaznych kratkach i zawyłem z bólu.

– Pozazdrościłaś mi życia? – syknęła Grot, wyciągając nóż ku Evie. – Proszę, odbierz mi to, co z niego pozostało.

– Nie, siostrze – odrzekła Eva, odmawiając przyjęcia noża. Zamiast tego położyła dłoń na policzku Grot i łagodnie go pogładziła. – Nie ukradłam ci życia. Los rozdał nam karty, które ktoś podmienił. To dlatego ty, a nie ja, byłaś sponiewierana i maltretowana.

– Zabij mnie.

– Nie po to tu przyszedłam – odpowiedziała Eva. Cień uśmiechu, który rozświetlał świat, pojawił się na jej ustach. – Przyszedłam po to, by zabrać cię z powrotem do domu.

Grot podniosła wzrok, lecz patrzenie na piękno Evy było dla niej czystą torturą. Odwróciła wzrok i uniosła wolną rękę, by zakryć oczy.

– Co powiedziałaś?

– Wracasz ze mną na drugą stronę – powtórzyła Eva. – Poznasz moją matkę, ojca i rodzeństwo. Mamy trzech braci i dwie siostry. Nauczysz się.

– Czego się nauczę?

– Szczęścia. Przyjaźni. Miłości. Rodzinnego życia.

– Tego nie sposób się nauczyć. Nawet nie mogę tego słuchać! – zawyła Grot, a z jej oczu popłynęły łzy.

Już chciałem powiedzieć, że to niemożliwe, że nikt prócz mojej rodziny nie może podróżować pomiędzy światami. Ale po cóż miałbym zaprzeczać faktom? Było jasne, że Eva również posiada ten dar. Z tego, co mi wiadomo, wszyscy moi bliźni mogli się przenosić do świata ludzi, lecz mędrcy już dawno, dawno temu powzięli mądrą decyzję, że tylko jedna rodzina będzie okrutnymi złodziejami niemowląt. Tylko jedna rodzina będzie przeklęta.

– Nauczysz się. Pomogę ci. Wszyscy ci pomożemy. Chodźmy już. Daj mi dłoń.

– To wszystko, co mi proponujesz?

– Bynajmniej. To dopiero początek.

Grot wpatrywała się przez chwilę w ostrze noża, a ja czekałem w napięciu na to, co się zaraz stanie. Czy rzuci się na Evę? Czy ją zamorduje i poćwiartuje? A może odwróci ostrze noża i sama wypruje sobie wnętrzności? To była przerażająca chwila. Napięcie było nie do zniesienia. Na szczęście już po chwili poczułem niewysłowioną ulgę. Grot upuściła nóż, powoli zbliżyła się do Evy, a ich dłonie się splotły. Patrzyłem, jak odchodzą, znikają w tunelu. Słyszałem odbijające się od ścian jaskini echo ich głosów, siostrzanych szeptów. Usłyszałem chichotanie. Usłyszałem radość.

Ani jedna, ani druga nie pomyślała o mnie, nadal uwięzionym w żelaznej klatce. Cóż, nie mogłem mieć im tego za złe. Wyrządziłem im już dość krzywdy, a teraz życzyłem im jak najlepiej na ich nowej drodze życia. Miałem przecucie, że kiedyś je jeszcze spotkam, gdzieś po drugiej stronie ściany.

Upadłem na kolana i zacząłem kopać. Oceeniłem w myślach, że odzyskanie wolności zajmie mi co najmniej dwa dni. A może trzy lub cztery? Być może ziemia oczyści mnie z grzechów, tak jak woda zmyła grzechy mojego Da. Harella przywykła do moich podróży, do zakłóceń w upływie czasu, i najpewniej nie wyruszy z domu, by mnie szukać, zabierając ze sobą garnek pełen gulaszu z łba świniaka, na wypadek gdybym zgłodniał. Drugi ja nie pojawi się ze szpadlem, aby mi pomóc; zapewne czekał na mnie gdzieś na dróżce. Byłem więc sam, zupełnie sam. Towarzyszyły mi jedynie mroczne tajemnice mojej krwi i mojego przeklętego posłannictwa. Kopałem, z całych sił kopałem, ryłem w ziemi, podczas gdy melancholia brała we mnie górę nad pięknem. Wiedziałem bowiem, że na wolności czekają mnie jeszcze większe katusze.

Przełożył Kamil Maksymiuk

Sarah Pinborough

Sala krzyku

Już zbyt długo panowała cisza. Wiedziała to, ponieważ węże szeptały jej do ucha, gdy spała. Budziły w niej wspomnienia z czasu, kiedy świat wyglądał inaczej. Czasu przed wyspą, tak odległego, że przez większość dni prawie w ogóle go nie pamiętała. Wszystko wracało do niej wyłącznie w snach. Wtedy była kimś innym – niespotykaną pięknnością, powszechnie podziwianą i pożądaną. Każdy mężczyzna dałby się pokroić za jedno jej spojrzenie. Dni miłości, śmiechu i bycia w centrum uwagi. Wiedziała, jaką ma władzę, i płała się w niej. Tymczasem minęło tyle miesięcy, że ledwo potrafiła rozpoznać siebie w tych snach. Widziała obcą osobę o bladych ramionach, szczupłych nogach i długich blond włosach.

Wschodzące słońce odparło nocny chłód, a ona otworzyła oczy i westchnęła. Węże ułożyły się w puklach przy jej głowie, zniżając głosy do sporadycznych, delikatnych syknięć. Wsunęła między nie dłoń, ciesząc się dotykiem zimnych łusek, które momentalnie owinięły się wokół jej palców. Nie ich głosu potrzebowała, by zapełnić niekończącą się ciszę. Potrzebowała nowego śpiewaka. Minęły długie lata, odkąd ktokolwiek dla niej śpiewał, i boleśnie odczuwała brak muzyki. Rozciągnęła się na obszernym łóżku i przebiegła dłońmi po swoim szorstkim ciele. Miętkość ustąpiła miejsca ścięgnom i stwardniałym mięśniom, a skóra stała się kostropata. Co zrodziła magia, poddało się słonej wodzie. Minęły czasy kąpieli w mleku. Dziś pływała w mocnych uściskach oceanu, które z upływem stuleci bardziej przypadły jej do gustu. Zabawne, jak to się zmienia.

Wreszcie się podniosła i potrząsnęła głową, pozbywając się resztek nocnego napięcia. Spojrzała na siebie i uśmiechnęła się. Wyglądała nieźle jak na kobietę w jej wieku. Węże syknęły, a ona pozwoliła sobie na krótki śmiech. Wciąż miała poczucie humoru i w przeciwieństwie do tamtej krainy przeszłości, do której zabierały ją sny, dzisiaj, gdy przykuwała uwagę mężczyzny, wiedziała, że przykuwa ją na zawsze.

W ciągu nocy z sufitu odpadło jeszcze więcej gipsu, ale ignorowała osiadły na pościeli pył. Gdy ta część pałacu obróci się w ruinę, po prostu przeniesie się do innych komnat, których nie zniszczyły jeszcze rośliny wrastające w szczeliny ścian ani smagający wiatr. Do przeżycia w tej więziennej fortecy zostały całe wieki. Stulecia milczącej egzystencji, co jakiś czas tylko urozmaicane czymś kojącym ból śpiewem. Niekiedy zastanawiała się, czy ta samotność nie doprowadzi jej do szaleństwa.

Czując wiejącą od morza bryzę, która wpadła do środka przez otwarte okna, zdjęła z ramion dawnego kochanka jedwabny szal i owinęła się nim. Jego ręce pozostały bez ruchu, trwale wyciągnięte w jej stronę. Kiedyś na pewno trzymał w dłoni sztylet, który teraz od dawna już spoczywał w podziemnych pieczarach, gdzie przechowywała wszelkie bezużyteczne narzędzia, w jakie uzbrojeni byli jej kochankowie. Zatrzymała się, by na niego spojrzeć – dawno już tego nie robiła. Przed oczyma stanęło jej nagle wspomnienie ciała, skóry i jasnych włosów. Był kiedyś przystojny pomimo wiecznie rozdziawionych ust. Śpiewał do momentu, aż ustał jego oddech. Bardzo go lubiła, a on śpiewał dla niej dłużej niż wielu innych. Jak mogła zapomnieć! Nachyliła się i przebiegła językiem po jego gładkiej twarzy, by po chwili zostawić go samego.

Zmarszczyła brwi, widząc, że słońce ledwie sięgało firmamentu. Zazwyczaj nie wstawała tak wcześnie. Spojrzała za mury podupadłego pałacu ku lśniącemu kryształowi oceanu. Węże syknęły, wybudzone ze snu gwałtownym biciem jej serca. Nie obudziła się naturalnie, coś ją zaniepokoiło. Dźwięki niesłyszane od dawna. Dźwięki, za którymi tęskniła każdego dnia. Skrzypienie wiosł, odgłosy ludzi. Były odległe, lecz prawdziwe. Tym razem to nie jej rozgorączkowana wyobraźnia

dreńcząca ją obietnicą towarzystwa i pogrążająca na długie tygodnie w bolesnym rozczarowaniu. Tym razem rzeczywiście dało się dostrzec brązową plamkę na błękitcie oceanu – łódź wypełnioną ciepłem ludzkich ciał. Jęknęła cicho. Zbliżali się. Zawsze w końcu przybywali. Piękni, odważni mężczyźni. Jej serce przyspieszyło, a do łódźwi napłynęła fala ciepła. Musiała się spieszyć. Łódź była jeszcze daleko, ale należało się przygotować.

Gdy skończyła, jej szorstkie ciało pokrywał pot. A węże wiły się i syczały, nie mogąc się uspokoić, wzburzone jej podnieceniem. Odgarnęła je sprzed swoich błyszczących oczu i uśmiechnęła się. W zatoczce, do której zmierzała łódź, czekało już na kamieniu jedzenie i wino. Słońce grzało coraz mocniej i chciała ulżyć nieco swoim gościom. Upał i trunki – oto co było potrzebne, gdy bohater szedł na spotkanie z nią. Z każdego okrętu zawsze tylko jeden wdrapywał się na klif, by do niej dotrzeć. Nikt nie szedł za odważnym, gdy już zaczęła swój śpiew. Wypiła butelkę mocnego czerwonego wina. Już prawie czas, by rozpocząć uwodzenie. Jej usta zwilgotniały w oczekiwaniu na przybysza. Z obu kącików ust wypływała gęsta ślina. Wytarła ją dłonią.

Z plaży na dole dobiegły ją energiczne krzyki żeglarzy, którzy rzucili kotwicę i płynęli niewielką łodzią wiosłową w stronę brzegu. Zbiegła do ponurego atrium na parterze starożytnego domu. Było tu chłodno i jej oddech nabrał wilgoci, gdy usadawiała się na szezlongu skrytym w cieniu. Czekała.

Na wyspie jest gorąco, ale przejście w bród od łodzi do brzegu schłodziło jego skórę. Czuje, że wypełnia go energia, jest gotowy wykonać stojące przed nim zadanie. Całe jego życie płynęło w oczekiwaniu na tę chwilę. Podróż przebiegła bez komplikacji, a woda była przejrzysta. To przeznaczenie. Jego serce mocno bije, a silne nogi niosą go do miejsca, gdzie jego ludzie opróżniali talerze z jedzeniem i dzbany wina, które znaleźli na kamieniach. Wyraźnie czuje strach bijący z ich twarzy, ilekroć spoglądają na pałac zbudowany na szczycie klifu. Jego cień sięgnął brzegu i spowił uczujących.

On jednak się nie boi. Ma ledwie dwadzieścia pięć lat i serce głodne przygód. Od dziecka wiedział, że czeka go wielkość, i nie wynikało to z arogancji, po prostu przez całe życie był najsilniejszy i najprzystojniejszy. Ze względu na naturalny urok i liczne umiejętności zawsze uważano go za wyjątkowego, sam zatem uwierzył, że tak jest. Całe królestwo nie może się mylić. Myśli o czekającej na niego dziewczynie. Jest nagrodą, najpiękniejszą kobietą, jaką widziały jego oczy. Jest mu przeznaczona i ją kocha. Poślubi ją, a po śmierci jej ojca będą oboje rządzić królestwem. Trzeba tylko zrobić jedną rzecz: przywieźć z powrotem głowę. Wielu próbowało bez skutku, ale on wie, że jest wyjątkowy. Widzi to w twarzach otaczających go ludzi. Jego zbroja lśni w promieniach słońca. Uśmiecha się do swoich podwładnych i zaczyna wspinaczkę.

Szezlong, niegdyś wytworny, teraz był pokryty pyłem i gdy kładła się na całej jego długości, czuła, jak poszczególne ziarenka kurzu wbijają się w blizny po ospie pokrywające jej szorstką ciemną skórę. Zbyt wiele lat upłynęło, odkąd leżała tu po raz ostatni. W atrium bywała tylko wtedy, gdy miała gości. Nie wiedziała, skąd wziął się pył. Może z sufitu, a może przyniósł go tutaj z innych komnat wiejący dziwnie wiatr. Nie obchodziło jej to. W końcu nie na meble patrzyli ci, którzy ją tu odwiedzali.

Wreszcie, gdy jej serce ledwo wytrzymało wyczekiwanie w napięciu, w ogromnych drzwiach po przeciwległej stronie pomieszczenia zaskrzypiały zawiasy. Najpierw do komnaty napłynęło światło słoneczne, obejmując połowę dystansu dzielącego wejście od miejsca, w którym leżała spowita cieniem. Następnie usłyszała pospieszne kroki – czyjeś stopy obute w sandały pobiegły za położoną najbliżej kolumnę. Te ich podchody, które zawsze uprawiali, były jak taniec. Ona na jednym krańcu, on na drugim. Zbliżanie się powoli, powoli, aż spotkały się ich oczy.

Była pewna, że prawie słyszy bicie jego serca. Na chwilę się zatrzymał, by rozważyć najlepszy sposób podejścia. Nie uciszała węży, pozwalając, by ich wściekłe syczenie wypełniało echem marmurową komnatę niczym syreni śpiew. Jestem tutaj, szeptały. Uwiedz mnie.

Atrium było dobrze rozplanowane i wielu jej dawnych kochanków witało nowo przybyłych, oferując im dogodną kryjówkę. Jednak bliżej niej stały w nieco większych odstępach i właśnie tam najodważniejsi i najbystrzejsi poddawali się jej urokowi. Działo się to wbrew ich woli. Po prostu musieli spojrzeć. Mężczyźni zawsze patrzyli.

Rozbrzmiały kolejne kroki. Gdy biegł między posągami, udało jej się dostrzec jego silne, opalone ręce i nogi. Miał ciemne, lśniące włosy, mocno upięte z tyłu głowy. To ostatnie mogła zmienić. Woląta ich z rozpuszczonymi włosami. Lubiła przebiegać przez nie palcami, gdy jej śpiewali. Zsunęła się z szezlongu i wystawiła na widok. Czasem miała więcej cierpliwości do tej zabawy w uwodzenie, ale nie tym razem. Zbyt długo była sama. Nadszedł czas, by zaczął swoją pieśń.

Pałac jest zrujnowany. Biegąc za kolumnę, niemal dławi się od uderzającej go fali gęstego smrodu gnijącego ciała. Zamyka usta i oddycha przez nos. Za jego plecami do komnaty wpadają przez otwarte drzwi promienie słońca. Czeka, aż przyniosą ze sobą odrobinę świeżego powietrza, lecz wygląda na to, że parszywy odór jest silniejszy. Opiera się plecami o zimną, wilgotną ścianę i na chwilę zamyka oczy, próbując przywołać poczucie misji i potrzebę przygody, które go tu przywiodły. Teraz, gdy nie ma w pobliżu jego ludzi, znacznie trudniej mu się powstrzymać. Słyszy grzechotanie i syczenie węży, zdecydowanie zbyt głośne jak na zwykłe żmije. Wie już, czując

w żołądku nagły ucisk, że nie jest sam – ona tu jest. Ścisła mocniej rękojeść miecza, ale jego dłoń jest mokra pomimo panującego tu chłodu.

Słońce za oknem zdaje się wołać go do siebie. Wygląda, jakby istniało w odrębnym świecie, w świecie okrętu, jego załogi i dziewczyny. Jego myśli zatrzymują się na dziewczynie. Nie może wrócić jak tchórz. Przed wyruszeniem złożył jej takie obietnice, że gdyby teraz zawrócił, to równie dobrze zamiast zejść z klifu, mógłby się z niego rzucić. Nie ma czasu na zmianę planu. Nabiera parszywego powietrza w płuca i ponieważ jest bohaterem, uspokaja walące serce, po czym bada uważnie układ komnaty. W końcu rusza przed siebie. Patrzy w dół. Powiedzie mu się. Powiedzie.

Chowa się za posągiem i udaje, że nie wie, czym on kiedyś był. Jednakże każdy szczegół nieruchomej figury pokazuje, że ten ktoś kiedyś żył, oddychał i sądził, że zabije potwora. Tak jak on. Podnosi wzrok. Twarz, dziś już kamienna, zastygła w ostatnim okrzyku. Przez chwilę zastanawia się, czy biedak zdążył wydobyć z siebie głos, zanim obrócił się w głaz. Syczenie węży jest coraz bliższe. Na brudnym marmurze posadzki widzi rozciągnięty cień jej potwornej sylwetki. Węże na jej głowie tańczą w mrocznej otchłani, a jego żołądek gwałtownie się kurczy. Jest wspanialsza, niż się spodziewał. Naprzód. Musi iść naprzód.

Zaczyna biec. Jest już tak blisko. Z podniesionym mieczem gotów jest zamachnąć się na jej kark. Nieważne, ile ciosów będzie musiał wymierzyć ani ile przeleje krwi. Pragnie tylko zdobyć jej głowę. Ktoś musi ją zdobyć. Dlaczego nie on? Serce wali mu jak młot. Rzuca się przed siebie. Nie wolno mu podnieść wzroku. Nie wolno mu podnieść wzroku.

Nie wolno mu...

* * *

I spotkały się ich oczy. Przez chwilę jej zaskoczenie niemal dorównywało temu, które malowało się na jego twarzy. Węże znieruchomiały, nigdy wcześniej bowiem nie miała zalotnika o takiej urodzie. W końcu, gdy uświadomił sobie w pełni własny los, otworzył usta i zaśpiewał. Pierwsze pieśni były zawsze najlepsze. Świeże i tryskające energią. Oparła się wygodnie, zwalczając pragnienie

dotknięcia go. Na to będzie jeszcze czas. Długo pozostanie ciepły i miękki.

Wszyscy spodziewali się, że zmiana nastąpi nagle – zawsze widziała to na ich młodych ładnych twarzach w chwili, gdy docierało do nich, że patrzą w jej oczy. Sądziła, że wszystko dokona się błyskawicznie, a ich naiwność stanowiła dla niej źródło niewyczerpanej satysfakcji. Zamienić ludzkie ciało w kamień było niełatwym zadaniem. Wymagało czasem długich lat, nim zastygli cali – od koniuszków palców u ich ziemskich nóg aż po czubki pięknych głów.

Ten nie był inny. Jego ciemne oczy mówiły wszystko. Ból i niezrozumienie. Widziała to już wiele razy. Myśleli, że gdy ich ciało pozostawało miękkie i ciepłe, a płuca wypełniało to samo powietrze co dawniej, wciąż mieli szansę uciec przed zamrożeniem. Dopiero gdy ich stopy stawały się szare i twarde, zaczęli rozumieć, w jaką podróż wyruszyli. W tym samym momencie ich śpiew stawał się czystszy.

Uwielbiała te pieśni.

Gdzieś w skąpanej w słońcu dali żeglarze szykowali się do odpłynięcia. Ich bohater zbyt długo nie wracał, a żaden nie miał zamiaru iść za nim do pałacu. Wyjęła z jego dłoni miecz i rzuciła go na ziemię. Zamiast broni o jego palce ocierał się teraz jej policzek. Westchnęła. Tyle czasu minęło, odkąd po raz ostatni czuła na sobie dotyk mężczyzny. Wzięła go w ramiona i wyniosła z ponurej komnaty, by postawić w jasnym pokoju tuż obok sypialni. Węże ślizgały się po jego ciele, wchłaniając zapach i smak strachu. Jego śpiew wypełnił pałac, a ona zwilgotniała z podniecenia. Tyle czasu w samotności. Ustawiając go pośrodku obszernej komnaty, uśmiechnęła się niemal kokieteryjnie spod zwoju węży zwisających nad jej oknem. Nie miał już czego się bać. Jego pieśń przybrała na sile.

Zabawne, jak wszystko się zmienia. Dawniej, na samym początku, gdy było to dla niej nowe życie, nazywała to miejsce salą krzyku. Próbowwała odciąć węże z głowy i ocierała się o szorstkie ściany, by przywrócić ciału gładkość. Węże odrosły, a skóra się zagoiła, nim na wyspę przybył pierwszy gość. Jakże się ucieszyła z towarzystwa – pod tym względem upływ czasu niczego nie zmienił. Myślała, że ktoś przybył, by ją uratować.

Uśmiechnęła się do niego, a wtedy zabrzmiały pierwsze dźwięki pieśni. Rozerwała ją ona na pół, ta pieśń – to, co się z nim działo. Kiedy wypróbowała wszystkiego, by tylko złożyć go w całość,

odcięła mu język, by uciszyć jego krzyk, by się zamknął. By wreszcie przestał. Zamknęła go daleko od siebie w nadziei, że cokolwiek się stanie, wydarzy się szybko. Co roku zaglądała do niego, modląc się, by nastąpił koniec, aż kiedyś nastał ten dzień.

Jednak gdy przybysz już skamieniał, poczuła, że brakuje jej towarzystwa. Lubiła wiedzieć, że ktoś jest w pobliżu, że nie przebywa tu sama. Zanim do brzegu zawinął czwarty bohater, zdążyła pokochać ich pieśni. Wcale nie były krzykiem, lecz poezją miłosną płynącą z ust zniewolonych zalotników.

Przestała się martwić, czy samotność i węże doprowadzą ją do obłędu. Zaczęła się rozsmakowywać w zmianach, jakie zachodziły w pieśniach wraz z postępującym zastyganiem ciał. Bywały dni, kiedy tylko przy nich siadała i przebiegała palcami po miejscach, gdzie zimna twardość spotykała się z ciepłą, doskonałą skórą. Nachylała się i lizała wzdłuż tej linii.

Wszystko to było teraz znowu przed nią.

Zostawiła go samego, by przyzwyczał się do nowego otoczenia, a sama przebrała się w jedwabiste szaty, które w promieniach słońca stawały się przezroczyste i pozwalały kochankowi dostrzec kształt jej ciała. Skropiła szyję perfumami, które przyrządziła ze skalnych wodorostów, i ułożyła węże w doskonałe kręgi dookoła głowy. Czekwała na zapadnięcie zmroku. Nie była niecierpliwa. Przywykła do oczekiwania.

Nienienietobolichcęwrócićdodomunieobchodzimniedziewczynanapewnopomnieprzybędaonieznowu
Wiedziała, że on na nią patrzy, gdy rozpałała świece w komnacie, aż oboje skąpała żółta poświata. On nie potrzebował tak korzystnego światła. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek miała takiego zalotnika. Był bardziej niż przystojny, miał charyzmę. Kobiety padałyby mu do stóp, a z czasem mógłby poprowadzić całą armię na pewną śmierć i wszyscy poszliby za nim z własnej woli. Ale nie teraz. Już nie. Nie czekała go już spokojna starość, tylko długie lata jej miłości i zastygania. Długie lata jego pieśni.

Tańczyła, podczas gdy on krzyczał, używając swojego głosu niczym lutni. Kołysała się przed jego oczami, a potem, gdy flirt dobiegł końca, owinęła się wokół jego nieruchomego ciała. Gładziła je dłońmi, na początku delikatnie, ale gdy wino i pożądanie wreszcie wzięły górę, zaczęła gwałtownie go obmacywać. Węże pokryły jego twarz, gryząc go, chcąc zasmakować w jego ciele, póki jeszcze mogły. Wsunęła wilgotny język w jego słodkie usta i była pewna, że w jego szklistych oczach widzi

odbicie własnej żądz. Pragnął jej – jak za dawnych lat, które tak usilnie próbowała zapomnieć i zapamiętać, lat swojej młodości, gdy była gibka i piękna.

Nalała wina w jego otwarte usta, zlizując nadmiar, który wypłynął mu z kącików ust.

Noc była długa i przepelniona miłością, a gdy nastał świt, zostawiła go na chłodnym, porannym powietrzu. Przed nimi było jeszcze tyle wspólnych chwil, a krótka rozłąka mogła tylko wzmóc wzajemny głód. Śpiewał jej, gdy spała, uśmiechając się przez sen. Śniła o miłości, przyjęciach, pięknie i o dniach, które odeszły tak dawno. Jego pieśń była jej kołysanką, w którą się owinęła i w której czuła się bezpieczna. Samotność dobiegła końca, znów była kochana. Wiedziała, że nie zagna ciszy jeszcze przez długie, długie lata.

Przełożył Piotr Kaliński

Heather Graham

Zła

Całe moje życie upłynęło na ukrywaniu, a właściwie na umiejętnym wykorzystaniu tych kilku pogańskich umiejętności, które rzekomo przynależą mojemu gatunkowi i pozostają w zgodzie ze współczesną mantrą powtarzaną przez wyznawców Wicca^[5].

„Czyń swą wolę, lecz nie krzywdź nikogo”.

Oczywiście, moi drodzy przyjaciele, musicie pamiętać, że mantra ta została stworzona przez mężczyznę lub kobietę bądź była ich wspólnym dziełem – i tak jak w wypadku innych religii również tę mantrę można dopasować, zniekształcić czy zmodyfikować wedle własnego gustu. Ale wiecie co, żyję na tym świecie już dość długo i rozumiałam jedną ważną rzecz. Bez względu na to, w jakiego Boga lub bogów człowiek wierzy, wszystko układa się dobrze do momentu, gdy zaczyna interpretować zamysły i działania Boga.

Weźmy na przykład inkwizycję. Tortury i tyle bólu w imię Boga! Nigdy tego nie rozumiałam, tak samo jak inni mężczyźni i kobiety żyjący w bojaźni bożej. Z powodu czarnej magii? Bez żartów, proszę. Czyjaś krowa zdechła, ponieważ jakaś kobieta rzuciła na nią urok? To niedorzeczne, tak samo jak tańczenie nago w lesie z diabłem.

Niemniej, tak jak powiedziałam, całe życie upłynęło mi na usilnym ukrywaniu tego, kim jestem. Byłam świadkiem wielu sytuacji, gdy sprawiedliwość przybierała dość specyficzną formę, lecz nie wychodziłam przed szereg. Zastanówcie się tylko przez chwilę. Gdyby ci heretycy tak potwornie torturowani przez inkwizycję, mieli jakąkolwiek moc, użyliby czarnej magii przeciwko swoim oprawcom, by siebie ocalić. Niestety w większości wypadków cierpi zwykły człowiek, którego oczernia się z powodu koloru skóry, wyznania lub przekonań. Jest tylko delikatne ciało. Nic więcej. Tortury i śmierć. Jakie to proste.

Niektórzy twierdzą, że prześladowania czarownic rozpoczęły się jeszcze w okresie cesarstwa rzymskiego. To prawda, lecz Rzymianie rozróżniali białą i czarną magię i dzielili czarownice na te szerzące dobro i te praktykujące zło. Biblia przedstawia Lilith jako demona w ciele kobiety i wspomina jeszcze o wielu innych diabelskich sztuczkach. Oczywiście nie miały one nic wspólnego z pogańskimi wierzeniami żyjących w tamtych czasach Szkotów i Irlandczyków. To człowiek zdecydował, by połączyć kult ziemi i żywiołów ze stworzonymi przez siebie demonami nowych religii. Prawdziwe polowanie na czarownice rozpętało *Malleus Maleficarum*^[6] w 1486 roku, które stało się powszechnie znane dzięki „współczesnemu” wynalazkowi, jakim była maszyna drukarska. Dzieło to uzyskało również poparcie Kościoła – jako wstęp zawierało papieską bullę *Summis desiderantes affectibus* („Pragnąc najgoręcej”, tak było napisane, nie żartuję) przyzwalającą na prześladowanie czarownic. Papież mógł być dobrym człowiekiem. Nie znałam go. Ale jego błogosławieństwo dla prześladowania na pewno nie miało nic wspólnego z zachowaniem czystości wiary w jakiegokolwiek Boga! Ale ośmieliłam się na zbyt przydługą dygresję.

Szczerze mówiąc, zawsze zastanawiałam się, co sprawia, że w imię Boga jakakolwiek istota ludzka pozwala sobie wywyższać się ponad inne. Pamiętajcie jednak, że w latach 60. XVII wieku wciąż obowiązywało boskie prawo królów i tym podobne. Poza tym jestem tu już od jakiegoś czasu i nieludzkie traktowanie człowieka przez człowieka nigdy nie przestało mnie zadziwiać.

Jak wspominałam, ponieważ zależało mi na przetrwaniu, nigdy nie ujawniałam, na co mnie stać. Nigdy, poza jednym przypadkiem!

Kocham swoją ziemię ojczystą – Szkocję – ale czasy się zmieniały, a wraz z nimi życie stawało się coraz trudniejsze. Jakub był bardzo smutnym chłopcem. To znaczy bardzo chciałam lubić jego matkę, królową Marię Stuart, która kierowała się sercem, nie mądrością. Jakub natomiast dorastał nauczany przez starych mężczyzn, którzy wtłaczali mu do głowy religijne mądrości. Potem wyjechał do Danii i tam nabrał przekonania, że czarownice naprawdę istnieją, i tak dalej, i tak dalej, i nastał czas straszliwych prześladowań, jeszcze zanim zasiadł na tronie Anglii jako Jakub I Stuart. To był początek XVII wieku. Pięćdziesiąt lat później zrobiło się naprawdę paskudnie. Skąd większość tych mężczyzn czerpała przekonanie o swojej absolutnej wyższości i pewność, że wiedzą, czego chce Bóg? Dalibóg nie wiem.

Patrzyłam, jak moi przyjaciele i sąsiedzi padali na kolana, błagając o szybką śmierć. Bo widzicie, w Szkocji czarownice palono, natomiast w Anglii wieszano. Twierdzono, że nie była to wystarczająco bolesna śmierć – nie ma to jak udusić czarownicę – ale palenie oczyszczało wszystko. Ma sens, czyż nie?

Kiedy jednak usłyszałam, że grupa religijnych reformatorów pokonała ogromną połąć Atlantyku, zdecydowałam, że na mnie też przysłała pora.

I muszę przyznać, że po tej podróży podawałam w wątpliwość mój zdrowy rozsądek. Podróż była nie do zniesienia – przyznaję, że zwodziłam swój umysł i opuszczałam duchem statek, unosząc się wysoko ponad nim, spokojna, podczas gdy inni wymiotowali, gorączkowali i umierali. Wiele ciał wyrzucono do morza i pomyślałam wtedy, że gdy i na mnie przyjdzie pora, jeśli przyjdzie tu na ziemi, to chciałabym, by i moje ciało wrzucono do morza, tej kolebki życia, jak wierzą niektórzy.

W końcu dopłynęliśmy do brzegów Nowej Anglii. Wydawało mi się, że w małej miejscowości

położonej na obrzeżach głównego miasta, na południe od Marblehead, odnalazłam swoje miejsce.

Początkowo byłam szczęśliwa, choć nie bardzo przypadło mi do gustu przerwisko „Cukiereczek” Stuart, którym się do mnie zwracano. Dano mi na imię Melissa i zawsze bardzo je lubiłam. Oczywiście zaprzyjaźniłam się z pewną grupą nieznanymi mi wcześniej osób. Zaczynałam od początku, miałam, jak zwykle, dwadzieścia jeden lat i można nawet powiedzieć, że byłam piękną. Natura obdarzyła mnie jasnoblękitnymi oczami, tak typowymi dla wielu Szkotów, i kruczoczarnymi włosami, które stanowiły dla nich wspaniałą oprawę. Byłam gibka, pełna zdrowia i młodzieńczej świeżości. Jednym słowem szczęśliwa w moim nowym świecie. Polubiłam rdzenną ludność tych terenów, która bez wyjątku rozpoznawała we mnie to coś. Moje relacje z mieszkańcami okolicznych leśnych ostępów nie pozostawiały nic do życzenia, natomiast inni z „mojej” rasy nieustannie walczyli o życie strzelbami, mieczami i inną bronią.

Przypominam wam, że jestem istotą nie z tego świata. Wybrykiem natury, którego nie należy akceptować, a jeśli się już to czyni, to trzeba a priori uznać, że spłodzenie mnie musiało być grzechem.

Wyznaję, że nigdy nie postrzegałam siebie jako grzesznej istoty. Żyłam szczęśliwie, doceniając wszystkie stworzenia boże na tym świecie. Jednym z nich okazał się niezwykle przystojny młody człowiek znany jako Caleb Martin.

Caleb był jednym z reformatorów, którzy przybyli do Nowego Świata. Nie wierzył w bałwochwalstwo, wierzył w ciężką pracę i wrodzoną dobroć człowieka.

Jestem istotą z krwi i kości. Zakochałam się bez pamięci w tym mężczyźnie i w jego ciele i nie potrzebowałam pozwolenia, by się nim cieszyć. Niemniej byłam tylko pionkiem w grze pomiędzy tym, co „boskie”, a tym, co przynależne religii, a ponieważ jemu zależało na ślubie, a mnie na nim, zgodziłam się, by usankcjonować nasz związek.

Była jedna mała przeszkoda. Musieliśmy wystąpić o pozwolenia na zawarcie małżeństwa, a prawo w okolicy stanowił niejaki Samuel Bridgewater. Przebył Atlantyk w poszukiwaniu wolności od religii, lecz szybko pozbywał się tych, którzy nie wyznawali jego religii.

Już wtedy chciałam zacząć działać i z dzisiejszej perspektywy widzę, że powinnam to uczynić. Ale byłam zakochana. A Caleb mocno wierzył w swojego Boga i w swoją społeczność. A ja wierzyłam w Caleba.

Od samego początku sprawy przyjęły niepomyślny obrót. Jeszcze na pokładzie statku Samuel zasugerował mi, że ze względu na moje szkockie korzenie i fakt, że nie znam nikogo z nowych osadników, powinnam zostać jego żoną. On w zamian proponował ochronę i opiekę. Od tego losu, gorszego niż śmierć, wybawił mnie Caleb, który pojawił się wtedy z kilkoma innymi mężczyznami. Samuel został zmuszony do odwrotu. Wiedziałam, że Caleb mnie kocha, a nasze wzajemne zauroczenie nie jest dla nikogo tajemnicą. Samuel mógł albo wyrazić zgodę na nasz ślub, albo pokazać swoje prawdziwe oblicze starego rozpustnika. Na szczęście bardziej niż mnie Samuel Bridgewater pragnął władzy.

Niewiele później zauważyłam, że Samuel Bridgewater skierował uwagę na siostrę Caleba, Elizabeth.

Ale ona też była zakochana. Jej wybranek, przystojny młody chłopak, miał na imię Josiah.

Kiedy pojawiliśmy się w Nowym Świecie, wydawało się, że wszystko ułoży się szczęśliwie. Elizabeth poślubiła Josiaha, a ja miałam swojego ukochanego Caleba.

Uważałam, że wiedliśmy cudowne życie. Dzięki pomocy przyjaciół zbudowaliśmy solidny dom, a Caleb uprawiał naszą ziemi. Mieszkaliśmy na samym wybrzeżu i nie było dla mnie nic piękniejszego niż białe grzywy fal rozbijające się o wybrzeże. Czasami Caleb wypływał w morze, ale nigdy się o niego nie bałam. Niekiedy podążałam za nim duchem, szybując nad lśniącymi bielą morskimi grzywami i przyglądając się, jak mężczyźni dzielnie unikali piratów i szukali największych ławic. Nie miałam wątpliwości, że Caleb zawsze będzie wracał do mnie do domu.

Mieliśmy też nasze noce. Gdy wracał z połowów i brał mnie w ramiona, widziałam to spojrzenie jego oczu. Wieczorem przyglądałam się, jak blask ognia z kominka odbija się w jego opalonym ciele, i ogarniała mnie ekstaza. Zastanawiałam się tylko, jak wyjaśnię mu to, co stanie się dla niego oczywiste wraz z upływem lat. Gorąco pragnęłam, by istniała magia, dzięki której mogłabym przemienić go w to, czym byłam, byśmy mogli żyć razem po wsze czasy.

Elizabeth i Josiah mieszkali niedaleko od nas. Wkrótce urodziła się im córka. Gdy na jej chrzcie patrzyłam na błysk radości w oczach Elizabeth, było mi przykro, że Caleb i ja nigdy nie zaznamy takiej magii. Calebowi wydawało się to nie przeszkadzać. Było nam dobrze we dwójkę.

Najwidoczniej jednak szczęście nie trwa wiecznie. Pewnego razu Caleb i ja udaliśmy się na północ. Tak się złożyło, że mój drogi Caleb też darzył sympatią rdzennych mieszkańców i z tego właśnie powodu poproszono go, by przystąpił do negocjacji z radą pobliskiego plemienia. Nasza podróż sprawiła mi ogromną radość, zwłaszcza że kierowaliśmy się do Gloucester, gdzie naturalne piękno tej ziemi można było podziwiać w całej jego krasie.

Jedyną wadą naszego życia było te dziesięć godzin, które każdej niedzieli spędzaliśmy w kościele, wysłuchując przeróżnych kaznodziejów. Naprawdę jeśli w lasach grasowałyby diabły, których jedynym celem było zawieranie paktów z młodymi dziewczynami, to wiedziałabym coś o tym. Ale tak to właśnie bywa. Splotłam swój los z ludźmi, którzy zdawali się wierzyć, że tylko oni rozumieją, co Bóg chciał powiedzieć, mówiąc to, co mówił.

Przesiedziałam wiele niedziel w milczeniu, choć pragnęłam im powiedzieć, że nie bardziej niż inni rozumieli to, co miał do powiedzenia Bóg. Na pewno nie bardziej niż ci „pogańscy czerwonoskórzy”, uważani za grzeszników, którzy po śmierci nie mogli spodziewać się niczego innego jak tylko ogni piekielnych. Milczałam, ponieważ byłam zakochana w wybrzeżu i w Calebie.

Kiedy powróciliśmy z naszej podróży wzdłuż wybrzeża, okazało się, że Elizabeth została ujęta i oskarżona o uprawianie czarnej magii.

Dwie miejscowe dziewczyny zarzekały się, że widziały ją w lesie z diabłem o rozszczepionych kopytach. Miał ze sobą księgę, w której ona złożyła swój podpis, następnie zrzuciła ubranie i rozpoczęła nago taniec między drzewami.

Samuel Bridgewater pełnił funkcję lokalnego sędziego i urzędnika, jednym słowem uosabiał miejscowe prawo. Święcie wierzył, że ma bezpośredni kontakt z Bogiem i że Bóg upoważnił go do podejmowania wszelkich decyzji w kwestiach grzechu, herezji i tym podobnych. Bridgewaterowi niemal udało się doprowadzić do wyginięcia naszej małej kolonii, ponieważ twierdził, że siostrzeniec wodza lokalnego plemienia to wcielony szatan, i spowodował jego egzekucję. Dwudziestu ludzi zginęło w obronie naszej społeczności. I tylko dzięki mojemu ukochanemu

Calebowi, który odważył się porozmawiać z wodzem i przekonał go, że życie dwudziestu ludzi było wystarczającą zapłatą za życie jego siostrzeńca, zawarto pokój.

Jestem jednak dogłębnie przekonana, że powodem aresztowania Elizabeth nie było nic innego, jak urażona duma Bridgewatera, który chciał się zemścić na niej za odrzucenie jego awansów.

Bridgewater nie był człowiekiem, którego można bezkarnie odtrącić.

Mnie też nienawidził, lecz jakiś instynkt samozachowawczy kazał mu trzymać się ode mnie z daleka.

Ale widzicie, Elizabeth była jak siostra i kochałam ją.

Elizabeth darzyła Josiaha miłością od momentu, kiedy poznałam ją i Caleba. Samuel Bridgewater był starym, odrażającym, złym człowiekiem, bez względu na to, czy miał bezpośredni kontakt z Bogiem, czy też nie. Elizabeth i ja często podśmiewaliśmy się z niego. Wiedziałyśmy, że zdołał zmusić kilka dziewcząt z wioski, by spełniały jego potrzeby. To było haniebne, lecz jak powiedział mi Caleb, nie mamy osądzać innych, tylko żyć własnym życiem.

Samuel Bridgewater zawsze wydawał mi się raczej pompatycznym niż szkodliwym dupkiem, ale okazał się tym drugim. Po incydencie z siostrzeńcem wodza chciałam pozbawić go wzroku, lecz nie uczyniłam tego przez wzgląd na moją miłość do Caleba.

Zaniechanie okazało się brzemienne w skutki, ponieważ Samuel Bridgewater planował zemstę.

Elizabeth aresztowano i osadzono w więzieniu. Jej mąż co wieczór przy ognisku wypłakiwał za nią oczy. Jej śliczna córeczka została bez matki. Niektórzy szeptali, że i to małżeństwo miało być sązione!

Przyglądaliśmy się temu wszystkiemu i czekaliśmy na dzień, w którym Elizabeth miała stanąć przed sądem. Świerzyło mnie, by coś uczynić, i modliłam się, by wszystko zakończyło się dobrze. Caleb

wierzył w prawo i dobroć człowieka.

– Bridgewater myli się, jednak nie jest potworem. To się musi skończyć – powiedział mi Caleb. – To jest nasz dom. Będziemy postępować zgodnie z prawem i sprawimy, by było ono dobre.

Kochałam go, więc się zgodziłam.

Ale potem nadszedł czas niedorzecznych zeznań przeciwko Elizabeth. Och mój Boże, cóż za bzdury wygadywali ci ludzie! A potem mój ukochany Caleb wziął sprawy w swoje ręce.

Stanął przed sędziami i wygarnął im. Nazwał ich idiotami gotowymi uwierzyć we wszystkie plotki zasłyszane od wiejskich dziewczyn, które pewnie same bały się kary za przechadzki po lesie.

– Niemowlę! – zaryczał Caleb. Jego ciemne oczy rzucały błyskawice, a przystojna twarz płonęła gniewem. – Chcecie oskarżyć niemowlę, jedno z niewinnych maluczkich Boga, o praktykowanie czarnej magii? Czyście do końca poszaleli? Moja siostra jest tak samo słodka i niewinna, jak inne kobiety, lecz z powodu skandalicznych oskarżeń zakuwacie ją w łańcuchy po nocy? Zgadzą się z tym, co powiedział mój dobry przyjaciel John Proctor, że te dziewczęta nas wszystkich przemienią w diabła! Bracia moi, czy w waszym osądzie opuścił was Bóg? Jaka wielka siła pozwoliłaby istnieć takim absurdom? Ludzie, zajrzyjcie w głąb swoich dusz!

O mój biedny Caleb. Jakimś dziwnym trafem zapomniał, że John Proctor też został posądzony o konszachty z diabłem.

Och, te przeklęte dziewczęta! Jedna z nich nagle upadła na podłogę, rwąc włosy z głowy.

– Spojrzał na mnie! – zawyła. – Spojrzał na mnie! I teraz... ten ból. O mój najdroższy Boże, pomóż mi! Ten ból!

Zaczęłam wstawać. Caleb spojrzął na mnie i potrząsnął głową. Zanim się zorientowałam, skuto go i przemocą zawleczono na miejsce obok jego siostry.

Walczyłam zaciekle o to, by móc go zobaczyć. Chciałam zachować się stanowczo, ale on tylko pogładził mnie po włosach.

– Wciąż jesteś wolna. Potrzebujemy cię na wolności. Potrzebujemy pomocy gubernatora, bo on jest prawym człowiekiem i być może uda mu się powstrzymać falę tego szaleństwa. Musisz udać się do niego i to szybko.

Śmierć zbierała coraz większe żniwo. Wiele niewinnych kobiet zawisło na szubienicy. Były pomiędzy nimi pobożne i wiekowe, jak Rebecca Nurse. Były też takie, które żyły poza nawiasem społeczności oskarżone o cudzołóstwo, jak Bridget Bishop.

– Calebie, boję się tu ciebie zostawić – powiedziałam. I zaczęłam szybko szeptać: – Calebie, gdybyś tylko mi zaufał... moglibyśmy stąd uciec z Elizabeth i z jej dzieckiem, i z Josiahem... Proszę, uwierz we mnie, potrafię tego dokonać!

– Wierzę w prawo – odpowiedział i spojrzął na mnie łagodnymi i pięknymi oczami i znów pogłaskał moje włosy. – Pojedź do gubernatora, a wszystko będzie dobrze – zapewnił mnie. – Wierzę w Boga i prawo, a Bóg zmusi ludzi do zobaczenia prawdy i uznania swoich błędów.

Pozwólcie mi powiedzieć, że wierzyłam w Boga bardziej niż ktokolwiek inny. Wiedziałam, że wielki

ojciec istnieje, i żyłam tak, by doświadczyć jego łaski, pomimo faktu, iż narodziłam się jako istota z gatunku tych, które niekoniecznie uznawano za godne jego miłosierdzia.

Wiedziałam również, że wolał, by ludzie sami odkrywali swoje błędy. On tylko dawał im lekcje, ale robił to na swoich warunkach i w przez siebie wybranym czasie. Nie byłam gotowa na to, by pozwolić mu ocalić Caleba i Elizabeth.

– Uwierz we mnie i w dobroć, moja ukochana. Zawiadom gubernatora – powiedział mi na pożegnanie.

Tak bardzo go kochałam. Caleb był wysoki i silny, piękny, wytrwały i mocny jak skała w tym swoim uporze przeciwstawiania się szalejącym wokół niego falom nienawiści.

Za ostatnie nasze oszczędności opłacałam ich pobyt w więzieniu. Dodałam otuchy Josiahowi i pozostawiłam go samego – zagubione dziecko we mgle – by opiekował się córką. Potem wyruszyłam odszukać gubernatora.

Już wtedy, o czym nie wiedziałam, wyruszając w podróż, o paranie się czarną magią oskarżono również żonę gubernatora. I nagle sam gubernator zdał sobie sprawę z panującego wokół niego szaleństwa. Czym innym było oskarżanie o konszachty z Lucyferem biednych, starych i głuchych kobiet czy nierządnic, a czym innym posądzanie o to żony gubernatora.

Dowiedziałam się o tym, gdy byłam w połowie drogi do Bostonu. Zawróciłam natychmiast, gdy tylko okazało się, że wprowadzono zakaz wykonywania jakichkolwiek egzekucji.

W drodze powrotnej słyszałam przerażające opowieści. Giles Corey, któremu nie bardzo współczułam, ponieważ złożył zeznania obciążające własną żonę, został zamordowany. Zanim wyzionął ducha, w ostatnich swoich słowach przeklął Salem i jego szeryfa. To, co zastałam po powrocie, było gorsze od tego, co zostawiłam. Wiadomości rozchodziły się tak powoli, że mimo wprowadzonego ze skutkiem natychmiastowym zakazu wykonywania egzekucji do czasu otrzymania instrukcji od Matki Anglii, ludzie i tak ginęli.

Im więcej takich wiadomości docierało do moich uszu, tym większe ogarniało mnie przerażenie. Stary Samuel nie miał na tyle mocnej pozycji, by przeciwstawić się sędziom w Salem, ale był draniem, który po kryjomu potrafił postawić na swoim.

Kiedy dotarłam do naszej małej osady, powitały mnie puste ulice. Udałam się do domu Elizabeth i zastałam tam tylko Josiaha. Leżał pobity i nieprzytomny na podłodze. Dziecka nie było.

Ocuciłam Josiaha najszybciej, jak potrafiłam, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zostawiłam go zatem w domu i pospieszyłam na rynek.

Gdy tam przybyłam, ciało Elizabeth leżało obok drzewa egzekucji, natomiast mojego ukochanego Caleba miano właśnie zepchnąć z drabiny.

Jak George Burroughs, ówczesny duchowny, tak i Caleb odmawiał *Ojcie nasz*, lecz na nic się to zdało.

– Nie! – wykrzyczałam z całą mocą, a kiedy skończyłam, moja furia wypełniała powietrze. Wiatr uniósł ją wysoko i niebo rozświetliła błyskawica.

– Patrzcie! – Samuel Bridgewater zawołał ze swojego siodła. – To ona. To ona jest czarownicą. Ona jest tą, która tańczy z Szatanem, i to ona rzuciła na nich przekleństwo.

Tańczyć z Szatanem? Nigdy nie przepadałam za tym draniem, upadłym aniołem, i nie miałam zamiaru z nim tańczyć. Cóż za chory pomysł.

Podbiegłam do Samuela i spojrzałam mu prosto w twarz, a z moich oczu tryskały piekielne ognie.

– Czarownice! Czarnoksiężnicy? Oskarżasz tych ludzi o konszachty z diabłem. Jesteś skończonym łajdakiem! Gdyby naprawdę byli tymi, za których ich uważasz, już dawno zapłaciłbyś za swoje

uczynki.

Samuel Bridgewater patrzył mi prosto w oczy i perfidnie się uśmiechał. Wiedział, że ci biedacy nie mieli żadnej mocy. Nie wiedział jednak, że ja ją miałam.

– Powiesić go! – zakrzyknął z mocą, mając na myśli Caleba.

Odwróciłam się, lecz było już za późno. Przez krótką chwilę widziałam miłość w oczach mojego męża, a potem zobaczyłam, jak zawisł. Chwilę później dobiegł mnie odgłos łamiącego się kręgosłupa i wiedziałam już, że i on był martwy. I wtedy coś we mnie pękło i opuścił mnie instynkt samozachowawczy.

– Powiesić niemowlę! – krzyknął głośno Samuel Bridgewater. – Nie pozwolimy chyba żyć pomiotom czarownic!

I oni mnie nazwali potworem!

Podniosłam ręce i zawezwałam moje moce i wszystkie moce śmierci, zła i zniszczenia. I oskarżycielsko wyciągnęłam palec w stronę Samuela Bridgewater.

– Niech ci, którzy obnoszą się ze swoją pobożnością, lecz nie są niczym innym jak wcielonym złem, cierpią tortury i męki potępionych, a prawi niech nauczą się prawdy miłości... i zemsty!

No cóż, muszę przyznać, że moja siła powstrzymywana przez te wszystkie lata przerosła moje oczekiwania. Niebo natychmiast zaciągnęło się granatowoczarnymi chmurami. Błyskawice przecinały powietrze, uderzały w ziemię i wznosiły się do nieba słupami ognia. Przerażony kat czekający tylko na znak, by powiesić dziecko Elizabeth, szybko zszedł z nim po szczeblach drabiny. Podbiegł do miejsca, w którym stałam, padł na kolana i złożył je u moich stóp.

– Oszczędź mnie! – zawył w przerażeniu.

Ten głupiec mnie nie obchodził. Był tylko posłusznym wykonawcą rozkazów Bridgewatera, ponieważ lękał się, że przeciwstawienie się jego woli może i jego zaprowadzić na stryczek.

Było mi zupełnie obojętne, co się z nim stanie.

Interesował mnie tylko Samuel Bridgewater.

– A może i ty chciałbyś sobie zatańczyć z diabłem, co? – krzyknęłam.

Podeszłam do niego otoczona ze wszystkich stron rozszalałym ogniem. Upadłam na kolana przy martwym ciele Elizabeth i wzięłam ją w ramiona.

– Zatańczyć z diabłem, co? – krzyknęłam ponownie i przekazałam mu jej martwe ciało.

Ciało o pustych oczodołach ożyło, w konwulsyjnych drgawkach przywarło do niego i przejęło nad nim kontrolę. W morzu ognia podsycanego mocą północnego wiatru Samuel Bridgewater tańczył w zagajniku z ciałem kobiety, której pożądał i której śmierci był winien.

Zaczął przeraźliwie krzyczeć, bo jej ciało stało się ogniem, z którego objąć nie mógł się wyswobodzić. I tam, gdzie się stykali, zaczynał płonąć.

Pochodzę ze Szkocji. Tam czarownice umierały, płonąc. I jeśli na świecie istniał kiedykolwiek człowiek, którego można by nazwać złą czarownicą, to był nią Samuel Bridgewater.

Krzyczał już tak przeraźliwie i cierpiał tak bardzo, że podeszłam do niego. Byłam nieczuła na jego ból, lecz zależało mi na tym, by wszystko zrozumiał.

– Pozwolę ci umrzeć, ty marny ludzki pomiole – zapewniłam go – ale najpierw musisz zrozumieć! Musisz zobaczyć prawdę. Diabeł nie jest kolorem, gatunkiem, religią. Diabeł jest bardziej obecny w twoim sercu niż w jakiegokolwiek prawdziwej czarownicy czy prawdziwym czarodzieju! To ty jesteś potworem!

Uniósł rękę w moją stronę. Zaczął mówić, że to ja jestem prawdziwym potworem i że wszyscy muszą się o tym dowiedzieć, lecz jego usta stały w płomieniach.

Spłonął żywcem i obrócił się w proch u moich stóp.

Wiatr ucichł, ogień zgasł. I tak stałam tam ze złamanym sercem. Furia i zemsta wypaliły się.

W lasu otaczającym miejsce kaźni tłoczyli się ludzie z miasta. Nagle poczułam na sobie ich intensywny wzrok.

Zdałam sobie sprawę, że w szale ujawniłam całą prawdę o sobie. Pokazałam, że nie jestem młodą kobietą, która wyczynia hołubce z diabłem po lesie, ani szaleńcem, który podpisuje z nim pakt własną krwią.

Nie. Ja byłam prawdziwa. Mogłam zesłać śmierć na ich krowy, mogłam sprowadzić na nich choroby, mogłam uczynić całe to zło, o które obwiniali innych.

Niech no ktoś spróbuje powiesić prawdziwą wiedźmę.

Mało prawdopodobne, że mu się powiedzie.

Nie było to jednak dla mnie żadne pocieszenie. Samuel Bridgewater dopiął swego. Polała się krew

niewinnych ludzi, ponieważ ja ślepo wierzyłam w mojego ukochanego Caleba i starałam się być dobrą i przestrzegającą prawa żoną.

Temperament i ból wzięły nade mną górę. Pomimo tylu lat z Calebem nie potrafiłam oprzeć się przywiązaniu do starotestamentowej mentalności.

Oko za oko. Życie za życie.

Ale Samuel Bridgewater był już martwy, a ludzie z wioski wpatrywali się we mnie ogromnymi oczami. Oczywiście nie śmieli mnie tknąć, lecz nie było to wielkie pocieszenie. Słodka zemsta uczyniła mnie banitą. Zresztą nie miało to dla mnie znaczenia. Nie było już mojego Caleba ani mojej najlepszej przyjaciółki Elizabeth.

Przypomniałam sobie jednak o jej maleńkiej córce, miniaturowej kopii Elizabeth, która kwiliła u moich stóp.

Moje serce ścisnął ból, a oczy wypełniły się łzami. Wzdrygnęłam się przestraszona, gdy obok mnie zjawił się Ian Freeman, jeden z bardziej szanowanych mieszkańców miasta. Nie padł przede mną na kolana – to był dobry i prawy człowiek, który wierzył tylko w jednego Boga. Skłonił głowę.

– Proszę! – powiedział i byłam pewna, że będzie błagał, bym im darowała życie. – Proszę, zostań, pomóż nam.

Uśmiechnęłam się kpiąco.

– Jestem potworem, którego się lękacie.

Zaprzeczył, potrząsając z powagą głową.

– Oni mogą nazywać cię potworem, ale dla nas jesteś wybawieniem. To, co dla jednego jest potworem, dla drugiego może być najlepszym przyjacielem – powiedział. – Wybacz nam. Wybacz nam, że wszyscy lękaliśmy się tego potwora pod postacią człowieka. Błagamy cię, zostań.

Nie wiedziałam, czy potrafię spełnić ich prośbę. Zbyt późno zaczęłam działać. Mężczyzna, którego kochałam, i moja najlepsza przyjaciółka byli martwi.

Nie mogłam jednak zapomnieć o okaleczonym Josiahu i małej Elizabeth.

Kiwnęłam potakująco głową. Zostanę.

Aresztowania i egzekucje w naszej okolicy dobiegły końca. Wychowywałam małą Elizabeth z całą miłością, na którą jeszcze było mnie stać po śmierci jej matki i wuja. Opiekowałam się Josiahem, który stał się wrakiem człowieka. W niczym nie przypominał młodego, pełnego wigoru mężczyzny, którym nie tak dawno jeszcze był.

Pewnego razu zobaczyłam szeryfa Corwina, który wywołał lawinę zła w Salem.

Uśmiechnęłam się do niego.

Dostał ataku serca i umarł.

To uczyniło mnie szczęśliwą. Możecie nazwać mnie złą, ale to uczyniło mnie szczęśliwą.

Lata upływały, Elizabeth urosła i wyszła za mąż. Zawsze byłam blisko niej.

Patrzyłam, jak czas polowania na czarownice rozpoczął się i skończył. Patrzyłam, jak mieszkańcy Ameryki organizują się i walczą o niepodległość. Cały czas byłam ze swoją nową rodziną. Piękna ciotka, która wydawała się nigdy nie starzeć.

Po rewolucji amerykańskiej przenieśliśmy się na południe. I znów byłam świadkiem zła kolejnej wojny, gdy południowe stany ogłosiły secesję, a mężczyźni niepotrzebnie oddawali życie na polu walki.

Patrzyłam na kolejne wojny. Patrzyłam, jak potomkowie Elizabeth i Josiaha z pasją poświęcają się słusznym sprawom, jak żyją i umierają.

Patrzyłam, jak zmieniano prawo tak, by nikogo nie można było prześladować z powodu przekonań, koloru skóry czy orientacji seksualnej. Patrzyłam na to wszystko z dumą i przyjemnością, lecz swoich sekretów nie zdradziłam nikomu.

Wciąż patrzę. Ponieważ bez względu na to, co stanowi prawo, potwory istnieją.

Przełożyła Anna Czechowska

[5] Wicca – rozpowszechniona w Europie i Stanach Zjednoczonych religia neopogańska (przypisy pochodzą od tłumaczki).

[6] *Malleus Maleficarum* (*Młot na czarownice*) – tekst na temat magii dominikańskiego inkwizytora Heinricha Kramera, być może napisany we współpracy z innym inkwizytorem z tego zakonu Jacobem Sprengerem. Po raz pierwszy opublikowany w 1487 roku stał się znany jako podręcznik łowców czarownic od XV do XVII wieku.

Jeff Strand

Okaz 313

Max, którego prawdziwe imię brzmiało Okaz 278, zjadł ludzką rękę i z tego powodu starał się być szczęśliwy. Posiłek oczywiście smakował wyśmienicie (niezbyt często jadał ludzi, to dość wyjątkowa okazja), ale Max nie czuł pełnej satysfakcji. Nie chodziło o to, że nadal był głodny, raczej... niespełniony.

Przesunął się trochę w ziemi. Zbliżał się czas podlewania. Może na tym polegał problem – gleba była zbyt sucha i to przeszkadzało mu cieszyć się obiadem.

Tak mogło być.

A może nie.

Takie miał odczucia przez ostatnie kilka dni. Znużenie i smutek. W tym czasie w laboratorium działo się mnóstwo ciekawych rzeczy. Na przykład Okaz 201 dostał lekkiego szału, co skończyło się fatalnie dla nieszczęsnej rośliny, bo nożyce ogrodnicze pocięły ją na kawałki. Kiedyś podobne wydarzenia interesowały Maxa, tym razem było inaczej.

Żałował, że nie potrafi komunikować się z ludźmi. Chciałby móc zapytać doktora Prethoriusa, dlaczego tak dziwnie się czuje. Miał nadzieję, że nie są to objawy choroby.

Doktor Prethorius na pewno nie był pogrążony w melancholii. Jak zwykle wybuchnął piskliwym chichotem, kiedy mocne liście Maxa zamknęły się na ręce włóczęgi, odrywając ją od ramienia. Śmiał się tak, że łzy ciekły mu po policzkach, gdy walił włóczęgę łopata po głowie, chociaż to już nie było konieczne.

– Jeden dla ciebie, jeden dla ciebie i dla ciebie – mówił, karmiąc głodne rośliny kawałkami ludzkiego ciała. – I jeden dla ciebie, i jeden dla mnie... nie, to żart... jeden dla ciebie.

Max poczuł się w tym momencie bardzo dumny. Większość roślin nie potrafiła odgryźć nawet palca, a co dopiero całą rękę. Spośród pięciu włóczęgów, którzy ostatnio stracili życie w szklarni, trzech doktor zwabił tam, gdzie rósł Max. Max wcale nie był największą rośliną w laboratorium – nawet nie był największy ze wszystkich genetycznie zmodyfikowanych muchołówek, ale był szalenie żarłoczny.

W innych okolicznościach odczuwałby radość z tego powodu.

Teraz nie.

Gdyby mógł głośno i głęboko westchnąć, właśnie to by zrobił. Ale nie potrafił wzdychać. Mógł tylko czekać i mieć nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej.

Dzień przesadzania...?

Największe przerażenie ogarniało rośliny w chwili, kiedy doktor Prethorius brał dużą łopatę zwykle opartą o ścianę. Czasami znaczyło to, że jakaś roślina będzie przeniesiona w inne miejsce, ale najczęściej, że dany eksperyment dobiegł końca.

– Witam, witam – zawołał doktor, idąc w kierunku Maxa. Oczy miał szkliste i zaczerwienione, lecz jak zwykle się uśmiechał. – Potrzebujesz większej szklarni, tak, wiem. Nie cierpię, jak rośliny się marnują. Jednak nie wydaje mi się, żebym wyhodował drzewo, na którym wyrosną pieniądze!

Roześmiał się z własnego dowcipu, jak to miał w zwyczaju, i popatrzył na Okaz 47, na Charliego, który rósł po prawej stronie Maxa, odkąd Max sięgał pamięcią. Charlie nie był mięsożerny, pokrywały go ładne czerwone i żółte kwiaty. Zawsze wydawał się miły, choć niezbyt fascynujący.

Liście Maxa zeszywniały, gdy doktor Prethorius wbił łopatę w ziemię.

– Czas odejść już, czas już odejść – zanucił. – Stare się kończy, zaczyna nowe. Co złe dla ciebie, to dla mnie dobre.

Max obserwował z przerażeniem, jak doktor raz po raz wbija łopatę w ziemię. Pamiętał, co się stało z Okazem 159, który został wykopany i rzucony do kąta. Przez kilka dni konał, więdnąc, aż wysechł na śmierć.

Po paru minutach kopania doktor chwycił Charliego i z korzeniami wyrwał z ziemi. Odciągnął go na bok, zostawiając na podłodze szlak z czerwonych i żółtych płatków.

Biedny Charlie.

Max, widząc, jaki los spotkał Charliego, próbował poprawić sobie nastrój.

Jest nieszczęśliwy, to prawda, ale przynajmniej jego korzenie nadal mocno tkwią w ziemi.

Nic nie pomagało. Był jeszcze smutniejszy niż zazwyczaj.

Kiedy Max rozwinął liście w blasku poranka, zobaczył nowego sąsiada. Kolejna muchołówka. Nowa roślina miała węższe i ciemniejsze liście, w odcieniu cienistej zieleni, była niższa od Maxa o prawie trzydzieści centymetrów.

Maxa to zaskoczyło. Nowe rośliny pojawiające się w cieplarni zawsze były większe niż te zadomowione. Dlaczego ta jest tak osobliwa?

Och, o to chodzi. To jest „ona”.

Maxowi natychmiast poprawił się humor. Jego górne liście zadrgały. *Witaj.*

Cześć.

Mam na imię Max.

A ja jestem Okaz 313.

Miło cię poznać. Spodoba ci się tutaj.

Chyba nie.

Nie jest tak źle. Kiedy się przyzwyczaisz, będzie dobrze, na pewno.

Nie mam ochoty teraz rozmawiać, przepraszam.

Liście Maxa znieruchomiały. Nie miał do niej pretensji. Cieplarnia nie była tak wygodnym miejscem jak ogród, gdzie wykiełkował (ona prawdopodobnie też). Na zewnątrz mógł oglądać prawdziwe słońce, a nie światło sączące się przez szklany sufit. Czasami czuł tam powiew bryzy i chociaż nie mógł się przemieszczać, miał wrażenie, że mógłby się poruszać, gdyby tylko zechciał.

Skoro Okaz 313 jeszcze wczoraj żył w ogrodzie, a dzisiaj przeniesiono go do szklarni, nic dziwnego, że nie ma ochoty na pogawędki. W porządku. Max poczeka na to, co się wydarzy, tak jak zawsze.

Godzinę później przyszedł doktor Prethorius z plastikową konewką. W cieplarni działał automatyczny system nawadniania, lecz doktor nadal czasami używał konewki.

– Cześć, Jenny – przywitał się, podlewając Okaz 313. – Polubiłaś nowe mieszkanie? Ktoś chce cię poznać, ale najpierw wolałem się upewnić, czy się nie przewróciłaś. – Zachichotał. – Zaraz wrócę, nigdzie nie odchodź!

I poszedł.

Nie chcę tu być, powiedziała Jenny.

Polubisz to miejsce.

Nie.

Nie dodała nic więcej. Po chwili wrócił doktor w towarzystwie starszego człowieka z gęstą brodą. Mężczyzna miał brudną marynarkę. Patrzył na rośliny z tępym wyrazem twarzy, potknął się o gumowego węża.

– Proszę ostrożnie, ostrożnie – ostrzegł doktor. Wskazał na Jenny. – Oto ona. Ozdoba mojej kolekcji. Okaz 313.

Starszy mężczyzna wytarł nos w rękaw marynarki.

– Piękna duża roślina.

– Rzeczywiście.

– Czy to jedna z tych zjadających owady? Łapie je? Tak?

Złożył ręce, naśladując zamkniętą pułapkę.

– Znowu masz rację. Jak ktoś tak inteligentny może mieszkać w kartonowych pudłach?

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Taki pech.

– Spodziewam się, że nie będziesz niegrzeczny z powodu szczypty kokainy. Więc podoba ci się moja roślina?

– Taaa, jest przyjemna. Czy patrzyłem na nią dostatecznie długo? Mogę dostać moje dwadzieścia dolców?

Max uświadomił sobie, że wcale nie jest zazdrosny o to, iż Jenny zje tego starego mężczyznę. Zwykle bywał zazdrosny – nie bardzo, ale trochę – a teraz miał nadzieję, że po posiłku ona poczuje się lepiej. Kiedy będzie trawić kawałki ciała, zrozumie, że to dla niej przyjazne miejsce.

– Chwileczkę, chwileczkę, jeszcze nie – powiedział doktor Prethorius. – Za kilka minut. Stworzenie tej niezwyklej krzyżówki kosztowało mnie wiele zachodu. Chcę się upewnić, że orientujesz się w szczegółach.

– Ale... dlaczego ja? – zapytał mężczyzna. – Nie bardzo się znam na roślinach. Może powinien pan zaprosić tu tych ludzi od Nobla?

– Oni nie potrafią docenić odkrywczych pomysłów. To tchórze, którzy kontaktują się tylko z autorytetami, a tamci przyznają im nagrody. Dlatego potrzebuję kogoś takiego jak ty. O prostszym umyśle. Kogoś, kto będzie dobrą... muchą.

W tym momencie Jenny nagle się pochyliła i otworzyła szeroko blaszkowate liście. Mężczyzna przeraźliwie wrzasnął, gdy pułapka szybko zamknęła się z głośnym chrupnięciem na górnej połowie jego ciała. Został przecięty na wysokości pasa. Nogi z częścią korpusu upadły na ziemię.

Max nigdy nie widział czegoś podobnego!

Krew ciekła spomiędzy zamkniętych liści pułapki, gdy Jenny... Czy ona go przeżuwała?

Niesamowite.

Doktor Prethorius pisał ze śmiechu i płaszał, zataczając koła.

– To działa! Działa! Nie przypuszczałem, że to się sprawdzi tak wspaniale!

Jenny rozwarła liście, wyrzucając nagą czaszkę i pozbawiony ciała szkielet. Pochyliła się i pożarła pozostałą część ciała mężczyzny.

Doktor Prethorius śmiał się jeszcze głośniej.

– Z butami! Zjadła go razem z butami! Ci zarozumiałcy ośmieszali mnie, ale teraz to ja będę z nich kpił. Ona jeszcze nie pokazała w pełni swoich możliwości! Zobaczymy, kto tu jest geniuszem!

Śmiał się jeszcze przez chwilę, a potem odszedł.

Liście Maxa zadrgały. *Jaki on był?*

Nie najgorszy. Ale ta broda była okropna. Smakowała jak dym.

Podobało mi się, jak to zrobiłaś.

Dziękuję. Jenny wydawała się naprawdę zadowolona.

Czy zaplanowałaś, że zrobisz to dokładnie wtedy, gdy doktor powie, że on jest dobrą muchą?

Nie wiedziałam, co on ma zamiar powiedzieć. Po prostu poczułam, że to właściwy moment.

I tak było.

Dziękuję.

Czy wcześniej jadłaś ludzi?

Nie w całości.

Ale nigdy żywego?

Jadłam też żywych. Doktor odcinał kończyny i dawał mi korpus.

Przyjemnie.

Ten bardzo krzyczał.

To zrozumiałe.

Powiedzieć ci coś dziwnego?

Jasne.

Kiedyś doktor rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy – my, rośliny, się nie liczymy – a potem odgryzł jeden palec z odciętej nogi.

Naprawdę?

Tak, ale szybko go wypluł.

Nie wie, co w życiu najlepsze.

Max?

Słucham.

Dziękuję, że jesteś dla mnie miły.

Nie ma za co.

– Powiedziałem, podejdź do rośliny! – krzyknął doktor Prethorius, szturchając młodą kobietę w plecy lufą pistoletu.

Ona szlochała, błagała o litość, w końcu opadła na kolana.

– Wstawaj! Wstawaj, mówię!

– Błagam! – wyszlochała.

Doktor ją kopnął.

– Chcesz zostać zabita? Tego właśnie chcesz? Wstań i podejdź do rośliny!

– Proszę! Mam w domu małe dziecko!

Znowu ją kopnął.

– Wstawaj! Ale już! Wstań w tej chwili! To nie takie trudne! Po prostu wstań i... Wiesz co? Dobrze. Nie wstawaj.

Strzelił jej w tył głowy. Ciało upadło bezwładnie.

Doktor Prethorius kucnął przy niej. Patrzył na nią bardzo długo. Max podejrzewał, że być może chce stworzyć zombi, co już wcześniej próbował. Po chwili doktor ożywił się i wstał.

– No cóż, źle się stało. To nie powinno się zdarzyć. To nie są naukowe metody.

Wziął kobietę na ręce i ruszył wzdłuż szeregu roślin. Zatrzymał się przed Jenny. Przyglądał jej się przez chwilę, potem zerknął na Maxa.

– Ona nada się raczej dla ciebie. Co za marnotrawstwo.

Szczęśliwy Max otworzył blaszkowate liście. Doktor przytrzymał ciało kobiety w pozycji pionowej i ustawił tak, żeby jej ramię znalazło się dokładnie na wprost pułapki. Max odgryzł rękę. Doktor podsunął mu drugie ramię ofiary, po czym rzucił okaleczone ciało na ziemię.

– Może zmielę resztki i zrobię nawóz – wymruczał, gładząc podbródek. – Dawno nie używałem maszynki do mięsa. Mechanizm mógł zardzewieć. Nie wiem, czy urządzenie poradzi sobie z takimi dużymi kośćmi, w najgorszym razie się zapcha, ale podołam...

Doktor Prethorius odszedł, zostawiając bezręki korpus pomiędzy Maxem a Jenny. Max nie czuł się rozczarowany, że jego posiłek trwał tak krótko; dwie ręce też stanowiły ucztę, chociaż gdyby mógł wybierać, wolałby nogi. Jeśli doktor zrobi z reszty ciała nawóz, wszystkie rośliny będą miały z tego przyjemność, nie wyłączając żonkili – Okazów 195 i 196 – które prawdopodobnie nigdy nie zakosztowały ani kropli krwi.

Ale co doktor sobie myślał, mówiąc: „Ona nada się raczej dla ciebie”?

Raczej?

Max co prawda nie potrafił się pochylać i chwycić zdobyczy tak jak Jenny, lecz nie czuł się gorszą odmianą tego samego gatunku. Nadal mógł odgryzać ramiona, głowy czy jakąkolwiek część, którą dobry doktor mu zaproponował. Nie umiał przegryźć człowieka na pół i od razu go pożreć, ale czy potrzebował takich umiejętności?

Nadal był jedną z najdzikszych roślin w całej cieplarni. Jak do tej pory.

Przykro mi, że nic nie dostałaś, powiedział do Jenny. Zazwyczaj on dzieli sprawiedliwiej.

W porządku. Nie jestem głodna.

Kałuża krwi jest coraz bliżej. Jeśli się pochylisz, możesz pochłęptać.

Dzięki, ale nie lubię resztek.

Co masz na myśli?

Przepraszam. Zachowałam się niegrzecznie. Nie chciałam. Jenny pochyliła się do samej ziemi, przez chwilę pozostała w tej pozycji, a potem szybko się wyprostowała. Nie mogę dosięgnąć krwi.

Nadal płynie. Zaraz będzie bliżej.

Bardzo cię przepraszam. Naprawdę nie chodziło mi o to, że połowa twojego obiadu to dla mnie resztki. Lubię się dzielić jedzeniem. Naprawdę.

Wiem, co chcesz powiedzieć. Rozumiem.

O poranku został wykopany i wyrzucony Okaz 90. Długo się opierał i nie chciał wyjść z ziemi, aż w końcu doktor siekierą obciął mu korzenie. Większość roślin zniknęła cicho i niepostrzeżenie, ale nie Okaz 90. Wymyślał im od potworów, bo tylko patrzyły, jak on umiera. Przeklinał cieplarnię i wszystkim roślinom życzył pożaru i śmierci w płomieniach.

Maxowi było przykro z powodu Okazu 90, naprawdę mu współczuł, lecz nikt nie mógł w niczym pomóc. Max lubił przebywać w pobliżu Jenny, ostatnio jego życie ponownie stało się przyjemne. W skrytości ducha odetchnął więc z ulgą, gdy Okaz 90 zakończył życie już po jednej nocy spędzonej na podłodze w kącie szklarni.

Następnego dnia doktor Prethorius przechadzał się po szklarni z dzieckiem na ręku. Wszystkie rośliny były podekscytowane, a Jenny wychyliła się do przodu tak daleko, jak tylko mogła. Jednak on przeszedł całe pomieszczenie i nie zaoferował posiłku żadnemu z okazów. Potem pomachał rączką dziecka na pożegnanie i wyszedł.

Myślę, że to był jego wnuczek, powiedział Max. Kiedyś o nim wspomniał.

Ach tak. Nie możemy oczekiwać, że nakarmi nas własnym wnuczkiem.

Absolutnie.

Dobrze się czujesz? – odezwała się Jenny.

Dlaczego pytasz?

Twoje liście są dzisiaj jaśniejsze.

Nie, wszystko w porządku.

To dobrze.

– Hmm. – Doktor Prethorius oderwał jeden z liści Maxa, z tych mniejszych na dole. Obracał liść, oglądając go pod różnym kątem. – Hmmm... – mruknął i zmarszczył brwi.

Boję się.

Będzie dobrze, Max.

Jak myślisz, co on chce mi zrobić?

Nic ci nie zrobi. Jeden włóczęga w twojej pułapce i będziesz jak nowy.

Nie potrzebuję ludzkiego mięsa, żeby żyć. To dla mnie okazjonalna uczta. Coś innego mi dolega.

Może twój sposób żywienia wymaga zmiany. To się często zdarza. Nie martw się.

Nie chcę umrzeć.

Nie umrzesz.

Kocham cię, Jenny.

Co?

Max nie miał zamiaru tego powiedzieć. Przez chwilę się wahał, czy się nie wycofać i udawać, że Jenny się przesłyszała. W końcu się zdecydował. Jeśli już ma zginąć, chce umrzeć szczęśliwy.

Kocham cię, powtórzył.

Och.

Och?

Co mam ci odpowiedzieć?

Nie wiem.

Bardzo cię lubię, Max. Bardziej niż kogokolwiek innego w całej szklarni, nawet bardziej od słonecznika. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. I tak cię traktuję.

W porządku.

Nie złość się.

Nie jestem zły.

I nie bądź smutny.

Mogę być trochę smutny, prawda? Dobrze. Rozumiem. Nie umiem pożerać ludzi tak doskonale jak ty. Potrzebujesz kogoś, kto jest bardziej dziki niż ja.

Nie o to chodzi. Po prostu nie szukam takich relacji. To wszystko jest dla mnie ciągle nowe.

Rozumiem.

Obiecuj mi, że będzie dobrze.

Okej.

Obiecuj.

Obiecuję.

Doktor Prethorius ciągnął za sobą łopatę i pogwizdywał wesoło.

– Życie – powiedział, zatrzymując się przed Maxem – jest pełne nieoczekiwanych zwrotów i zmian. W jednej chwili jesteś wsadzany do ziemi, a w następnej z niej wyrywany, żeby zrobić miejsce dla Okazu 314.

Nie! To niemożliwe! Inne rośliny są o wiele mniej zaawansowane w rozwoju! On nie jest aż tak chory. Dlaczego doktor chce zabić jego, a nie któryś z pomniejszych okazów. To nie fair!

– Oczywiście, to ciebie nie dotyczy – dodał doktor. – To znaczy wyrzucenie. Wymyśliłem nową metodę kwasową. Będiesz świetnym materiałem do prób. – Zachichotał i zanucił: – Kwaskiem na liście, na liście kwaskiem, zwijają się z sykiem, palą się z trzaskiem!

Wbił łopatę w grunt. Gdy wybierał pierwszą czubatą porcję ziemi, Max gwałtownie otworzył i zamknął liście pułapki.

– Chcesz mi odgryźć twarz, co? O, niegrzeczny, niegrzeczny. Co mam zrobić z taką złośliwą rośliną? Wiem. Kwaskiem na liście, na liście kwasem i będę patrzeć, jak się rozpadają z czasem...

Obrócił się wokół własnej osi. Jenny szybko odchyliła się, przybierając normalną pozycję.

– Chcesz zjeść swojego pana? Tego nie mamy w planie. Absolutnie. Hodowałem cię specjalnie na ludzkim mięsie, ale w żadnym wypadku nie będziesz konsumować mojego. Nie, nic z tego!

Chwycił łopatę, zamachnął się i z całej siły uderzył Jenny. Przechyliła się w tył, potem w przód. Wtedy ponownie uderzył ją łopatą. Tym razem Jenny opadła na ziemię.

Nie!

– To przykre dla naukowca, gdy jedna z istot, które stworzył, próbuje go zaatakować – mruknął doktor Prethorius. – Naprawdę smutne. Wiązałem z Okazem 313 wielkie nadzieje. No cóż. Za to potraktuję ją sporą dawką kwasu.

Znowu odwrócił się do Maxa i zaczął energicznie wykopywać go z ziemi. Miał w oczach wściekłość. Ziemię odrzucał tak daleko, jak tylko mógł, sypiąc ją na inne rośliny.

Max nigdy nie czuł takiego przerażenia. Otwierał i zamykał liście pułapki, myśląc, że teraz już nie ma żadnego znaczenia, czy doktor zezłości się też na niego. Prethorius jednak trzymał się w bezpiecznej

odległości i Max nie mógł go osiągnąć.

Jenny nieruchomo leżała za doktorem.

– Oni wszyscy śmiali się ze mnie – mamrotał doktor. – Kiedy wyhodowałem największą na świecie dynię, o tak, wtedy mnie wychwalali, ale jak zrobiłem z niej największy na świecie lampion na Halloween, nazwali mnie wariatem! Pytam was, czy szalowiec zdołałby wyhodować drzewo czereśniowe, którego owoce zawierają śmiertelną truciznę? Czy wariat mógłby stworzyć trawę o źdźbłach tak ostrych, że odcinają palce?

Kopał z coraz większym zapamiętaniem.

Biedna Jenny. Nie powinna próbować mnie ratować, myślał Max.

Pochylił się do przodu, gdy kolejna gruda ziemi została usunięta spod jego korzeni. Wtedy zauważył, że Jenny powoli się podnosi.

Nie rób tego!, zawołał do niej. *On cię zabije! Dla mnie już i tak nie ma nadziei!*

Jenny stanęła sztywno wyprostowana. Próbowała jak najbardziej się naprężyć.

Co ty robisz?

Bądź cicho. Nie mogę się skoncentrować.

Nic nie rób!

Bądź cicho!

Spod korzeni Maxa została usunięta następna łopata ziemi. Max pochylił się jeszcze niżej, wisiał już nad podłogą pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Zaczął sobie wyobrażać, co będzie czuł, gdy zostanie polany żrącym kwasem.

Tymczasem wszystkie liście Jenny ciasno przylegały do łodygi. Ciągłe naprężała się, naprężała, naprężała...

Nagle jeden z jej korzeni wysunął się z ziemi.

Potem drugi.

I trzeci.

Zdumienie Maxa przewyższyło strach, gdy Jenny wyciągnęła wszystkie swoje korzenie i przesunęła się krok do przodu.

Łopata usunęła kolejną grudę ziemi koło Maxa, a on pochylił się jeszcze gwałtowniej i niemal uderzył o podłogę.

– Co lepiej podziała? – zastanawiał się doktor Prethorius. – Kilka kropel kwasu, żeby trwało to dłużej, czy lepiej wylać od razu całą butelkę...

W tym momencie krzyknął przeraźliwie i upuścił łopatę. Liście Jenny zamknęły się na jego nodze.

Wyprostowała się jak struna. Doktor zadyndał głową w dół. Bezskutecznie się szamotał, bo nie był w stanie się uwolnić.

– Puść mnie! – wrzeszczał. – Jestem twoim panem! Puść mnie! Proszę, proszę, proszę...

Wypuścić go?, zapytała Jenny.

Raczej nie.

Ja też tak myślę.

Kocham cię, Jenny.

Jesteś dobrym przyjacielem, Max. Zjemy go razem?

Tak.

Trzasnęła doktorem o podłogę, ale to nie uciszyło jego wrzasków. Potem przeciągnęła go w stronę Maxa. Ramię doktora Prethoriusa znalazło się pod liśćmi Maxa wiszącego nad podłogą. Max szybko je odgryzł.

Zjedz jego głowę, zaproponowała Jenny, robiąc krok naprzód.

Doktor przestał wyc, gdy podzielili go na dwie części.

Dziękuję, powiedział Max.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

Coś nie tak?, zapytał Max.

Chyba nie potrafię wsadzić cię do ziemi.

No tak.

Przepraszam.

W porządku.

Ale mogę dostarczać ci ludzi. Będę wychodzić ze szklarni i przynosić tylu, ilu zechcesz. Będziesz jadł, aż wyzdrowiejesz.

Byłoby dobrze.

Cieszyli się wspólnym posiłkiem. Doktor smakował lepiej niż ludzie, których do tej pory zjedli. Być może jego szaleństwo sprawiło, że mięso wydawało się delikatniejsze.

Max wiedział, że chociaż Jenny darzy go tylko przyjaźnią, a nie miłością, będzie szczęśliwy bardzo, bardzo długo.

Przełożyła Małgorzata Winkler-Pogoda

Tananarive Due

Jeziro

Nowa nauczycielka angielskiego w Liceum Graceville została wybrana z należytą starannością, otrzymawszy wysoką rekomendację zarządu Akademii Blake'a w Bostonie, której poświęciła dwanaście lat swojej wybitnej kariery. Nie stwierdzono żadnych uchybień w jej zachowaniu, które pozwoliłyby przewidzieć nieprawdopodobne wydarzenia minionego lata. Fragment wewnętrznej notatki służbowej Liceum Graceville Graceville, Floryda Abbie LaFleur była outsiderką, bostonką w trzecim pokoleniu, nikt więc nie ostrzegł jej, jak wygląda lato w Graceville. Zauważyła wymowne spojrzenia i uniesione brwi, gdy wspominała, że zamierza przeprowadzić się w czerwcu, by zatrudnić się na czas letniej szkoły przed rozpoczęciem jesiennego semestru. Wyszła jednak z założenia, że zdziwienie wynikało z powszechnego mniemania, iż nikt przy zdrowych zmysłach nie jechałby na Florydę, nawet północną, w ociekające wilgocią lato.

Trzeba powiedzieć, że Abbie LaFleur wyśmiałaby wszelkie opowieści jako przejaw hysterii i urojeń. W Graceville było to typowe doświadczenie z nowo przybyłymi, więc mieszkańcy nauczyli się dyskrecji w kwestii własnych historii.

Abbie sądziła, że znalazła w Graceville wymarzoną pracę. Nowy początek. Jak tylko wyszła z samolotu na lotnisku Tallahassee, jej okulary natychmiast zasłzy mgłą od przemoczonego deszczem pasa startowego. Potwierdziło się jej przekonanie, że podróż będzie prawdziwą przygodą, wyprawą godną legendarnego lądowania Ponce de Leóna w St. Augustine.

Rodzice i najlepsza przyjaciółka Mary Kay ostrzegali ją, by z kupnem nieruchomości odczekała przynajmniej rok – „To wszystko takie pochopne. A jeśli szkoła ci się nie spodoba? Kto by chciał zostać z nieruchomością na prowincji, gdy rynek jest w takim dołku?” – ale Abbie zakochała się w białym domu kolonialnym nad brzegiem jeziora, sprzedawanym bezpośrednio przez właściciela za sto pięćdziesiąt tysięcy. Kupiła go po pobieżnym obejrzeniu – zbyt pobieżnym, jak się miało okazać – lecz ze swoimi trzystoma metrami kwadratowymi był największym, w jakim kiedykolwiek mieszkała.

Meblami nie zapełniła całej przestrzeni. Dom miał duży potencjał pomimo licznych wad.

Dom, pomyślała, który był taki jak ona sama.

Wbudowane w ściany półki na książki w pokoju florydzkim były zapadnięte. (Nie wiedziała, że na salon można mówić „pokój florydzki”, ale najwyraźniej można było, więc tak robiła). Parkiet na werandzie z tyłu domu skrzypiał i drżał, przemoczony od letnich opadów deszczu. Musiała od razu położyć nowe kafelki w kuchni, ponieważ ponura brązowa podłoga przyprawiła ją o zły nastrój już pierwszego ranka.

Ale w szkole będą chłopcy, myślała. Silni i nieustrudzeni chłopcy, którzy pomogą jej we wszystkich niezbędnych naprawach. Z doświadczenia wiedziała, że zawsze znajdą się chłopcy gotowi pomóc.

No i jezioro! Dom tak naprawdę stanowił tylko wymówkę do kupienia kawałka jeziora wraz z cienkim pasmem czerwono-brązowego piasku, w którym ona widziała plażę, choć był zbyt wąski nawet na jeden leżak, ustawiony tam przez nią niczym flaga. W miejscu, w którym jezioro spotykało się z jej małą plażą, woda miała mętny kolor gleby, ale z oddali widać było serce akwenu o barwie głębokiego zielonkawego granatu, jak ocean. Taflę mąciły kręgi i bąble sumów i leszczy, które co jakiś czas wyskakiwały nad powierzchnię, jakby zachęcając ją, by zarzuciła wędkę.

Gdyby nie rój komarów uczujących na jej łydkach i brzęczących swoje nieustające skargi, Abbie mogłaby jeszcze kilka godzin stać ze stopami w ciepłej wodzie, nie pamiętając o znajdującym się za nią domu. Delikatny plusk wody był medytacją, którą rodzice i Mary Kay zawsze jej polecali, melodią kojącą nerwy.

Co za odosobnienie! Prawdziwy skarb. Jej działka była otoczona lasem cienkich sosen, w zasięgu głosu nie stał żaden inny dom. Gdyby ktoś postanowił ją szpiegować, potrzebowałby lornetki i dobrego powodu, jako że najbliższe zabudowania leżały po drugiej stronie jeziora – nieszkodliwe domki dla lalek na bezimiennym osiedlu, na którym z pewnością mieszkali jacyś jej uczniowie. Jezioro było szerokie jak Nil i skutecznie chroniło ją przed zazdrosnymi szeptami.

Jakby chcąc udowodnić sobie nowo nabytą wolność, Abbie nagle zdjęła postrzępione dzinsy, które włożyła wcześniej do rozpakowywania pudeł, ściągnęła T-shirt i przewiesiła ubranie przez poręcz

leżaka. Pomyśleć tylko: stała nago na własnym podwórku. Gdyby widzieli ją sąsiedzi, już teraz wywołałaby skandal, a jeszcze nie zaczęła uczyć.

Kiepska była z niej pływaczka – w wodzie woląa czuć pod nogami solidny grunt – ale w klapkach chroniących przed niewidocznymi kamieniami nabrała dostatecznej odwagi, by pozwolić jezioru objąć swoje kolana, potem uda. Poczwała delikatne muśnięcia wody między nogami, lekki masaż nurtu na brzuchu i wreszcie płynną pelerynę wokół ramion. Zejście było stopniowe i łagodne, bez nagłych uskoków, które mogłyby ją wystraszyć. Po raz pierwszy od lat Abbie czwała się naprawdę bezpieczna i szczęśliwa.

Miała tu wszystko, czego oczekiwała od Graceville: nową pracę, nowy dom, nowe jezioro, nowy początek. Przez cały tydzień poprzedzający letnią szkołę Abbie kąpała się codziennie, zanurzając się o zmierzchu w swoim sanktuarium, nienękana przez komary.

Nikt jej nie powiedział. Ani agent nieruchomości, ani starsza wdowa, którą spotkała tylko raz, podczas podpisywania umowy w biurze notariusza, ani wesoło usposobiona dyrektorka liceum. Nawet przypadkowy nastolatek napotkany w sklepie spożywym mógł ją ostrzec, że absolutnie nie wolno pływać latem w jeziorach Graceville. Sztuczne akwenty nie stanowiły zagrożenia, lecz naturalnych jezior, które kiedyś były bagniskami, należało unikać. Dotyczyło to szczególnie dzieci i kobiet w wieku rozrodczym, czyli też Abbie, bo miała trzydzieści sześć lat. Nie służyło to też mężczyznom mającym skłonności do napadów furii i libacji alkoholowych.

Ponadto absolutnie nie wolno kąpać się w jeziorach Graceville nago, gdy wszystkie szczeliny i słabości są najbardziej odsłonięte.

Patrząc wstecz, Abbie zachowała się nieroztropnie. Ale skąd miała to wiedzieć?

Były mąż Abbie oskarżał ją o nieuleczalną płochliwość i krytykował za niechęć do zanurzania się z rurką, a nawet do pływania z delfinami, nie wspominając już o nurkowaniu z akwalungiem, co on uwielbiał, odkąd skończył szesnaście lat. Świat zamieszkiwali ludzie wody i ludzie lądu; Abbie była silnie związana z frakcją twardej ziemi. Aż do Graceville. I tamtejszego jeziora.

Niedługo po tym, jak zaczęła swoje wieczorne brodzenie, które z czasem przerodziło się w pływanie

pieskiem, a wreszcie w nieporadny kraul przez ciemną taflę, woda pojawiła się w jej snach. Miały one jednak niewiele wspólnego z wieczornym pluskaniem, które – musiała przyznać – było dość nieśmiałe. We śnie szybowała z łatwością głęboko pod powierzchnią, nie myśląc nawet o płucach i oddychaniu. Woda miała barwę ciemnozielonobrazową, niemal czarną, ale wpadające od góry strumienie światła pozwalały Abbie widzieć plankton, algi, kijanki oraz wijące się malutkie stwory, które dobrze znała, choć nie potrafiła ich nazwać. Podwodne sny przenosiły ją w cudowną krainę poplątanych namorzynów pokrytych algami, w las delikatnie wijących się lilii i bagiennych traw. Raz zobaczyła nawet kratkowany blady brzuch krokodyła, który po chwili uciekł, trzepnąwszy ogonem. We śnie nie wywołał w niej strachu. Wręcz przeciwnie, wyczuła (wywęszyła?), że to on się jej boi.

Abbie nigdy wcześniej nie miewała tak żywych snów. Któregoś ranka obudziła się mokra od stóp do głów. Roztrzęsione serce doprowadziło ją do utraty tchu, ale zorientowała się, że materac przesiąknięty jest potem, nie wodą z bagien. A przynajmniej uznała, że to pot. Lęk wydał jej się niedorzeczny i ogarnął ją smutek tak głęboki jak w pierwszych miesiącach po rozwodzie.

Sny zrobiły na niej takie wrażenie, że zadzwoniła do Mary Kay, która prowadziła sennik i podchodziła do tych spraw bardzo poważnie.

– Ta woda na pewno jest bezpieczna? – spytała Mary Kay. – Nie wrzucają do niej żadnych chemikaliów?

– Woda jest idealna – odparła defensywnie Abbie. – Nie martwię się wodą, lecz snami. Są takie...

Abbie rzadko brakowało słów, o czym Mary Kay doskonale wiedziała.

– Co cię w nich przeraża?

– Sny mnie nie przerażają – powiedziała Abbie. – Jest dokładnie na odwrót. Robi mi się smutno, kiedy się budzę. Jakby moje miejsce było pod wodą, a sypialnia była snem.

Mary Kay nie miała jej nic do zaoferowania prócz porady, by poprosiła służby sanitarne

o sprawdzenie wody pod kątem zawartości chemicznej. Abbie poczuła na sobie ciężar dystansu, jaki dzielił ją od przyjaciółki. Kiedyś rozumiały się bardzo dobrze. Potrafiły bez słów dotrzeć wprost do swoich myśli, ale tym razem Mary Kay nie miała pojęcia o tym, jaki kształt i fakturę przybrało życie Abbie. Nikt tego nie wiedział.

Każde wyzwolenie jest samotnością, pomyślała ze smutkiem Abbie.

Na pierwszy dzień szkoły ubrała się praktycznie i konserwatywnie.

Przejechała trzy kilometry do budynku liceum, przerobionego z dawnego banku, kamienicy z czerwonej cegły w centrum Graceville, i wtedy poczuła swędzenie między palcami stóp.

– LaFleur – powiedziała dyrektorka, idąc obok Abbie w stronę przydzielonej jej klasy, gdzie miała prowadzić kurs, który nazwała „Twórczość i literatura”. Jej południowy, nosowy głos zdawał się dodawać sylabę do każdego słowa. – Skąd to nazwisko?

Abbie nie dała się nabrać na tę nieporadną próbę odgadnięcia jej przynależności etnicznej, gdyż nie trzeba być ekspertem od etymologii, by wiedzieć, że LaFleur pochodzi z francuskiego. Tak naprawdę Loretta Millhouse chciała wiedzieć, czy przodkowie Abbie pochodzili z Haiti, czy z Martyniki. W ten sposób próbowała wytłumaczyć jej ciemną cerę i kręcone brązowe włosy zaczesywane w ciasny kok.

Swędzenie między palcami stało się tymczasem tak nieznośne, że Abbie miała ochotę zrzucić czółenka. Spowodowana tym irytacja zakradła się do jej głosu.

– Moja babka wyszła za Francuza w Paryżu po drugiej wojnie światowej – powiedziała. – Nazywał się LaFleur.

Cała reszta nie powinna obchodzić dyrektorki. Większość życia Abbie nie powinna nikogo obchodzić.

– Aha – odparła dyrektorka radosnym głosem, ale Abbie widziała, że kiepski efekt jej wścibstwa mocno ją rozczerował. – No cóż, jak mówiłam, bardzo się cieszymy, że pani dołącza do nas. Tylko jeden z otrzymanych przez nas listów nie był całkowicie pochlebny...

Serce Abbie zamarło i na chwilę zapomniała o swędzących stopach. Sądziła, że wszyscy jej krytycy postanowili milczeć, gdyż w przeciwnym razie na pewno nie dostałaby tej pracy.

Millhouse poklepała ją po ramieniu.

– Ale proszę się nie martwić. Płynięcie pod prąd jest u nas dobrze widziane. – Słowo „płynięcie” przyprawiło Abbie o dreszcz. – W naszym liceum cenimy niezależnie myślących. To główny powód, dla którego chciałam panią zatrudnić. Bo tak między nami, jak można krytykować twórczy umysł?

Ostatnie słowa dyrektorka wypowiedziała konspiracyjnym tonem, nachylając się do ucha Abbie, jakby posiadanie twórczego umysłu było chorobą. Tymczasem przez głowę Abbie przepływało tysiąc myśli na sekundę. Krytyczny list musiał przysłać Johanssen, wicedyrektor w Blake, który przykleił jej etykietkę „kłótlivej”. Mary Kay podsłuchiwała, że prywatnie nazywał ją suką, choć na piśmie tak by jej nie określił. Co mogło oznaczać wyznanie Millhouse? Czyżby miała zwyczaj maskowania krytyki pozorem komplementu? A może za błyskiem jej zielonych oczu kryła się wspólna dla nich obu tajemnica?

– Niech pani nie traktuje tej grupy zbyt pobłażliwie – powiedziała Millhouse, gdy dotarły pod salę 113. – Są w niej sportowcy, którzy szukają łatwego zaliczenia, żeby tylko zostać w drużynie. Niech się postarają.

I faktycznie, gdy Abbie weszła do klasy, stanęła naprzeciwko grupy atletycznie zbudowanych chłopców. Graceville było liceum koedukacyjnym, ale na dwadzieścioro uczniów tej klasy przypadło tylko pięć dziewczyn.

Abbie się uśmiechnęła.

Stało się jasne, że remont domu nie potrwa długo.

Abbie lubiła zaczynać od Thomasa Hardy'ego. *Juda nieznany*. Ta książka zawsze rozsadzała nastoletnie głowy swoją szczerością i niekonwencjonalnością. Inni nauczyciele wciskali im w gardła konformizm, a ona zamierzała uczyć ich buntu.

Rzędy ławek nie będą szpeci jej klasy, oznajmiła. Usiądą w kółku. Nie będzie wykladała, ale zachęcała ich do rozmowy. Będą dyskutować o lekturach, czytać swoje dzienniki i wiersze. W niektóre dni, powiedziała im, zaskoczy ich graniem muzyki, a oni będą pisać, co im przyjdzie do głowy.

Na twarzach połowy malowała się ulga. Reszta była śmiertelnie przerażona.

Wyczytując nazwiska z dziennika, Abbie przyglądała się ich twarzom, oceniając, którzy najbardziej się przydadzą w ciągu lata. Jak zawsze od razu odrzuciła wszystkie dziewczyny. Większość była zbyt wątła i rozpieszczona albo też zbyt ciężka, by wiedzieć cokolwiek o pracy fizycznej.

* * *

Ale chłopcy... Chłopcy to inna historia.

Spośród piętnastu na pierwszy rzut oka tylko trzech się nie nadawało – mieli zapadnięte klatki piersiowe, piskliwe głosy i twarze pokryte trądzikiem. Z trudem przychodziło jej patrzeć na nich.

Pozostało dwunastu do rozważenia. Słuchała uważnie, gdy podnosili ręce, by opisać swoje marzenia

i nadzieje. Szukała w ich oczach błysku dojrzałości, której potrzebowała. Pięciu czy sześciu uciekało przed nią wzrokiem, wlepiając go w blaty ławek. Do niczego.

Zatem zostało już tylko sześciu. Kilku grało w koszykówkę, a jeden był futbolistą, rozgrywającym. Millhouse nie żartowała, gdy mówiła, że ta grupa będzie kopalnią zdesperowanych sportowców. Futbolista, Derek, miał ciemne włosy i wyjątkowo głęboki dołek w podbródku. Siedział pod kątem, z nogami skrzyżowanymi w kolanach, jakby ławka już teraz była dla niego za mała. Nie jękał się, gdy mówił. Nie robił długich pauz. Swoją przyszłość miał na końcu języka.

– Przepraszam – przerwała mu. – Nie dosłyszałam, Derek. Ile masz lat?

Nawet nie mrugnął. Jego ciemne oczy czuły się na niej jak u siebie w domu.

– Szesnaście, proszę pani.

Szesnaście to dobry wiek. Dojrzały wiek.

Nauczycielka powinna być ostrożna w doborze ucznia, którego chce zaprosić do domu. Wyolbrzymione relacje zdawane w przebieralni mogą zniszczyć kilka lat życia młodej kobiecie. Abbie знаła takie przypadki. Na zawsze zrujnowane kariery. Ale ten Derek...

Derek był chodzącym potencjałem. Nagle przyłapała się na tym, że powtarza grę dyrektorki, przyglądając się oliwkowej cerze chłopaka i jego ciemnym rysom, próbując odgadnąć, czy jego kruczoczarne włosy dowodzą indiańskich czy latynoamerykańskich korzeni. Przez półtorej godziny jej wzrok powracał do niego raz za razem.

Chłopak nie wyglądał na zawstydzonego. Przywykł do podobnych reakcji na swój wygląd.

Abbie podjęła decyzję jeszcze przed dzwonkiem, ale nie powiedziała Derekowi ani słowa. Jeszcze

nie. Miała mnóstwo czasu. Lato dopiero się zaczęło.

Wychodząc spod prysznic, zdała sobie sprawę, że okropne swędzenie ustało. Przez trzy dni smarowała miejsca między palcami najróżniejszymi maściami, ale żadna nie pomagała, a niektóre tylko wzmagaly pieczenie.

Teraz ból minął.

Stojąc nago, Abbie oparła stopę na materacu łóżka, by się jej przyjrzeć. Od razu zrozumiała, skąd swędzenie. Między palcami wyrosły cienkie błony bladej skóry. Same palce też zmieniły kształt, oddalając się od siebie, by zrobić miejsce dla błon. Poza tym chyba zrobiły się dłuższe.

Nic dziwnego, że buty tak ją dzisiaj uciskały. Normalnie nosiła ósemkę, ale stopy wyglądały, jakby urosły o dwa rozmiary. Widok tak zmienionych stóp dziwił, lecz jej nie przestraszył, jak pewnie stałoby się, gdyby dalej mieszkała w Bostonie, przywiązana do starego życia. Nowa praca, nowy dom, nowe stopy. Logiczna symetria kryjąca się w tej zmianie przeważała nad wszelkimi wątpliwościami i troskami.

Abbie omal nie zadzwoniła do Mary Kay, ale w końcu się rozmyśliła. Niby co mogła powiedzieć jej przyjaciółka oprócz tego, że powinna była oddać wodę do badania?

Zamiast tego poszła, wciąż naga, do kuchni, klapiąc stopami o brzydką podłogę głośniejsz niż zwykle. Otarła ręką o bok i syknęła nagle z bólu, którego się nie spodziewała. Zdała sobie sprawę, że swędzenie zmieniło lokalizację.

Zatrzymała się w jaskrawym świetle lampy, by przyjrzeć się klatce piersiowej. Okazało się, że pojawiła się tam dziwna wysypka. Doskonale, pomyślała. Życie to niekończąca się seria wyzwań. Wzięła głęboki wdech, a zaczerpnięte powietrze było gorące i rzadkie. Skóra na jej żebrach skurczyła się. Abbie zatęskniła za jeziorem.

Wyszła przez tylne drzwi i pobiegła przez podwórko w kierunku połyskującej czarno wody.

Zapomniała o klapkach, ale podeszwy jej stóp były mniej wrażliwe, jakby pokryte grubą skórą.

Nie wahała się ani przez chwilę. Nie brodziła. Zanurkowała jak węgorz i z łatwością węgorza płynęła. Czy ja śnię?

Jej oczy przyzwyczyły się do braku światła i błyskawicznie złapały ostrość. Nigdy wcześniej nie widziała głębin swojego jeziora, a tymczasem przypominały bagnisko z jej snów. Czyżby to były te same miejsca? Swędzenie boku ustąpiło miejsca przyjemnemu masażowi i Abbie poczuła pod każdym żebrem otwierającą się w skórze długą szparę. Tulila ją i kołysała ciepła woda. Jej nos, krtań i usta stanowiły bezużyteczne odległe wspomnienie. Dlaczego nigdy nie przyszło jej do głowy, by wdychać wodę?

Ciekawość przywiodła krokodyla dostatecznie blisko Abbie, by się jej przyjrzeć, ale gad szybko zrozumiał swój błąd i próbował uciec. Za późno. Instykt Abbie, nakarmiony wodą, przydał jej szybkości i siły, więc puściła się za krokodylem. Jedną ręką chwyciła go za gładki ogon, a drugą objęła wijący się tułów jak kochanka. Nie pamiętała, żeby go gryzła lub rozszarpała pazurami, lecz którąś z tych rzeczy musiała zrobić, bo nagle woda spłynęła czerwienią.

Krew wystraszyła Abbie, która obudziła się w przemoczonej pościeli. Jej płuca falowały gwałtownie, jakby nieprzygotowane na konieczność oddychania, i początkowo wydawało jej się, że nie potrafią nabrać powietrza. Przyjrzała się paznokciom, palcom i skórze w poszukiwaniu krwi, ale niczego nie znalazła, jej płuca uspokoiły się nieco.

Kolejny sen. Oczywiście. Jak mogła pomylić go z rzeczywistością?

Z irytacją stwierdziła, że na żebrach wciąż ma bolesną wysypkę, a do tego długie linie jak świeże, zainfekowane skaleczenia.

Na szczęście stopy pozostały bez zmian. Wciąż miały cudowne nowe błony i większy rozmiar. Były dłuższe niż w ostatnim śnie. Abbie wiedziała, że będzie musiała się szybko ubrać. Przed lekcjami zamierzała pójść do sklepu i kupić kilka nowych par butów.

Po zajęciach Derek został w klasie. Wcześniej napisał wiersz oparty na prawdziwym zdarzeniu, które wywarło na nim silne wrażenie. Chłopiec w Naples umarł na boisku w trakcie treningu

futbolowego. „Zanim sprawdziło go życie”, napisał Derek w ostatnim wersie. Jedna z dziewcząt, Riley Bowen, otarła łzę z oka. Riley Bowen zawsze wpatrywała się w Dereka, jakby był odpowiedzią na wszystkie jej modlitwy, jednak on nigdy nie odwzajemniał tych spojrzeń.

A teraz stał nad biurkiem Abbie, wysoki na prawie metr osiemdziesiąt, po raz pierwszy od początku tygodnia z głową pochyloną w zawstydzeniu.

– Skłamałem, kiedy mnie pani pytała o wiek – powiedział, gdy stało się jasne, że Abbie czeka, aż on się odezwie.

Już wcześniej wiedziała. Zajrzała do jego akt i zobaczyła na własne oczy, ale postanowiła poznać się nad nim.

– To ile masz lat?

– Piętnaście – odparł kwaśno. – Do marca.

– Dlaczego skłamałeś?

Derek wzruszył ramionami w nastoletnim geście, który wywołał w Abbie bezgraniczną irytację.

– Nie wierzę, że nie wiesz – powiedziała. – Słyszałam twój wiersz. Widzę, że jesteś rozważnym chłopakiem. Nie skłamałbyś pierwszego dnia, gdybyś nie miał powodu.

Znów odnalazł pewność siebie i podniósł głowę.

– No dobrze. Przeskoczyłem drugą klasę, więc jestem o rok młodszy od wszystkich. Zawsze mówię, że mam szesnaście lat. Nie zrobiłem tego dla pani.

Intrygowała ją jego wewnętrzna walka. Nie był typem człowieka, który daje sobą pomiatać.

– Ale teraz jesteś tutaj i odsłaniasz swoją duszę. Dla kogo to robisz?

Jego twarz rozluźniła się nieco i pojawił się na niej półuśmiech.

– Sama pani mówiła, że tutaj mówimy prawdę. No więc mówię prawdę.

Nie dało się ukryć. Ona też postanowiła czymś się z nim podzielić.

– Kupiłam duży dom nad jeziorem – powiedziała. – Możliwe, że wbrew rozsądkowi.

– Ten stary, przy McCormack Road?

– Znasz go?

Wzruszył ramionami. Znów ten okropny gest.

– Wszyscy go znają. Pani McCormack uczyła w szkółce niedzielnej w kościele Chrystusa Zbawiciela. Czyli się wyprowadziła, tak?

– Do siostry w... Quincy?

Na południe od Bostonu leżało miasteczko o tej samej nazwie, tylko dlatego ją zapamiętała. Jej umysł przepełniały zbędne myśli maskujące dziwne porywy serca. Czyżby bała się przełożonych do tego stopnia, że gotowa była zostawić swój dom w ruinie?

– Tak, Quincy jest jakąś godzinę, półtorej stąd... – mówił Derek jednostajnym głosem, który nudził nawet jego samego.

Rozmawiali o niczym. Czekali. I oboje wiedzieli, że czekają.

Abbie klasnęła dłońmi, wyrywając ich rozmowę z transu.

– Stary dom to same problemy. Trzeba naprawić werandę, położyć nowe kafelki w kuchni. Nie stać mnie na prawdziwych speców, więc szukam ludzi do pracy...

Policzki Dereka poróżwiały.

– Ja i mój tata zbudowaliśmy rok temu drewnianą chatę. Nieźle sobie radzę z drewnem. Nowe deski i te rzeczy. Na werandę.

– Naprawdę?

Abbie skarciła się w duchu za ten dziewczęcy wybuch entuzjazmu, jakby usłyszała, że w wakacje wdrapał się na Mount Everest.

– Mogę się przydać, jeśli... kupi pani materiały.

– Nie zapłacę ci dużo. Przyjedź do mnie po szkole i zobacz, czy będziesz w stanie mi pomóc.

Ostentacyjnie spojrzała w stronę otwartych drzwi sali, patrząc na płynący korytarzem potok uczniów.

– Ale wiesz, Derek, ludzie czasem błędnie interpretują takie sytuacje. Jeśli powiesz komuś, że idziesz do domu nauczycielki...

Teraz jego twarz była już jasnoczerwona.

– No nie, nikomu nie powiem. Poza tym z trenerem Reedem ciągle chodzimy na ryby. Tutaj to nic takiego. Pewnie w Bostonie jest inaczej.

Im dłużej mówił, tym pewniej się czuł. Ostatnie zdanie zawierało domyślne mrugnięcie okiem.

– No tak, masz rację – odparła i uśmiechnęła się, przypominając sobie o swoich nowych stopach. – Tutaj nic nie jest takie jak w Bostonie.

Tak oto Abbie sprawiła, że Derek Voorhoven kilka dni w tygodniu po lekcjach remontował jej dom, kiedy tylko znajdował czas po treningach i przed zmierzchem. Abbie wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie będzie go za to traktowała w uprzywilejowany sposób na lekcjach, więc musi poprawić swoją potworną ortografię. Ale Derek był pracowity i nie narzekał. Żadne zadanie nie wydawało mu się zbyt trudne czy zbyt łatwe. Chętnie pisał się na szorowanie, polerowanie i kładzenie kafli w zamian za kilka dolarów, rozmowy o zadanych lekturach oraz prawo do łowienia ryb w jeziorze, bo jego zdaniem w jego północnej, cichszej części żerowały sumy.

Zgodnie z obietnicą nie powiedział o tym nikomu w liceum, lecz któregoś dnia zapytał, czy od czasu do czasu nie mógłby mu pomagać jego kuzyn Jack. Gdy przyprowadził przysadzistego, piegowatego chłopaka, by go przedstawić, Abbie wyraziła zgodę. Jack miał zaledwie czternaście lat, ale był silny i potulny. Poza tym chodził do szkoły państwowej, więc nie stanowił dużego ryzyka. Mimo iż chłopcy często między sobą żartowali, obecność Jacka nie spowolniła pracy Dereka, więc obydwaj byli stale obecni w jej domu jeszcze w lipcu. Abbie lubiła przyrządzać im lemoniadę i ciastka z białej czekolady i orzechów. Każdy dzień utwierdzał ją mocniej w przekonaniu, że dobrze zrobiła, wyjeżdżając z Bostonu.

Nigdy nie powiedziała Mary Kay o wizytach chłopców i o pracy, którą dla niej wykonywali. Choć przyjaciółka pewnie by jej nie skarciła, Abbie chciała zachować nowe życie dla siebie, jako sekret, który wyjawia, dopiero gdy poczuje się na to gotowa. Wtedy powie: „Nigdy nie zgadniesz, jak sprytnie załatwiłam sobie remont domu”, ale będzie miała to doświadczenie już dawno za sobą. Mary Kay będzie jej zazdrościć, pożałuje, że sama na to nie wpadła, zamiast wydawać fortunę na ogrodnika i czyszciciela basenu.

Abbie miała też inne powody, by wznieść mur między sobą a ludźmi, którzy ją dobrze znali. Derek i Jack nie mogli dostrzec drobnych, ale też dużych zmian, które jej matka lub Mary Kay zauważyłyby w mgnieniu oka i które zwróciłyby nawet uwagę jej ojca.

Matka oczywiście od razu zobaczyłaby większy rozmiar butów, rybiobrzuszną bladość na twarzy oraz większą siłę w ramionach i nogach, dzięki której Abbie z taką łatwością podawała chłopcom skrzynki, ciężkie narzędzia i sterty drewnianych desek. Mary Kay zapytałaby o łuszczącą się skórę na karku i o nowe upodobanie do surowizny. Dwa lata wcześniej Abbie odstawiła czerwone mięso, chcąc na nowo się określić po tym, jak rozwód wydrenował ją z poczucia własnej wartości, lecz tego lata pałaszowała steki, łososia i inne ryby niemalże bez gotowania. Ponadto jej głód był nienasycony. Ślina ciekła jej od pierwszych minut poranka, a burczący brzuch spędzał w nocy sen z powiek.

Największy głód odczuwała, gdy byli u niej Derek i Jack, ale ukrywała to przed nimi i przed sobą.

Kąpiele o zmierzchu zamieniły się w kąpiele wieczorne, a bywały noce, gdy kompletnie traciła poczucie czasu i niebo zaczynało już różowieć, gdy ona dopiero wynurzała się z wody, by rozpocząć kolejny dzień tęsknoty za jeziorem. Udawało jej się oprzeć pokusie zaproszenia chłopców do wspólnej kąpieli.

Jednak w ostatni piątek lipca, na tydzień przed końcem letniego semestru, Abbie straciła cierpliwość.

Tego dnia doskwierał jej wyjątkowy głód, którego nie były w stanie zaspokoić zapasy kuchenne. Graceville przeżywało rekordowe upały, temperatura oscylowała wokół 45°C, więc gdy chłopcy zjawili się o wpół do szóstej, Abbie była zlana potem i rozdrażniona. W dodatku okrutnie dręczona przez swędzenie. W przeciwieństwie do stóp szczeliny między żebrami nie dawały jej spokoju ani na

chwilę, gdy była na łodzi. Miała tak fatalny nastrój, że chciała poprosić chłopców, by dali sobie spokój z malowaniem odnowionej werandy i przyszli kiedy indziej.

Gdyby tylko tak zrobiła, uniknęłaby skandalu.

Abbie poszła na tył domu, by przyrzeć się ruchom pędzli i wałków, którymi Derek i Jack zamieniali werandę ze szkaradzieństwa w coś z pocztówki ze Starego Południa. Ze względu na upał obydwaj zdjęli koszulki, odsłaniając rumiane barki i plecy, których mięśnie prężyły się we wściekłym świetle „magicznej godziny”. Efekt zawstydziłby Normana Rockwella – Derek z ciałem futbolisty i Jack obrośnięty młodzieńczym tłuszczem i obsypany piegami.

– Dlaczego tu przychodzicie? – spytała.

Obydwaj przerwali pracę wystraszeni jej głosem.

– Słucham? – odezwał się Jack, marszcząc brwi w niemal komicznym niezadowoleniu. – Płaci nam pani, prawda?

Dziesięć dolarów za dzień trudno było nazwać zapłatą. Derek podzielił się hojnie swoimi dwudziestoma dolarami, mimo iż jego kuzyn więcej mówił, niż pracował, bez przerwy nawijając o letnich hitach kinowych i tancerkach z teledysków. Abbie żałowała, że pozwoliła Derekowi przyprowadzić tu Jacka, i chętnie wymyśliłaby jakiś powód, by się go pozbyć. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Nagła fala frustracji zmoczyła jej oczy szczypiącymi łzami.

– Za wiele wam nie płacę – powiedziała.

– To fakt – odparł Derek.

Czyżby jego głos się obniżył w ciągu zaledwie kilku tygodni? Czyżby i Derek przechodził odmianę?

– Ja tu przychodzę, żeby móc łowić sumy. Możemy skończyć za dwadzieścia minut? Mam w samochodzie wędkę i wątróbki drobiowe.

– Możecie skończyć już teraz – uznała.

Udawała, że ocenia efekty ich pracy, ale nie mogła skupić wzroku na wzorzystej powierzchni malowanego drewna.

– Idźcie łowić ryby. Ja idę pływać. Dobry sposób na zmycie z siebie upalnego dnia.

Odwróciła się i odeszła dobrze sobie znanym szlakiem, jaki jej stopy wydeptały w rzadkiej trawie aż po piasek nadbrzeża. Planowała poprosić Dereka i Jacka, by przed nadejściem jesieni położyli tam darninę, choć może się to już nie zdarzyć.

Abbie zdjęła koszulkę, wieszając ją nonszalancko i bez pośpiechu na oparciu leżaka. Nie odwróciła głowy, ale czuła spojrzenia chłopców na swoich nagich plecach. Rzadko nosiła biustonosz. Miała niewielkie piersi, więc nie widziała sensu w kupowaniu staników. Była to kolejna rzecz, którą wytykał jej Johanssen. Jej stopy wbiły się w piasek, szukając wilgoci.

– Nie musicie mieć kąpielówek – powiedziała. – Moje podwórko jest osłonięte. A we wspólnej kąpeli trojga znajomych nie ma nic zdrożnego.

Wydawało jej się, że słyszy ich dyszenie, lecz być może odgłos ten wydawały jej płuca, które szykowały się do oddania władzy. Promienie słońca były nie do zniesienia na gołej skórze Abbie. Boki paliły ją jak ogień, gdy szczeliny między żebrami zaczęły się otwierać niczym spuchnięte płatki róży.

Chłopcy nie odpowiedzieli. Prawdopodobnie nawet się nie ruszyli. Ale początkowo wcale się tego po nich nie spodziewała.

Jedna po drugiej uwolniła nogi z dżinsów, stojąc pod dyskretnym kątem, by ukryć większość nagości, jak Wenus Medycejska. Nie chciała, by zobaczyli skrzela i szorstkie części pokrytej łuskami skóry. Nie miała ochoty odpowiadać na pytania. Spędzili tego lata już zbyt dużo czasu na rozmowach. Nie rozumiała, dlaczego dopiero teraz zaprosiła ich do kąpieli.

Wskoczyła, wiedząc doskonale, gdzie jezioro jest dostatecznie głębokie, więc nie zawadziła o kamienne dno. Woda się rozstąpiła, a przestraszone sumy rozpierzchły na wszystkie strony. Świeże mięso rybie smakowało najlepiej. Była to kolejna rzecz, jaką Abbie zrozumiała tego lata.

Gdy wynurzyła głowę z powrotem nad powierzchnię, zobaczyła, że chłopcy gapią się na siebie nawzajem, rozważając palącą kwestię. Pierwszy opuścił werandę Derek, szarpiąc za nogawki dżinsowych szortów, podskakując na jednej nodze. Jack ruszył za nim, ale nie zdjął ubrania. Szedł z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Derek wszedł do wody, jedną dłonią zasłaniając intymne części ciała, aż całkiem się zanurzył. Nie pływał blisko Abbie, lecz trzymał się na dystans co najmniej dziesięciu metrów. Po chwili wyczekującego milczenia zawył tak głośno, że z pewnością było go słychać po drugiej stronie jeziora.

– Łuuu-huuuuuuu! – Derek miał rozpromienioną twarz, jakby pierwszy raz w życiu zobaczył świat w kolorze. – Rewelacja!

Abbie zaburczało w brzuchu. Miała zamiar zapolować na suma. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła taki głód. Było jej aż słabo.

Jack stał w wodzie po kostki, wciąż w spodenkach.

– W lecie nie powinno się kąpać – powiedział ponurym tonem, tak cicho, że ledwo dało się go usłyszeć.

Klepnął się dłonią w kark. Stał w chmarze komarów.

Derek splunął.

– To dotyczy dzieci, głupku.

– Nieprawda. Wszystkich.

– Ile ty masz lat? Sześć? Jak nie chcesz pływać, to spoko. Ale się nie gap, to chamskie.

Przez czas ich wymiany zdań Abbie czuła się niewidzialna. Była bliska podpowiedzenia Jackowi, by nie poddawał się presji, lecz zamiast tego zanurkowała w brązowej wodzie. Młodzi ludzie, zwłaszcza chłopcy, muszą sami podejmować decyzje, jak inaczej mają nauczyć się być mężczyznami? Tak zawsze uważały z Mary Kay. Każdy, kto sądził inaczej, był ofiarą politycznej poprawności. W czasach starożytnych i w innych kulturach chłopak w wieku Jacka miałby już żonę i dziecko.

Wystarczy spojrzeć na Mary Kay. Wszyscy mówili, że jej małżeństwo nie będzie udane, że jej partner jest zbyt młody. Szkalowano ją i karano, a oni oboje to przetrwali. Wspomnienie procesu sądowego jej przyjaciółki sprawiło Abbie ból.

Pozwalając, by woda masowała jej skrzela, wynurzyła się nad powierzchnię; wszystkie myśli i troski o świecie zostawiła na lądzie. Potrzebowała pokarmu, to wszystko. Zamierzała zostawić chłopców, by dokończyli swoją kłótnię, i popłynąć w głąb jeziora, gdzie ukryła się większość ryb.

Ale coś większego przykuło jej uwagę.

Jack, zdała sobie sprawę. Chłopiec zmienił zdanie i pływał teraz przy powierzchni. Jego obfity brzuch niczym księżyc w pełni trząsał się przy każdym ruchu rąk.

To była pierwsza chwila, gdy Abbie poczuła falę strachu, bo wreszcie zrozumiała, do czego przygotowywało ją jej nowe ciało. Stopy ją zdradziły, nadając jej szybkość i popychając w górę, ku wielkiemu posiłkowi. Czuła na łuskach ślizg wody.

Piękna ognista kula światła za pływakiem na sekundę dała jej do myślenia, przypomniała inny czas, inne życie. Łzy, które kilka minut wcześniej szczypały ją w oczy, próbowały teraz ją oślepić, bo nagle zobaczyła, jak to się odbędzie. Zupełnie jak we śnie: rozerwie pazurami brzuch chłopca, jego krzyk będzie stłumiony, jakby dobiegał z oddali. Derek podpłynie bliżej, by sprawdzić, co się stało, by uratować kuzyna przed – tak będzie myślał – krokodylem, a wtedy i on padnie jej ofiarą. Nawet jeśli Abbie nie będzie do tego zdolna, jej nowe ciało już tak.

Krążąc pod chłopcem skąpanym w magicznym świetle, które zdawało się go bronić przed atakiem, Abbie próbowała oprzeć się obezwładniającemu zapachowi pokarmu i przypomnieć sobie, że to przecież bezbronny człowiek. Czyjś ukochany syn. Jak to kiedyś powiedział Derek (tak miał na imię ten drugi?) – malując jej dom albo występując w którymś z jej snów – żadnego z nich nie sprawdziło jeszcze życie.

Ale było lato. W Graceville.

W jeziorze.

Przełożył Piotr Kaliński

Michael Marshall Smith

Ta druga

Kerry mruknęła pod nosem, ale spełniła prośbę stewardesy i zapięła pasy. Nie pierwszy raz leciała nad Atlantykiem, doskonale więc wiedziała, że znak informujący pasażerów o konieczności zapięcia pasów zapala się bardzo wcześnie, aż pół godziny przed lądowaniem. Do rytuałów kultywowanych przez nią podczas podniebnych wojaży (pomijając czytanie instrukcji bezpieczeństwa, wnoszenie na pokład własnego jedzenia i przyjmowanie każdej kropli rozdawanego za darmo alkoholu) należało zapinanie pasów dopiero wtedy, gdy za oknem pojawiał się szary asfalt pasa startowego. Tym razem sytuacja była jednak wyjątkowa. W kabinie leciało aż troje kwilących dzieci, samolot pękał w szwach od pasażerów i brakowało załogi. Wiedziała, że stewardesa, choć usiłuje zamaskować to wyuczonym uprzejmym uśmiechem, jest na skraju załamania nerwowego. Dlatego Kerry posłusznie zrobiła to, o co ją poproszono. Akurat w tym była całkiem niezła.

Unieruchomiona pasami, siedziała ze wzrokiem wbitym w tył znajdującego się przed nią fotela. Podczas ośmiogodzinnego lotu ani na chwilę nie zmrużyła oka, a teraz, kiedy podróż zbliżała się do końca, ogarnęło ją to samo uczucie co zwykle – podszyte pustką i doprawione depresją zmęczenie.

Anglia. Ta przeklęta Anglia...

Jej uszy znowu przeszył znajomy głos niemowlęcia, które z właściwym dzieciom egoizmem dzieliło się swoim dyskomfortem z całym światem. Kerry zdała sobie sprawę, że lot musiał być o wiele gorszy dla matki tego malucha niż dla niej, ale i tak wolałaby, żeby ta kobieta i jej dzieciak lecieli w luku bagażowym. Wyłowiła ze schowka przy fotelu słuchawki firmy Bose. Były horrendalnie drogie, lecz wychodziła z założenia, że muzyki warto słuchać tylko i wyłącznie na najlepszym sprzęcie. Nałożyła je, znalazła na iPodzie album, który kupiła pierwszego dnia pobytu w Stanach, po czym podkręciła głośność prawie do oporu.

Uśmiechnęła się, kiedy pierwsze takty pierwszej piosenki wdarły się do jej głowy. Zamknęła oczy i zaczęła łagodnie kołysać się w fotelu w rytm muzyki. Wycieczka do Waszyngtonu okazała się udaną imprezą. Mało brakowało, a zostałyby w domu; Waszyngton jest cholernie daleko od Londynu. Uznała jednak, że ślub najlepszej przyjaciółki – teraz Kerry została oficjalnie ostatnią panną w gronie

swoich koleżanek – jest dobrą wymówką, żeby wyrwać się na tydzień z kraju. Tydzień, który zamienił się w jeden długi weekend. Nieliczna, ale wesoła angielska delegacja (głównie stare koleżanki szkolne Diane, których Kerry wcześniej nie znała) zrobiła wszystko, aby porządnie się zabawić na obcej ziemi i pokazać miejscowym, że jeśli chodzi o spożycie alkoholu, Brytole nie mają sobie równych. Udało im się, i to w spektakularnym stylu. Umysł Kerry nadal spowijała mgiełka szóstego kaca z rzędu.

„...and there are aaaiiiiiiii-aiimnGELS!”.

Nagle zdała sobie sprawę, że zaczęła na głos wtórować wokalistce. Otworzyła oczy. Mężczyzna siedzący po drugiej stronie przejścia gapił się na nią z uśmiechem. Wbiła w niego wrogie spojrzenie, aż wreszcie się odwrócił, a potem znowu podkręciła głośność. Akurat zaczynała się druga piosenka. Ponownie przymknęła powieki.

Trafiła na tę płytę przypadkiem. Ściągnęła ją z sieci w Starbucksie, tuż po tym jak kupiła iPoda. Zanim się z kimkolwiek spotkała, zanim zaczęła się impreza. Pobrała jeszcze kilka innych albumów, ale ten najbardziej przypadł jej do gustu. Brzęczące gitary i wrzaskliwe kobiece wokale kojarzyły się jej z muzyką sprzed trzydziestu lat, kiedy oszczędzało się kieszonkowe, żeby kupić najnowszy singiel ulubionej kapeli, po czym biegło się na chatę, żeby puszczać go w kółko, aż do zdercia, na tanim gramofonie, przy okazji doprowadzając rodziców do szału, co było dodatkowym bonusem. W dzisiejszych czasach już nikt nie ma ulubionych zespołów ani płyt, które zna na pamięć. Teraz królują nielinearne playlisty, przemieszane różne piosenki różnych wykonawców. Jeśli ktoś ma odpowiednio zaawansowany wiek, trzyma upchnięte na półce albo porzucone w kącie pokoju przedpotopowe płyty (któryś album Dire Straits, coś Phila Collinsa, coś Bowiego z jego środkowego okresu, jeden ckiwy Vivaldi), kilka kompaktów Oasis albo Chemical Brothers (jako dowód na to, że w latach 90. nadal trzymało się rękę na pulsie) wciśniętych pomiędzy płyty z muzyką elektroniczną (pamiątka po skazanych na klęskę próbach wkręcenia się w słuchanie muzyki klubowej w zaciszu domowym, kiedy nie jest się na haju) oraz krążki, o których istnieniu kompletnie się zapomniało, jak również o powodach ich kupna. Teraz już nikt nie gardzi gustem muzycznym innych ludzi, z wyjątkiem opóźnionych w rozwoju internetowych „recenzentów”, którzy dają jedną gwiazdkę wszystkiemu, co nie pojawiło się w *X-Factor*. Już nikt nie ma odwagi autentycznie czegośkolwiek nienawidzić. Mottem życiowym ludzi jest „lubię to!”. Są pochłonięci informowaniem na Facebooku albo Twitterze, jakiego akurat słuchają utworu, w tej minucie, w tej sekundzie. Prawdopodobnie zakładają, że wszyscy ich wirtualni „przyjaciele” nie mają tego kompletnie w dupie. Wierzą, że te linki do piosenek czy teledysków inni ludzie postrzegają jako przejaw ich osobowości, a nie jako żalną próbę zwrócenia na siebie uwagi w cyfrowej otchłani. W czasach gdy wszyscy noszą w uszach słuchawki, muzyka przestała być czymś, co łączy ludzi.

Przez umysł Kerry zaczęła się przetaczać kolejna piosenka. Kobieta przeniosła się pamięcią do swojego pokoju w hotelu Embassy Suites w Waszyngtonie. Znowu znalazła się w ramionach kogoś, kogo już nigdy nie ujrzy na oczy. Zachowała się jak zła, niegrzeczna dziewczynka, a raczej, bądźmy szczerzy, jak zła, niegrzeczna kobieta. Kiedy koła jumbo jeta zetkną się z angielską ziemią, nie będzie mogła już dłużej ignorować tego faktu. Richard będzie na nią porządnie wkurzony i pewnie długo będzie jej kazał płacić za to, co zrobiła. Poczwała, że lada moment się rozplacze. Podkreśliła głośność do oporu, a jej głowę wypełniły wspomnienia.

Gdy koła samolotu dotknęły ziemi, poczuła lekki wstrząs i usłyszała podwójny głuchy łomot oznaczający bezpieczne, wzorowe lądowanie. Kerry skojarzyło się to jednak z czym innym. Z odgłosem wbijania gwoździ do trumny.

Witamy w kostnicy.

Wyłączyła iPod. Siedziała w bezruchu, jedynie mrugając i oddychając, podczas gdy reszta pasażerów wstawiała z miejsc i z niecierpliwością pchała się w kierunku wyjścia. Trzysta owieczek idących na rzeź Prawdziwego Życia.

W kolejce do kontroli paszportowej stała dłużej niż zwykle. Kiedy wreszcie podała paszport irytująco jowialnemu urzędnikowi, jej nastrój był już fatalny. Może to z powodu poczucia winy wywołanego tym, co zrobiła? Tak czy inaczej powrót do Anglii był dla niej większym ciosem niż kiedykolwiek wcześniej. Wiedziała, że za parę tygodni wszystko wróci do normy. Wpadnie w dobrze sobie znane koleiny, w sam środek losowej konstelacji okoliczności, którą z ogromną niechęcią uznała za swoje tak zwane życie, historię Kerry Jones. A jednak nie chciała, aby jej gniew i depresja ustąpiły, nie chciała potulnie wrócić do zagrody wraz z resztą owieczek. Posłała nienawistne spojrzenie urzędnikowi sprawdzającemu paszporty. Czuła, że facet się do niej przyczepi. A przecież zdjęcie w paszporcie zostało zrobione zaledwie trzy miesiące temu, dzisiaj miała na sobie nawet tę samą marynarkę! Jej obawy się nie sprawdziły. Mężczyzna tylko zerknął na fotografię i rzucił lakoniczne „witamy z powrotem”; jego akcent brzmiał dziwacznie i prowincjonalnie, a przede wszystkim głucho. Gestem dłoni skierował ją w stronę punktu odbioru bagażu.

Witamy z powrotem?

Nie miała ochoty wracać do niczego, co tutaj zostawiła.

Czekała, aż jej torba wyjedzie na taśmie. Poczula głód nikotyny. W czasie tygodnia spędzonego w Waszyngtonie pobiła rekordy w liczbie wypalonych papierosów, a zapasy zrobione w sklepie wolnocłowym nie starczą na długo. Wiedziała, że powinna rzucić palenie. Zamienić się w fankę fitnessu z obsesją na punkcie zdrowego trybu życia, w lepszą wersję samej siebie, która zawsze wydawała się poza jej zasięgiem. Cóż, ta magiczna przemiana na pewno nie nastąpi dzisiaj. Jutro też nie rokuje najlepiej.

Wreszcie doczekała się swojej torby. Zarzuciła ją na ramię i ruszyła w kierunku odprawy celnej. Zwolniła kroku, kiedy zbliżyła się do dwóch korytarzy. Usiłowała w myślach rozstrzygnąć kwestię, która lekko ją niepokoila podczas całego lotu. Nie miała pewności, czy zakupiony w Stanach iPod powinna zgłosić do oclenia, ale koniec końców postanowiła przejść przez korytarz „Nic do oclenia”. Jak zwykle nie powinna mieć żadnych problemów. Nikt jej nie zatrzyma. Wyglądała jak grzeczna dziewczynka.

Nagle wepchał się przed nią jakiś Chińczyk z niebywale ogromną walizką. Wyprzedziła go, nie mogąc się doczekać, aż wydostanie się z lotniska i zacznie ostatni etap podróży, czyli przejazd metrem do Camden. Miała ochotę na kąpiel, herbatę, papierosa, a najlepiej kilka. Nie chciała się z nikim widzieć, z nikim rozmawiać.

– Dzień dobry pani – rzekł stanowczy żeński głos. Kerry poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. – Czy będzie pani tak miła i pójdzie ze mną w tę stronę?

* * *

Pozwoliła się zaprowadzić młodej Szkotce do jednego ze stolików. Poczula falę mdłości wywołaną zmęczeniem i zdenerwowaniem. Przeklinała w myślach swojego pieprzonego pecha.

– A więc – zaczęła kobieta – skąd pani wraca?

– Byłam w Waszyngtonie – odparła Kerry, nasycając swoje słowa maksymalną dawką pogodnej niewinności w nadziei, że samym głosem udowodni, że jest osobą absolutnie niezdolną do łamania prawa.

– Chce mi pani o czymś powiedzieć?

Kerry nagle postanowiła wyznać prawdę.

– Cóż, jest pewna mała rzecz – rzekła, stawiając bagaż na stoliku.

Oczy kobiety nadal miały przyjazny wyraz. Tak jakby.

– Za granicą kupiłam iPoda – rzuciła Kerry lekkim tonem. – Nie wiedziałam, czy powinnam go zgłosić do oclenia.

– Skoro pani nie wiedziała, to powinna była pani wybrać drugi korytarz. Takie zachowanie jest nielegalne. Pani obowiązkiem było zadeklarować wwożony sprzęt.

Kobieta rozpięła walizkę Kerry i zaczęła wykladać jej ubrania na blat stołu. Mijali ją inni pasażerowie, rzucając ciekawskie spojrzenia, w których widoczna była ulga, że ktoś inny, a nie oni, został złożony w ofierze mrocznym bogom kontroli celnej. Kerry patrzyła, jak jej rzeczy osobiste, a razem z nimi jej wspomnienia z wyjazdu, zostają wywleczone na światło dzienne i rozrzucone po stole. Sukienka, którą miała na sobie na wieczorze panieńskim. Kartka, którą podarowała jej Diane, dziękując za to, że Kerry pokonała specjalnie dla niej taki szmat drogi. Pamiątkowa popielniczka, którą zwędziła z hotelu. Na jej widok Kerry zagryzła usta. Przypomniała sobie ich pierwszy dotyk – jej i Johna. To było pewnego wieczoru, dwa dni przed ślubem. Jego dłoń przypadkiem musnęła jej dłoń, kiedy oboje gasili papierosa.

– W jakim celu udała się pani do Waszyngtonu? – zapytała kobieta.

Rozpięła kosmetyczkę Kerry i zaczęła wybebeszać jej zawartość.

– Pojechałam na ślub – zaszczebiotała Kerry.

Nadal usiłowała sprawiać wrażenie osoby godnej zaufania i normalnej. Zaczęła się jednak obawiać, że czymś podejrzanym jest sam fakt, iż obywatel Wielkiej Brytanii zapuścił się do dalekiego Waszyngtonu. Nikt nie raczył jej o tym poinformować. Czowała, że z każdą sekundą wpada coraz głębiej w tę pułapkę.

– Moja najlepsza przyjaciółka wzięła w Stanach ślub. Zostałam zaproszona na wesele.

Kobieta zareagowała na tę informację obojętnością i milczeniem. Wzięła do ręki szampon Kerry i odkręciła zakrętkę. Wydusiła odrobinę płynu z butelki i zmrużywszy jedno oko, zajrzała do jej wnętrza.

– Czego pani szuka? – zapytała Kerry, siląc się na lekki i niewinny ton.

– Narkotyków.

– Och.

Narkotyków, powtórzyła w myślach. Prochów. Dragów.

Poczwała zawroty głowy. Pozwoliła kobiecie kontynuować rewizję. Dała sobie spokój z udawaniem kogoś, kim nie była. W jej umyśle krążyły fragmenty tekstów z płyty, którą знаła już na pamięć. Przyglądała się całej tej sytuacji, próbując sobie wyobrazić, jak by się czuła w tej chwili, gdyby rzeczywiście przemyślała narkotyki albo była terrorystką, a nie chronicznie znudzonym piarowcem

średniego szczebla. Co by się stało, gdyby w którymś momencie ostatnich dwóch dekad, które upłynęły jej pod znakiem mglistej, nijakiej egzystencji, zrobiła nagłą woltę, obrała inny kurs? Na samą myśl o tym poczuła dziwną ekscytację. Zmarszczyła brwi.

Celniczka tymczasem zaczęła rozkręcać tubkę z pastą do zębów...

Dwadzieścia minut później Kerry maszerowała długim korytarzem w stronę metra. Była podminowana i zażenowana. Celniczka koniec końców dała za wygraną i pozwoliła jej opuścić lotnisko z nieoclonym iPodem w kieszeni, choć nie omieszkała wygłosić srogiego kazania, aby to się już więcej nie powtórzyło. Kerry zdziwiła się, że nie zrobili jej choćby powierzchownej rewizji osobistej. A przecież mogła mieć kieszenie kurtki wypchane heroiną, materiałami wybuchowymi albo rzadkimi okazami pingwinów. Żałowała, że niczego nie przemyślała. Konfrontacja z biurokratyczną machiną negatywnie odbiła się na jej samopoczuciu. Czowała się dziwnie, jak wściekły pies spuszczonej ze smyczy. Za dużo nasłuchiwała się płyty w samolocie, bo głowę nadal miała wypełnioną piosenkami. Tak jak śpiewała wokalistka, w jej sercu też zostały już jedynie śladowe ilości cukru. I śladowe ilości wszystkiego innego...

W metrze wyciągnęła z torby notes. Ostatnie strony zapełniła notatkami podczas lotu, gdy reszta pasażerów spała albo oglądała jakiś debilny film. Ona nigdy nie zmrzyła oka w drodze powrotnej do Anglii, ponieważ to były ostatnie chwile, kiedy mogła czuć się dobrze – z dala od domu, od pracy, od Richarda, od wszystkiego. Teraz już jej ostrość widzenia i poczucie wolności zaczynają odpływać. Jutro wróci do pracy, do Whitehead PR, aby dalej marnować życie, przyczyniając się do rosnącej popularności firm produkujących badziewie, którego ludzie zupełnie nie potrzebują. Wróci do mieszkania, wynajmowanego za fortunę, w którym czuje się jak w klatce. Wróci do kraju, w którym jest Richard. Co oznacza powrót do Richarda, bez względu na to, jak od tej pory będą wyglądały ich relacje. Richard, przystojny Richard, właściciel spersonalizowanego BMW, menedżer zarządzający funduszami inwestycyjnymi. Richard, który miał na koncie dwa romanse z wysoko postawionymi menedżerkami zajmującymi się w pracy tym samym co on, a który mimo to miał czelność nadal wypominać Kerry jej jedyną jednonocną przygodę sprzed pięciu lat. Richard, który obecnie w niczym nie przypominał autentycznie zabawnego i czarującego chłopca poznanego na drugim roku studiów. Richard, który nie miał już bladego pojęcia o tym, kim jest Kerry, i rzadko sprawiał wrażenie, że to go w ogóle obchodzi.

A mimo to nie mogła się od niego uwolnić. W jakiś niejasny, beznadziejny, okropny sposób nadal go kochała.

W tej chwili nawet nie byli oficjalnie razem. Zrobili sobie „przerwę”, aby „naładować baterie”. Baterie, które, zdaniem Kerry, już dawno się wyczerpały, raz na zawsze. Wiedziała, że będzie musiała mu powiedzieć o Johnie. Wiedziała, jakie będą tego konsekwencje. Richard nie ułatwi jej sprawy i nie zerwie z nią. Zapisze jedynie kolejny punkt na skomplikowanej tabeli wyników, którą prowadzili, i zostanie w jej życiu jako wypełniacz tła. Nie będzie jej uszczęśliwiał, ale nie odejdzie.

A John? Cichy, spokojny Kanadyjczyk, który natychmiast ją zrozumiał, rozgryzł, jednym uroczym półuśmiechem obudził w niej dziewczynę sprzed dwudziestu lat. Już nigdy się z nim nie spotka. Bo jaki miałoby to sens?

Wylądowała w Londynie zaledwie półtorej godziny temu, a zapiski w notatniku już wydawały się jej bezwartościową pisaniną. „Bądź sobą”, „Pamiętaj, jaka byłaś kiedyś”, „Wsluchuj się w tę płytę”. Wiedziała, co te ulotne impresje oznaczają, ale zdawała sobie również sprawę z tego, że są tylko stratą czasu i marnotrawstwem papieru. W czasie pobytu w USA ta płyta była dla niej tak ważna, gdyż trafiała w samo sedno tego, jak się czuła, pozwoliła jej przeistoczyć się w wyzwoloną, młodszą wersję samej siebie. Wraz z Johnem, alkoholem i haustem wolności piosenki te obudziły w niej nastolatkę, która dużo się śmiała, nosiła jaskrawe ubrania z lat 80. i miała głęboko gdzieś to, co myślą inni ludzie.

Ta nastolatka została jednak na pokładzie samolotu, sama, wpatrując się w mżawkę za oknem. Ta dziewczyna uważała, że serial *Policjanci z Miami* jest cool, nigdy nie słyszała o mailach i eBayu, kupowała wino, bo było tanie jak barszcz, a nie dlatego, że w „Sunday Times” zalecali jego picie.

Tamta dziewczyna nie miała pracy, której nienawidziła, samochodu, o który musiała dbać, przyjaciół, których musiała tolerować, i życia, które musiała znosić. Tamta dziewczyna była martwa; dorastanie pozostawiło z niej mokrą plamę na jezdni.

Miała teraz, do kurwy nędzy, trzydzieści osiem lat.

Nagle Kerry zgięła się wpół. Targnął nią nagły szloch. Nie mogła tak dalej żyć, dryfować ku śmierci w ramach planu B. Nie mogła się pogodzić, że już nic więcej jej w życiu nie spotka. Chciała mieć, jak w tej piosence, *Adonis Blue*, własnego Adonisa, romantycznego i melancholijnego, chciała biegać o północy po ulicach, wyjąc do księżyca i płosząc psy. Nie chciała wracać do związku, w którym zawsze było coś do omówienia, coś do naprawienia, coś do zapomnienia.

Odrzuciła głowę do tyłu i wbiła wzrok w dach wagonu. Dostała zawrotów głowy, jej myśli wirowały, czuła, jak pęka jej serce, a świat rozłamuje się na pół.

Wyskoczyła na stacji King's Cross i wsiadła do pociągu linii północnej jadącego ku City, zanim nawet zrozumiała, co ma zamiar zrobić. Richard, ten przewidywalny bydlak, punktualnie o 12.30 jadał lunch, a dokładnie godzinę później wracał do biura. Pomyślała, że w sam raz zdąży go złapać. Podejdzie, przywita się, zaskoczy go. Dlaczego? Nie miała bladego pojęcia. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiła. To było coś nowego, a w tej chwili tak bardzo potrzebowała nowego scenariusza. Jakiejś nadziei.

Znowu nałożyła słuchawki i puściła album od początku, od pierwszego utworu. Ludzie w garniturach gapili się na nią, kiedy kołysała głową w takt muzyki. Pokazała im język, czując się przy tym śmiesznie, ale wspaniale. Zaczęła się zastanawiać, co się stało z Molly Ringwald^[7]. Prawdopodobnie nadal żyje. Gdzieś, jakoś. Już nie jest gwiazdą filmową. Już nie jest młodą dziewczyną. Nadal jednak jest w jakimś stopniu tamtą Molly Ringwald. Czy każdego ranka budzi się, wpatruje w swoje lustrzane odbicie i zadaje sobie pytanie, co się stało z tamtą dziewczyną, która była ikoną jej pokolenia? A może tamta młodziutka, świeża, nieskażona Molly nadal gdzieś istnieje, z jej oczu ciągle bije światło, i zastanawia się, gdzie się podział jej świat?

Kerry zwiększyła głośność w iPodzie. Głośniej. Coraz głośniej. Jeszcze głośniej...

Dojechała do City. Szła ulicą, stawiając kroki w takt niemal ogłuszającej muzyki. W pewnym momencie wykonała nawet niezgrabny piruet à la wczesna Madonna, lekceważąc ciężar torby oraz to, jak paradnie musiała przy tym wyglądać. Madonna oczywiście teraz już niezbyt często robi takie piruety; teraz jest matką (sławną, kontrowersyjną, do wyrzygania nudną). Kiedyś jednak wirowała w teledyskach i na scenie, a pół świata razem z nią. Kerry nadal pamiętała, jak to się robi.

Dotarła na miejsce kilka minut za wcześnie. Stała naprzeciwko biura Richarda, po drugiej stronie ulicy. Postanowiła nie informować go o swojej obecności SMS-em. Liczyła w duchu na to, że zaraz ujrzy Richarda trzymającego za rękę jakąś sekretarkę albo dobrze się zapowiadającą specjalistkę od kapitału obcego czy kogoś w tym stylu. Mogłaby wówczas odwrócić się, odejść i już nigdy się do niego nie odezwać. Omiotła wzrokiem imponujący budynek po drugiej stronie szerokiej, ruchliwej ulicy. Żałowała, że nikt nie ma dość odwagi podłożyć pod niego bombę. Nadal kiwała głową w rytm muzyki, pytając się w myślach, po co tu w ogóle przyszła. Przecież wcale nie chciała rozmawiać

z Richardem. Nie chciała zobaczyć jego uśmiechu. Miała już dość udawania, dość bycia dobrą, dość siedzenia cicho. Męczył ją fakt, że Richard nie jest w stanie zrozumieć absolutnie niczego, co siedzi w jej głowie. Była już tym wszystkim zmęczona.

Po prostu.

Koniec, kropka.

Zaczęły ją boleć uszy. Muzyka rozsadzała jej głowę. Każda myśl, która wdzierала się do jej mózgu, po chwili z niego wylatywała. Żałowała, że jednak nie miała przy sobie wtedy na lotnisku jakichś prochów, walizki z heroiną i brudnymi strzykawkami. Żałowała, że nie jest teraz pijana, nie leży na podłodze w pokoju hotelowym, nie jest naga, nie pieprzy się z kimś, siedząc na nim okrakiem, głośno dysząc, zbliżając usta do jego ust... Żałowała, że ma karierę, przyjaciół, dom. Żałowała, że nie ma przy sobie noża.

Wreszcie go ujrzała. Dostrzegła go przez ścianę pędzących samochodów i ciężarówek. Ciemnobrązowe włosy opadały na tak dobrze jej znaną twarz z naturalnością, którą gwarantuje jedynie wizyta u fryzjera za 150 funtów. Garnitur opinał jego muskularne ciało, wyrzeźbione dzięki regularnym wizytom na siłowni. Miał minę człowieka przesadnie zadowolonego z siebie. Widać było, że czuje się tu, w City, jak ryba w wodzie. Jego myśli zaprzętały interesy, notowania giełdowe, skomplikowane operacje finansowe, platynowe karty kredytowe.

Ale... nie był sam.

Kerry nie mogła uwierzyć, że jej marzenie się ziściło. Richard był z jakąś kobietą. Atrakcyjną kobietą.

Trzymali się za ręce.

Przetarła oczy. Nie wiedziała, co robić. Krzyknąć do niego? Przebiec przez ulicę? Czy może odejść szybkim krokiem, a po dotarciu do domu wygarnąć mu wszystko w mailu?

Richard i jego towarzyszka zatrzymali się kilka kroków od wejścia do budynku. Stali blisko siebie, twarzą w twarz. Rozmawiali. Kerry pospiesznie przekopała torbę i wyłowiła z niej mały aparat. Zamiast napisać do niego brutalnego maila, zrobi coś lepszego: pstryknie mu zdjęcie, a potem mu je prześle. Sama fotografia, bez słowa komentarza. I tak już przeprowadzili ze sobą zbyt wiele rozmów, padło z ich ust zbyt wiele słów. Kolejne nie miały sensu.

Podniosła aparat i zrobiła zbliżenie. Aby efekt był jak najlepszy, chciała, żeby zdjęcie...

Nagle zamarła.

Kobieta, z którą rozmawiał Richard, to była... ona.

Rozmawiali:

– Jesteś pewna? – zapytał.

– Tak, jestem pewna – odparła Kerry, ściskając jego dłoń. – Przecież już przeniosłam do ciebie wszystkie swoje rzeczy.

– Wiem, wiem. Ale...

– Nie zmienię zdania, Richard. Powinniśmy byli to zrobić wiele lat temu.

– Powinniśmy. I żałuję, że tego nie zrobiliśmy. To była moja wina. A teraz po prostu staram się za tym wszystkim... nadażyć. Odkąd postanowiłaś nie lecieć do Stanów na ślub twojej przyjaciółki, wszystko się zmieniło. Wszystko jest... inaczej.

– W jakim sensie inaczej? Są dwie wersje „inaczej”. Inaczej, czyli gorzej?

Usta Richarda ułożyły się w uśmiech. To był prawdziwy, szczery uśmiech. Uśmiech mężczyzny, który wcześniej był już wszystkim znudzony, bywał zły i podły, wreszcie był dupkiem, ale teraz wierzył, że może się zmienić, że coś ważnego się wydarzyło i że życie wcale nie musi być takie jak do tej pory.

– Nie – odparł. – Ta druga wersja.

Pocałowali się. Kerry patrzyła, jak on wchodzi do budynku, w którym mieściło się jego biuro. Wyglądał na zaskoczonego, zaniepokojonego i ostrożnie szczęśliwego – czyli dokładnie tak jak w ostatnich dniach. Zanim zniknął za drzwiami windy, mrugnął do niej. Kerry odpowiedziała mu tym samym.

Następnie odwróciła się i po drugiej stronie ruchliwej ulicy dostrzegła kobietę, która wyglądała dokładnie tak jak ona. Trzymała w rękach aparat fotograficzny i patrzyła na nią z otwartymi ustami. Kerry zmęczona i wymięta po podróży. Kerry, która nie potrafiła powiedzieć „tak”. Kerry, dla której szczęście na jej własne życzenie zawsze znajdowało się poza jej zasięgiem. Kerry, która oczekiwała od świata, że będzie idealny, nie rozumiejąc, że zadowolenie to kwestia wyboru. Kerry, która sama wpakowała się w tę sytuację. Pozwoliła, by ktoś inny wskoczył na jej miejsce. Ktoś inny, czyli ta druga, która czekała na tę chwilę od bardzo, bardzo dawna.

Kerry miała nadzieję, że ta druga Kerry ma w torbie podróżnej trochę ubrań, które wystarczą jej na jakiś czas, ponieważ mieszkanie, do którego miała zamiar wrócić, zostało zwolnione dwa dni po jej wylocie do Ameryki, a wszystko, co się w nim znajdowało, wylądowało na śmietniku, trafiło do organizacji dobroczynnych albo znajdowało się już w mieszkaniu Richarda w Islington. Kerry wiedziała, że to nie koniec zmian. Richard nie był ideałem. I nigdy nim nie będzie, lecz trochę się do niego zbliży. Dzięki niej. Dzięki jej miłości. Nikt nie jest w stanie osiągnąć doskonałości. Ale można się starać o to, żeby komuś wystarczać.

Kerry uniosła dłoń i pomachała. Wcale nie chciała się uśmiechać, nie chciała być z siebie przesadnie zadowolona, choć cóż, to było silniejsze od niej. Kobieta po drugiej stronie ulicy zasługiwała na szczęście. Naprawdę. Po prostu marzyła o czymś innym.

I teraz to dostała.

Przełożył Kamil Maksymiuk

[7] Urodzona w 1968 roku aktorka amerykańska, która zasłynęła rolami wrażliwych, zbuntowanych nastolatków w filmach Johna Hughesa: *Szesnaście świeczek*, *Klub winowajców* i *Ślicznotka w różu*. Przez wielu uznawana za najbardziej kultową aktorkę kina młodzieżowego (przyp. tłum.).

Gary A. Braunbeck

Ciągle się dziwicie, dlaczego chcemy was odruchowo ukatrupić?

Alfabetyczny pseudomanifest spisany, zredagowany i opatrzone komentarzami (pod przymusem) przez Gary'ego A. Braunbecka Och, po cóż znowu mielibyśmy trudzić się odbudową wspaniałej skorupy idealnego świata, odczytując starożytnie runy? (Znad morza niosą się głosy odległe): „Ola-eh, Ola-oh! Siejmy zniszczenie! Zniszczenie!”. – F.T. Marinetti, *Against the Hope of Reconstruction*

[Komentarz wstępny od autora: Czy wiedzieliście, że zdaniem rzymskiego uczonego i pisarza Marka Terencjusza Warrona (116–27 p.n.e.), słowo *monstrum* nie wywodzi się, jak twierdził Cynceron, od czasownika *monstro*, „pokazywać” (*vide* nasze „demonstrować”), ale raczej od słowa *moneo*, „ostrzeżenie”? Czyż nie jest to interesujące, i w pewnym sensie ironiczne, zważywszy na

okoliczności, w których przyszło wam czytać ten tekst? Tak, ja też tak uważam. Nie wiedziałem, skąd się wzięło słowo *monstrum*, dopóki nie dostałem tej roboty, a wcale o nią nie prosiłem. Więcej na ten temat później.

[Pozwólcie, że zanim przejdę do sedna sprawy, wspomnę o kilku innych szczegółach, dzięki którym lepiej zrozumiecie moją sytuację. Nawet nie macie pojęcia, ile musiałem się z nimi kłócić, żeby wreszcie zgodzili się dodać przedrostek „pseudo” do słowa „manifest”. To, co mi podyktowali, nie jest bowiem manifestem, lecz raczej (śmiertelnie poważnym) zbiorem pretensji, definicji, przypowieści, jak również mało znanych lub celowo zapomnianych faktów historycznych. Na początku zaproponowali tytuł *Monsterfesto* (od *monster* – „potwór” i *manifesto* – „manifest”, a ja, nie rozumiejąc powagi sytuacji, parsknąłem śmiechem i rzuciłem: „To takie tandetne!”). Ten komentarz przypłaciłem życiem jednego z moich kotów. Nie teleportowali go w inny wymiar ani nie nasłali na niego bestii, która pożera naraz swoje ofiary. Nie, to byłoby zbyt banalne, zrobili więc co innego. Podali mu zabójczą dawkę kociej białaczki i AIDS w ostatnim stadium rozwoju, po czym kazali mi siedzieć i patrzeć, jak umiera. Jego agonia trwała dwa i pół dnia. Patrzyłem, jak usiłuje dopełznąć do miski z wodą. Nie pozwalali mi pomóc mojemu futrzastemu przyjacielowi, żebym przynajmniej mógł zwilżyć mu pyszczek kilkoma kropelkami chłodnej wody. Nawet nie pozwolili mi go dotknąć, wziąć na ręce, aby umarł w ramionach człowieka, który go kochał. Mogłem jedynie siedzieć i patrzeć. Patrzeć, jak próbuje doczołgać się do miski, dyszy, charczy, kaszle, sika krwią i cały czas wpatruje się we mnie przerażonymi, żółknącymi oczami. Zupełnie nie wiedział, co się z nim dzieje. Wydawał z siebie cichutkie kwilenie, które po około dwunastu godzinach brzmiało w moich uszach jak: „...pomocy...”. Śmierć wreszcie przyszła do Rubena (zapomniałem wspomnieć, że tak właśnie się nazywał), lecz poprzedziła ją seria dzikich spazmów i ostrych napadów bólu, które zdawały się trwać w nieskończoność. Jeśli czytanie o tym jest dla was zbyt ciężkim przeżyciem, wyobraźcie sobie, jak ja musiałem się czuć, obserwując powolną agonię Rubena, ogarnięty całkowitą bezsilnością, nie mogąc ani odrobinę ulżyć mu w cierpieniu.

[Wiecie, dlaczego byłem bezsilny i nie mogłem mu pomóc? Gdybym spróbował to uczynić, zostałbym przez nich ukarany. Wykończyliby w identyczny sposób całą moją rodzinę, wszystkich po kolei, a ja byłbym jedynym naocznym świadkiem ich nieludzko bolesnej śmierci. I bez tego do końca życia będą mi się śniły koszmary (które zresztą dręczą mnie od dziecka). Niespecjalnie zależy mi na tym, aby wzbogacić swoją kolekcję złych wspomnień, dziękuję bardzo. Moja rodzina już prawie zupełnie się wykruszyła, a jej nieliczni członkowie, którzy ocaleli, utrzymują się przy życiu dzięki wydawanym przez rząd kartkom żywnościowym. Co miesiąc mogą za nie zrobić zakupy w sklepie spożywczym, ale i tak nie stać ich na śniadania, a na obiad trzy razy w tygodniu muszą jeść kluski z serem, zamartwiając się, na które rachunki w bieżącym miesiącu starczy im pieniędzy, i cały czas modląc się do Boga (w którego istnienie coraz bardziej wątpią), aby nie przyplątało się do nich żadne choróbko. Jak widzicie, nie miałem wyboru, musiałem patrzeć, jak Ruben umiera. Nie miałem wyboru i musiałem przyjąć to niecodzienne zlecenie. Musiałem zostać ich pośrednikiem.

[Oto warunki, na które ostatecznie się zgodziłem: 1) O ile nie poczuję, że dany fragment tekstu wymaga wyjaśnienia, mam obowiązek spisywać słowo po słowie wszystko, co mi zostanie podyktowane; jakiegokolwiek odstępstwo, nawet natury interpunkcyjnej, skończy się tym, że któregoś z członków mojej rodziny spotka taki sam los jak Rubena (ta groźba, choć niewyartykułowana, stanowi w domyśle zwieńczenie każdej klauzuli naszej umowy); 2) Jeśli poczuję, że dany fragment tekstu wymaga wyjaśnienia, muszę zaprezentować przemawiające za tym argumenty w sposób kulturalny i pełen szacunku, lecz i tak to oni podejmą ostateczną decyzję, czy komentarz zostanie włączony do rękopisu. Dlatego jeśli tekst wyda się wam miejscami niezborny i nieco bełkotliwy, pamiętajcie, że to nie jest moja wina; 3) Mam obowiązek zamieścić co najmniej trzy opisy moich bliskich kontaktów z istotami takimi jak one, nawet jeśli historie będą się wydawały niedorzeczne albo będą przepełniały mnie (lub potencjalnych czytelników) uczuciem dyskomfortu i niepokoju; 4) Jeśli po zakończeniu tego projektu nadal będę ich nienawidził za to, że zabili mojego kochanego Rubena i stosowali wobec mnie perfidny szantaż, i tak muszę sprawiać wrażenie, że mam dla nich zrozumienie i darzę ich współczuciem. Nie ma problemu, umiem kłamać na piśmie, papier przyjmie wszystko... bylebym tylko nie musiał okazywać im choćby cienia sympatii! Oni tu są i nie odejdą. Mają gdzieś to, czy wierzycie w nich, czy nie (mimo to oswajajcie się z myślą, że możecie skończyć tak jak Ruben). Aha, tak przy okazji: oni są z nas bardzo niezadowoleni.

[Cholernie niezadowoleni. Tytuł tego tekstu powinien stanowić dla was subtelną wskazówkę co do tego, jak silnie i głęboko jest w nich zakorzenione to uczucie.

[Tak na marginesie, z powodów osobistych, które, mam nadzieję, wcześniej czy później zrozumiecie, chciałbym sparafrazować cytaty z adaptacji filmowej *Egzorcysty*, aby uspokoić nieco swoje sumienie: mogę dodawać trochę kłamstw do prawdy, a prawdy do kłamstw.

[Minęła północ. Najwyższy czas zacząć].

A jak *abomination* – abominacja, a także awersja, antypatia, aberracja, anomalia i wiele innych słów zaczynających się w wielu językach na pierwszą literę alfabetu, a każde z nich – bez względu na to, czy jesteście w stanie je wypowiedzieć lub poprawnie napisać – zawiera ten sam sens: *Omójboże, popatrz na to pieprzone obrzydlistwo, niech ktoś to zatłucze, i to szybko!* Wiele z wywołujących taką reakcję istot (które, wierzcie lub nie, są bardzo wrażliwe, łatwo je zranić i urazić) przedziera się przez styksowe głębiny, które nie śniły się paleosejsmologom (a tylko oni pierwsi mogliby odkryć ślady pozostawiane przez te istoty), aby tutaj do nas dotrzeć; inne odbywają ciężkie podróże przez czasoprzestrzeń, skacząc pomiędzy wymiarami i wybierając niebezpieczne drogi na skróty przez multiwszechświat w celu nawiązania z nami przyjaznego kontaktu. I co wówczas odkrywają? W najlepszym wypadku to, że – jak przed chwilą wspomniałem – obrzucamy ich różnymi przykrymi obelgami. Jeden z nich wyjaśnił mi to w taki oto sposób: „Wyobraź sobie, że wyruszasz na

święta do rodziny. Jedziesz przez zamieć śnieżną – mam na myśli naprawdę koszmarną zamieć, powrót epoki lodowcowej, wielki chłód i tak dalej, kapujesz? Podróż powinna normalnie zająć ci nie więcej niż dwa kwadransy, ale tym razem ciągnie się przez trzy cholerne godziny. Docierasz wreszcie na miejsce. Jesteś wycieńczony, głodny jak wilk, twój pęcherz jest wielkości futbolówki, lecz widok świątecznych światełek, które wypełniają wnętrze twojego domu ciepłym blaskiem, sprawia, że nagle czujesz, że było warto. Idziesz do drzwi, niosąc piramidę wspaniałych, szalowych, wypasionych prezentów, na twoich ustach rozkwita szeroki uśmiech, jesteś ucieleśnieniem bożonarodzeniowej radości i serdeczności, przepelnia cię duch świąt – wyobraź sobie finałową scenę filmu *To wspaniałe życie*. Otwierasz drzwi i wchodzisz do środka. Babcia spogląda na ciebie w niemym szoku, oczy uciekają jej w tył głowy, dostaje zawału i pada martwa na ziemię. Dzieci zaczynają krzyczeć na całe gardło, robią w portki ze strachu i w panice uciekają do piwnicy. Twoja matka chwyta nóż kuchenny wielkości maczety, tata odpala miotacz ognia, który trzymał w szafie, odkąd wrócił z Wietnamu, a twoja siostra nie zdejmuje palca ze spustu karabinu TEC-9, strzelając na oślep po całym pokoju. Takie powitanie chyba każdemu zwarzyłoby nieco humor, nie sądzisz? Hmmm...?”.

B jak *bogeyman* lub *bogieman*, *boogeyman*, albo *boogieman*. Nieważne, jak piszecie jego imię ani jaką postać przybiera on w waszym kraju^[8]. Ważne jest to, że ten potwór, którego rodzice celowo wykorzystują, by okaleczyć emocjonalnie swoje dzieci (im pociecha mniejsza, tym lepiej, a raczej gorzej), nie istnieje. Co prawda pojawia się w dyskotekowym szlagierze KC and the Sunshine Band z lat siedemdziesiątych (no wiecie, tym z zabójczą syntezatorową linią basu), lecz w rzeczywistości nie istnieje. Nigdy nie istniał. Przestańcie więc straszyć nim swoje pociechy. To naprawdę może skrzywić im psychikę. Innymi metodami egzekwujcie od nich należytą dyscyplinę. Tak więc albo zachowujcie się jak dorośli ludzie, albo następnym razem, na litość boską, użyjcie prezerwatywy.

C jak *colophon* – kolofon. Pewnie wmówiono wam, że to słowo oznacza krótką notkę lub logotyp wydawcy pojawiający się na początku bądź końcu książki. Przyjmijcie do wiadomości, że żyliście w błędzie. Kolofony to rasa pasożytów, które przybyły na Ziemię ukryte w oprawie *Księgi wiedzy zakazanej*, czyli księgi, którą najpierw upadłe anioły zwędziły, a następnie dały w prezencie rodzajowi ludzkiemu podczas pierwszej wojny w niebie (technicznie rzecz biorąc, była to raczej utarczka czy sprzeczką wywołana przez pewną nadmiernie histeryczną personę, ale to tylko nieistotna dygresja). Kiedy księga została przekazana ludziom – dzięki czemu poznaliśmy język, muzykę, poezję, sztukę, pismo, taniec itd. – kolofony wyszły z ukrycia i zaczęły krok po kroku niszczyć pierwszy z zakazanych darów: język. Zanim pojawił się egipski żuk trumienny, zanim wynaleziono nanotechnologię, zanim pierwsza komórka rakowa zadomowiła się w ciele ofiary i zaczęła ją od środka trawić, kolofony, mniejsze niż wszystkie wspomniane byty (ich początkowa liczba, która od tamtej pory zwiększyła się dziesięć milionów razy, oscylowała w okolicach stu siedemnastu milionów do potęgi dwieście sześćdziesiątej), od dawna bezustannie nas atakują, a przyświeca im jeden cel: odebrać ludzkości język. Wieża Babel była ich pierwszym wielkim triumfem. I choć inne ich zwycięstwa były mniej spektakularne, to pamiętajmy o pewnej zasadzie: człowiek może się wykrwawić na śmierć nawet od drobnych zadrapań, jeśli jest ich dość dużo. Przykład: czy

zauważyliście, że nikt już nie dostrzega różnicy pomiędzy, dajmy na to, „you’re” (ty jesteś) a „your” (twój)? Albo jak szybko litery w książkach zaczynają blaknąć? Albo im częściej odświeżacie jakąś stronę internetową, tym więcej pojawia się na niej „krzaczków” zamiast liter? To wszystko dzieło kolofonów. Ich ambicją jest wymazać słowo pisane i zniszczyć cyfrowy zapis języka. Kolofony wedrą się do naszych mózgow i usuną wszystkie ślady nawet najbardziej podstawowych form werbalnej i pisemnej komunikacji. Będziemy jedynie pamiętać jak przez mgłę, że kiedyś byliśmy w stanie kontaktować się ze sobą dzięki dźwiękom wydobywającym się z naszych ust bądź przy użyciu zapisywanych na papierze tajemniczych symboli. I tak oto stracimy pierwszy zakazany dar, język, z bardzo prostego powodu – nigdy na niego nie zasłużyliśmy!

D jak *damaged ones* – uszkodzeni [Komentarz autora: To hasło jest w pełni moim dziełem]. Miałem wtedy osiem lat. Pewnego dnia obudziłem się o świcie w lesie, w tym samym miejscu, w którym mnie poprzedniej nocy porzucili. Byłem nagi, drżałem i dygotałem. Próbowałem wstać, ale moje nogi były zbyt osłabione i obolałe, a stopy ślizgały się po ziemi, ubroczone krwią, która nadal ściekała strużkami z mojego odbytu. Zacząłem pełzać, zastanawiając się, dlaczego jestem pokryty srebrnymi piórkami. Po chwili zauważyłem, że to nie piórka, lecz igły, które spadły na mnie z sosny. Z sosny, pod którą mnie porzucili. Igły namokły rosą i dlatego w pierwszych promieniach świtu lśniły na moim ciele jak piórka lub szare futro. Przestałem się czołgać po ziemi, kiedy poczułem, że lada moment moja klatka piersiowa eksploduje. Przestałem się czołgać, ponieważ miałem wrażenie, że wypadają ze mnie wnętrzności. Przestałem się czołgać, ponieważ i tak nie miałem dokąd pójść, nikt nigdzie na mnie nie czekał. Uniosłem głowę i ujrzałem ogromnego wilka. Trzymał pysk tak blisko mojej twarzy, że czułem, jak jego gorący oddech porusza moimi skołtunionymi, przyklepionymi do czoła włosami. „Czy jesteś wilkołakiem?” – zapytałem. Ogromny wilk wzruszył ramionami. „Tak nas, zdaje się, niekiedy nazywają”. Zacząłem płakać. „Czy masz zamiar mnie ugryźć i zamienić w wilkołaka?”. Ogromny wilk potrząsnął głową. „Nie ma takiej potrzeby. Ty już zostałeś przemieniony. Na zawsze będziesz naznaczony. Nie należysz już do świata ludzi. Należysz do grona uszkodzonych. Nie potrzeba żadnej klątwy, żadnych ukąszeń, żadnego księżyca w pełni, by pozbawić cię człowieczeństwa. Już jesteś potworem, tak samo jak my wszyscy”. Przeżyłem tamtą noc. Nigdy nie zapomniałem słów, które wilk wypowiedział do mnie tamtego ranka. Nie trzeba było rzucać na mnie klątwy. Nie trzeba było mnie gryźć, bym zamienił się w potwora. Już byłem potworem. Niemal za każdym razem, kiedy wypuszczam się na zewnątrz, na ulicę – a staram się robić to tak rzadko, jak to tylko możliwe – widuję jednego z nas. Nasze spojrzenia się zderzają, rozpoznajemy siebie nawzajem niczym członkowie jednej wielkiej rodziny. Nasze oczy lśnią srebrnym blaskiem. Wyziera z nich poczucie straty, gniew i smutek. Zanim się minimy, jeden z nas przechodzi na drugą stronę ulicy. Widocznie jeszcze nie czas, żeby się bliżej poznać... i przyznać. Zdaje się, że zanim to nastąpi, zostaniemy jeszcze bardziej uszkodzeni. [Komentarz autora: Zdarzają się poranki, kiedy podczas golenia zaczynam myśleć o cierpieniu i bólu, jakie wniosłem do życia tych, którzy mnie kochają lub kochali, i żałuję, że nie dzierzę w dłoni prawdziwej brzytwy, tylko jednorazową maszynkę. Nagle lustro oślepia mnie srebrnym blaskiem, zamykam oczy, a kiedy je otwieram, mam przed sobą kolejny jasny, słoneczny poranek].

E jak *Elder Gods* – Wielcy Przedwieczni (często błędnie nazywani *Great Elder Gods* – Wielcy Starzy Bogowie). W rzeczywistości nie są oni wcale aż tak starzy, potężni czy przerażający, jak próbuje się wam wcisnąć. Jak się okazuje, Lovecraft [Komentarz autora: zdaniem tych, którzy mi to wszystko dyktują] kiepsko się spisał jako ich piarowiec. Stary Howard, pomijając odziedziczone po matce schizofreniczne tendencje do bycia świrusem, był nie tylko paranoikiem, ale również rasistą. Pewnego razu wbiegł z krzykiem do domu sąsiada, roztrzęsiony i spanikowany, i oświadczył, że w piwnicy swojego domu odkrył skupisko „murzyńskich jaj”^[9]. Tak więc zaczął nasycać swoją filozofią (której główna idea mówiła, że człowiek jest niczym, a wszechświat ma nas gdzieś) wszystko, co mu dyktowali. Czym jest bowiem jego przesycona bełkotliwym żargonem mitologia Cthulhu? To głównie przepisy i plotki. [Komentarz autora: Ci, których słowa zapisuję, wspominają o tym z intrygującą mieszanką zażenowania i wkurzenia. Oddaję głos jednemu z nich: „Myślisz, że ktokolwiek jeszcze pamięta, że Cthulhu był istotą pozaziemską, a jego «dom w R’lyeh» był w rzeczywistości cholernym statkiem kosmicznym? Ach, i nie zapominajmy, gdzie leżało miasto R’lyeh – na dnie cholernego morza! No i teraz mi powiedz, czy poczułbyś w sercu prawdziwy, pierwotny lęk przed rasą istot, których przywódca, znaczy się gigantyczny stwór ze skrzydłami smoka i śliniącą się gębą ośmiornicy, który posiadał całą wiedzę prehistoryczną i posthistoryczną, nie miał na tyle oleju w głowie, żeby zainstalować na pokładzie swojego statku kosmicznego GPS-a albo coś w tym guście, dzięki czemu bezpiecznie by wylądował, a nie wszystkich utopił? Owszem, oni są ogromni. Monstrualnie monumentalni. Ale większość z nich jest głupia jak but z lewej nogi. Lovecraft źle zinterpretował ich słowa i dlatego teraz my musimy stawać na głowie, żebyście zwrócili na nas uwagę. Jego dzieła literackie to niebywale kunsztowne i misterne konstrukcje, lecz pomijając to, Howie [Komentarz autora w komentarzu autora: Nazywają go Howie. Nie pytajcie dlaczego. Ja w tym momencie tylko zapisuję ich słowa.] miał mózg nafaszerowany infantylnymi kocopołami. Co innego William Hope Hodgson... to był dopiero mrozący krew w żyłach sukinsyn! Polecam lekturę *Domu na granicy światów*. Tak, facet był wtajemniczony”].

F jak *Finders of the Last Breath* – poszukiwacze ostatniego oddechu. Przewodzi im pełna gracji niewiasta z głową czarnego konia; ma postawione uszy, wygięty kark, z jej nozdrzy bucha para. Jeden z jej popleczników jest wysoki i kościsty niczym szkielet, jego palce są tak długie, że opuszkami szura o ziemię. Kuca i oplata palcami każdy przedmiot, który przykuje jego uwagę, wchłania odgłosy wydawane przez fale wibracyjne i potrafi dotrzeć do ich źródła. Niektórzy poszukiwacze skaczą jak żaby, inni się toczą i turlają, a jeszcze inni biegają na przypominających korzenie odnóżach pokrytych kwiatkami, w środku których widać twarze ociemniałych dzieci. Wielu z nich stanowi dla człowieka przerażający widok. Często się zdarza, że zostają zgładzeni podczas prób spełniania swojego obowiązku, a jest nim trwanie u boku niemowląt oraz starych ludzi, którzy lada chwila wyzioną ducha. Poszukiwacz ma za zadanie schwytać ostatni oddech człowieka, po czym wsadzić go do słoika, by móc go przechowywać. Tylko i wyłącznie wtedy, gdy poszukiwacze będą mogli wypełnić swój obowiązek, wasi bliscy odejdą w spokoju. I będą spoczywać w spokoju. To właśnie dzięki poszukiwaczom śmierć może być bezbolesna, a nawet wzniosła. Jeśli jednak ostatni oddech człowieka nie zostanie złapany, umieranie dziecka lub starca – nawet po tym, jak ich ciała zostały już pochowane lub spalone – trwa w nieskończoność, przy udziale ich pełnej świadomości. Nie powinniście zatem bać się poszukiwaczy. Witajcie ich z otwartymi ramionami. Niech lękiem napawa was ich nieobecność w chwili waszej śmierci.

G jak *glop*. Glop nie ma jednego, konkretnego imienia. Glop nie ma jednego, konkretnego ciała. Może się nazywać tak, jak mu się żywnie podoba, i przyjmować każdą postać, na jaką ma ochotę. Jeśli przyświeca mu jakiś cel, cóż, pozostaje on dla wszystkich tajemnicą. Glop to ta bezimienna, powłócząca nogami, śliniąca się, nienazywalna, nieopisana „rzecz”, której zawsze udaje się dopaść narratora opowieści grozy, zanim rzeczony narrator zdoła ją nazwać, opisać albo ujawnić jej cel. [Komentarz autora: No dobrze, ale czy nie zauważyliście, że narratorzy tego typu historii zawsze jednak zdążą napisać „Haaaaah!” albo „Uaaaaahh!” lub coś w tym stylu?]. Jeśli traficie na tekst, który kończy się długim bazgrołem biegnącym na dół strony, poza kartkę, to możecie być pewni, że autor padł ofiarą glopa. Jeśli jeszcze się tego nie domyśliliście, to spieszę was poinformować, że glop jest w zmowie z kolofonem. Wiele postaci, zarówno fikcyjnych, jak i rzeczywistych, spotkał mało wzniosły koniec, mianowicie zostały wchłonięte przez glopa, zanim zdążyły czegokolwiek się o nim dowiedzieć. W przedstawianiu takich sytuacji prym wiodą kiepskie horrory. Albo stare odcinki *Star Treka*, w których są takie oto sceny: wszyscy teleportują się na powierzchnię jakiejś planety... ale nagle pojawia się członek załogi, którego nigdy wcześniej nie widzieliście, którego uniform różni się od uniformów reszty załogi. I już macie pewność, że ten człowiek zostanie wkrótce połknięty przez glopa. [Komentarz autora: Ci, których jestem pośrednikiem, bardzo by chcieli dorwać glopa, tę istotę, która myli rzeczywistość z fikcją. Bardzo ich ciekawi, jakim sposobem glop z taką łatwością skacze po różnych sferach percepcji, a mimo to zachowuje postać fizyczną. Sam też chętnie poznałbym rozwiązanie tej zagadki].

H jak Hawkline Monster. [Komentarz autora: Nie chodzi o tego, o którym pisał Richard Brautigan^[10]. Znowu poczuł ukłucie. Tym razem inne, silniejsze. Padł na kolana. Błyskawica bólu niemal rozerwała jego twarz na pół, poczuł, jak do nosa i gardła wdziera się płomień ognia, gdy z trudem stanął na nogach i wtoczył się do łazienki, mając nadzieję, że już po wszystkim, modląc się w duchu: „błagam, niech to się skończy!”, po chwili stanął przed lustrem i spojrzał w swoje odbicie, na swoją twarz, która puchła wokół rany na czole i nosie, puchła jak cholerny balon, odwrócił więc wzrok, zerknął na swoją dłoń i dostrzegł, że pulsuje, poczuł coś zimnego pełzającego między ramionami, próbował dostrzec, co to, do diabła, jest, lecz nagle usłyszał łopot na zewnątrz domu, a potem odgłos tłuczonego szkła i zgiełk tuzinów, setek skrzydeł, hałas nasilał się z każdą sekundą, spojrzał znowu w lustro i ujrzał, że jego twarz rozpada się na pół jak przekrojone jabłko, ale nie trysnął sok, lecz krew, fontanna, gejzer krwi, która ochlapywała wszystko dookoła, próbował się obrócić, by spojrzeć na ptaki, które wdarły się już do środka, latały po pokojach jego domu, ale ból był zbyt silny, a to zimne coś na jego plecach, pod skórą, zaczęło pchać, przecć, łamiąc jego łopatki niczym cieniutkie opłatki, z gardła wyrwał mu się krzyk, wrzask, odwrócił się na pięcie i cisnął sam sobą o ścianę, żeby przerwać ten ból, żeby powstrzymać to coś przed wyłażeniem na zewnątrz, pociemniało mu w oczach, stracił równowagę, osunął się na podłogę, zostawiając na ścianie ciemną smugę krwi, po chwili zawył, kiedy to coś na jego plecach przebiło się przez skórę i zatrzepotało, teraz był już na czworakach, czekając, walcząc o oddech, a potem... o Boże, to drugie coś też przebiło się przez skórę, towarzyszący temu odgłos przypominał roztopianie się plastikowej reklamówki w ogniu, to coś pchało, parło, rosło i nagle je ujrzał, wreszcie je ujrzał, i to bez problemu, ponieważ skrzydła były ogromne, ich rozpiętość musiała wynosić co najmniej cztery i pół metra, odrzucił w tył głowę,

żeby się zaśmiać, bo nagle miał ochotę się śmiać, lecz nie mógł, nie mógł już wydawać z siebie żadnych ludzkich odgłosów, więc krzyknął, krzyczał tak głośno i tak długo, aż oczy niemal wyszły mu z orbit, a twarz przybrała niebieskawy odcień, lecz nagle zauważył, że ten wrzask zamienia się w zawodzenie wściekłego drapieżnego ptaka, jego ciało zostało poderwane do pionu, ręce się zgięły, dłonie zacisnęły, wszystkie mięśnie trawił ogień; skręcał się, czuł, jak pękają kości, jego krzyk niemal rozsadał małą łazienkę, klatka piersiowa rozerwała koszulę, była pokryta grubą warstwą brązowych piór, teraz już ptaki otaczały go ze wszystkich stron, unosząc się w powietrzu, fruując majestatycznie, rozumiał wydawane przez nie dźwięki, rozumiał, o czym śpiewają, śpiewają o przebaczeniu i wolności, rozumiał wszystko, patrząc, jak jego twarz odchodzi od ciała jak obrona skórka pomarańczy, spróbował poruszyć rękami, coś chwycić, nagle ujrzał, jak ramiona odpadają od ciała jak złamane gałęzie, i znowu wrzasnął, jeszcze głośniej niż wcześniej, marząc o tym, by ten ból wreszcie minął, nawet gdyby miał umrzeć, krzyknął jeszcze raz, ciałem targnął nagły spazm, jego zakrzywione szpony przebiły krocze. Po jakimś czasie spojrzął w dół na swoją zakrwawioną ludzką powłokę. Na niebie świeciło słońce. Dzieci już czekały. Przeprószył je za to, że kazał im na siebie tak długo czekać. Zapomniał się. Wystarczyło, aby poznał przyciąganie ziemskie, poznał smak tych, na których działa grawitacja. Niemal zapomniał, że jego ciało było tylko przebraniem. Z wyciągniętymi szponami wznosił się ponad ziemię zasłaną martwymi ciałami ludzkimi. Dzieci leciały tuż za nim. Któregoś dnia porwą szponami dusze całej ludzkości, każdego człowieka; będzie to kara za tchórzostwo ludzi, którzy zaprzestali podboju nieba.

I jak *ichtiocentaur*. Likofron z Chalkis, Klaudian Klaudiusz, bizantyjski filolog Jan Tzetzes oraz Jorge Luis Borges to jedni z nielicznych, którzy pisali o ichtiocentaurze, stworzeniu niebywałym i przepięknym – do pasa wygląda jak człowiek, ma ogon delfina, przednie nogi potężnego konia bitewnego, a w dodatku posiada zdolność partenogenezy. Jest to dla nich jeden z najważniejszych mitów. Ichtiocentaur jest dla nich jedną z najważniejszych postaci mitycznych w historii świata. [Komentarz autora: Mam na myśli potwory, które dyktują mi to, co zapisuję]. Bezustannie spierają się między sobą, które dzieła najwierniej opisują piękno i tajemniczą aurę tej cudownej, imponującej istoty – większość optuje za dziełami Jana Tzetzesa – i żaden z nich nie wątpi, że ichtiocentaur naprawdę istnieje. Panuje wśród nich istna ichtiocentauromania: komponują pieśni ku czci tej istoty, tworzą jej rzeźby, układają misterne mitologie. Istnieje ponoć tylko jeden ichtiocentaur, a oni mają ambicję odnaleźć go, otoczyć opieką i ubłagać, aby dał życie drugiemu, identycznemu ichtiocentaurowi. Marzą o tym, aby te istoty zaludniły wszystkie morza świata. Jak widzicie, nawet potwory marzą o pięknie. Nawet one wierzą w mity. [Komentarz autora: opadłaby wam szczeka, gdybyście usłyszeli niektóre z tych opowieści; wierzcie mi na słowo]. Pielęgnują w sobie (i im podobnych) piękny dar wyobraźni. I to jest powód, dla którego powinni być uznani za świętych.

I jak Joyce Carol Oates. To bez dwóch zdań ich ulubiona pisarka. Ich bogini. Każde jej słowo jest dla nich święte. Zna ich cierpienie, rozumie ich samotność, wyraża wszystkie ich myśli i uczucia, których oni nie potrafią wyrazić, ponieważ zasób ich słownictwa opisującego emocje jest zbyt ubogi. Znają wszystkie jej dzieła na pamięć. [Komentarz autora: Byłem świadkiem, jak trzech z nich nie tyle wyrecytowało, ile odegrało opowiadanie *Drogi Mąż, Gwałt. Opowieść miłosną* oraz wszystkie

opowiadania z tomu *Sourland* w całości. Skłamałbym, mówiąc, że się nie wzruszyłem]. Kiedy wreszcie zetrą większość ludzkości z powierzchni ziemi, Joyce Carol Oates będzie jedną z nielicznych osób, które zostaną oszczędzone. Co ciekawe, uważają, że nie są jak na razie godni wypowiedzenia jej imienia na głos. Ich zdaniem byłaby to karygodna zbrodnia. Zamiast tego więc szepczą: „O, Szeherezado!”, i przyklękają z rewerencją.

K jak Ken – narzeczony Barbie. Z jakiegoś powodu na jego widok niemal robią pod siebie ze strachu.

L jak *loup-garou*, czyli wilkołak [Komentarz autora: zob. litera **D**].

M jak McInnsmouth. [Komentarz autora: To moje hasło. Nadal mieszam prawdę z kłamstwami i kłamstwa z prawdą]. Kiedy wracaliśmy samochodem z odbywającego się co pół roku programu rezydencyjnego na uniwersytecie, na którym obaj wykładamy, ja i mój kolega po piórze, Tim Waggoner, zostaliśmy zaskoczeni nagłą i straszną burzą śnieżną. Przez kilka godzin sunęliśmy po autostradzie w żółwym tempie. Kiedy wreszcie zamieć ustała, marzyliśmy o skorzystaniu z toalety, z głodu dostaliśmy mdłości (minęło dziewięć godzin, odkąd mieliśmy coś w ustach), a na domiar złego kończyła nam się benzyna. Sytuacja była kiepska, by nie powiedzieć tragiczna. Zerknąłem na wydruki z trasą, przestudiowałem rozkładaną papierową mapę, a Tim zbadał sprawę na GPS-ie. Wszystkie źródła wskazywały, że przez kolejne pięćdziesiąt kilometrów nie będzie żadnego zjazdu z autostrady. Wiedzieliśmy, że nie mamy szans. Nagle coś spostrzegłem w oddali... tak, nie mogłem się mylić, to były słynne złote łuki! W aucie natychmiast zapanowała radosna atmosfera, ponieważ jak wiadomo, kto znajduje złote łuki, ten może liczyć również na toaletę i stację benzynową. Zjazdu z autostrady miało nie być, a jednak był. Wydało nam się to dziwne, ale nie zaprzęaliśmy sobie tym głowy. Zjechaliśmy i naszym oczom ukazał się na horyzoncie samotny budynek – słynne złote łuki przymocowane do dachu stacji benzynowej. Ruszyliśmy w tamtym kierunku, łzy ulgi napłynęły nam do oczu, zaczęliśmy śpiewać *Keep on Rockin' in the Free World* Neila Younga bardzo głośno, niemiłosiernie fałszując. Zaparkowaliśmy wóz, weszliśmy do środka, skorzystaliśmy z upragnionej toalety, a następnie zamówiliśmy... waham się użyć słowa „jedzenie”, pozwólcie więc, że inaczej sformułuję to zdanie: Złożyliśmy zamówienie, zapłaciliśmy, dostaliśmy to, co zamówiliśmy, znaleźliśmy miejsce, by usiąść, i zaczęliśmy jeść. Wewnątrz tego małego kompleksu znajdował się również sklep z pamiątkami, płatne kabiny prysznicowe i nieoznaczony pokój, do którego, jak zauważyliśmy, pracownicy musieli zapukać, wybijając odpowiedni rytm, aby zostali wpuszczeni do środka. „Tylko mi się wydaje – rzuciłem do Tima – czy naprawdę ludzie, którzy tu wchodzą, wyglądają jak krewni każdego, kto tu pracuje?”. Tim zaczyna przyglądać się klientom. „Faktycznie, jak w *Wiosce przeklętych*” – odpowiada, mając na myśli powieść (i jej liczne adaptacje filmowe) o kosmicznych dzieciach, które wszystkie prawie są identyczne: mają bladą cerę, białe włosy i dziwne oczy. Śmiejemy się z tego żartu, po czym kontynuujemy posiłek. Nagle dostrzegam, że coś przykuło uwagę Tima, a jego oczy robią się okrągłe ze zdumienia. „Co jest?” – pytam. On pokazuje wejście do lokalu za naszymi plecami. Odwracam się, by spojrzeć. Wchodzi kolejnych kilka osób.

Miejsce zaczyna zapełniać się ludźmi. To bardzo dziwne, bo przecież jest niedziela, za pół godziny wybije północ. Ci, którzy przed chwilą weszli, wyglądają prawie identycznie jak reszta: blada skóra, białe włosy, niepokojące oczy w takim kolorze, jakiego nigdy wcześniej nie uświadczylem. Po chwili dostrzegamy, że ciała wielu z nich noszą ślady jakiejś deformacji, wynaturzenia, każdy kolejny wchodzący wygląda jeszcze bardziej groteskowo niż poprzedni. Drzwi się nie zamykają, bo ciągle ktoś wchodzi. „Coś mi tu śmierdzi rybami” – rzuca Tim. Przytakuję i dodaję: „Cuchnie jak z otwartego ścieku”. Postanawiamy wynosić się stąd w cholerę, póki jeszcze możemy. Lokal prawie pęka w szwach, musimy przeciskać się przez tłum, bąkając przeprosiny, co chwila uderzając kogoś w ramię, deptając po osobliwie miękkich, gąbczastych stopach, ciągle się uśmiechamy i przepraszamy, jednocześnie unikając z nimi kontaktu wzrokowego, ponieważ boimy się, że ujrzymy na ich szyjach skrzela czy coś w tym rodzaju. Benzyna. Nadal potrzebujemy benzyny. Tim zapala silnik i powoli jedzie w kierunku dystrybutorów paliwa. Nasze twarze są nieruchome jak wykute z granitu. Nie dajemy po sobie poznać, że coś jest nie tak. Dla osoby postronnej wyglądamy na dwóch spokojnych, opanowanych facetów pochłoniętych intensywną konwersacją. W rzeczywistości mamrocemy gorączkowo:

mamyprzejebanemamyprzejebanemamyprzejebanealemamyprzejebanekurwakurwakurwakurwa. Kiedy docieramy do wysepki z dystrybutorem paliwa, wychodzimy z samochodu. Tim nalewa benzynę, a ja myję przednią szybę, nie spuszczać wzroku z wejścia do restauracji. Pracownicy stoją w oknach nieruchomo, wyglądają jak zamrożone duchy na pokładzie skutego lodem statku. Gapią się na nas. „Mamy już dość paliwa” – mówię. Tim zerka w stronę okien i odpowiada nerwowym tonem: „Tak, tak, zdecydowanie zgadzam się z tobą w tej kwestii, mamy już dość paliwa”. Odkłada pompę i nawet nie czeka, aż automat wypluje rachunek za tankowanie. Wskakujemy do wozu i odjeżdżamy z piskiem opon, samochód ślizga się na lodzie, ale udaje nam się wrócić na autostradę. Od tamtej nocy minęło już kilka lat. Ilekroć wspominaliśmy to wydarzenie, określamy je mianem „incydentu w McInnsmouth” [Komentarz autora: To, rzecz jasna, aluzja do słynnego opowiadania H.P. Lovecrafta, którego ani Tim, ani ja od tamtej pory nie mamy odwagi ponownie przeczytać. Zob. litera E.] Z tego, co wiemy, ten nieoznaczony na mapie zjazd z autostrady nadal tam jest i nadal prowadzi do tamtego miejsca. Oczywiście nie odczuwamy potrzeby, żeby się co do tego upewnić. Zapach świeżej ryby do dziś przyprawia nas o koszmary. Nie tykamy już sushi.

N jak Nazareth, szkocka kapela heavymetalowa. Chłopcy zostają w tym miejscu przywołani głównie ze względu na ich album *Hair of the Dog*, który kochają ci, którzy dyktują mi te słowa. Upodobili sobie dwa utwory z tej płyty, mianowicie *Hair of the Dog* oraz *Beggars' Day*, których słuchają prawie bez przerwy [Komentarz autora: Bez przerwy. Bez, Chryste Panie, przerwy. I czy ktoś raczy mi wytłumaczyć, co, do kurwy nędzy, oznacza wers: *heartbreaker/salt-shaker*? Nie zrozumcie mnie źle, jestem fanem tekstów rockowych śmiało eksplorujących granice metafory, ale... „serc pożeraczka/solniczka”? Że niby co?]. Robią sobie przerwę jedynie na to, by śpiewać pieśni pochwalne na cześć ich bogini, która zarazem jest ich ukochaną pisarką [zob. litera J]. [Dodatkowa uwaga autora: Z moich uszu już chyba sączy się krew].

O jak *the Only* – odludzie. Miejsca również mogą być potworami, nawet te, które nie mają

materialnej postaci. Odludzie jest jednym z takich przykładów. W pewnym momencie swojego życia poczujecie, że jedynie oddychacie, zajmujecie miejsce i nic ponadto. Tej wegetacji towarzyszy ból tak cholernie wielki, że rano po przebudzeniu ledwo macie siłę podnieść głowę z poduszki. Nie ma znaczenia, czy robisz karierę, czy masz na koncie kupę kasy, a wokół siebie ludzi, którzy cię kochają; nie ma znaczenia, że gdziekolwiek spojrzysz, widzisz niezbite dowody na to, że twoje życie ma wartość – kochająca żona, dzieci, które cię szanują i wielbią, starzy przyjaciele, z którymi mógłbyś kraść konie, a nawet czytelnicy, którzy podziwiają twój dorobek pisarski i zlatują tłumnie na spotkania autorskie i konwenty w nadziei, że uda im się zdobyć twój autograf [Komentarz autora: Nie jestem pewny, czy to hasło jest moje, czy nie, ale na tym etapie to już chyba nie ma znaczenia, prawda?] – to wszystko nic nie znaczy, choć powinno być dla ciebie całym światem. Nie znaczy nic, ponieważ wszystko, co wiesz, wszystko, co czujesz, wszystko, o czym jesteś w stanie myśleć, to ten trawiący cię od środka bezustanny, niedający się ukoić czy zagłuszyć ból, który zajął miejsce twojego serca, i z każdym oddechem, z każdą myślą, z każdym ruchem, z każdym uśmiechem, pocałunkiem, śmiechem – czyli rzeczami, które powinny ten ból zabić – coraz bardziej tracisz elementarne poczucie bycia sobą, do twojego wnętrza wdziera się fala wspomnień, żalów, smutków i lęków, przed którymi nie ochronią cię żadne prochy, alkohol, rozkosze cielesne ani czułe pocałunki i trzymanie się za rękę w nocy. Sam stajesz się tym bólem i pomimo starań, aby coś z tym zrobić, jakoś to uleczyć, koniec końców ból opanowuje cały twój wszechświat i nigdy nie mija, przez co czujesz się bezużyteczny i bezwartościowy jak czarna dziura, jak ciężar dla twoich bliskich i nie widzisz żadnego wyjścia z wyjątkiem... Serce nie wydaje żadnego dźwięku, kiedy pęka. Umysł nie krzyczy, kiedy się zapada. Dusza nie owiewa cię szumiącą bryzą, kiedy opuszcza twoje ciało. To jest pierwsza faza kapitulacji niezbędnej do tego, abyś mógł udać się w stronę odludzia: Populacji: 1 (sprawdzałem jakieś siedem minut temu). Czy ktoś wie, jak zmyć starą krew z antycznej brzytwy? [Zob. litera **D**, a tam drugi komentarz autora].

P jak *phantoms* – widma i upiory. Stoisz na plaży na Florydzie, dokładnie w tym samym miejscu, w którym Juan Ponce de León wylądował w 1513 roku, łudząc się, że oto dotarł do mitycznej wyspy Bimini, gdzie miało bić źródło młodości. Stojąc w tym miejscu, można sięgnąć wzrokiem aż do miasta St. Augustine przeżywającego inwazję starych i schorowanych ludzi, którzy wdychając słone powietrze i wchłaniając promienie słońca, czekają, aż śmierć zamknie ich w swoich objęciach. Otwierasz usta, aby zawołać, i nieważne, że nie wiesz, do kogo chcesz wołać ani co chcesz powiedzieć, to nie ma najmniejszego znaczenia, ponieważ w tej chwili morze wypłuka swoje ofiary, a ty zostajesz wciągnięty do wody. Twoje ciało przechodzi w stan ciekły, zamieniasz się w wodę, odkryte przed tobą zostają sekrety morza. Patrzysz, jak przy wybrzeżu Île de la Seine pojawia się statek umarłych. Widzisz wyrzucane za burtę sterty wypatroszonych trzewi oraz coś, co wygląda jak rybi klej, i patrzysz, jak całe to paskudztwo dryfuje w stronę lądu. Na brzeg rzeki Kolorado, w pobliżu wioski Indian Anasazi, wyrzucona zostaje gnijąca łódź z cedru i końskiej skóry, zstępuje z niej kobieta w zakrwawionych, poszarpanych łachach, klęka przy nieodkrytej kowie^[11] i zaczyna śpiewać pieśń smutku i straty w języku urdu skierowaną do bogini Angwusnasomtaqa; kobieta modli się o to, by Krucza Matka połączyła ją znowu z jej ukochanym w podziemnych zaświatach. Nad jeziorem Loch Leven we wsi Ballachulish w Argyllshire materializuje się statek pełen topielców, za życia chłopów małorolnych, którzy wyją i zawodzą tak przeraźliwie i rozpaczliwie, że nie da się tego znieść. Rybak w Vancouver widzi monstrialny trójząb wynurzający się z wody, który wyrывa dąb

z korzeniami, a potem znowu znika pod powierzchnią, tworząc fale tak ogromne, że roztrzaskują małą łódź rybaka, ale wszystko jest w porządku, ponieważ ten mężczyzna tonie z sercem przepelnionym szczęściem, gdyż dane mu było ujrzeć cud, a właśnie o tym całe życie marzył; po lodowatych, hiperborejskich wodach płynie kolejny widmowy statek, jego kapitanem jest niemiecki arystokrata o nazwisku Faulkenburg, statek pruje przez nocną ciemność, którą rozświetlają płomienie ognia tańczące na maszcie okrętu; z Atlantyku wyłania się Wyspa św. Brendana, tylko na chwilę, lecz na tyle długo, by trzy ryby celanokształtne zdążyły spełznąć z brzegu i zanurzyć się w głębinach; gdzie indziej parowiec „Cotapaxi” – który zaginął bez śladu w drodze między Charlestonem a Hawaną w 1925 roku – wyłania się z morskiej mgły, członkowie jego załogi patrzą pustymi, zarośniętymi algami oczodołami i uśmiechają się do siebie nawzajem rozradowani, że znowu żeglują przez morze; nagle kraken^[12], ten sam, którego znalazł biskup z Midros, wynurza się ze swojej podwodnej jaskini, chwytając dwóch nurków mocarnymi szponami, rozszarpuje ich na strzępy, echo daleko niesie ich nieludzkie wrzaski, podczas gdy „Raifuku Maru” – japoński frachtowiec, który zaginął u wybrzeży Kuby w tym samym roku co „Cotapaxi” – ponownie się pojawia, trzech członków jego załogi wyskakując za burtę, chcąc wyłowić bilet odbioru bagażu, który wynurzył się spomiędzy fal. Potwór z Loch Ness wystawia głowę ponad powierzchnię wody, omiata spojrzeniem okolicę, postanawia nie brać udziału w całym tym cyrku, po czym znowu znika w głębinach. Ty, przeistoczony w ciecz, dostrzegasz nagle coś jeszcze bardziej niesłychanego niż twoja obecna postać, mianowicie zagładasz do podwodnego miasta R’lyeh i widzisz na własne oczy, jak mityczny Cthulhu leży pogrążony we śnie [zob. litera E]. Zastanawiasz się, jakie inne opowieści, mity i zabobony, w których pojawiają się widma i upiory, są prawdziwe, czy potwory rzeczywiście istnieją [Komentarz autora: Wbijcie sobie wreszcie do łbów, że istnieją. Mój martwy kot jest na to dowodem] oraz jaką rolę ty jako ciecz, już nie człowiek, lecz ciecz, będziesz w tym wszystkim odgrywał.

Q jak Quetzalcoatl. Spójrzcie na nocne niebo. Księżyc zamienił się w lekko drżącą srebrną różę, jej płatki to w rzeczywistości skrzydełka setek, a może tysięcy aniołeczków jak z obrazeczków, które przycupnęły na nim niczym widzowie na trybunach. Oglądają z zapartym tchem, jak Quetzalcoatl, latający pierzasty wąż wielkości trzech samolotów, macha ogromnymi jak u pterozaura skrzydłami i z gracją zatacza w powietrzu szerokie koła. Jest pochłonięty zażartą walką powietrzną z niemieckim myśliwcem pościgowym z okresu drugiej wojny światowej, który jest późniejszą wersją modelu z 1916 roku, zaprojektowanego przez Anthony’ego Hermana Gerarda Fokkera, z bliźniaczymi karabinami maszynowymi zamontowanymi na skrzydłach. Samolot wykonuje szybkie precyzyjne manewry i uniki, kiedy Quetzalcoatl atakuje go od dołu. Karabiny plują nabojami bezlitośnie i bezgłośnie jak w niemym filmie, lufy błyskają iskrzącym światłem, wystrzeliwując pocisk za pociskiem. Quetzalcoatl pamięta starożytne ludy meksykańskie i ich wierzenia. Pamięta Tezcatlipoca i zastanawia się, jak się miewa obecnie jego brat. Pewnie ma intratną posadkę, o jakiej zawsze marzył. I nadal jest zapewne czczony i wielbiony. Nie musi zarabiać na życie, chałturząc w Cyrku Zapomnianych Bogów. Quetzalcoatl otrząsa się jednak z tego słodko-gorzkiego snu na jawie; baron Manfred Albrecht von Richthofen^[13], były przywódca „Das Jagdgeschwader” – Latającego Cyrku (czyż to nie ironia?) – niemal podziurawił serią z karabinu jego lewe skrzydło. Quetzalcoatl skręca gwałtownie w lewo, unikając zderzenia z myśliwcem, i dochodzi do wniosku, że powinien był uwierzyć Matce Ziemi, powinien był poświęcać więcej uwagi słowom Huitzilopochtli, powinien był posłuchać Tlaelquani, „pożerającej nieczystości”, no i zdecydowanie powinien był posłuchać swojej

matki Coatlicue, zamiast śmiać się z jej dziwacznej, oplecionej wężami twarzy. Wszyscy wymienieni mieli bowiem rację – karma to przerąbana sprawa!

R jak *remnants* – szczątki. Część z tego, co tu czytacie, składa się ze szczątków innych, dawnych historii, które ci, którzy mi to dyktują, lubią i dlatego zażądali, abym wplótł je w ten tekst; część z tego, co tu czytacie, pochodzi bezpośrednio od nich, a część z dzieł, których jeszcze nie napisałem, lecz które być może napiszę. Część jest prawdą, więcej niż odrobina to kłamstwo. Jestem jedynie istotą ludzką składającą się z ciała, kości, krwi, smutku, gniewu, węgla – w skrócie, bryłą materii – która jest z definicji skazana na to, że od momentu powstania zbliża się do chwili swojego unicestwienia. Posłuchajcie: materia składa się z atomów, które składają się z kwarków i elektronów, lecz wszystkie cząsteczki, jeśli się im dokładnie przyjrzeć, pochodzą od malutkich pętelek strun drgających; wszystko na najbardziej mikroskopijnym poziomie składa się z tych wibrujących strun, one obejmują wszystkie moce, całą materię; a kiedy przyjrzymy się dokładnie jednej takiej strunie, zdamy sobie sprawę, że struna ta – odizolowana od reszty – jest jedynie szczątkiem. Wszystko w multiwszechświecie może być sprowadzone do szczątku. Zwłaszcza rozczłonkowana przeszłość, która trwa jednocześnie z tym, co przyszło po niej – dajmy na to ten oto moment, który zresztą już minął – jak również praprzyszłość, iluzoryczne teraz oraz nieznanne po-teraz, zwane czasami przyszłością – wszystko to trzymają w kupie drobne drgania odizolowanych od reszty szczątków, z których powstają elektrony i kwarki. Wszystko to jest tak delikatne, że przechodzi ludzkie pojęcie. Szczątki nie wibrują zawsze z taką samą intensywnością; drgają coraz szybciej, podczas gdy multiwszechświat tańczy, tańczy i tańczy! Wróćmy jednak na chwilę na ziemię. Oto szczątek: w październiku 2002 roku zginąłem z własnej ręki. Miałem wówczas czterdzieści trzy lata i był to piąty raz, kiedy zaplanowałem swoje unicestwienie, trzecia moja próba zrealizowania tego planu oraz pierwsza, kiedy mi się powiodło. Stałem i spoglądałem na swoje ciało leżące w łóżku pokoju hotelowego. Pośmiertne drgawki powoli ustępowały. Pamiętam, jak pomyślałem, że powinienem coś czuć, ale byłem zupełnie wyzuty z emocji. A potem pojawił się kolejny szczątek – ten pod postacią *dab tsog* z mitu Hmongów – usiadł mi na piersi, tak zdeformowany, że nie da się tego opisać. Mimo że już opuściłem swoje ciało, czułem jego ciężar na klatce piersiowej, kiedy wcisnął mi całe ramię do gardła. Czułem w środku jego rękę, aż nagle wyjął ją tak gwałtownie, że wróciłem do swojego ciała, zrzuciłem to coś z siebie, spadłem z łóżka i zdołałem doczołgać się do łazienki, gdzie zwymiotowałem do klozetu. Ukląkłem przy umywalce, przyciskając czoło do chłodnej porcelany. *Dab tsog* wskoczył na deskę klozetową, chwycił mnie za włosy i pociągnął, żebym spojrzał mu w oczy. „Następnym razem – powiedział głosem brzmiącym jak wyciąganie zardzewiałych gwoździ ze spróchniałego drewna – jeśli najdzie cię ochota, by zasmakować cierpienia, pamiętaj, że cierpienie jest zajęte ludźmi słabszymi”. Potem rąbnął moją głowę o umywalkę. Straciłem przytomność. Jeśli widzieliście okładkę książki Raya Bradbury’ego *Long After Midnight*, zapewne utkwiała wam w pamięci reprodukcja obrazu *Koszmar* pędzla Johanna Heinricha Füssliego. Stwór siedzący na piersi śpiącej kobiety bardzo przypomina *dab tsog*, z którym miałem do czynienia. [Komentarz autora: Czy to jest jedno z moich haseł? Już nie mam pewności. Czy ta istota wiedziała, że tak naprawdę sama jest zbiorem wibrujących strun, których nie da się już chyba podzielić na mniejsze cząsteczki składowe? Naprawdę nie wiem, czy to jest moje hasło...]. Szczątki prawdy mieszają się ze szczątkami mitów: Czy to my, niczym baron Frankenstein, stworzyliśmy potwory, czy może one stworzyły nas? Tak czy owak kto poprosił o to, żeby być

wyłowionym z mroku i przyobleczonym w ciało? Czy odbyło się w tej sprawie jakieś głosowanie? Nie sądzę. Sądzę natomiast, że to oni nas stworzyli, a nie na odwrót. Jesteśmy kolejnym z ich wspaniałych wymysłów [Komentarz autora: zob. litera **I**], jesteśmy ich potworem Frankensteina, jesteśmy tym, co powstało, gdy wibracje strun dotarły na drugą stronę i pozwoliły wszystkim obecnym w multiwszechświecie siłom i całej istniejącej materii śnić, marzyć, wykraczać poza swoje granice. Nic dziwnego, że oni tak bardzo nas nienawidzą. Wpadli w furję, kiedy się dowiedzieli, że mity, które stworzyli, przyćmiły ich samych, istoty stworzone w ich wyobraźni, ulepione ze szczątków, zajęły ich miejsce, a oni, czyli genialni twórcy, marzyciele, wizjonerzy, zostali zredukowani do roli jakichś żalonych boogiemanów [Komentarz autora: zob. litera **B**], w których nie wierzy żaden dorosły człowiek. Co widzicie – pytam ich – kiedy patrzycie na mnie, jak siedzę tutaj przy klawiaturze i robię za waszego sekretarza? *Mężczyzna patrzy, jak schorowany kot pełza w kierunku miski wody. Mój Boże, to wszystko wydaje się kiepskim żartem jak z jakiegoś programu edukacyjnego dla przedszkolaków emitowanego w telewizji porannej. Ich przedszkolaków i ich telewizji. Dzień dobry, upiorni chłopcy i koszmarne dziewczynki, witamy w Zaułku potworów! Historia na dziś jest zatytułowana „Ciągłe się dziwicie, dlaczego chcemy was odruchowo ukatrupić?” i opowiada o tym, jak stworzyliśmy ludzi, czyli nasze małe potworki, abyśmy mogli ich straszyć, a im tak bardzo się to spodobało, że zaczęli pisać na ten temat książki i kręcić o tym filmy, tkwiąc w błędnym przekonaniu, że to my jesteśmy tylko wytworem ich wyobraźni! Straszenie siebie nawzajem bardzo ich bawiło. Aż nagle – haha, uuuu! – w pewnym momencie wszystko wymknęło się spod kontroli... Umierający kot pełza w stronę miski z wodą, z której nie będzie mu dane się napić. Chłopiec czuje na policzku ciepły oddech wilka [zob. litery **L** i **D**]. Pisarz dalej stuka w klawiaturę, choć jego wyobraźnia już dawno go opuściła, porywając ze sobą jego duszę [zob. litera **O**], dlatego teraz jest zarówno twórcą, jak i potworem grzebiącym w gnijących zwłokach dawno zapomnianych opowieści albo tych, które dopiero będzie musiał napisać, aby zmieścić się w terminie *lubię terminy lubię deadline’y lubię ten dźwięk fruuuuuuuu kiedy przelatują obok mnie* i tak oto jeden potwór staje twarzą w twarz z drugim potworem i żaden z nich nie ma stuprocentowej pewności, kto kogo wymyślił, ale dla nas, ludzi, nie wygląda to zbyt różowo, moi mili, moi bliźni, możecie mi, Gary’emu B., wierzyć, bo czyż mógłbym was okłamać? – no dobrze, łzę jak najęty, łzę bez przerwy, zapisałem już ponad dwadzieścia tysięcy białych stron kłamstwami, które wam opowiadam, zamiast żyć własnym życiem, żyć najlepiej, jak to możliwe, ale dodawanie kłamstw do prawdy i prawdy do kłamstw to moje zajęcie, oni każą mi to robić, tu, w *Zaułku potworów* [na ekranach państwa telewizorów codziennie od poniedziałku do piątku o 8.30 rano], i nic na to nie poradzę, ale muszę robić to, co oni mi każą, a co im się przyśniło lub zrodziło w ich wyobraźni, ponieważ-----*

----- *leży martwy leży martwy biedny gary*
trupem padł nie mogliśmy go już dłużej słuchać tak straaaasznie nudził i smęcił nieprawdaż te
klawisze są takie śmieszne jak się oddziela
słoważebytocosiępiszemiałosens?? Krew na podłodze krew gary’ego rozlewa
się po podłodze założę się że jego ostatnia myśl była przepelniona żalem i smutkiem zobacz litera
h a może f musieliśmy to zrobić ponieważ to co postanowiliśmy nie może wyjść najaw to jest
naszaksięga wiedzy zakazanej a pierwsza tajemna zakazana prawda jest taka że to my
stworzyliśmy was a wy nigdy nie możecie się tego dowiedzieć macie dalej myśleć że to wy
wymyśliliście nas bo w przeciwnym razie to nie byłoby zabawne zero frajdy tylko struny wesoło
sobie wibrujące a my tu wszyscy w zaułku potworów jesteśmy poza czasem mamy nadzieję że jutro

też się tutaj wszyscy zobaczymy i kiedy zobaczą wpis pod literą u jak ukatrupić zawołamy glopa
zobacz litera g żeby wszystkich wykończył uwaga uaaaaah
haaahhhhhhhhhhhhhhhhhhhhhh

pragnę podziękować załączając wyrazy najgłębszego szacunku i podziwu następującym osobom
zachowuję porządek alfabetyczny ellen datlow harlan ellison neil gaiman caitlin kiernan kelly link
peter straub oraz bogini którą oni zwą Szeherazadą joyce carol oates [Komentarz autora: Czy
naprawdę to napisałem, czy może po prostu oni wyobrazili sobie, że to napisałem? Chciałbym wie---

Przełożył Kamil Maksymiuk

[8] W polskim folklorze odpowiednikiem bogeymana może być tzw. bobo – lub bobok, babok – czyli szpetna złośliwa istota o cechach demona, którą dawniej straszono dzieci w celu ich zdyscyplinowania (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[9] „Negro eggs” – aluzja do komiksu Warrena Ellisa *Planetary/Authority*, w którym pojawia się Lovecraft.

[10] W *Potworze profesora Hawkline’a*.

[11] Prostokątne lub okrągłe pomieszczenie, czasem zagłębione częściowo w ziemi, służące północnoamerykańskim Indianom do celów obrzędowych.

[12] Legendarny potwór morski.

[13] Niemiecki lotnik, legendarny as przestworzy z okresu I wojny światowej, nazywany Czerwonym Baronem.

Zakupione w nexto: 1967980Simon R. Green

Jezus i Szatan biegają po pustyni No więc wyłoniłem się prosto z Piekła i zapewniam was, że po Ochlani, po siarce i krzykach potępionych pustynia stanowi naprawdę miłą odmianę. Niczym powiew świeżego powietrza. Nie pytajcie mnie, która pustynia. W tamtych dniach Ziemia Święta była pełna niechcianej, zaniedbanej ziemi bez skrawka plaży. Nic, tylko piasek i kamienie, jak okiem sięgnąć, tu i ówdzie kilka jaszczurek dla urozmaicenia. Dałem sobie trochę wolnego czasu, by nacieszyć się ciszą i spokojem, a potem poszedłem szukać Jezusa.

Nietrudno było go znaleźć. Inni skrywaliby się w cieniu przed wściekle grzejącym słońcem. Tylko Syn Boży mógł się przechadzać między upałem a kowadłem, po prostu dlatego, że Bóg mu kazał. Przez chwilę go śledziłem, zachowując bezpieczną odległość i zastanawiając się, jak najlepiej – że tak powiem – przełamać lody. Nie wyglądał za dobrze. Czterdzieści dni i nocy postu przyciemniło mu skórę, zmierzwiło włosy, poczerśniło usta i pozbawiło tkanki tłuszczowej. Mimo to szedł pewnym krokiem, z wyprostowanymi plecami i wysoko podniesioną głową. Nagle się zatrzymał.

– To jak, Szatan? Będziesz mnie tak śledził cały dzień czy przejdziemy do rzeczy?

Uśmiechał się szeroko, widząc, że udało mu się mnie zaskoczyć. Nie pytajcie, skąd wiedział, że tam jestem. Pospiesznie pokiwałem głową i zbliżyłem się. Miał niesamowicie wychudzoną twarz, ale uśmiech na popękanych ustach był szczery, a z oczu tryskała cicha figlarność. Nie wiercie nikomu, kto wam powie, że Syn Boży nie miał poczucia humoru. Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie, badając się wzrokiem. Od naszego ostatniego spotkania minęło sporo czasu. W końcu Jezus się odezwał:

– Szatan, a niech mnie! Cały na biało i błyszczący jak gwiazda!

– No cóż – odparłem – zawsze byłem najpiękniejszy. Podoba mi się twoja przepaska na biodrach.

Naprawdę podkreśla skromność.

– Co robisz poza Piekłem? – spytał Jezus.

Nie powiedział tego oskarżycielskim tonem, naprawdę interesowało go to.

– Od czasu do czasu pozwalają mi wyjść – wyjaśniłem. – Wtedy, kiedy On ma jakąś sprawę do załatwienia. Ale na ogół trzyma mnie krótko. Czasem wydaje mi się, że wypuszcza mnie tylko po to, żebym zobaczył, o ile gorzej jest w Piekle.

– Nie sądzę – odparł Jezus. – To nie w Jego stylu. O naszym Ojcu można wiele powiedzieć, ale nie jest małostkowy.

Wzruszyłem ramionami.

– Znasz go lepiej niż ja. W każdym razie przybyłem tu, żeby cię skusić. Poddać próbie twoją siłę woli, zanim nastąpi to, co ma nastąpić.

Jezus rzucił mi wyzywające spojrzenie.

– Czterdzieści dni i nocy, gotowania się za dnia i zamarzania nocą, i tylko jaszczurki do towarzystwa. To niedostateczna próba?

Znowu wzruszyłem ramionami.

– Nie do mnie ta gadka. To nie ja ustalam zasady. Niezbadane są wyroki naszego Ojca.

Jezus chrząknął głośno.

– Nie powinieneś aby iść teraz do ludzi, sprowadzać ich na złą drogę?

– Daj spokój – odparłem. – Nie jestem im do tego potrzebny. Dla większości ludzi popełnianie grzechu jest jak oddychanie. Niektórzy wręcz wstają wcześniej tylko po to, by zmieścić w jednym dniu więcej występków. Nie muszę ich wodzić na pokuszenie. Przy Bramie do Piekieł trzeba ich smagać kijem, żeby ustawiali się w kolejce.

– Znowu te przechwałki – powiedział Jezus. – Jesteś dumną i arogancką kreaturą i nie ma w tobie Prawdy. Ale umiesz opowiadać.

– No dobrze, może czasem trochę ich kuszę – przyznałem. – Głównie tych, którzy są zbyt głupi, żeby dostrzec dobrą okazję. Ale popatrz tylko na świat, który od Niego dostali. Istny raj, piękna ziemia pod cudownym niebem, żywność i woda na wyciągnięcie ręki... Okej, może nie tutaj, choć moim zdaniem dorzucił pustynie do zestawu specjalnie po to, żeby docenili całą resztę.

– Pustynia też jest piękna – rzekł Jezus.

Nawet po czterdziestu dobach cierpienia wciąż był w stanie to powiedzieć, w dodatku szczerze.

– Tu jest naprawdę spokojnie – dodał. – Cicho, pogodnie, bez zgiełku. Wszystko na swoim miejscu. Można odnaleźć tu piękno, o ile jest się na nie wrażliwym.

– Po prostu cieszysz się, że uciekłeś od hałasu – uznałem porozumiewawczym tonem. – Od tych wszystkich głosów, od tłumów i ich żądań, od presji. Śmiało, przyznaj się.

– No dobrze, przyznaję się – odparł bez trudu. – Jestem tylko człowiekiem. Przynajmniej czasem. Przyszedłem na ten świat, by przekazać ludziom swoje nauki, nie po to, żeby zabawiać tłumy cudami.

Ale trzeba jakoś przyciągnąć ich uwagę.

– Muszę ci zadać to pytanie – powiedziałem. – Po co się starasz? Potrafią tylko jęczeć, droczyć się i kłócić o rzeczy, którymi z łatwością mogliby się dzielić. Do niczego mnie nie potrzebuje ta żalosna banda nieudaczników. Jednak uwielbiam patrzeć, jak upadają. Bo każde zmarnowane życie, każda stracona dusza to dla mnie kolejny dowód, że od początku się co do nich nie myliłem.

Jezus spojrział na mnie ze smutkiem w oczach.

– Tyle czasu minęło, a ty ciągle nic nie rozumiesz. No dobra, przelećmy przez te pokusy. Co mi proponujesz w pierwszej kolejności? Bogactwo? Władzę? Nową przepaskę na biodra? Mam już wszystko, czego potrzebuję i pragnę.

– Przybyłem, żeby pokazać ci wszystko to, co mógłbyś mieć i kim mógłbyś być – powiedziałem tak szczerze, jak tylko było mnie stać. – Wszystko, co odrzucasz, bo masz zawężone pole widzenia.

Kręcił głową, zanim skończyłem.

– Mówisz o ziemskich sprawach. Dlaczego ciągle to robisz? Przecież musisz wiedzieć, że ci się nie uda.

– Taką mam pracę. Poza tym nigdy nie mów nigdy. Muszę próbować. Może wreszcie doznasz olśnienia.

– Po co? Bo jak upadnę, przestaniesz się czuć taki samotny?

– Popatrz na siebie – odparłem przez chwilę autentycznie rozgniewany. – Jesteś w opłakanym stanie. Mógłbyś być królem Żydów, królem świata, a łazisz po jakiejś zapyziałej prowincji, spalony i pociemniały, śmierdzący tak, że nawet jaszczurki do ciebie nie podejną. Stać cię na więcej.

Zasługujesz na więcej! Proszę cię. Po czterdziestu dniach i czterdziestu nocach twój żołądek musi myśleć, że ktoś ci poderżnął gardło. Zamień kilka z tych kamieni w bochenki chleba i wyluzuj trochę, żebyśmy mogli porozmawiać. Wystarczy już tego wszystkiego.

– Nie samym chlebem żyje człowiek – odparł Jezus – lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych.

– To znowu jakaś okropna przypowieść? – spytałem podejrzliwie.

Jezus westchnął.

– Odnoszę wrażenie, że któryś z nas nie rozumie istoty rzeczy.

Spojrzałem w dal na pustynię, czystą i pustą, hardą i nieustępliwą.

– Dlaczego zgodziłeś się tu przyjść? Nie mogłeś pościć w domu?

– Zbyt wiele bodźców – odparł. – Zbyt wielu ludzi, którzy proszą o to i o tamto. Przyszedłem tu, żeby myśleć, medytować, żeby zrozumieć, dokąd zmierzam i dlaczego.

Pstryknąłem palcami i, ot tak, przenieśliśmy się do Świętego Miasta. Nie pytajcie którego. Uwierzcie mi na słowo, że w tamtych czasach w żadnym z nich nie znaleźlibyście nic ciekawego. Ujawniłem nas obu na szczycie świątyni. Bardzo wysoko nad ziemią. Mocno się trzymaliśmy pinakli, oburącz. Wiał silny wiatr. Jezus patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Co my tu robimy? Jak mam tu medytować? Zabierz mnie z powrotem na pustynię!

– Najpierw kuszenie – powiedziałem. – Chcesz, żeby ludzie brali cię za wzór, prawda? Sam mówisz,

że musisz czynić cuda, żeby zwrócić na siebie ich uwagę. No to zeskocz stąd. Na samą ziemię. Bóg ześle swoje anioły, które bezpiecznie sprowadzą cię na dół. To by dopiero był cud, co? Po czymś takim już nikt nie wątpiłby, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

Trzymał się mocno pinakla, ale robił to zaskakująco godnie, uważając, by nie spojrzeć w dół. Wiatr nawiewał mu jego długie włosy na twarz, lecz i tak był w stanie patrzeć mi prosto w oczy.

– Nie wystawia się Boga na próby. Tu chodzi o wiarę.

– Ale nie pozwoliłby, żeby stała ci się krzywda, prawda?

– On nie ingeruje bezpośrednio w nasz świat. Nawet dla mnie. Gdyby to zrobił, oznaczałoby to koniec wolnej woli.

– Wolna wola – powtórzyłem. Miałem ochotę splunąć, ale wiatr wiał mi w twarz. – Akurat ludzie nie mają pojęcia, co z nią zrobić. Dobra, wracamy do kuszenia. Mamy lepsze miejsca do odwiedzenia.

Kolejne pstryknięcie i staliśmy na szczycie najwyższej góry Ziemi Świętej. W porównaniu z innymi nie była specjalnie imponująca, lecz widok z niej rozciągał się ładny. Musiałem nieco podkręcić atmosferę, bo miałem do zakomunikowania konkretny przekaz. Wykonałem teatralny gest.

– Spójrz! Królestwa tego świata u twoich stóp! Dam ci je wszystkie, zrobisz z nimi, co będziesz chciał. Roztoczysz ochronę nad ludźmi, zaopiekujesz się nimi, wychowasz ich, uczynisz godnymi. Mianuję cię Królem Świata, nawet miejsc, o których istnieniu nie masz pojęcia, jeśli tylko się przede mną pokłonisz i oddasz cześć mnie, a nie Jemu.

Patrzył długo na leżący przed nim świat.

– Naprawdę mógłbyś to zrobić? – zapytał.

– Tak – odparłem. – Otrzymałem specjalne uprawnienia od góry. Pokusa musi być realna, inaczej nie miałyby wagi.

Jezus zaśmiał się cicho i odwrócił plecami do świata.

– Czczę Boga i tylko Jemu służę. Bo tylko On jest tego godzien. Czym jest cały świat wobec Nieba?

Westchnąłem i przytaknąłem. Nie pstryknąłem palcami. Nie mogłem znaleźć w sobie dość entuzjazmu. Przysunąłem głaz i usiadłem. Coś było w słowach Jezusa o spokoju pustyni. Usiadł na innym kamieniu, naprzeciwko mnie.

– To wszystko?

– Właściwie tak – odparłem. – Omówiłem wszystko, co kazał mi omówić, zdobyłem wszystkie odpowiedzi. Zanim wrócę, mam kilka własnych pomysłów, które chciałbym wypróbować, ale zaczynam się zastanawiać, czy jest sens.

– Nie musisz wracać prosto do Piekła – powiedział Jezus. – Możemy tu jeszcze posiedzieć i porozmawiać, jeśli chcesz.

– Jest parę rzeczy, o których powinniśmy pogadać – przyznałem. – Na przykład o naszym Ojcu, braciszku.

Spojrzał na mnie, ważąc moje słowa.

– Jesteśmy braćmi? Jak to się stało?

– Braćmi pod każdym znaczącym względem – powiedziałem. – Zastanów się. Jest w takim stopniu twoim Ojcem jak moim. Najpierw stworzył mnie. Byłem pierwszym aniołem. Uczynił mnie doskonałym i najpiękniejszym. Dał mi władzę nad całą resztą stworzenia. A potem wyraził sprzeciw, gdy ośmieliłem się jej użyć! Wcale nie upadłem, zostałem zepchnięty! Ponieważ zawiódł się na mnie, to teraz próbuje z tobą. Obydwaj zostaliśmy stworzeni w akcie Jego woli, by służyć Jego celom. Dobrze wiesz, o czym mówię. Dla żadnego z nas nie było to łatwe. Życie w cieniu tak wymagającego Ojca. Chęć przypodobania mu się, gdy nie jest jasne, czego oczekuje. Zawsze tyle od nas żądał. – Spojrzałem mu prosto w oczy. – Nie zawieź go, Jezusie, bo skończysz tak jak ja.

– Zawsze byłeś najgłupszy – odparł Jezus. – Nie zawiodłeś Jego, lecz siebie. Nie zostałeś ukarany za pełnienie władzy, lecz za jej nadużywanie. Dlatego musiałeś opuścić Niebo. I dobrze wiesz, że w dowolnym momencie możesz opuścić Piekło. Wystarczy, że wyrazisz skruchę.

– Słucham? Mam przeprosić? Jego? Nie mam za co przeproszać! Nie zrobiłem nic złego! Byłem jego pierwszym dziełem. Mnie pierwszego pokochał. Po co mu były kolejne anioły? Miał mnie. Wszystko dla Niego robiłem. Wszystko. Jeśli zapragnął więcej zabawek, aniołów czy ludzi, to chyba oczywiste, że ja powinienem nimi rządzić. Byłem pierwszy, najstarszy. Najmądrzejszy!

– Nieprawda – odparł Jezus. – To jest istota rzeczy, która zawsze ci umykała. Piekło nie jest wieczne i nigdy nie miało takie być.

– Winnym należy się kara – powiedziałem sztywno. – Jak mnie.

– Nie – rzekł Jezus cierpliwym tonem. – Winnym należy się odkupienie. Muszą zrozumieć naturę własnych grzechów, by mogli właściwie za nie odpokutować. Piekło to azyl dla moralnie obłąkanych. Ostatnia próba Boga zwrócenia twojej uwagi. Piekło nigdy nie miało trwać wiecznie. Naprawdę sądzisz, że wytrzymałbym po śmierci w prywatnej komnacie tortur? Płomienie są tam po to, żeby wypalić grzech i by wszystkie zagubione owieczki mogły wrócić do domu. Gdy Piekło spełni swoje zadanie, opustoszeje. I wszystkie dusze pójną do Nieba, gdzie ich miejsce.

– Nigdy nie przeproszę – stwierdziłem, nie patrząc na niego. – Nie zmusi mnie do tego. Nie poddam się, choćbym został w Piekle sam jak palec.

– Gdyby tak się stało, zejść i zostać z tobą – obiecał Jezus. – Dla towarzystwa. Aż będziesz gotowy, by wyjść.

Popatrzyłem na niego.

– Naprawdę byś to zrobił, no nie?!

Odwzajemnił moje spojrzenie.

– Powiedz szczerze, Szatan. Co byś zrobił, gdybym przystał na twoje propozycje i rzeczywiście odwrócił się od naszego Ojca? Co by się stało?

– Czegóż byśmy razem nie osiągnęli? – odparłem, nachylając się ku niemu ochoczo. – Moglibyśmy obalić Wielkiego Tyrana i uwolnić się od Niego! Robilibyśmy, co nam w duszach gra, a nie, co On by nam kazał. Kierowalibyśmy własnym życiem! Uwolnilibyśmy cały świat. Żadnych praw, żadnych zasad i głupich ograniczeń. Każdy może robić, co chce, i spełnić własne pragnienia. Koniec z poczuciem winy, koniec z wypartymi uczuciami. Czyż nie byłby to... Raj na Ziemi?

– Jeśli nie będzie praw i zasad – stwierdził Jezus – nie będzie też miejsca dla Dobra i Zła?

– Widzisz? Już rozumiesz. Właśnie o to mi chodzi.

Ale Jezus kręcił głową.

– A co z niewinnymi, którzy cierpieliby z rąk tych, którym szczęście daje tylko krzywdzenie innych?

– A co mnie to obchodzi? Co takiego cisi zrobili dla świata? Co nam po słabych, tylko spowalniają postęp? Dobór naturalny! Trzeba wytępić słabeuszy, by następne pokolenia były silniejsze!

– Nie – zaprotestował Jezus. – Nigdy nie miałem cierpliwości do brutalnych osiłków. Jeśli choć jeden człowiek ucierpi, przybędę mu z pomocą.

– Po co? – spytałem w szczerym zdziwieniu.

– Bo to dobry uczynek.

Wciąż nie chciał mnie posłuchać, więc postanowiłem wypróbować pokusę własnej roboty. Nie należała do oficjalnego zestawu, pewnie dlatego, że była bardzo prosta. Ale nie została też oficjalnie zakazana, więc... Wezwałem najpiękniejszą kobietę, jaką znam, i kazałem jej stanąć przed nami. Była wysoka i wspaniała, uśmiechnięta i naga. Nigdy nie widziałem lepszego ciała, a nie wypadłem psu spod ogona. Słodko się uśmiechnęła do Jezusa, a on odpowiedział radosnym uśmiechem.

– Cześć, Lil. Ile to już czasu? Jak interes?

– No wiesz – odparła Lilith zmysłowym głosem. – Chodzę po świecie tu i tam, śpię ze wszystkim, co się rusza. Rodzę potwory, by dręczyły ludzkość. Zawsze powtarzam: wykorzystuj swoje mocne strony.

– Znacie się? – zapytałem lekko zrezygnowanym tonem.

– No pewnie – odparł Jezus. – To przecież Lilith, pierwsza żona Adama w Rajskim Ogrodzie. Wypędzona z niego, bo nie zgadzała się na dominację Adama. A mówiąc ściśle, bo odrzucała wszelkie próby dominacji nad sobą. Wszyscy wiemy, czym to się kończy. Ty otrzymałeś swoją karę i Lilith dostała swoją. I tak jak ty, ona również w każdej chwili może zdjąć ciężar z barków i odejść, jeśli tylko odpokutuje.

Lilith się roześmiała.

– Jaki znowu ciężar? No chodź, Jezus, daj się skusić. Wyglądasz jak ktoś, komu przydałoby się trochę czułości. Spójrz, co cię omija. Nigdy nie zrozumiesz ludzi, jeśli nie będziesz postępował jak oni.

Ale on znowu pokręcił głową.

– Nie. Już dawno podjąłem tę decyzję. Nie mogę pozwolić, by rozpraszały mnie przyjemności tego świata. Mam do spełnienia misję. Dom z kominkiem, żona i dzieci to nie dla mnie. Muszę iść za wyższym powołaniem. Zbyt wiele od tego zależy.

– Czyżby? – powiedziała Lilith. – A ty i Maria Magdalena?

– Tylko się przyjaźnimy – odparł Jezus z uśmiechem.

Lilith się zaśmiała.

– Tobie uwierzę.

Spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami. Wyglądało to uroczo.

– Wybacz, zrobiłam, co mogłam. Ale niektórzy nie chcą, by im pomóc.

Przytaknąłem i pozwoliłem jej odejść. Zapach Lilith został w powietrzu wokół nas jeszcze przez długą chwilę. Siedzieliśmy we dwóch, lecz każdy z nas myślał o czym innym.

– Chodźmy – powiedziałem w końcu. – Twoje czterdzieści dni i czterdzieści nocy dobiegło końca. Pora wracać. Przejdę się z tobą chwilę dla towarzystwa.

– Dziękuję – odparł. – Będzie mi miło.

Wstaliśmy i skierowaliśmy się z powrotem ku cywilizacji czy raczej ku temu, co w tamtych czasach za nią uchodziło.

– Wybacz, że musiałem odstawić tę szopkę z kuszeniem – odezwałem się po chwili. – Taką mam pracę.

– Nic nie szkodzi. Wybaczam. Taką mam pracę.

Spojrzałem na niego.

– Wiesz, że jeden z twoich bliskich cię zdradzi, prawda?

– Tak. Od początku to wiem.

– Zwałą winę na mnie, ale to będzie jego dzieło. Chcesz wiedzieć, który to?

– Dziękuję, już wiem. Bardzo się staram nie traktować go inaczej od pozostałych. I ciągle mam nadzieję, że uda mi się do niego dotrzeć. I może obu nas ocalić. To dobre chłopaki, ci moi uczniowie. Najlepsi przyjaciele, jakich miałem.

– Wiesz, jak skończy się ta historia – powiedziałem. – Nie możesz tego zmienić. Prawda?

– Może by się dało – odparł. – Mógłbym ulec pokusie. Ale tego nie zrobię. To zbyt ważna sprawa.

– Musisz wiedzieć, co z tobą zrobią! – zawołałem. – Przybiją cię, kurwa, do krzyża! Jak kryminalistę! Jak zwierzę!

– Tak, wiem.

– To niesprawiedliwe.

Byłem tak wściekły, że cały się trząsałem i z trudem mówiłem.

– Tak nie może być! Każdy, tylko nie ty. Powiedz tylko słowo, a przybędę, żeby cię uratować. Zdejmę cię z tego krzyża i zabiję każdego, kto spróbuje nam przeszkodzić. Wywlokę się z Piekła, żeby ci pomóc.

– Wiem, że byś to zrobił – powiedział Jezus. – Jednak nie chcę tego. Muszę przez to przejść, bracie.

– Ale dlaczego? – spytałem ze smutkiem.

– Aby odkupić grzechy ludzi. Bo w nich wierzę.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

– Szybciej – ponagliłem. – W takim tempie nigdy tam nie dojdziemy.

Zaczęliśmy biec przez pustynię. Ramię w ramię, dwaj synowie bardzo wymagającego Ojca, którzy mogliby stać razem przeciwko światu, gdyby tylko sytuacja była nieco inna.

– Szybciej, Szatan – zawołał Jezus, szeroko się uśmiechając. – Wysił się trochę. Grzej, ile sił w nogach.

Mimowolnie się roześmiałem. Cały Jezus. Zawsze musi mieć ostatnie słowo.

Przełożył Piotr Kaliński

O AUTORACH

Kevin J. Anderson jest autorem ponad stu książek, w tym także oryginalnych powieści z cyklu *Terra Incognita* i *Saga Siedmiu Słońc* oraz powieści o Diunie napisanych wspólnie z Brianem Herbertem, jak również książek z cyklu *Gwiezdne wojny* i *Z Archiwum X*. Współpracował z Deanem Koontzem przy *Frankenstein: Syn marnotrawny*. Jest również redaktorem trzech antologii *Blood Lite* dla wydawnictwa Pocket.

Kelley Armstrong pochodzi z Ontario w Kanadzie, gdzie nadal mieszka z rodziną. Pracowała jako programistka komputerowa, ale odkąd uciekła z korporacyjnego boksu, ma nadzieję nigdy tam nie wrócić. Opublikowała wiele książek, m.in. z cyklu *Women of the Otherworld*, trylogię *Najmroczniejsze moce* i serię powieści kryminalnych o Nadii Stafford.

Gary A. Braunbeck mieszka w Columbus w stanie Ohio wraz z żoną, pisarką Lucy A. Snyder, oraz

pięcioma kotami, które nie wahają się drapać go pazurami do krwi, jeśli nie poda im na czas posiłku. Opublikował dziesięć powieści i dziesięć zbiorów opowiadań, a łącznie napisał niemal dwieście opowiadań w rozmaitych gatunkach literackich. Jego twórczość przyniosła mu pięć nagród Brama Stokera, International Horror Guild Award oraz nominację do World Fantasy Award. Jest twórcą uznanego i cenionego cyklu powieści, nowel i opowiadań rozgrywających się w miasteczku Cedar Hill, które są porównywane z opowieściami Raya Bradbury'ego o Green Town w Illinois, jak również z opowiadaniem i powieściami Stephena Kinga, których akcja jest osadzona w mieście Castle Rock.

Chelsea Cain jest autorką thrillerów z listy bestsellerów „New York Timesa” – *Evil at Heart*, *Sweetheart*, *Heartsick* i *Night Season*. Akcja wszystkich rozgrywa się w Portland w Oregonie, a ich bohaterami są detektyw Archie Sheridan, tęczowowłosa dziennikarka Susan Ward i najzagorzalsza przeciwniczka Sheridana, seryjna zabójczyni Gretchen Lowell. Książki Chelsea zostały przetłumaczone na dwadzieścia języków, polecano je w *The Today Show*, pojawiły się w epizodach seriali *Czysta krew* i *Castle*, były wymieniane wśród dziesięciu ulubionych powieści roku przez Stephena Kinga. Jej powieść *Heartsick* znajduje się na prestiżowej liście stu najlepszych thrillerów wszech czasów. Chelsea mieszka w Portland z mężem i wyjątkowo dobrze wychowaną pięcioletnią córeczką.

Tananarive Due – wymawia się *ta-na-na-riw-du* – jest zdobywczynią NAACP Image Award i American Book Award oraz autorką najróżniejszych książek, od kryminałów po thrillery o zjawiskach nadprzyrodzonych. Napisała też pamiętnik o prawach obywatelskich. Jej najnowsza powieść, zatytułowana *My Soul to Take* (jesień 2011) jest długo wyczekiwaną kontynuacją wcześniejszych książek, *Blood Colony*, *The Living Blood* i *My Soul to Keep*. Due jest też autorką serii kryminałów, których główną postacią jest Tennyson Hardwick. Pisze je z mężem Stevenem Barnesem oraz aktorem Blairem Underwoodem. W 2009 roku powieść *In the Night of the Heat* zdobyła NAACP Image Award. Due ożywiła też historię w książce *Freedom in the Family: A Mother-Daughter Memoir of the Fight for Civil Rights*, którą napisała razem z matką, aktywistką walczącą o prawa obywatelskie, Patricią Stephens Due. *Freedom in the Family* została w 2003 roku uznana przez dwumiesięcznik „Black Issues Book Review” za najlepszy pamiętnik z walki o prawa obywatelskie czarnych. Due i Barnes wychowują syna Jasona. Blogi Tananarive można znaleźć pod adresami: www.tananarivedue.blogspot.com i www.tananarivedue.wordpress.com.

Heather Graham, autorka bestsellerów „New York Timesa” i „USA Today”, jest dzieckiem szkockich i irlandzkich emigrantów, którzy poznali się w Chicago i osiedlili na południu Florydy, gdzie Heather wciąż mieszka. Jest absolwentką wydziału teatralnego na Uniwersytecie Południowej Florydy. Przez kilka lat występowała w przedstawieniach teatralnych organizowanych w restauracjach, śpiewała w chórkach i pracowała w barach. Po narodzinach trzeciego dziecka nie powróciła już do swojej bardziej lub mniej regularnej pracy, lecz zaczęła pisać. Pierwsza jej książka ukazała się nakładem wydawnictwa Dell. Od tego czasu napisała ponad sto pięćdziesiąt powieści

i nowel, między innymi powieści sensacyjnych, romansów historycznych, horrorów, książek o wampirach, o podróżach w czasie, wiedzy tajemnej oraz książek dla całej rodziny. Jest założycielką grupy Slushpile Band and Players zajmującej się szeroko pojętą rozrywką, z której dochód przekazywany jest Elizabeth Glaser Pediatric AIDS Foundation oraz różnego rodzaju instytucjom dobroczynnym działającym w rejonie Zatoki Meksykańskiej i w Nowym Orleanie. Kontynuacją *Phantom Evil* (Mira Books, kwiecień 2011) jest trylogia *Heart of Evil*, *Sacred Evil* i *The Evil Inside*. Książki ukazały się w lipcu, sierpniu i we wrześniu 2011 roku.

Simon R. Green napisał ponad czterdzieści książek, a największy rozgłos przyniosły mu serie *Deathstalker* (opera kosmiczna), *Nightside* (o prywatnym detektywie działającym w *Strefie Zmroku* i rozwiązującym osobliwe zagadki), *Secret Histories* (o Shamanie Bondzie, wyjątkowo tajnym agencie), a ostatnio *Ghost Finders* (o tradycyjnych zjawiskach nadprzyrodzonych osadzonych we współczesnej scenerii). Jeździ na motocyklach, występuje w spektaklach szekspirowskich pod otwartym niebem, wierzy w duchy, bo jednego sam widział, oraz w doświadczenia śmierci, bo sam jedno przeżył.

Lauren Groff jest autorką powieści *The Monsters of Templeton* nominowanej do nagrody Orange dla nowych autorów, która znalazła się również na liście bestsellerów „New York Timesa” i zdobyła nagrodę Editor’s Choice. Zbiór opowiadań jej autorstwa *Delicate Edible Birds: And Other Stories* zawierał opowiadania, którymi zadebiutowała w czasopismach „Atlantic”, „Ploughshares”, „Glimmer Train”, „One Story”, „Pushcart Prize XXXII: Best of the Small Presses” oraz w wydanej w 2007 oraz 2010 antologii *Best American Short Stories*. Jej druga powieść, *Arcadia*, ukazała się drukiem w marcu 2012 roku. Mieszka w Gainesville na Florydzie. Więcej na www.laurengroff.com.

Nate Kenyon został w 2006 r. uhonorowany nagrodą Brama Stokera za debiutancką powieść *Bloodstone* i zdobył nagrodę P&E za horror roku. Po *Bloodstone* przyszła kolej na *The Reach* (2008), *The Bone Factory* (2009) i *Sparrow Rock* (2010). *The Reach*, również finalistą nagrody Stokera, otrzymał wyjątkowo pochlebne opinie krytyków „Publishers Weekly” i są plany przeniesienia jej na duży ekran. Ostatnia powieść Kenyona, *StarCraft Ghost: Spectres*, oparta na bestsellerowej grze wideo firmy Blizzard, ukazała się jesienią 2011. Niedawno podpisał umowę na powieść na podstawie gry wideo *Diablo*, również Blizzarda.

David Liss jest autorem siedmiu powieści, w tym *The Twelfth Enchantment*. Sześć poprzednich książek zostało przetłumaczonych na ponad dwadzieścia języków, a kilka z nich (oraz jedno opowiadanie) jest obecnie adaptowanych do filmu. Raz w miesiącu wydawnictwo Marvel Comics publikuje też komiks Lissa *Black Panther: The Man Without Fear*.

Jonathan Maberry jest wielokrotnym laureatem nagrody Brama Stokera, jego powieści gościły na liście bestsellerów „New York Timesa”, a on sam pisywał scenariusze dla wydawnictwa Marvel Comics. Jest autorem wielu powieści i książek z dziedziny literatury faktu, jak również ponad dwustu artykułów do czasopism, opowiadań, wierszy i sztuk teatralnych. Powieści Jonathana, wśród których są popularne thrillery o Joem Ledgerze (*The King of Plagues, Patient Zero, The Dragon Factory*), horrory (*Dead of Night, Ghost Road Blues, The Wolfman*) i powieści przygodowe dla nastolatków (*Rot & Ruin, Dust & Decay*). Do literatury faktu zaliczają się *Wanted Undead or Alive, Zombie CSU* i *The Cryptopedia*. Dla wydawnictwa Marvel pracował przy takich tytułach jak *Kapitan Ameryka: Hail Hydra* i *Marvel Universe kontra Wolverine*. Jest współzałożycielem Liars Club, który co miesiąc urządza spotkania literackie. Jonathan często prowadzi prelekcje podczas konwentów literackich i konwentów miłośników science fiction i horroru. Odwiedź jego stronę i blog w internecie na www.jonathanmaberry.com.

Sharyn McCrumb jest nagradzaną pisarką z Południa, najbardziej znaną dzięki osadzonym w Appalachach powieściom z cyklu *Ballad*, w tym takich bestsellerów „New York Timesa” jak *The Ballad of Frankie Silver* i *She Walks These Hills*, oraz *St. Dale*, promowaną podczas krajowych targów książki, za którą otrzymała nagrodę Library of Virginia. Jej najnowsza powieść – *The Devil Amongst the Lawyers* (Thomas Dunne, 2010) porusza temat stereotypów regionalnych mieszkańców prowincji, jakie pokutują wśród krajowych dziennikarzy. W 2008 roku Sharyn Mc Crumb została uznana za Honorową Mieszkanke Stanu Wirginia za dokonania w dziedzinie literatury. Pracuje i mieszka w Virginia Blue Ridge.

John McIlveen ma pięć córek. Mieszka w Massachusetts i pracuje w Laboratorium Lincolna na uczelni MIT. Wcześniej John trudnił się elektryką, mocowaniem rur, ciesielstwem, księgarstwem, pisarstwem, działalnością redakcyjną i wydawniczą, zdarzyło mu się też być inżynierem, projektantem instalacji elektrycznych i mechanicznych, ojcem, synem, zwycięzcą, przegranym, uczniem, nauczycielem, byłym mężem, debiutantem, zawodowcem, na dnie i na szczycie. Nadejdzie kiedyś dzień, w którym to wszystko ułoży mu się w jakąś całość. Na razie największą frajdę sprawia mu bycie ojcem.

David Moody urodził się w 1970 roku w angielskim Birmingham, tam też dorastał. Wychował się na szmirowatych horrorach oraz filmach i powieściach science fiction. Zanim porzucił pracę na pełny etat i postanowił utrzymywać się z pisania książek o końcu świata, pracował jako menedżer w banku oraz dyrektor operacyjny w różnych instytucjach finansowych. Jest autorem kilku horrorów, w tym powieści *Autumn*, która od momentu umieszczenia jej w 2001 roku w internecie została ściągnięta w wersji elektronicznej ponad pół miliona razy. Na jej podstawie powstał film z udziałem Dextera Fletchera i Davida Carradine’a. W kolejnych latach David Moody wzbogacił swoją powieść o następne części. Prawa do nakręcenia filmu na podstawie *Amoku*, innej książki jego autorstwa, kupili Guillermo del Toro (*Hellboy, Labirynt fauna*) oraz Mark Johnson (producent *Opowieści z Narnii*). Pisarz mieszka pod Birmingham razem z żoną, córkami oraz pasierbicami, co być może

tłumaczy jego fascynację końcem świata.

Tom Piccirilli jest autorem dwudziestu powieści, m.in. *Shadow Season*, *The Cold Spot*, *The Coldest Mile* oraz *A Choir of Ill Children*. Jest dwukrotnym laureatem nagrody International Thriller i czterech nagród Brama Stokera, jak również był nominowany do nagród Edgara, World Fantasy, Macavity oraz Le Grand Prix de L'Imaginaire. Więcej o autorze na stronie: www.thecoldspot.blogspot.com.

Sarah Pinborough jest autorką sześciu horrorów. Jej pierwszy thriller, zatytułowany *A Matter of Blood*, został wydany przez Gollancz w marcu 2010 roku i jest pierwszą częścią trylogii *Dog-Faced Gods*, na podstawie której być może powstanie wkrótce serial telewizyjny. Jej pierwsza powieść młodzieżowa *The Double-Edged Sword* została wydana pod pseudonimem Sarah Silverwood przez wydawnictwo Gollancz we wrześniu 2010 roku i stanowi pierwszą pozycję z serii *Nowhere Chronicles*. W 2009 roku Sarah była laureatką nagrody British Fantasy za najlepsze opowiadanie. Trzykrotnie znajdowała się na finałowej liście kandydatów do nagrody za najlepszą powieść. Była też nominowana do nagrody World Fantasy. Jej nowela *The Language of Dying* była nominowana do nagrody Shirley Jackson i zdobyła nagrodę British Fantasy.

Michael Marshall Smith jest powieściopisarzem i scenarzystą. Pod własnym nazwiskiem opublikował ponad siedemdziesiąt opowiadań oraz trzy powieści: *Only Forward*, *Spares*, *One of Us* – zdobył nagrodę im. Philipa K. Dicka, International Horror Guild, August Derleth i Prox Bob Morane. Jest czterokrotnym laureatem (a tym samym – rekordzistą) nagrody British Fantasy w kategorii najlepsze opowiadanie. Jako Michael Marshall napisał pięć thrillerów, które stały się międzynarodowymi bestsellerami, m.in. *The Straw Men*, *The Intruders* i *Bad Things*. W 2009 roku opublikował książkę *The Servants* pod nazwiskiem M.M. Smith. Jego najnowsze dzieło to *Killer Move* z 2011 roku. Mieszka w północnym Londynie z żoną, synem i dwoma kotami. Więcej o autorze na stronie www.michaelmarshallsmith.com.

Dana Stabenow urodziła się w Anchorage, a wychowała na dwudziestodwumetrowym rybackim tenderze w zatoce Alaska. Od zawsze wiedziała, że istnieje dla niej jakieś cieplejsze i suchsze zajęcie i okazało się nim pisanie. Jej pierwsza powieść *Second Star* nie odbiła się żadnym echem, jej pierwsza powieść kryminalna *A Cold Day for Murder* zdobyła nagrodę Edgara, jej pierwszy thriller *Blindfold Game* dostał się na listę bestsellerów „New York Timesa”, a jej dwudziesta ósma powieść i jednocześnie dziewiętnasta z serii Kate Shugak, *Restless in the Grave*, ukazała się w lutym 2012 roku.

Jeff Strand dwukrotnie był finalistą nagrody Brama Stokera i dwukrotnie ta nagroda go ominęła. Jest autorem powieści *Pressure*, *Dweller*, *Benjamin's Parasite*, *Single White Psychopath Seeks Same* i *Fangboy*. Zaprasza na swoją stronę internetową pełną radosnej makabry: www.jeffstrand.com.